

Fice Łucja

Przeznaczenie

Książkę tę poświęcam opiekunkom
i pielęgniarcom pracującym w Europie dla firmy

„Promedica 24” Łucja Fice

*I w nich spoczywa wola, która nie umiera. Kto zgłębi
tajniki i moc? Bowiem jedynie Bóg jest wolę przemożną,
przenikającą wszystko wyłącznie mocą własnego zamiaru.
Człowiek ustępuje aniołom i poddaje się śmierci tylko
z powodu słabości własnej wątej woli.*

Joseph Glanvill

- Znowu te cholerne sny - powiedziała do siebie głośno zaraz po przebudzeniu, ale nie chciało jej się wstawać, bo i po co. Przewróciła się na drugi bok, próbując jeszcze zasnąć i zetrzeć strach, który pajęczyną rozłożył się na jej twarzy. Myśli skupiły się jak w soczewce, a obrazy ze snu sypały się jak kasza manna. Włosy stawały dęba, dłonie potniały.

Oddychała głęboko, jakby chciała wchłonąć w siebie cały zapas tlenu. Znowu korytarze ciągnące się w nieskończoność, dziesiątki drzwi, które otwierała szukając wyjścia. W każdym z nich żywe trupy z wytrzeszczonymi oczyma. Boże! Oczy, w których zapisano historie tych ludzi. Wiedziała o nich wszystko. Staruszka o trupiozielonkowatej cerze z pokoju dziewięćdziesiąt pięć, przygarbiona, w starej, obdartej koszulince, siedziała na brzegu łóżka. Gabrysia wiedziała, że ta kobieta kiedyś była sekretarką. Kościstym palcem o długim paznokciu, który zdawał się ciągle wydłużać, zapraszała do środka, skąd wionęło zgnilizną. Gabrysię opanował strach, od którego serce waliło jak pneumatyczny młot. Uciekała, zatrząskując z hukiem drzwi wilgotnymi od potu rękoma.

Otworzyła następne, bez numeru. W pokoju kolejny kościotrup z długim nosem, wyciągniętym podbródkiem, prawie łysy, leżący na materacu rozłożonym na podłodze. *Help me, help me...* - schrypniętym, starym, słabym głosem jęczał. Był kiedyś marynarzem. Skąd język angielski w tych snach? - zastanawiała się. Nie mogła uciec od tych przerażających koszmarów powtarzających się od roku.

- Gabryśka! Wstawaj! Już po siódmej! Budź Zuzię, bo nie zdąży do szkoły. - Z zamyślenia wyrwał ją głos męża. Mocny, głośny, drapieżny.

- Daj spokój, Zenek. Dzisiaj tyją wyszykuj. Znowu miałam nawrót horrorów: podziemia, korytarze, starzy ludzie. Muszę to przetrwać.

- No tak! Wiedziałem! - syknął jak wąż, aż poczuła smak i zapach jadu. - Idź do diabła z tymi koszmarami!! Najlepiej nie kładź się spać wcale! To moja rada - nadal syczał i zatruchiwał.

Obudził tym samym Zuzię, która spała w ostatnim pokoju. Sypialnia matki sąsiadowała z pokojem córki. Zaczął się poranny rwetes i już nie było szans na spokojne leżenie.

- Sarenko ty moja, daj buzi mamusi - pieszczotliwie zawołała, kiedy dziewczynka ukazała się w drzwiach maminej sypialni, jeszcze w koszulce. Nieuczesane, ciemnoblonde włosy opadały jej na ramiona.

- Pa, pa, śpij dobrze. Tatuś robi mi śniadanie. Już słyszałam, że znów miałaś koszmary - mówiła głosem przepełnionym tym razem jadem z cukrem.

- Zamknij drzwi, Zuziu - poprosiła.

Pragnęła być przez moment sama ze sobą. Usiadła i spojrzała nieruchomym wzrokiem, jeszcze nie całkiem przebudzona, w lustro, które w białej toalecie stało naprzeciwko łóżka. Zobaczyła starą, rozczochraną kobietę. Od razu przymknęła oczy. Położyła się ponownie, przykrywając się kołdrą aż po czubek głowy. Chciała uciec sama od siebie. Mamo! Mamo! - przywoływała obraz nieżyjącej matki, jakby ta miała jej pomóc.

I właśnie wtedy jakaś natrętna myśl nakazała jej pójść do pokoju Zuzi. Wierciła się pod czaszką, przysyłając inne. Była jak rozkaz: Idź do pokoju Zuzi! Idź do pokoju Zuzi! Idź do pokoju Zuzi! Gabrysia czuła siłę tej myśli. Pchana niezwykłą mocą, wstała i powoli, wyprostowana jak manekin, szła do pokoju córki. Przy biurku siedziała jej matka w tej samej fioletowej sukience, w której wkradała się do snów.

- Wołałaś mnie?

Krótką przerwą, która Gabrysię aż zakłuła boleśnie w uszy.

- Więc jestem - stwierdziła matka, szczerze dodając uśmiech.

Gabrysia przeskoczyła przez niezłożoną wersalkę, by przekonać się na własne oczy, czy to, co widzi, jest prawdą. Nawet się uszczypnęła.

- Cholera, boli! - krzyknęła.

Kiedy to usłyszała, już była po drugiej stronie łóżka, by drżącą ręką dotknąć oczu, które na nią patrzyły z uczuciem miłości.

- Jestem cała i zdrowa. Jestem - matka powtórzyła, nie otwierając ust.

Gabrysia zastygła jak gorąca lawa zalana strumieniem zimnej wody. Nie była w stanie powiedzieć żadnego słowa. Czuła tylko magię matczynej miłości, a pokój zatapiał się w wielokolorowym blasku tęczy.

To światło miało nie tylko kształt i wzór. Było muzyką, która wypełniając komórki, atomy, dawała uczucie ulgi, kosmicznego spokoju, o jakim mogła tylko marzyć. Jeśli śnię, to na pewno nie chcę się obudzić - pomyślała.

Kolejne myśli wydostawały się z jej zakratowanego umysłu jak z więzienia.

- Nie śniesz! - matka wstała i objęła ją ramieniem.

Teraz Gabrysia poczuła ciepło jej ciała i zapach. Przytulenie nie pozwoliło, by jej zdumienie osiągnęło granice szaleństwa. Po chwili, wypuszczona z objęć, czuła się jak pisklę, które nieporadnie stawia pierwsze kroki. Chce biec do kuchni, powiadomić o tym zdarzeniu męża i córkę. Słyszy teraz docierające z kuchni strzępy rozmowy.

- Dok... to śniad...

Matka obejmuje ją ponownie i paraliżuje ruchy. A ona przecież tylko chciała wyjaśnić zaistniałą sytuację i pokazać pokój tonący w blasku dziesiątek tęcz.

- Mamo! Co to wszystko ma znaczyć?!

- PRZEZNACZENIE.

Wpatrzona w młodą twarz matki, czuła znowu magię słów, które zdawały się mieć swoją fakturę, rozmiar, kolor, ba, nawet zapach. Te słowa żyły, ale były jak zakonserwowane. Wszystko, co teraz widziała i słyszała, a co było w ruchu, choćby w drganiu, poruszało się w zwolnionym tempie. Również jej własne gesty.

Nagle w tej powolnej aurze zjawa matki rozplynęła się jak we mgle.

Znikła tęcza, a umysł Gabrysi zaczął się przejaśniać. Uświadomiła sobie, że była zawieszona pomiędzy snem a jawą. Taka sytuacja zdarzyła się jej po raz drugi. Przysiadła na łóżku, zmrużyła oczy i zaczęła rozpamiętywać ów pierwszy sen sprzed roku, który był jak spektakl, a ona sama tylko widzem. Widziała swój stołowy pokój, w którym matka, stojąc na drabinie, zdrapywała tynk z sufitu i mówiła:

- Musisz, moje dziecko, oczyścić umysł. Łopatką. O! Tak jak ja zdrapuję ten tynk. Trochę tego narosło przez te wszystkie lata, ale to się da wyskrobać.

I zamaszyście skrobała. Bardzo się spieszyła. Zupełnie jak dzisiaj, jak przed chwilą, Gabrysia czuła ten sam smak matczynej miłości, który wypełniał cały jej umysł, jakby wsysał tę miłość za pomocą jakiejś niewidzialnej, kosmicznej tuby. Matka aż emanowała tylko tym uczuciem.

Po całym pokoju roznosił się zapach, którego nie mogła skojarzyć z żadnym innym. Tak, pamiętała go dokładnie. Również odpowiedź na pytanie, jakie matce zadała:

- Dlaczego mnie, mamo, odwiedziłaś?

- Bo bardzo cię kocham.

Ocknęła się z zadumy. Siedziała rozczochrana na łóżku w pokoju Zuzi, jak słup soli, i uśmiechała się do siebie. Oto przypadł jej przywilej snów na jawie. Odrętwienie powoli mijało, zaczęła

rękoma poprawiać włosy i znowu przeskoczyła w poprzek łóżko, na którym porozwalane książki fruwały od jej kopnięć i raniły stopy. W sypialni złapała w biegu szlafrok, zarzuciła go na ramiona i stanęła w kuchennych drzwiach, skąd dolatywał zapach jajecznicy na boczku. Obiecała sobie, że ten sen zostawi tylko dla siebie. Zrobiła się nagle głodna. Wszyscy byli jeszcze ogarnięci sennym nastrojem jak mgłą. Nie mieli ochoty na rozmowę.

Zuzia zajadała śniadanie. Spieszyła się. Połykała szybko. Matka obserwowała jej energiczne, pospieszne ruchy.

- Udławisz się, powoli! - Podeszła i położyła rękę na jej ramieniu. Nachyliła się nad jej buzią siląc się na uśmiech.

- Mamo, ja już jestem spóźniona. Dlaczego nie obudziliście mnie wcześniej? - W jej głosie była nutka złości, która dodała jej uroku.

Energicznie podniosła się z krzesła, przesunęła je na miejsce, zabrała przygotowane drugie śniadanie i szybkim krokiem wymaszerowała z kuchni. Starym zwyczajem dała kuksańca w wystający brzuch ojca.

- Masz mi schudnąć, zanim wyjadę na studia! - rozkazała i uciekła.

- A ty, Pelasiu jedna! Ja schudnę, ale ty musisz przytyć! Wyglądasz jak kwit na węgiel w latach pięćdziesiątych.

Zuzia, ubierając płaszczyk na korytarzu, wciąż droczyła się z ojcem. Uwielbiała to.

- Założę się z tobą, że nie schudniesz. No co? Założymy się? Tylko o stówkę, to niewiele, jakoś wykrobiez albo dorobisz. Przecież ja muszę jakoś uzbierać na to cholerne życie.

Była bardzo poważna. Zapinając guziki od palta, podeszła do drzwi kuchennych.

- Mamo, *a propos* kasy. Mam sposób na zarabianie. Niewiele, ale każdy grosz potrzebny. Jak przyjadą Roksana z mężem, toaleta będzie płatna po pięć złotych, ja zaś obiecuję, że czysto-

ścią toalety zajmę się sama. Pa, pa, pa! Kocham was! Wracam wieczorem!

Mówiła tak szybko, że żadne z rodziców nie zdążyło jej odpowiedzieć. Usłyszeli tylko trzask zamykanych drzwi.

- Zenek, ubieraj się! Zobacz! Wyglądasz komicznie w tych slipach i w fartuchu. Dobrze, że zakryłeś się z przodu. Nie rób tego więcej. Po prostu wciągaj spodnie. Przecież mamy w domu nastolatkę - Gabi mówiła szybko, drapiąc się po głowie.

- Gabryśka! Szukasz zaczepki od samego rana, bo miałaś znowu te koszmary? Znowu się czepiasz? - syknął.

- Tak, czepiam się. - Gabryśka rozsiadła się wygodnie na krześle, opierając łokcie na tylnej poręczy. - Usiądź, proszę, musimy poważnie porozmawiać.

- O co chodzi? - Zmienił ton głosu na subtelny. Zawsze tak robił, kiedy nie wiedział, co jego żona może nowego wymyślić.

- Nie łaź po kuchni jak fałszywy kot, tylko ze mną pogadaj. Siadaj - krzyknęła. - Wiesz, że o sprawach finansowych możemy rozmawiać, jak nie ma Zuzi w domu.

- Wiem, wiem. Nie ma kasy, ty bez pracy. Mówiłem ci, że nie znajdziesz jej nigdzie. Masz pięćdziesiąt dwa lata i renty też nie dostaniesz. Nie wiem, co robić. - Jego twarz spochmurniała.

- Idioto, zamiast dopingować, dodawać mi otuchy, ty zawsze swoje. Zaczęło się robić gorąco.

- Zenku, ja naprawdę nie chcę się z tobą kłócić - Gabryśka mówiła spokojnie, choć napięcie w jej ciele rosło jak rtęć w termometrze.

- Czy ty nie rozumiesz, że nie mamy pieniędzy nawet na życie, ja nie mam możliwości zarobienia, bo, jak mówisz, jestem za stara. - Z nerwów plotła palcami pod stołem, oczy zaczęły robić się szkliste, zbierało się jej na płacz.

- Czego wyjesz? - wymamrotał, głaszcząc się po brzuchu.

- Nigdy tak naprawdę się nie martwiłeś. A poza tym może byś usiadł, żeby przedyskutować co dalej - ciągnęła z przerażeniem.

- Jakies pieniądze mamy - mówiąc te słowa, usiadł przy stole. Rozłożył na blacie grube, owłosione mocno ręce. - Przecież pracuję, coś zarabiam, wydzierzawimy sklep i jakoś będzie.

- Ty chory człowieku! Te twoje pieniądze to psu na budę będzie za mało. Powinieneś poszukać dodatkowej pracy, masz tak dużo wolnego. - Kręciła się nerwowo, dalej plotąc palce.

Zenek wstał i przysunął krzesło.

- Nie będę teraz z tobą rozmawiał, bo jesteś za nerwowa i zbiera ci się na płacz. Porozmawiamy innym razem, jak będziesz w nastroju. I uczesz się, bo wyglądasz jak Baba Jaga.

- Spaaadaj! - odpowiedziała cierpko.

Miała ochotę tylko na płacz. Nie udało jej się uzmysłowić mężowi, że sytuacja jest tragiczna. Straciła już nadzieję, że mąż znajdzie wyjście. Tak by chciała móc liczyć na niego, ale już wie, że to niemożliwe.

Obserwowała kątem oka, jak na korytarzu wciąga spodnie. Jego fizjonomia nie zdradzała żadnych oznak zmartwienia.

- Wychodzę, zrobię jakieś zakupy. Nie martw się, wszystko będzie dobrze - zapewniał jej wielki, tęgi chłop, stojąc w progu. - Czy coś potrzebujesz? - zapytał.

- Tak. Pracy i kasy.

- Ja ci pracy nie dam, a dorobić nie jestem w stanie, bo pracuję.

Odwrócił się i zniknął z pola widzenia Gabrysi. Usłyszała tylko dźwięk klucza wkładanego do zamka. Lubiła zostawać sama ze swoimi myślami. Nie chciało się jej zmienić miejsca. Zwaliała winę na poranną atmosferę, na swoje horrory i dodatkowo na spotkanie trzeciego stopnia z matką. W tym momencie uśmiechnęła się do siebie. Dlaczego tak mi się wiedzie, dlaczego

mam męża, który nie myśli za mnie? Przez całe życie mamy problemy finansowe i tylko ja wiem, że muszę poradzić sobie sama. Nie mogę tej cholernej biedy wpuścić do domu. Trzeba zabrać się za wydzierżawienie sklepu. Już dwa miesiące stoi pusty.

Boże! Co mam teraz zrobić?

Twarz zakryła rękoma i tak jeszcze siedziała przez kilka minut. Czuła się jak motyl bez jednego skrzydła i choć było ich dwoje, miała wrażenie osamotnienia. Ocieężała, jak staruszka, podniosła się z krzesła.

Weszła do łazienki. Odkręciła kurek z wodą i zaczęła powoli się rozbierać. Wypoczywała tylko w wannie, tam naprawdę się relaksowała.

Ułożyła piżamę na pralce, która stała obok wanny. Była naga. Przyglądała się swojemu ciału. Dotknęła piersi, później przejechała rękoma po łydkach i udach, jakby badała, czy nie ma żylaków. Cóż warto jest życie bez seksu? - To starość - sama do siebie mówiła głośno.

Wanna była już prawie pełna. Sprawdziła ręką ciepłość wody i weszła, zanurzając ciało. Nalała dużo płynu do kąpieli. Dopiero teraz ciepłe myśli jak ciepła woda zalały jej umysł. Zaroily się w jej mózgu te wyjątkowo przyjemne: elegancki mężczyzna, taki z reklamówek telewizyjnych, który ma kasę i traktuje kobiety jak damy, nie szcędząc im czasu. Zanurzyła się cała pod wodę, na chwilę wstrzymując oddech.

To oczyściło jej umysł z tych przyjemnych, aczkolwiek głupich myśli.

Wynurzyła się jakby nowa, świeża, nabrała szamponu na dłonie i rytmicznymi ruchami zaczęła myć głowę.

Wyszła z wanny ukojona, gotowa do przyjęcia nowego dnia. Wzięła ręcznik. Na zimnej posadzce zaczęła skraplać się para, spływając po kafelkach cienkimi strumyczkami wody. Pomyślała,

że powinna zetrzeć podłogę, zanim wyjdzie z łazienki, ale w tym momencie usłyszała dzwonek do drzwi. Owinęła ręcznikiem mokre włosy i sięgnęła po drugi, żeby wytrzeć ciało. Szybko wyszła, by otworzyć mężowi, nie zwracając uwagi na wilgotne ślady stóp pozostawione na podłodze.

Genom zawdzięczała swój ładny biust, zgrabne nogi bez żyłaków, ciało bez rozstępów. Miała świadomość, że wiele kobiet, nawet młodych, dałoby wiele, żeby mieć taką figurę i ciało. Była również zadowolona ze swojego kobiecego sposobu poruszania się. Zrobię mu kawał i zrzucę ręcznik, kiedy otworzy drzwi -pomyślała. Łakoma jego reakcji otwierała z zapalem.

W drzwiach stała Sylwia, stara przyjaciółka.

- Cześć! A ty co? Jeszcze w ręcznikach? - zapytała z ironicznym uśmiechem na twarzy.

- Boże! Myślałam, że to Zenek. Zapraszam.

Była trochę skrępowana, że jest już późno, a ona wciąż w negliżu. Nerwowym gestem zaprosiła przyjaciółkę do środka.

- Zaczekaj, aż się ubiorę.

- Wiesz co, Gabrysiu, usiądę sobie w kuchni, a ty się szykuj. Gabrysia pobiegła na górę, złapała suszarkę i nastawiła na cały regulator.

Jej krótkie włosy stanowiły jeszcze płataninę wilgotnych pasm, ale po pięciu minutach były ułożone. Krzyczała z góry.

- Jak zwykle nie wiem, co ubrać. Chodź, pomożesz mi. Po chwili już obie otwierały dużą szafę, w której nie było miejsca na nową odzież.

- Mam ten sam problem codziennie rano - oświadczyła z powagą Sylwia. - Wtedy wiesz, co robię? Wykładam na łóżko kilka wersji możliwych do założenia i wybieram.

Gabrysia zrobiła to samo. Wybrała garsonkę i do niej bluzkę.

- Co robimy w tym tygodniu? - Przyjaciółka przysiadła na łóżku obok rozłożonych Gabrysinych ciuchów.

- Jak zwykle szukamy pracy. Widzisz, jak się szykuję. Jak ksiądz na Boże Ciało.

- Idź już na dół i zaczekaj na mnie, a ja się w to ubiorę. Dotknęła fałdki spódnicy Sylwii, badając rodzaj materiału, z którego była uszyta.

- To jedwab. Nie pamiętasz, jak kupiłam ją w lumpeksie?

- A tak, tak. Teraz przypominam sobie - z powagą znawcy oświadczyła Gabrysia.

Sylwia zeszła na dół, a Gabrysia rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze, przeczesała jeszcze raz włosy palcami, zabrała się za zrobienie lekkiego makijażu, by po chwili odłożyć szminkę do ust na toaletkę. Zrezygnowała. Zrobiła się cholernie głodna.

- Zakładam, że masz spory apetyt i zjesz ze mną śniadanie - zagadnęła, ukazując się w drzwiach kuchni.

- Gabrycha! Przecież wiesz, że ja do południa nic nie jem. Wczesnie rano wypijam tylko mocną kawę.

- Muszę coś rzucić na ruszt. - Z tymi słowami poszła w stronę lodówki.

- O cholera, tylko jajka.

Przesunęła ręką po twarzy. Był to gest zdziwienia na zawartość lodówki.

- To zjesz jajecznicę. - Grzebiąc we własnej torebce, Sylwia nie podniosła nawet głowy. - Tylko pospiesz się, proszę - dorzuciła z krzywym uśmiechem.

Gabrysia przygotowywała sobie śniadanie, a przyjaciółka w tym czasie przeglądała leżącą na stole książkę *Jak interpretować sny?*.

- Wyobraź sobie, że dzisiaj znowu miałam koszmarne sny o korytarzach pełnych starych ludzi Najgorsze, że pamiętam ich twarze, oczy i niesamowitą bezradność - powiedziała Gabrysia, smażąc swoją jajecznicę.

- Ubierz fartuch, bo się pobrudzisz - odezwała się przyjacielsko Sylwia, dalej przeglądając książkę. - A może twoim przeznaczeniem jest praca w domu starców?

- Gdziekolwiek, bylbym... - tu urwała, bo w głowie zadźwięczało jej słowo „przeznaczenie” - ...zarabiała - dokończyła myśl - - My już nigdzie nie dostaniemy pracy. Najwyżej w domu starców.

Włożyła sobie jajecznicę na talerz, podeszła do stołu, po drodze wzięła dwie kromki chleba i usiadła naprzeciwko przyjaciółki.

- Cholera, zapomniałam ściereczki, bo przecież na pewno się pobrudzę.

Wstała. Wzięła ręczniczek. Wróciła. Sylwia zaczęła się głośno śmiać.

- Z czego się śmiejesz? - zagadnęła, biorąc do ust pierwszy kęs chleba.

- Bo obserwując ciebie pomyślałam, że my już naprawdę jesteśmy stare. Śliniaczki pod brodą, nie mamy pracy, częściej wszystko zapominamy.

- Starość nie radość - odpowiedziała, popijając herbatę.

- Słuchaj, Gabrycha - tak się do niej zwracała, kiedy chciała coś mocno podkreślić. - Niech twój Zenek sprawdzi w Internecie i poszuka ci pracy opiekunki zagranicą. Znasz przecież język angielski, zawsze chciałaś wyjechać, a wiem, że powstały agencje, które legalnie werbują do pracy.

- Robiłam już różne kroki w tym kierunku. Pytałam się wszystkich znajomych, którzy mają rodziny zagranicą, ale nic nie wskórałam.

- A twoja starsza córka nie może ci pomóc? - zapytała ciepło.

- Francja jeszcze nie przyjmuje Polaków, chyba że specjalistów takich jak lekarze, jeśli już, to w grę może wchodzi Anglia albo Hiszpania, może Włochy. I tylko domy starców, bo nic innego nie potrafiłabym robić.

- Wyjechałabyś? - zapytała Sylwia, robiąc dziwną minę.
- Do samego piekła - Gabrysia powiedziała to z takim przekonaniem, że Sylwia nie miała już żadnych wątpliwości. - Poproszę dzisiaj mojego Zenka, żeby zajrzał do Internetu, może faktycznie jest szansa.
- Kończyła śniadanie, dopijając herbatę. Sylwia ciągle przewracała książkę, aż wzrok zatrzymała na pewnej stronie.
- Coś ci przeczytam *a propos* twego snu. Posłuchaj: „nieznany pokój - obszar cudzej, obcej, czyjejs świadomości. Piwnice - twoja podświadomość. Mieszkańcy pokojów - osoby wytwarzające określony typ świadomości”.
- Tak, wiem. Tłumaczyłam już sobie te sny. Według nich wkroczę w nowe, obce mi warunki funkcjonowania, zawodowe, towarzyskie, rodzinne. Wiem, że mają nastąpić jakieś przeobrażenia w sensie fizycznym i psychicznym, ale jak widzisz, do tej pory nic się nie zmienia - ciągnęła jednym tchem.
- Pamiętasz, Gabrysiu, jak przed wyjazdem do Francji miałaś sny o magnoliach? - Kiwała lekko głową, dalej lustrując stronicę książki. - Kiedy tam pojechałaś, znalazłaś się dokładnie w takim samym miejscu. Pamiętam, jak z przejęciem opowiadałaś przeżycia - ciągnęła, nie odrywając oczu od stronic, jakby chciała połknąć całą książkę.
- Tak, Sylwio. Pamiętam.
- A więc może teraz przeznaczony jest ci dom starców? -zapytała z przekonaniem.
- Gabrysia dopiła herbatę i energicznym ruchem odstawiła kubek.
- Zbieraj się. Wychodzimy. - Wstała od stołu, zrzucając ręczniczek na blat, i gestem zaprosiła Sylwię do wstania. Ta podnosiła się leniwie, powoli spoglądając na zegarek, który wisiał na przeciwległej ścianie.
- Jest godzina 10.45, 15 września 2004 roku, a my już od

dwóch lat ciągle bez pracy - powiedziała to tak poważnie, że Gabrysia zaczęła się głośno śmiać. - Nie śmieję się, nie śmieję, babciu. To prawda.

Chwilę później wyszły na ulicę. Był ciepły poranek końca lata.

Kiedy była zła na samo życie, wówczas jej małżeństwo wydawało się pomyłką, ogromną pomyłką, bo choć żyli razem, to byli osobno.

Bez względu na to, co robiła, jak bardzo chciała przypodobać się Zenkowi, zawsze jednakowo dawał jej tylko ojcowski całus na dobranoc. Miała bez przerwy pretensje do męża, że nie widzi jej seksualności. Na tym tle dochodziło nieraz do sprzeczek. Wówczas próbował udowodniać, że to jej wina. A Gabrysia w żaden sposób nie potrafiła zrozumieć, dlaczego mąż jej nie pragnął jak kiedyś, choć czuła się jeszcze atrakcyjną kobietą.

- Może masz kochankę? - zapytała raz ze złością.

- Kochankę? - powtórzył ze zdziwieniem. - Wystarczy, że mam ciebie. Jesteś jak pirania. Czy z piranią można iść do łóżka?

Wiedziała, że nie mówił tego całkiem poważnie, że to była jego osobista forma żartów.

- Mam już dosyć twojej niezaradności, chłodu i mojej duchowej samotności. Jak wyjadę do Anglii, to sobie kogoś znajdę, bo niemożliwe, żeby ta część mojego życia była już skończona - powiedziała, przekładając nogę na nogę. Podparła lewą ręką policzek i wpatrywała się dalej w ekran telewizora.

- No to sobie kogoś znajdź! - wyrzucił z siebie z odrobiną odwagi.

- Co byś wtedy zrobił?

- Jak oczy nie widzą, sercu nie żal - zakończył i poszedł na górę.

Taki był Zenek. Uciekał od problemów.

Znowu została sama na cały wieczór. Zuzia zamknięta we własnym pokoju. Pozostał telewizor albo jej pasja - poezja. Zenek nie lubił poezji. Czasem przepisywał jej wiersze, więc znał ich treść. Nic to nie pomagało.

Myślami uciekała w jakieś nowe środowisko, do nowych przyjaciół, nowych miejsc. To wszystko ją kręciło. Była otwarta na nowe przyjaźnie i gotowa do ciężkiej pracy. W życiu nigdy jej nie brakowało odwagi. Siedząc samotnie w fotelu, oddawała się marzeniom i nadziei, że jutro zadzwoni telefon z agencji odnośnie jej pracy w Anglii. Właśnie otrzymała wszystkie niezbędne dokumenty i teraz tylko czekała na telefoniczne sprawdzenie języka angielskiego. Na tej podstawie miała być zakwalifikowana na rozmowę w Krakowie z pracownikami angielskich domów pielęgniarstwa.

Przerzucała telewizyjne kanały, a jednocześnie dręczyły ją pytania: jak to możliwe, że całe życie przepracowała bez widoku na awans, choć finansowo były dobre okresy? Jak to się stało, że jest teraz bez pracy, bez wynagrodzenia, a jedyną szansą jest emigracja zarobkowa? Może faktycznie - to jej PRZEZNACZENIE? - przekonywała sama siebie. Zgasła światło, ściszyła telewizor, przygasły również jej myśli.

Z nogami podkurczonymi pod brodą przysnęła.

* **

Długie rzędy domów jednopiętrowych z oknami prawie przy chodniku. Do mieszkań wchodzi się prosto z ulicy. Wszędzie pootwierane okna. Próbowała wejść do jednych drzwi, ale były zamknięte. Spojrzała na walizkę, która stała obok.

Była w obcym mieście. Wczesny ranek, a ona zmęczona i ciężko przestraszona. Nie wiedziała, co ma zrobić.

- Gabryśka, Gabryśka. - Usłyszała mocny, ciężki głos, który wyrwał ją z drzemki. Mąż wołał basem: - Zrobiłem ci kolację, chyba nie idziesz spać? - Jego oczy szukały jej wzroku.

- Dziękuję. Zjem i pójdę.

- Połowę zostaw Zuzi i zawołaj ją, bo mi cały czas odpowiada „zaraz, zaraz”. Może posłucha ciebie.

- Zawołam, nie ma sprawy. Jeszcze raz dzięki. Jutro ja wam zrobię kolację.

Kuchnia nie była jej mocną stroną. Nie lubiła gotować, szykować, a jeśli musiała, robiła to szybko i byle jak.

- Wstawaj już z tego fotela - powiedział trochę cieplej, nachylając się od tyłu nad jej głową i ręką czochrając jej włosy.

- Co robisz, idioto? - syknęła, poprawiając fryzurę.

- To tak mi dziękujesz za kolację? - Jego głos zabrzmiał smutną nutką.

- *Sorry, sorry.* - Przez chwilę było jej żal bezbronnego w tej chwili męża. Wstała i poszła do pokoju Zuzi.

- Córeczko, na kolację, ale to pędem! - ostry jak brzytwa ton odwrócił uwagę córki od zeszytów. Spojrzała na matkę wzrokiem baranka.

- Maaamo, maaaamo - patrzyła na nią tym zdziwionym rodzajem spojrzenia.

- Zuziu, nie będę cię prosić. Tata zrobił kolację, więc zejdź na dół.

- No! Mam nadzieję, że tatuś, a nie ty, bo bym nie jadła.

-Wyprostowała kręgosłup, przysuwając plecy do oparcia krzesła.

Pokój Zuzi był zawsze zabałaganiony. Wersalki nigdy nie składała. Na pościeli leżało pełno książek, a na krzesłach ciągle wisały ciuchy.

- Czy ty tu kiedyś posprzątasz? - zapytała Gabryśka, ciągle stojąc w drzwiach.

- Mamo! Te ciuchy i książki same z szafy wyłażą - Zuzia stwierdziła to z taką miną, że trzeba jej było uwierzyć.

Matka roześmiała się. Opadły jej ręce.

- Całe szczęście, że masz poczucie humoru - córka podsumowała zdarzenie. I dodała: - Czy miałaś już telefon z agencji?

- Nie, kochanie. Myślę, że będzie jutro.

Od samego rana w napięciu czekała na telefon z Krakowa. Rozmowa miała odbyć się po angielsku, by zakwalifikować ją do pracy w Anglii. Była godzina dziesiąta, kiedy ostry dzwonek poderwał ją jak z katapulty. Biegła, wsuwając po drodze papcie. Złapała słuchawkę nerwowym gestem.

- Gabriela - słucham.

Po drugiej stronie linii ciepły damski głos:

- Agencja PRO-MED Kraków, Ilona Sężyńska. Czy rozmawiam z Gabrielą Mrozińską?

- Tak. Jestem przy telefonie - odpowiadała trzeźwo i bez strachu.

- Jak się czujesz? - zapytał głos po angielsku.

- Dobrze i mam nadzieję, że ta rozmowa będzie moim szczęściem.

Mimo zdenerwowania, jakie wywołał w niej ów telefon, nawet nie zadrzała. Przygotowała się na ewentualne pytania. Intuicja jej nie zawiodła. Po kilkunastu sekundach rozprężyła się całkowicie, na co wpływ miał serdeczny głos po drugiej stronie, i rozpoczęła dialog:

- W moich dokumentach zaznaczyłam, że pracowałam w szpitalu psychiatrycznym przez dwa lata jako instruktor terapii zajęciowej. Również prywatnie, charytatywnie, opiekowałam się dzieckiem z porażeniem mózgowym. To była córeczka mojej koleżanki.

- Tak - usłyszała. - Takie doświadczenie na pewno pani wiele pomoże.

Pytań było jeszcze kilka i na każde odpowiadała prawie bez namysłu.
- Pani Gabrysiu! - serdeczny głos wyraźnie kończył rozmowę. - Miło mi oznajmić, że mogę panią zakwalifikować na spotkanie z angielskimi pracodawcami, które odbędzie się w Krakowie. Potem tygodniowe szkolenie w Hotelu Chopin. O wszystkim powiadomimy panią telefonicznie. O tym, czy pani wyjedzie, zadecyduje pani osobowość i rozmowa z pracodawcą. Ostateczna decyzja zostanie podjęta na miejscu. Życzę powodzenia. Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

W słuchawce zapanowała cisza, lecz Gabrysia stała dalej nieruchomo, jakby czekała na ponowne potwierdzenie. Tak było przez kilka sekund. Nagle oprzytomniała. Położyła słuchawkę spokojnym, opanowanym ruchem, jak na zwolnionym filmie. Dopiero teraz uprzytomniła sobie, że naprawdę ma szansę.

Wzięła telefon jeszcze raz do ręki i wykręciła numer do męża.

- Jadę, jadę! - krzyczała do słuchawki, wykonując przy tym śmieszne ruchy, jakby tańczyła.

- Gdzie jedziesz, Pelasiu? - Tak zawsze nazywał ją i córkę, kiedy miał dobry humor.

- Do Anglii! Przed chwilą przesłałam rozmowę kwalifikacyjną.

- Cieszę się. Problemy się skończą. Sam sobie złożę gratulacje, że załatwiłem ci tę pracę.

- Nie wkurzaj mnie! To, że znalazłeś agencję, nie znaczy, że dałeś mi pracę.

W takich momentach, kiedy Gabrysia podnosiła głos, zmieniał temat.

- Porozmawiamy o tym w domu. Jestem teraz zajęty.

Usłyszała tylko odgłos odkładanej słuchawki. Sobie przypisuje sukces! Co za człowiek! - pomyślała, jednocześnie się jeżąc.

Godzinę później wszystkie koleżanki wiedziały o jej sukcesie. Ostatnia dowiedziała się Zuzia, kiedy po obiedzie wróciła ze szkoły.

Tylko na niej ta wiadomość nie zrobiła większego wrażenia. Jakby to była informacja o kupionym nowym ciuchu. Zuzia nie miała dostępu do problemów rodziców, a perspektywa pozostania tylko z ojcem całkiem jej się uśmiechała. Gabrysia nie bała się zostawić córki z mężem, bo ojcem był wyborowym. Robił zakupy, gotował, chętnie poświęcał Zuzi dużo czasu. A Zuzia także bardzo kochała ojca. Uwielbiała z nim prowadzić ciekawe rozmowy i zabawne kłótnie.

Gabrysia wysiadła na dworcu centralnym w Krakowie. Miała na sobie ciemnozieloną, wełnianą spódnicę i sweterek zawiązywany na jeden troczek. Pod sweterkiem - białą koszulową bluzkę. Ubrała się odpowiednio: miała być schludna i skromna. Po całonocnej podróży do jej krótko przyciętych włosów wkraść się niewielki nieład. Był ciepły wrześniowy poranek. Po wyjściu z pociągu skierowała się do toalety.

Tam uporządkowała włosy i garderobę. Przyglądając się w lustrze, skomentowała swój wygląd: jak na pięćdziesiąt dwa lata wyglądała całkiem nieźle. Jeszcze raz przyczesła włosy i zrobiła lekki makijaż.

Czuła się wyśmienicie, była bardzo pewna siebie. Pomaszerowała do baru na gorące mleko. Po dwóch godzinach była już w biurze agencji.

Usiadła na ławce obok pokoju, w którym miała się odbyć rozmowa kwalifikacyjna. Była pierwsza w kolejce. Spojrzała na zegarek. Ósma piętnaście. Jeżeli wszystko przebiegnie sprawnie, powinna zdążyć na pociąg o jedenastej i wieczorem już będzie w domu - pomyślała. Otworzyły się drzwi i ukazała się panienka na wysokich szpilkach.

- Pani Mrozińska? - zapytała.

- Tak - odpowiedziała bez namysłu.

- Zapraszam panią. - Uśmiechnęła się i zrobiła zapraszający gest ręką.

Gabrysia poczuła, że jej nogi robią się z waty, ale ostro, pewnym, marszowym krokiem ruszyła. W ręce trzymała niewielką torebkę. W ruchach i w oczach miała pewność kobiety dojrzałej. Na ustach zagościł uśmiech numer pięć. Zawsze uważała siebie za dobrą aktorkę.

Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, wzięła głęboki oddech i ruszyła do stołu, przy którym siedziały trzy osoby. Komisja rekrutacyjna. Dwie kobiety i jeden mężczyzna. Nie przyglądała się im, ale wzrok wlepiła w jedną kobietę. Tak wyrażał się jej strach, nad którym wkrótce zapanowała.

- Proszę siadać i proszę się przedstawić. - Młoda Angielka o ciepłej barwie głosu poruszyła się nerwowo.

- Nazywam się Gabriela Mrozińska. Mam pięćdziesiąt dwa lata. Mieszkam w G. Od dwóch lat jestem osobą bezrobotną. Pragnę pracować. Mam męża i osiemnastoletnią córkę, która będzie zdawać maturę w przyszłym roku. Moim marzeniem jest wyjazd do Anglii, ponieważ nigdy nie byłam w tym kraju, a tyle o nim słyszałam i czytałam. Znam trochę historię starej Anglii i zazdroszczę wam, Anglikom, że macie swoją królową, którą uwielbiam. Pamiętam, jak płakałam, kiedy straciliście księżniczkę Dianę. Kochałam ją. Cały świat ją kochał.

Gabrysia wcześniej ułożyła sobie ostatnie dwa zdania i poczuła ulgę, kiedy je wypowiedziała. Kątem oka zauważyła papiery rozłożone na stole, a pan z lewej strony cały czas coś notował. Starła się siedzieć spokojnie, nie wykonując niepotrzebnych ruchów, ręce trzymała grzecznie na kolanach, przytrzymując torebkę.

Kobieta z wygładzonymi włosami, na oko trzydziestolatka, uśmiechała się przyjaźnie cały czas, kiedy Gabrysia niemal re-

cytowała swoją prezentację. Jej biust wylewał się spoza bluzki, co dodatkowo peszyło kandydatkę. No, teraz się zacznij. Będą mnie pytać, a ja na pewno czegoś nie zrozumieję - przeleciała jej błyskawiczna myśl.

- Proszę powiedzieć, co robiłaś przed utratą pracy? - zapytała ta biuściasta. Ręce wyłożyła na stole, zakołysała się lekko, przechyliła i coś szepnęła swojej koleżance, może nie na ucho, ale w tajemnicy.

- Bez pracy jestem już dwa lata, a wcześniej prowadziłam mały sklepik z odzieżą. Ponieważ moje miasto się rozwija, powstały duże supermarkety, a ja nie mogłam obronić się przed konkurencją. Przez ostatnie dwa lata, kiedy zawodowo nie pracowałam, pomagałam charytatywnie mojej koleżance, która ma chorą córeczkę. Napisałam o tym w dokumentach.

- Dobrze, Gabrysiu. Widzę, że radzisz sobie nieźle z językiem angielskim, ale czy zdajesz sobie sprawę, że praca z ludźmi jest pracą specyficzną, a w naszym wypadku to praca z ludźmi starymi i bardzo chorymi, więc nie każdy ma do niej predyspozycje?

Gabrysia nie wszystko rozumiała, więcej się domyślała. Kobieta mówiła szybko z prawdziwym angielskim akcentem. Gabrysia poruszyła głową. Wyglądało, jakby jej głowa wisiała na sznurku pociąganim przez kogoś niewidzialnego. Poruszyła wargami, próbowała zwilżyć suche usta.

- Tak, wiem! To ciężka praca, ale daje ona satysfakcję, z powodu niesienia pomocy innym. Jestem w stanie wszystko zrobić przy chorym człowieku, nie mam żadnych oporów.

Do wygłoszenia takiego zdania też była przygotowana. Po prostu pewnych kwestii nauczyła się na pamięć. Ale o tym szanowna komisja nie musiała wiedzieć.

- Dobrze, Gabrysiu! Powiedz mi tylko, co byś zrobiła, gdyby twoja podopieczna była *very upset*?

Gabrysia znowu przygryzła lekko wargę, uśmiechnęła się, poruszyła się lekko, jakby zakołysała. Potrzebowała parę sekund na zastanowienie się, nie rozumiała jednego prostego słowa -*upset*. Ruszyła do słownego ataku.

- Tak, rozumiem - powiedziała pewna siebie, jakby jej angielski był na poziomie uniwersyteckim. - Kiedy rezydent będzie, będzie... *upset*.
- w tym momencie jeszcze nie знаła znaczenia tego słowa - to wezmę go za rękę, przyklękę, niech nasze oczy się spotkają, zaśpiewam piosenkę po angielsku, jedyną jaką znam, i to tylko jedną zwrotkę z refrenem, zaproponuję przejażdżkę na przykład do ogrodu, jeśli będzie to okres letni i przełożeni mi na to pozwolą.

Słowa leciały jak z procy

- Możesz zanucić tę piosenkę? - zapytał gość, który cały czas coś notował.

- Tak, oczywiście: *Jesteś moim słońcem, tylko moim słońcem, czynisz mnie szczęśliwą, kiedy niebo zachmurzone i nigdy nie wiesz, jak bardzo cię kocham. Proszę, nie zabieraj mojego słońca.*

- Dobrze!!! Dziękujemy ci, Gabrysiu! Jedziesz do Anglii -mówiąc te słowa, biuściasta cały czas się uśmiechała. Kobieta, która siedziała obok, odpowiadała tym samym uśmiechem.

Gdy słowa o wyjeździe dotarły do niej, podniosła wysoko rękę, zacisnęła je w pięści i jak kibice zadowoleni po meczu zaczęła machać rękoma. Z ust samo wyrywało się:

- Hura! Hura! Hura! Jadę do Anglii!

- Proszę zgłosić się do biura, by załatwić resztę formalności. Tam otrzymasz informacje odnośnie szkolenia.

- Dziękuję.

Odwrócona ciągle w stronę komisji, cofała się do drzwi. Zapomniała z wrażenia powiedzieć do widzenia. Drzwi nie domknęła.

Przed drzwiami zobaczyła młodego chłopaka siedzącego na ławce.

- Jak poszło? - zapytał z nieukrywaną ciekawością. - Zna pani język?

- Uważam, że dobrze.

Była taka pewna siebie, że sama w to uwierzyła. Uśmiechając się, dorzuciła:

- Wszystko będzie dobrze. Nie taki diabeł straszny, jak go malują. Jadę do Anglii - zakomunikowała. - Życzę powodzenia.

Szła do biura zamaszystym, pewnym krokiem.

Gabrysia po raz drugi wysiadła na centralnym w Krakowie. Była godzina szósta rano, zupełnie tak samo jak tydzień temu. Taskała tym razem ze sobą małą walizkę. O godzinie dwunastej ma zameldować się w Hotelu Chopin. Spędzi tam sześć dni i pięć nocy. Na razie wiedziała tylko tyle, że jest to hotel pięciogwiazdkowy. Nie miała zielonego pojęcia, gdzie się znajduje.

Była śmiertelnie zmęczona i oczywiście już głodna. Wieczorem z wrażenia nie jadła kolacji, nie pozwoliła sobie naszykować kanapek. Żałowała. Teraz trzeba będzie wydać trochę grosza na śniadanie w kolejowym barze. Lubiała gotowe jedzenie. Nawet przez ostatnie dwa lata, kiedy nie pracowała i miała dużo czasu, również siadała do gotowego stołu. Jedzenie przyrządzał mąż. Jej praca ograniczała się do sprzątnięcia mieszkania. Taką mieli niepisaną umowę.

Po kilkunastu minutach już siedziała w barze i zajadała jajecznicę. Cholera, wydam trochę kasy, a gdybym wzięła kanapki, to bym zaoszczędziła - pomyślała. No nic! Będzie trochę mniej na tygodniowy pobyt.

Pieniądzy nie miała za wiele, a Kraków kusił. Ostatnio zwiedzała to miasto jako nastolatka. Cieszyła się więc na samą myśl, że

oto teraz ma okazję zobaczyć to piękne miasto, o ileż piękniejsze niż trzydzieści pięć lat temu. Miała tylko pożyczone pieniądze, ale dla niej to przestało mieć znaczenie, wszak zakwalifikowała się do pracy zarobkowej w Anglii. Poza tym podróż na szkolenie, pobyt w hotelu, jak i wyjazd do Anglii, pokrywała agencja.

Zjadła śniadanie, poprawił się jej humor, choć zrobiła się trochę leniwa, a zmęczenie dawało się we znaki.

Otarła buzię chusteczką, powoli wstała, zabierając z poręczy krzesła kurtkę, zarzuciła ją na ramiona, wzięła do ręki torbę podróżną. Szła powoli, czując w sobie nieprzespaną noc.

- Oto wrota do Krakowa - powiedziała do siebie, gdy stanęła w bramie do miasta. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że Kraków przywitał ją pięknym porankiem. Poczula się zagubiona, nie wiedziała, co ma teraz robić, a torba ciążyła. Szła więc przed siebie w nieznanym kierunku, na chybił trafił. Po drodze pytała, gdzie znajduje się jej hotel.

Okazało się, że od Chopina dzieli ją tylko trzysta metrów. Podążyła w jego kierunku. Hotel zajmował nowoczesny budynek. Ucieszyła się. Zdawała sobie sprawę, że nie może się zameldować wcześniej niż o godzinie dwunastej. Usiadła wygodnie w skórzanym fotelu. Poczula się komfortowo. Lubiła takie miejsca.

Obok recepcji kręciło się dwóch mężczyzn obsługujących gości. Przy następnym stoliku siedzieli młodzi, gorąco o czymś rozprawiając. Nie chciała podsłuchiwać, odwróciła się w kierunku okna i podziwiała ten piękny wrześnieowy poranek. Spojrzała na zegarek - dobiegała godzina dziewiąta. Przez szyby obserwowała zielony jeszcze świat i śmigające samochody. Nawet nie zauważyła, kiedy przysnęła, a obudziło ją własne chrapnięcie. Rozejrzała się dookoła nieco zmieszana. Wydawało się jej, że ma na sobie dzikie spojrzenia młodych, które zdawały się ją gryźć. Rozgniewała się sama na siebie, bo nie mogła się usprawiedliwić nieprzespaną nocą. jakże śmiesznie

musiała wyglądać, wydając te świszczące odgłosy z opuszczoną głową i otwartymi ustami.

W pierwszym odruchu zasłoniła rękoma usta, poruszyła się nerwowo, zmieniając pozycję, uniosła głowę wysoko, z dumą, i znowu odwróciła się do okna. Nie chciała widzieć nikogo, dla kogo mogłaby być w tym momencie pretekstem do żartu. Ręce oparła o poręcz wygodnego fotela i wyprostowana oddała się marzeniom.

Stała teraz na szerokiej ulicy i spoglądała na wielkie gmachy z piaskowca, znane jej z prospektów, programów telewizyjnych o pięknej i bogatej Anglii. Przyglądała się wystawom, spacerując po czystych i równych chodnikach i odpowiadała uśmiechem na uśmiech tym, którzy ją mijali.

O piątej po obiedzie, już po pracy, w swoim małym apartamencie smakowała specjalnie parzoną angielską herbatkę. Może zwiedzę Londyn?

Ta nazwa działała na nią jak magnes. W głowie pojawiły się tysiące funtów, jakie może zarobić przez rok, na który opiewał kontrakt.

Czuła ich szelest, kiedy odbiera wypłatę. Ba, nawet zapach. Oczyma wyobraźni widziała Zuzię studiującą na Sorbonie. Sama aplikowała sobie do głowy te przyjemności, od których zdrowiała, od których różowiły się policzki i poprawiał się humor. - *Money, money, money* - zapomniała się całkiem, bo oto prawie głośno śpiewała znaną piosenkę ABBY, aż młodzi przy następnym stoliku odwrócili głowy i ze zdumieniem spoglądali na nią.

- No co? Śpiewać nie można? - zdumiała się, że ze wstydu nie poznała własnego głosu, który brzmiał zupełnie nie w jej tonacji. Tym sposobem rozbawiła całe towarzystwo.

Jak się okazało, była to grupa opiekunów jak ona wyjeżdżających do Anglii z tej samej agencji. Po chwili znowu odseparowała się od młodych i hałaśliwych, by oddać się wspomnieniom

o starszej córce, wnuku, zięciu. Rozczuliła się i wtedy myśli pobiegły jednotorowo do Francji, gdzie pracowała dwanaście lat temu i dlatego Roksana mogła studiować w tym pięknym kraju. To tam Gabrysia poznała wspaniałych ludzi, a przyjaciół ma do dziś. Przypominała sobie wszystkie wizyty we Francji, gdzie obcy ludzie byli wobec siebie mili, uprzejmi, a miasta i osiedla sprawiały wrażenia odnowionych, jakby je ktoś malował specjalnie na jej przyjazd.

O Boże! Jak to było dawno! Czas nabrał złowrogich kształtów, szybko więc przerzuciła myśli na inny tor. Jaka jest ta Anglia? Czy taka, jak sobie wyobrażam? Ocknęła się. Głosy dobiegające z następnego stolika były coraz bardziej donośne. Nawet nie zauważyła, że do grupy młodych ludzi dołączyli następni. Nadstawiła uszu.

- Kurwa, chciałbym do Edynburga - krzyczał jakiś młokos.
- Nie jedź tam, bo drogo - odpowiedział szybko drugi.
- Najlepiej do jakiejś miejsciny, bo dużo nie zapłacisz za chałupę.
- Pieprzycie drobne kawały. W większym mieście można więcej zarobić.

- Ja chciałbym do Londynu - przekrzykiwał następny. Tak przekomarzało się pięciu młodych chłopaków, których wiek Gabrysia oceniła pomiędzy dwudziestym a dwudziestym piątym rokiem życia. Boże! Co ja tu robię? Chyba będę najstarsza! Będę się czuła jak ich matka.

Spojrzała na zegarek. Wskazówki wskazywały jedenastą trzydzieści. Zamówię teraz kawę - postanowiła, bo poczuła wszechogarniającą senność, jak tylko się zamelduję, idę spać - obiecała sobie.

** *

Usłyszała, jak ktoś próbuje otworzyć drzwi, nieporadnie kładzie klucze do zamka, nieco szarpie. Poderwała się szybko,

zrzuciła koc, którym się przykryła i siadła na brzegu łóżka, tyłem do drzwi. Nawet się nie odwróciła, kiedy usłyszała, że do pokoju ktoś wszedł. Żeby to był ktoś fajny i w moim wieku - pomyślała. Odwróciła się.

- Dzień dobry. Jestem Julka i dostałam ten numer pokoju.

- Dzień dobry - odpowiedziała grzecznie. - Ja mam na imię Gabriela, przyjechałam z G. Wchodź, nie krępuj się. Połóż walizkę od razu do szafy. O tu! - wskazała miejsce.

Julka odłożyła walizkę, powiesiła kurtkę do szafy i też bokiem usiadła na brzegu drugiego łóżka. Na wybór nie miała wpływu, bowiem Gabrysia była pierwsza i zajęła to od ściany.

Julka była kobietą średniego wzrostu, o pulchnych kształtach. Dwa dołki na policzkach dodawały jej kobiecego uroku. Gabrysia w jej oczach zauważyła pewien rodzaj szelmstwa, który świadczył o tym, że Julka może być dobrą koleżanką. Gabrysi podobała się jej mleczna cera i włosy, rude jak jesień, na dodatek kręcone i gęste. Zawsze zazdrościła kobietom urody.

Sama czuła się jak najbardziej przeciętną, a o swojej twarzy mówiła, że to twarz gospodyni domowej bez żadnego wyrazu. Przez ponad godzinę wymieniały informacje o sobie, o problemach, które spowodowały, że tutaj się spotkały. Gabriela dowiedziała się, że Julka pochodzi z okolic Ł. Ma mały domek i dwa hektary, które były spadkiem po jej dziadkach. To ten domek chciała wykończyć i zacząć normalnie żyć.

Pracy nie mogła nigdzie znaleźć, a mąż był już na emeryturze. Kobiece problemy zbliżyły je do siebie. Szybko się zaprzyjaźniły. Julka była od Gabrysi młodsza o cztery lata i miała piętnastoletniego syna. Obecny mąż był jej drugim mężem. Z miłości do niego porzuciła pierwszego, z którym nie miała dzieci.

Kiedy wychodziły razem na pierwszą kolację, Gabrysia pomyślała: „Jak dobrze. Mam szczęście. Fajna kobita. Chciałabym

z nią jechać do tego samego domu opieki. Ale czy to będzie możliwe?"

– Wiesz, że mamy dwa posiłki darmowe: obiadokolację i śniadanie? - zapytała Julka.

- Skąd to wiesz? - odpowiedziała Gabrysia.

- Z recepcji, kochana... - Spojrzała tymi filuternymi oczyma, znad których unosiły się czarne od henny brwi.

Wsiadły do windy wypełnionej młodzieżą. Zanim zjechały na dół, raptem trzy piętra, dowiedziały się, że cała grupa z windy zjeżdża na kolację, bo związana jest z tą samą agencją, która werbuje do Anglii.

- Boże! Jacy hałaśliwi!

- Nie hałaśliwi, tylko młodzi! Zapomniał wół, jak cielęciami był?

Gabrysia spojrzała groźnie na koleżankę.

Restauracja przypominała galerię ze względu na obrazy i wielkie bukiety świeżych kwiatów. Gabrysia, zamiast zająć miejsce przy stole, podchodziła kolejno do każdego obrazu i z przejęciem na twarzy oddawała się chwilowej kontemplacji. Kiedy nasyciła oczy, zajęła miejsce obok Julki i zaczęła się rozglądać po sali. Zawsze tak się zachowywała, będąc w nowym miejscu. Nawet nie zauważyła, kiedy podszedł kelner z menu. W tym samym czasie jakiś wysoki młodzian stanął na środku sali i okręcając się lekko wokół własnej osi, zaczął śpiewającym barytonem monolog:

- Zwracam się do grupy, która wyjeżdża do Anglii z krakowskiej agencji PRO-MED. Mam nadzieję, że grupa jest już w komplecie, a gdyby kogoś nie było, to koledzy z pokojów przekażą informację. Jutro zaraz po śniadaniu grupa spotyka się w holu przy recepcji z panią, która przeprowadzi pierwsze szkolenie. Proszę naszykować przybory do pisania. Resztę informacji uzyskacie państwo jutro. Życzę smacznego.

Kiedy młodzian skończył i usiadł przy stoliku, Gabrysia odwróciła się twarzą do Julki.

- Gabrysiu, daj swoją kartę obiadową. Tę, którą dostałaś w recepcji, kiedy się meldowałaś. - Uśmiechała się z wdziękiem, aż dołki w policzkach zrobiły się duże i okrągłe.

Spoglądała raz po raz na kelnera, podnosząc głowę do góry. Kelner czekał cierpliwie, aż odszukała w torebce kartki z obiadowym grafikiem.

Wzięły jednakowe dania.

- Pieczoną karkówkę, ziemniaki z wody i surówkę z kapusty.

- Czy coś do picia? - zapytał kelner, do którego bez oznak żenady wdzięczyła się Julka.

- Co wypijesz, Gabi? - Jej imię w ustach Julki zabrzmiało finezyjnie.

- Gaaabi! - zawtórowała, bo spodobało się jej własne imię.

- Dobrze! Tak będę wołać. Jedziemy do Anglii, a tam tak pięknie skracają imiona.

- Ciekawe, jak będą mówić na ciebie?

- Też jakoś fajnie.

- Gabi! Kelner wciąż czeka!

- Oj! Przepraszam pana bardzo. No to co pijemy?

- Ja colę, a ty? - zapytała.

- Ja też poproszę.

Kiedy kelner odszedł, zaczęły się chichotać. Julka najnaturalniej go podrywała.

- Jeszcze nie wyjechałyśmy do Anglii, a już zaczynasz podrywy? - poważnie, jak matrona, powiedziała Gabrysia.

- Taki mam zamiar. Przy jednym lodzie uschnie mi język.

- Boże! - Gabrysia zakryła ręką usta na znak speszenia.

- A co ty taka cnotliwa?

- Nie cnotliwa, ale to mnie peszy.

Gawędziły, śmiejąc się głośno, aż do podania obiadu. Kiedy wrócił kelner, Julka nie spuszczała z niego oczu, używając wszystkich możliwych kobiecych wdzięków. Kiedy odszedł, Gabrysia nachyliła się w stronę towarzyszki.

- Ty go normalnie podrywasz!

- A co? Nie fajny? - Pokiwała głową na boki.

- Fajny! Powiedziałaabym, że cholernie fajny, ale młody. Ma najwyżej trzydzieści pięć lat.

- No to co? W Anglii to normalne.

- Ale my nie jesteśmy w Anglii, tylko w Krakowie.

- Nie można się już przymierzyć? Dopijaj tę colę! Idziemy do miasta. Co będziemy siedziały w hotelu? Taki piękny dzień.

Od uśmiechu dołki w policzkach Julki robiły się coraz bardziej wyraźne.

Skierowały się do wyjścia. Przywitał je ciepły jesienny wieczór, a lekki wietrzyk smagnął twarze.

- Wiesz, Julka... Jeszcze miesiąc temu nie myślałam, że dzisiaj będę w Krakowie, że dostanę taką szansę od losu - rozmarzyła się Gabrysia.

Szły równym, miarowym krokiem. Julka wyciągnęła z torebki plan miasta, zatrzymała się na chwilę.

- Zaczekaj! Gdzie się spieszysz? Mamy cały wieczór. Gabrysia zwolniła i razem spoglądały na plan. Niestety, nic

z niego nie rozumiała. Nigdy nie zdążyła nauczyć się korzystać z map ani z planów. Z podziwem patrzyła na Julkę, jak z tych znaków odnajduje drogę na Stary Rynek. Kiedy dotarły na miejsce, Rynek był zaludniony niezwykle kolorową młodzieżą. Wydawało się, że wszyscy obejmują się i całują. Obok katedry ktoś Przechadzał się na szczydłach. Parę metrów dalej jakiś młodzian przebrany za klauna czynił sztuczki, a bliżej żebrak zbierał pie-

niądze do tradycyjnej czapki na kasę. Przysiadły przy wolnym stoliku na tarasie jakiejś kawiarenki. Zamówiły po kawie.

- Mam pięćdziesiąt złotych - oznajmiła Gabrysia. - Czy można się bawić za takie pieniądze? Moim marzeniem jest wypicie kawy w „Wierzynku”, a nawet zjedzenie tam obiadu.

- Wybij to sobie, paniusiu, z głowy. Przyjechałaś na kurs.

- Jak twój angielski? - Gabrysia zapytała Julkę, by zmienić temat rozmowy.

- Nie mogę powiedzieć, że dobrze, ale radzę sobie. A ty, Gabi?

- Boję się. Jestem samoukiem. Nie wiem, czy sobie poradzę. Jutro na kursie się okaże. Liczę na pomoc.

- Zwariowałaś? Nikt ci tu nie pomoże.

- Trudno! Decyzja zapadła i muszę podołać wyzwaniu, jakie sobie sama narzuciłam.

- Jesteś odważna! - Julka potrząsnęła głową i przyglądała się uważnie Gabrieli, która na moment się zamyśliła. - Hej! - machnęła Gabrysi rękoma przed oczyma. - Obudź się! *O czym myślisz, o czym marzysz? Tak bym bardzo wiedzieć chciała* - zaśpiewała starą piosenkę.

- Jaki piękny wieczór. Spójrz na tych wesołych ludzi. Oni na pewno też mają problemy, a jednak się śmieją - chciała rozładować obawy.

- Raz kozie śmierć: albo przebrnę okres próbny, albo wrócę do domu.

- Co ty?! Gabi! Przez trzy miesiące nie zarobisz na koszty. Po prostu musisz wytrwać.

- Ciekawa jestem, gdzie rzuci nas los. - Gabrysia wbiła spojrzenie w koleżankę. Ta wzruszyła ramionami.

- Jest mi to obojętne.

- Poznałyśmy się dopiero parę godzin temu, a wydaje mi się, że znamy się od dawna, jak byśmy były sobie przeznaczone.

- Też tak myślę. - Julka lekko uchyliła usta, przechyliła głowę i przebiegała palcami w gęstych, ognistych włosach.

- Wierzysz w przeznaczenie? - zapytała Gabrysia.

- Bo ja wiem? A ty?

- Bardziej wierzę w sny, które prowadzą mnie za rękę, które się sprawdzają. Czasami mam ich dosyć, jestem nimi udęczona, przestraszona. Pamiętam ich wiele i interpretuję je i niektóre zapisuję. Większość sprawdza się prawie dosłownie. Boję się moich ostatnich snów - ciągnęła z poważną miną. - Śnią mi się korytarze, po których błądzą, i dziesiątki drzwi, a za nimi kościoł. Jak w horrorze.

Julka, rozbawiona tym ostatnim zdaniem, zaczęła się głośno śmiać.

- Jedziesz do domu starców. Tam na pewno będą korytarze i drzwi. A może jesteś medium? Ponoć podświadomość nie zna granic ani czasu jako wymiaru.

- Przepowiedziałam sobie kiedyś wyjazd do Francji, ślub mojej starszej córki i wiele innych zdarzeń. - Gabrysia broniła się jak umiała.

- Ja też miewam sny, ale nic z nich nie wynika. Nie wierzę w takie bzdety - skwitowała Julka.

- Dopijaj kawę i zajdziemy do katedry - podsumowała Gabrysia.

Bardzo nabożnie weszły do kościoła. Miały ochotę zobaczyć ołtarz Mariacki, okazało się jednak, że był w remoncie. Pochodziły więc po kościele, zatrzymywały się przy kaplicach. Sprawiały wrażenie pobożnych.

Gabrysia nie modliła się. W głowie miała pustkę. W pewnej chwili Julka szepnęła:

- Wychodzimy.

- OK, OK - przytaknęła Gabrysia.

Znów znalazły się na placu pełnym młodych ludzi, studentów, gwaru. Poszły spacerkiem nad Wisłę. Widok zamku

wprowadził je w stan melancholii. Szkoda, że Polska nie ma takiej tradycji jak Anglia, nie ma swojej królowej. Przez dłuższą chwilę spacerowały i milczały. Na niebo wysypały się pierwsze gwiazdy, które zdawały się uśmiechać przede wszystkim do ciągle smutnej Gabrysi.

- Wracamy. Trzeba się wyspać. Jutro czeka nas ciężki dzień. Ciekawe, jak będzie wyglądał? - Gabrysia zniżyła głowę, patrząc pod nogi. Mówiła jakby do siebie.

Po dwudziestu minutach były już w hotelu. Kiedy wjechały na swoje piętro, zastały pootwierane drzwi do wielu pokoi. Szum, gwar, śpiewy. To młodzi z kursu po prostu balowali.

- Hej! - Jakiś trzydziestolatek wychylił się zza drzwi, kiedy usłyszał wjeżdżającą windę. - O, nowe panie. A skąd jesteście? - Machał rękoma, robił głupie miny, jak to podpity facet.

- Zapraszamy. Czy eleganckie panie napiją się z nami? Przecież musimy się zapoznać.

- Nie, dziękujemy. Jesteśmy bardzo zmęczone, jest już późno

- Gabrysia wyręczyła Julkę.

Zanim dziewczyny weszły do pokoju, nie obeszło się bez komentarzy w rodzaju:

- Zostaw te matrony!

- Nie zaczepiaj porządnych kobiet. Na szyi Julki zaczęła pulsować żyłka.

- Zdenerwowałaś się? - Gabrysia zauważyła tę zmianę.

- Wkurwiłam się! Co taki smarkacz będzie nazywał mnie matroną! - Z hukiem zatrzęsła drzwiami.

Gabrysia podeszła do okna i zasłoniła rolety.

- Podoba mi się tu - powiedziała i odwróciła się w stronę pokoju.

- W końcu to pięciogwiazdkowy hotel - dostała odpowiedź. Obie były bardzo zmęczone, nawet nie miały siły, żeby się wykapać. Gabrysia szybko ściągała z siebie ubranie. Została

w podkoszulku i majtkach. Wskoczyła do łóżka. Zwinęła się w kłębek, przekładając kołdrę między nogi, ręce położyła pod policzki. Tak zasypiała, kiedy była bardzo zmęczona.

- Dobranoc.

- Boże! Boże!

Gardłowy, suchy krzyk obudził Julkę w środku nocy. Zapaliła lampkę i spojrzała na zegarek. Była trzecia trzydzieści.

- Gabi! Gabi! Co się stało?

Gabrysia już siedziała na łóżku. Julka zauważyła przerażenie na jej twarzy. Była aż popielata ze strachu.

- Co się dzieje? - powtórzyła.

- Znowu te przeklęte sny, które towarzyszą mi od ponad roku - wyjaśniła Gabriela.

- Jakie sny? - zapytała, Julka podchodząc do łóżka Gabrysi. Objęła ją przyjacielsko, ze zdziwieniem patrzyła na jej tyfusowy odcień cery i zmartwiałe oczy. - Już dobrze. Nie jesteś sama. To tylko sen. - Gładziła jej włosy. Jej ciepły ton trochę uspokoił koleżankę.

- Jesteś kochana. Tak mało się znamy, a masz w sobie tyle serdeczności.

- Powiedz mi, jakie sny cię nawiedzają?

- Te, o których opowiadałam ci wcześniej. Od ponad roku śnią mi się lochy, korytarze i setki drzwi. Gdy je otwieram, ukazują się za nimi żywe kościotrupy, które podchodzą do mnie albo próbują podejść. Pamiętam nawet numery drzwi. Staram się wydostać z tych lochów, ale nie wiem, jak to zrobić. Uciekam, wciąż uciekam. Moje kroki są ciężkie, jestem z ołowiu, jak to bywa w snach. Uciekasz, a ciągle stoisz w tym samym miejscu. Niektóre z tych żywych trupów próbują mnie dopaść, wtedy z przerażenia się budzę. A najgorsze, że widzę te okropne, za-

błąkane oczy, które są jak lustro. Widzę w nich całe życie tych ludzi. Jeszcze po przebudzeniu te oczy przez kilka sekund zdają się być realne - słowa płynęły bez przystanków, aż ostatnim omal się nie zakrztusiła.

- Powoli, powoli - napominała Julka, przytulając ją jeszcze mocniej.

Kiedy Gabrysia ochłonęła, Julka odsunęła się od koleżanki, opuściła ręce i głowę. W takiej pozycji zamarła na kilka sekund. Gabrysia przyłożyła rękę do czoła i siedziały w milczeniu ponad minutę.

- Cóż mam ci powiedzieć? - zastanawiała się Julka. - Może masz prorocze sny? Będziesz miała okazję sprawdzić - zachnęła się ze śmiechem.

- Nie żartuj! Może umiem przepowiadać sny, ale na ich spełnienie nie mam żadnego wpływu.

- Ponoć będziemy mogły wybierać sobie miejscowość i dom, w jakim chcemy pracować, a także towarzyszy do wspólnego zamieszkania. - Julka celowo zmieniała temat, żeby odwrócić uwagę od sennych horrorów.

- Skąd to wiesz? - Gabrysia rozchmurzyła się i zdziwiła jednocześnie.

- Rozmawiałam z babką z agencji.

- Idziemy spać! Przecież o siódmej musimy wstać, a od dziewiątej czekają nas nowe wyzwania.

Przez cały ten czas z korytarza dochodziły krzyki, śpiewy, nawet wrzaski. Młodzież z kursu się bawiła.

Grupa młodych ludzi oczekiwała przy recepcji, kiedy obie wysiadały z windy. Dołączyły do grupy.

- Mamy ostatnie panie - po angielsku odezwała się kobieta mająca około trzydziestki. - Jesteśmy już wszyscy, pragnę więc

powiadomić całą grupę, że zaraz po śniadaniu spotykamy się w sali numer czternaście. Pierwsza przerwa będzie o godzinie jedenastej na herbatkę i ciasteczka, a później kontynuacja szkolenia aż do godziny czternastej. Później jesteście wolni - kobieta mówiła szybko, ale Gabrysia ją zrozumiała.

Chyba dam radę - pomyślała, choć czuła przerażenie, jej słownik medyczny był żaden. Nauczyła się zaledwie kilku przymiotników takich jak: *sensitive, disable, independent*.

Śniadanie było wyśmienite: szwedzki stół, a na nim wszystkie rarytasy, kilka rodzajów pieczywa, nawet drożdżówki. Gabrysia wzięła jajecznicę, kajzerki, kakao i trochę wędlin różnego rodzaju. Z tacą powędrowała do wolnego stolika. Julka wybrała gorącą kiełbasę, żółty serek, biały serek, czarną kawę. Zanim zaczęły konsumpcję, obie rozglądały się po sali.

- Ale ludzi! Zobacz! Prawie cała sala pełna. Nie ma wolnych stolików.

- Przecież to pora śniadania - odpowiedziała jej Julka z taką miną, jakby odkryła Amerykę.

- Zabieraj się do żarcia - ciągnęła, podnosząc pierwszy kęs do buzi.

Jadły zachłannie i w milczeniu, wsłuchując się w szum sali rozedrgany w różnych językach. Słyszały niemiecki, angielski, holenderski, arabski, polski. Istna wieża Babel. Gabrysię to frapowało. Była w dobrym nastroju, mimo przerwanej nocy.

Sala numer czternaście. Ruch, gwar. Gabrysia przebiegła wzrokiem po twarzach kursantów. One dwie były najstarsze w grupie. Nachyliła się lekko, przykładając rękę do ucha Julki:

- Chyba miałyśmy szczęście - szepnęła. - Ci młodzi nie jadą do ciężkiej pracy, ale szukają wrażeń - ciągnęła, zajmując siedzące miejsce obok malutkiej, chudziutkiej, niespełna dwudziestoletniej panienki. - Przecież taka chudzina nie może nadawać się do dźwigania ludzi - dalej szeptała na ucho.

- A co mnie to obchodzi! - z sarkazmem odpowiedziała Julka. W tym momencie weszły dwie młode kobiety. Przedstawiły się. Jedna z nich, bardzo szczupła, ubrana w wąskie, dopasowane

dżinsy i kraciastą bluzkę, usiadła w pierwszym rzędzie. Sprawiała wrażenie uczennicy. Druga podeszła do tablicy. Zaczęła się normalna lekcja. Na tablicy pisała słowa, jakie będą przydatne w pracy. Niektóre z nich były Gabrysi znane. Zappełniła całą tablicę. Odwróciła się twarzą do sali. Teraz zadawała pytania typu: kto, gdzie i kiedy pomagał ludziom starszym, chorym, niepełnosprawnym. Młodzi wyrywali się do odpowiedzi. Odpowiadali ładnym angielskim, o którym Gabrysia mogła tylko pomarzyć. W pewnym momencie nauczycielka zwróciła się w jej w kierunku.

- Proszę odpowiedzieć na pytanie. Gabrysia wstała.

- Proszę usiąść! - usłyszała.

- Pracowałam w szpitalu psychiatrycznym przez dwa lata.

- Proszę! - zadziwiła się nauczycielka. - Mamy tu specjalistów, którzy na pewno sobie poradzą.

Odwróciła się do tablicy. Gabrysia odetchnęła. Z mówieniem jakoś sobie radziła, ale nie umiała pisać. Była samoukiem, uczyła się słówek i łączyła je w zdania po swojemu. Kursanci zaczęli pracować w grupach kilkusobowych, co było dla niej wybawieniem.

- Pomóż mi, nie wiem, jak to się pisze - prosiła młodego chłopaka, który przejął inicjatywę i tylko on pisał na dużym arkuszu.

Mam szczęście - pomyślała - zrobią to za mnie. Cały czas udawała, że wszystko rozumie. Jednocześnie intensywnie chłonęła wszystkie wiadomości. Szybko zrobiła się znużona tym natłokiem nowych wiadomości.

Myśli zaczęły uciekać. Przestała być obecna.

- Gabi! - usłyszała. Przywołanie wyrwało ją z letargu. Poruszyła się nerwowo.

- Proszę przeczytać wszystkie przymiotniki, jakie napisaliście - głos wykładowczyni był ciepły i spokojny.

Gabrysia przeczytała wszystkie i o dziwo poprawnie, za co grupa dostała pochwałę. Wszystkie grupy czytały, ale okazało się, że jej grupa była najlepsza.

- Przerwa. Zapraszamy do stołu z kawą, herbatą i ciasteczkami.

Zrobił się szum, wszyscy ruszyli w kierunku drzwi. Na korytarzu faktycznie czekał na nich duży stół zastawiony słodyczami i obiecaną kawą lub herbatą.

- No, Gabi! - usłyszała za plecami. Julka, uśmiechając się od ucha do ucha, pokazywała swoje białe zęby. - Jak wrażenia? - zapytała.

- Nie jest wcale tak źle. Myślałam, że będzie gorzej.

- Mówiłam ci, że nie taki straszny diabeł, jak go malują. Język opanujesz w czasie pracy. To najszybszy i najbardziej skuteczny sposób.

Julka nachyliła się do jej ucha.

- Popatrz na tych wszystkich młodych. Oni ledwie trzymają się na nogach. Jeden z nich prawie zasnął. - Wskazała oczyma na młodego mężczyznę, który chwiał się na długich nogach i wielkimi łykami popijał kawę.

Na korytarzu było gwarno. Gadali jeden przez drugiego, komentowali wykłady, kasłali, śmiali się, palili papierosy. Po pół godzinie zajęcia zaczęły się na nowo. Tym razem część prak-

tyczna. Tu Gabrysia nie miała problemów, wszystko było jasne.

O trzynastej był już koniec.

Szarańcza wypadła na korytarz jak za dawnych, szkolnych czasów. Wszyscy czuli się jak uczniowie w liceum. Gabrysia opuściła salę jako jedna z ostatnich, dziękując i wychodząc ze słowami „Do zobaczenia”.

Czekała już na nią Julka, którą wzięła pod rękę.

- Idziemy prosto na obiad. Jestem głodna - oznajmiła.

- Ja też, no to idziemy.

Obie uwielbiały takie bogate miejsca, dobrze czuły się w restauracjach, hotelach, choć rzadko trafiały im się takie okazje.

- Dobrze wyglądasz - stwierdziła Julka. - Masz dobre ciuchy i ładną biżuterię.

- W końcu byłam bizneswoman i handlowałam ciuchami. Lubie dobrze wyglądać i kocham artystyczną biżuterię.

- W restauracji możesz być obiektem pożądania. Uwierz mi, tak ładnie wyglądasz.

- Przestań mnie rozśmieszać. Jestem po pięćdziesiątce i choć czasami myślę o szalonym romansie z jakimś przystojniakiem, to tak naprawdę nigdy nikogo nie szukam. Kończy się na marzeniach.

- Jak tylko zacznę pracować, znajdę sobie jakiegoś Angoła. Nie będę sama przez cały rok - Julka mówiła tak poważnie, by Gabrysia wcale nie zważyła w jej słowa.

- Zajedziemy, zobaczymy. Może i ja kogoś poznam - powiedziała z przekąsem.

Podeszły do stołu, przy którym już siedzieli koledzy z kursu. Dwóch młodzieńców wesoło o czymś rozprawiało. Przy innych stolikach nie było już wolnych miejsc. Kursanci mieli wyznaczony rewir.

- Zapraszamy piękne damy. - Jeden z nich wstał i odsunął krzesło Julce. - Proszę siadać - powiedział.

Twarz Julki rozpromienił uśmiech. I te dołki w policzkach.

- Dziękuję - odpowiedziała, siadając z lekkością motyla. Również Gabrysia zajęła miejsce. Włączyły się do rozmowy o kursie i o pracy w Anglii. Chłopcy mieli cichą nadzieję wyjazdu do Glasgow, bo mają znajomych, którzy tam pracują od roku i sobie chwalą. Nawet przedłużyli kontrakty i pracują na własnych zasadach, są niezależni od agencji.

- Ponoć będzie lista propozycji i każdy z nas wybierze, gdzie chce jechać - powiedział młodszy o imieniu Paweł.

- To by było wspaniale - wtrąciła Gabrysia. - Bo ja chciałabym... chciałabym wyjechać do Edynburga. To wspaniałe szkockie miasto. A Szkoci mają inną naturę niż Anglicy. Są gościnni i ciepli. Tak słyszałam i czytałam.

- Będzie lista, więc rzuć życzenie - wtrącił się młody Krzysiek.

- Chyba tak zrobimy - powiedziała Julka, bałamucąc chłopaków uśmiechem i białymi zębami. I dalej do Gabrieli: - Co robimy dziś po obiedzie? - Założyła nogę na nogę, odsłaniając ponętne łydki, a słodki uśmiech skierowała w stronę Pawła.

Gabrysię trochę to speszyło. Przecież Julka mogłaby być jego matką. Nie podobało się jej takie zachowanie, choć całe życie uważała, że każdy wie, co robi, i starała się innym nie zwracać uwagi. Sama nigdy w życiu nie wyobrażała sobie, że mogłaby poderwać jakiegoś młokosa. To nie w jej stylu. Choć czuła się kobietą atrakcyjną i nie wykluczała romansu, lecz jej fantazje biegły w kierunku dojrzałych mężczyzn, którym mogłaby jeszcze zaimponować.

- Zjadłaś już? - zapytała, wstając od stołu. Podziękowała za wspólny obiad i zwróciła się do Julki: - Idziesz ze mną?

- Idź na górę, Gabi, a ja zaraz przyjdę - odpowiedziała. Gabrysia skierowała się w kierunku windy. Po sytym obiedzie zapragnęła położyć się do łóżka. Choć rozum podpowiadał,

że szkoda czasu na spanie, że piękny Kraków czeka, nie potrafiła oprzeć się tej darmowej przyjemności. Postawiła torebkę na ławie, a sama rzuciła się na łóżko.

- Hej, hej! - głośne okrzyki wyrwały ją ze snu. Podniosła ciężką jak ołów głowę. Usiadła.

- Która to godzina? - z gardła wydobywał się jeszcze śpiący głos.

- Osiemnasta piętnaście - Julka odpowiadała powoli. Gabrysia uniosła wysoko głowę i wtedy zauważyła, że Julka jest pijana.

- Byłaś u chłopaków?

- Byłam. No i co, nie wolno mi?

- Wolno, wolno, ale to niepoważne w twoim wieku.

- Wiek nie ma znaczenia. Trzeba się rozerwać. Nie wiemy, co nas czeka w najbliższej przyszłości. Czuję, że przyjdzie nam zapłacić za te hotelowe luksusy.

- Oczywiście, że nie ma nic za darmo, - Gabrysia zrobiła poważną minę. - Już teraz wiem, że będziemy ciężko pracowały.

- A co ty taka poważna? Wstawaj! Idziemy do miasta. Jest piękny wieczór, gdzieś połazimy. Mam zaproszenie do trzysta dwa po dziesiątej. Ty zresztą też jesteś zaproszona.

- Ja nigdzie nie pójde - słowa Gabrysi brzmiały stanowczo. - Ja nie piję! Rozumiesz. Czasami jeden lub dwa drinki. Wódki czystej w ogóle nie piję. Wódka w czystej postaci nie jest dla eleganckich kobiet, a ja za taką się uważam. Ty jak chcesz, możesz iść. Przecież nie jestem twoją matką.

- Och! Gabi! Jesteś taka surowa. Ubieraj się i wychodzimy z hotelu - Julka niemal skamlała jak mały psiak.

* **

Wieczór był wspaniały. Oczywiście Gabrysia musiała odwiedzić restaurację „Wierzynek”. Dziewczyny wypity po szklance herbaty, każda po dziesięć złotych. Zazdrościły innym klientom

możliwości zamawiania wspaniałych deserów. Z restauracji poszły na spacer deptakiem wzdłuż zamku. Zbliżał się wieczór, niebo szarzało, zapowiadając nadchodzący spokój. Deptak wyludniał się powoli. Tylko zakochane pary, przytulające się do siebie lub całujące się namiętnie, nie miały ochoty opuszczać alei spacerowych. Dla nich dopiero zaczynał się dzień.

- Gdy patrzę na takich młodych - odezwała się Gabrysia - czuję upływ czasu na własnej skórze i zazdroszczę im.

- Przestań. Przecież ty już to przeżyłaś i zrobiłaś im miejsce. Masz kochanego męża i rodzinę. Co innego ja. Nie żyję poprawnie z moim mężem, dlatego obiecałam sobie, że będę pracować i bawić się. Coś zrobię dla siebie.

- Nie wiem, czy byłabym w stanie zdradzić męża, nie mając ku temu powodów. Tylko dla własnego kaprysu, własnego egoizmu. By poczuć się jak zakochana małolata. - Tu Gabrysia nabrała głębokiego oddechu, jakby się zastanawiała. - Ale, ale... Nie mówię nie.

- Zobacz, jak pięknie oświetlony cały deptak!

- Idziemy do hotelu, bo robi się zbyt romantycznie i pękne z zazdrości.

- Aż tak to odczuwasz? - zapytała Julka, biorąc Gabrysię pod rękę. - Dobrze. Wracamy.

Tej nocy Julka wróciła nad ranem, kiedy Gabrysia smacznie spała. Tak było już do końca kursu.

Gabrysia obserwowała na wykładach tych wszystkich młodych, osowiałych, leniwych, od których leciało gorzałą. Chyba ona jedna była wyspana i zrelaksowana. Duma ją rozpierała z tego powodu. Godziny nauki mijały dosyć szybko, z przerwami na papierosa i na herbatkę. Gabrysia nie paliła już od roku, szczęśliwa, że uwolniła się od nałogu.

Zbliżał się koniec kursu. Ostatniego dnia po kolacji kursanci zostali zaproszeni do biura hotelowego, po skierowanie kto, z kim i gdzie pojedzie.

Julka z Gabrielą miały życzenie jechać do Edynburga. Komisja wychodziła naprzeciw życzeniom, według możliwości i zapotrzebowaniu.

Niepewność narastała, w miarę jak niektóre osoby kierowano do małych miejscowości, o których nic nie wiedziały. Gabrysia i Julka wciąż czekały na decyzję. Obie obawiały się docelowego skierowania do zapadłej dziury.

- Boże! Gabi! Cały rok na wsi nie wytrzymam! - Julka wzdychała z obłędem w oczach.

- Przestań histeryzować! Nie wszyscy wyjadą na wieś - jej słowa były oschłe, ale celowe, żeby dodać Julce otuchy, a także uspokoić siebie.

- Co będzie, to będzie! W końcu jadę zarabiać, a nie bawić się.

- O! Mądra dziewczynka! - Ciepłą dłonią pogłaskała policzek Julki.

Podeszły do biurka. Młoda osóbka, zerkając znad listy, serdecznie się uśmiechała.

- Proszę podać nazwiska.

- Pojedziecie panie do LL. w Walii. Prawie nad samym oceanem. Gwarantuję wam piękne widoki. To spore miasto. Ponad dwa tysiące Polaków pracuje tam w zakładach mięsnych. Powodzenia, wylot dwudziestego o godzinie ósmej pięćdziesiąt. Na lotnisku proszę być dwie godziny wcześniej - dodała.

* * *

Był późny wieczór, kiedy dotarła do domu. Otworzyła drzwi i weszła powoli.

- Zuziu, Zuziu! - zawołała głośno. Na schodach stanęła córka.

- Cześć, mamus! - Z podniesionymi rękoma Zuzia niemal biegła na spotkanie matce, a oczy z radości błyszczały jak dwie gałki fosforu.

Uściskały się gorąco. Matka ujęła w dłonie głowę córki, odchylając ją na kilka centymetrów od swojej twarzy i przyglądając się jej uważnie.

- Nie widziałam cię, córeczko, cały tydzień. Pokaż się, jak wyglądasz.

- Zestarzałam się o cały tydzień - powiedziała sarkastycznie Zuzia, cały czas się uśmiechając. - Tatuś w pracy - dodała.

- jak myślisz, jadę do tej Anglii czy nie? - jej pytanie zabrzmiało dość niezwykle. W głosie dał się słyszeć dziwny ton, jakiego Zuzia nie знаła.

- Oj! Czuję tu niesamowitą pewność siebie. Jedziesz! Mamo! Jedziesz! - Aż podskoczyła.

- Tak, kochanie. Jadę do LI,, w Walii. Dziewiętnastego wieczorem was opuszczam, a rano dwudziestego o godzinie ósmej pięćdziesiąt mamy samolot z Warszawy. Przeszłam pomyślnie cały cholerny kurs. Jeszcze parę dni będę z wami - jej głos był już opanowany.

Szybko się rozbierała. Zuzia, filozoficznie uśmiechnięta powędrowała do swojego pokoju. Tam się czuła najlepiej, najbezpieczniej.

- A! Zupa w garnku, przygrzej sobie. - Jeszcze wychyliła głowę zza drzwi.

- Tak, kochanie. Zaraz się rozejrzę.

Gabrysia, syta, po kąpieli, już nie pragnęła niczego oprócz, snu we własnym łóżku. Nie czekała na Zenka. Emocje, trudy podróży i radość z wyjazdu były jak dobra kołysanka. Nie pamiętała, kiedy z takim spokojem usypiała jak małe dziecko.

- Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą... Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą... - jej własne słowa dławili ją w gardle.

Krzyczała, siedząc na łóżku. Krzyk obudził Zuzię i Zenka. Oboje stanęli nad nią, a Gabrysia dalej krzyczała - „Zdrowaś Mario! Zdrowaś Mario!” - krztusząc się, jakby coś połykała.

Zenek ujął żonę za ramiona i zaczął szarpać dosyć energicznie, aż się obudziła.

- Boże! Nie pamiętam... nic nie pamiętam... Tylko *Zdrowaś Mariol* Po prostu się modliłam. Czuję jeszcze na plecach zimne dreszcze ze strachu. Przepraszam, przepraszam, że was obudziłam.

- Uspokój się. jesteś bezpieczna. - Zenek obejmował ją czule.

- Mamuś, połóż się koło ciebie - powiedziała przestraszona Zuzia.

- Nie! Idź spać. Tata się ze mną położy.

Pomimo tego nocnego horroru Gabrysia obudziła się rześka. Starła się nie powracać do sennych majaków i nie przypominać nocnego scenariusza, szczęśliwa, że resztę nocy grzecznie przespała w ramionach męża. Od rana układała plany, jak się ze wszystkimi pożegnać.

Wsiadając do pociągu, myślała, jak przebiegnie rozmowa z siostrą, od której chciała pożyczyć pieniądze, żeby zabezpieczyć rodzinę na cały miesiąc, aż do jej pierwszej wypłaty. Siostrzyczka czekała już na dworcu.

- No, cześć mała! - tak ją przywitała. „Mała” to był przydomek Gabrysi, ponieważ była najmłodsza w rodzinie. - Gdyby nie kasa, to byś mnie nie odwiedziła? - zapytała spokojnie.

Gabrysia kochała ten jej wewnętrzny spokój i ton głosu, jakim się do niej zwracała.

- To nieprawda, Janeczko! - rzekła. - Chociaż dzieli nas tylko pięćdziesiąt kilometrów, ciężko się wybrać. A poza tym kasa. Wiesz, że nie pracuję. Zanim wyjadę, musimy wydzierżawić sklep. Jak ci powiedziałam przez telefon, pieniądze zwrócę ci do świąt Bożego Narodzenia.

- Dobrze, Gabrysiu! O finansach pogadamy w domu.

Rodzinny dom przywitał ją zapachem świeżego ciasta. W kuchni na stole stała pachnąca babka, a po kuchni roznosiły się jeszcze opary świeżo parzonej kawy, które wierciły w nozdrza i pobudzały apetyt.

- Cześć, Gabrysiu! Jesteś coraz ładniejsza i młodsza! Nic się nie starzejesz. - Szwagier Józek podał rękę na przywitanie, a ona nadstawiła policzek do pocałowania. - Zawsze nienagannie ubrana, elegancka. Świecisz swoją piękną biżuterią.

- Nie przesadzaj. Staram się dobrze wyglądać i dbać o siebie. A teraz wyjeżdżam, więc będę miała okazję do nowych znajomości.

- Wspaniała okazja do zdrady - zripostował.

- Przestańcie gadać o takich głupotach. W waszym wieku! Gabrysi się jeszcze nie dziwię, ale tobie, ty stary ramolu! - Janeczka stała w drzwiach, rozbierając palto, i patrzyła krzywym wzrokiem na męża. - O takich rzeczach nie przystoi nawet myśleć. Jesteś starszy o całe dwadzieścia lat i nie dyskutuj z nią na ten temat.

I dalej do Gabrysi:

- Chodź, siostrzyczko! Pokażę ci kwiaty na balkonie. Co prawda już jesień, ale mój balkon ciągle najładniejszy w całym miasteczku. Kawa poczeka.

Ruszyły korytarzem, gdy nagle odezwał się dzwonek telefonu. Janeczka odwróciła się na pięcie, ale rzuciła w kierunku Gabrysi:

- Idź, kochanie, na balkon i zaczekaj na mnie. Gabrysia otworzyła drzwi do pokoju i w ułamku sekundy

znalazła się w innym świecie. Umiała fantazjować i przenosić S1ę w czasie. Po prostu wyłączała swój realny umysł i włączała wspomnienia. Tak jak włącza się światło elektryczne.

Jest w rodzinnym domu. Wspomnienia są zapisane na trwałe w jej umyśle. W oknach nie widziała nowych firanek, ale matczy-

ne z lat sześćdziesiątych, mocno nakrochmalone i naciągane na specjalnych stelażach. W rogu dawniej stała kanapa. Stół ciągle w tym samym miejscu.

Podeszła do następnych drzwi, które kiedyś prowadziły do sypialni. Zatrzymała się w progu. Na środku obszernego pokoju ciągle stało duże, podwójne łóżko, zrobione własnoręcznie przez ojca. Materace ze słomy, a na nich pierzyny. Widzi teraz siedmioletnią dziewczynkę, która za pomocą kija od szczotki gładzi te pierzyny, przykrywa je kapą.

Potem spogląda na wypastowane i wypolerowane podłogi, w których przegląda się słońce. Dziewczynka ma wplecione w warkoczyki duże, czerwone kokardy. Rozjaśniają jej piegowatą buzię. Czy to ja kiedyś byłam tym dzieckiem? - przemknęło jej przez myśl.

- Gabrysiu, Gabrysiu! - głośno wypowiedziane słowa przeniosły ją w terażniejszość. - Co się tak zamyśliłaś? - Siostra była tak zdziwiona, aż Gabrysi zrobiło się głupio.

- Ach! Nic. Tak sobie... - Wykręciła się od odpowiedzi jak nieprzygotowany uczeń. - No, przejdźmy na ten balkon, bo widzę, że bardzo chcesz się pochwalić.

Balkon tonął w różnokolorowych bratkach.

- Janeczko, przecież bratki rosną w maju albo w czerwcu.

- Ach! Ty śmieszna, wielkowiejska dziewczyno! Teraz mamy nowe odmiany i nowe kombinacje. Pamiętasz bratki z lat, gdy byłaś małą dziewczynką? Tamte miały małe główki, a spójrz, jakie te mają korony.

- Teraz wszystko jest większe, lepsze, ładniejsze. - Uśmiechała się.

- Oj! Gabi, Gabi, ty dzieciaku!

- No tak! Wszystko większe. Kosmos się rozszerza, długi rosną, dzieci rosną. Tylko kasy coraz mniej, sen coraz krótszy, problemy coraz większe. Nie wiem, jak temu wszystkiemu zaradzić.

- Nie filozofuj, bo nie jest tak źle. Jedziesz do Anglii, marzenie ci się spełnia i masz siostrę, która może i chce pożyczyć ci trochę pieniędzy. A teraz czeka obiad i deser. Kawa już zaparzona.

Droga na cmentarz wysadzona była starymi lipami. Szły w milczeniu. Choć lipy o tej porze nie kwitły, Gabrysia poczuła zapach ich kwiatów, zapach dzieciństwa.

- Zobacz! Twoja szkoła. - Siostra jakby czytała jej myśli.

- Co to było za szczęście, chodzić do nowej szkoły! Do tysiąclatki. - Gabrysia dała nura we wspomnienia. - Wiesz, Janeczko, że pamiętam zapach szkoły, zapach klasy? Mojej klasy. Dla mnie wszystko pachniało, nie tylko kwiaty i łąki, po których biegałam. Dziś młodzi nie mają pojęcia o łąkach z trawą po kolana, o wielkich dzikich stokrotkach zalewających łąki, których w okolicach nie brakowało. Pamiętam również zapach lastriko.

- Znowu fantazjujesz, Gabrysiu. Przecież lastriko na podłodze nie może pachnieć.

- To nieprawda - odrzekła z miną zgaszonej małej dziewczynki. - Zrozum mnie, siostrzyczko. Mnie wszystko pachnie, nawet pojęcia niematerialne. Po zapachu potrafię powiedzieć, w jakim mieście jestem, bo pachnie moje miasto G., pachną słowa wypowiedane, nawet te, ot tak sobie, pachnie powietrze. Ile razy sama mówiłaś, że powietrze pachnie wiosną? - zgasła siostrę, mówiąc tak szybko, jak tylko to możliwe.

Stały nad grobem. Janeczka sprzątała, coś poprawiała, zanim usiadła na ławeczce obok siostry, która oddała się kontemplacji, jak zwykle w takich miejscach. Obie patrzyły na napisy na tablicy nagrobnej.

- Gabrysiu! Opowiadałaś mi kiedyś sen, w którym mamusia obiecała przychodzić do ciebie tak długo, jak będziesz chciała i jak będziesz jej potrzebowała. Wiem, że przez całe lata towarzyszyła ci w snach, ale ostatnio dawno nie widziałyśmy się. Czy coś się zmieniło? Czy nadal cię odwiedza? Mnie się nie śni, a tak bardzo bym chciała.

- Tak. Przychodzi na każde żądanie. Wystarczy, że pomyślę i już jest obecna. Pamiętam większość moich snów. Są bardzo realne, logiczne. Jest w nich zawarty jakiś sens, którego jednak nie mogę rozszyfrować. Przestałam więc się zastanawiać nad ich przesłaniem, bo to przekracza moje możliwości i kompetencje. Po prostu żyję, a moje życie składa się z jawy i snu, zresztą jak każdego z nas. Wiele z nich zapisuję, więc pamiętam i częściej analizuję.

Po chwili dodała bardzo poważnym tonem:

- Janeczko! Mam ci coś do opowiedzenia, coś niesamowitego, coś nie z tego świata. To się zdarzyło kilka dni temu.

Atmosfera do opowiadania była jak na filmie. Cmentarz w lesie. Ciepłe, jesienne południe. Z daleka parę krzątających się przy grobach osób. I ta grobowa cisza zakłócana tylko przez trwożnie szumiące drzewa. Kłaniała się też wielka jodła, która stała nad samym grobem, a którą posadzono zaraz po pogrzebie ojca. Gabrysia ujęła pod rękę siostrę, przytuliła się do niej i zaczęła swoją opowieść.

Janka kilkakrotnie próbowała przerwać, wdrzeć się w zdanie, zadać pytanie, ale Gabrysia wyrzucała słowa jak pociski i nie podobna było jej przerwać. Kiedy skończyła monolog o śnie na jawie, zapanowało dłuższe milczenie. Przerwał je cichy głos Janki:

- Idziemy już do domu. Nie wiem, co ci powiedzieć. Może masz jakieś paranormalne zdolności? Poczytaj coś na ten temat. Musi być jakiś sens naszego życia. Wróćmy do czasów wojny, kiedy nasza mamusia była dwukrotnie skazana na śmierć i jej uniknęła w cudowny sposób, bo była oddana Bogu i rodzinie.

Wydaje mi się, że ta kobieta nie miała grzechów, żyła zgodnie z Dekalogiem i wszyscy ją kochali. Sens tkwi w tajemnicy życia i tajemnicy śmierci. W zasadzie według naszej religii tajemnica życia została odsłonięta, ale nikt jeszcze nie zjadł owocu z drzewa śmierci. - Spojrzała na siostrę z miną zdradzająca niedowierzenie.

- Janeczko, jestem taka zagubiona. Czasami myślę, że jesteśmy doskonałymi komputerami innej cywilizacji, jak w filmie *Matrix*. Nasz umysł to komputer, nasze sny to inteligentna komunikacja. Mówię tu o snach, które się powtarzają. Tak jak sny z mamusią, nie pozbawione sensu, a ostatnio sny o korytarzach z wieloma drzwiami, za którymi starzy ludzie błagają mnie o pomoc. Budzę się spocona, zmęczona i cały dzień mam zmarnowany. Obrazy ze snów nie pozwalają mi normalnie żyć. To jakiś cholerny ciężar przypięty agrafką do mojego życia.

Tak rozmawiając, doszły do domu, w którym czekał już gorący obiad. Obie z apetytem zasiadły do stołu. Rozmowa jakoś się nie kleiła. Tylko one wiedziały, co zaprzęta ich umysły. Nie chciały wtajemniczać Józka.

- Józku, zjadłeś już? - Janeczka zapytała męża. - Jeśli tak, zostaw nas, chcę porozmawiać z siostrą. Nie mamy już dużo czasu, a tak rzadko się widzimy.

- Dobra, dobra. Już idę. Nie będę intruzem.

- To co, Gabrysiu, ile mam ci pożyczyć?

- Tyle, ile uzgodniłyśmy przez telefon.

Gabrysia zazdrościła siostrze dużej emerytury i jej gospodarności, umiejętności oszczędzania. Starła się brać z niej przykład, ale nigdy jej to nie wychodziło. Fakt, nie należała do oszczędnych.

Drzwi otworzył Zenek.

- Cześć! Mam kasę! - powiedziała, stojąc jeszcze w progu. - Jestem gotowa do wyjazdu.

W jej głosie zabrzmiała nuta dumy, że jej się udało. Potwierdziła, że można zrobić wszystko, gdy tylko bardzo się pragnie.

- Rozbieraj się, obiad czeka.

- Nie jestem głodna, Janeczka mnie nakarmiła i napoiła.

- Albo siadamy wszyscy do stołu jak Pan Bóg przykazał - stanowczym basem zawyrokowałam - albo już nie będę gotowałam.

- No dobrze, dobrze, już siadam.

- Zuziu! Na obiad! Mama wróciła! - wołał głośno, otwierając drzwi do sypialni, która sąsiadowała z pokojem córki.

- Cześć, kochanie - Gabrysia tak lubiła się zwracać do córki, kiedy miała dobry humor. - Co tam w szkole? Porozmawiajmy.

Zuzia leniwie schodziła po schodach.

- Tęskniłam za tobą - pieściła te słowa jak mała dziewczynka, robiąc słodką minę i składając usta jak do dziecinnego pocałunku. Podeszła i zarzuciła ramiona na matczyną szyję. - Wiesz, mam, dopiero dzisiaj uzmysłowiłam sobie, że zostawiasz nas na cały rok. Nie mam pojęcia, jak będzie wyglądało życie tylko z tatą. Nie wyobrażam sobie. W ogóle nie chciałabym, żebyś wyjeżdżała.

Siadała już do stołu, spinając swoje długie włosy.

- Eee! Dziewczyny, zabierajcie talerze z kuchni, przecież nie będę was obsługiwał jak kelner - głos Zenka był silny i stanowczy.

- O! Taaatuuusiu! Tym razem możesz mamusi podać do pokoju, bo to nasz przedostatni obiad razem.

- Pelasiu! Nie bierz ojca pod sius, nie wykorzystuj staruszka, tylko zabieraj talerz.

- No! Tatulko! Tylko ten raz nas obsłuż do końca - prosiła ciepłym głosem. - Pozmywam za to naczynia - dopowiedziała.

- już to widzę! - Położył talerz przed córeczką.

Po chwili siedzieli zgodnie przy stole. Gabrysia, choć nie była głodna, musiała towarzyszyć i co nieco przekąsić.

- Zenek, co myślisz o reinkarnacji? - zapytała Gabrysia, powoli wkładając do ust kawałek mięsa.

- Co ci przyszło do głowy?

Zenek był bardzo zdziwiony, aż podniósł głowę znad talerza, odłożył widelec i lekko znieruchomiał. Zuzia też zmieniła pozycję, poruszyła się nieznacznie, jednak nie przerywając sobie przyjemności jedzenia.

- Tak mi coś weszło do głowy.

- Nic nie myślę - rzucił krótko. - Gdybym się zastanawiał, to bym pewnie uznał, że właśnie zjadam mojego dziadka.

Zenek, kiedy żartował, nigdy się nie uśmiechał, co potęgowało jego specyficzne poczucie humoru. Gabrysia i Zuzia w takich wypadkach zawsze oczekiwały grobowej miny i nigdy się nie pomyliły.

- Mamuś - odezwała się Zuzia, robiąc sztuczną podkówkę małego dziecka - może jednak nie wyjedziesz? Udowodniłaś tacie, że można dostać pracę w twoim wieku, nieważne że za granicą, zresztą tam przecież trudniej niż w Polsce. Wiem, że zrobiłaś wszystko, by pracować na miejscu, ale tu naprawdę już nie masz szans. Tatuś powiedział mi, że ma pomysł na zarabianie kasy, bardzo dobry pomysł.

- Była przy tym tak poważna, że aż lekko znieruchomiała, rzucając podejrzliwe spojrzenie na ojca.

- Co jej nagadałeś? Może naprawdę nie muszę jechać do tej Anglii?

- Eee... To był żart.

- Tato! - zareagowała Zuzia ostro, odstawiając pusty talerz. - Mówiłeś to całkiem poważnie. Uwierzyłam ci, więc teraz przekaż to mamie, a nie będzie musiała wyjeżdżać.

- Chciałem założyć zakład. Zakład.... - powtórzył.

- Nooo! Wydukaj... tatuś - poganiała.

- Zakład reperacji kondomów.

Powiedział to tak szybko, że minęło kilka sekund, aż obie zorientowały się, że to następny żart ojca.

- Wiedziałam, wiedziałam! - Gabrysia przeciągała słowa i dziwnie machała rękoma.

W tym czasie Zuzia wstała od stołu, podeszła do ojca i zaczęła obkładać go piąstkami po plecach.

- Zuziu, Zuziu! Nie tak mocno. To boli.

- Będziesz się ze mnie nabijał! A ja ci uwierzyłam. Idę do siebie jestem zła, bo myślałam, że zatrzymasz mamę w domu, a sam zaczniesz dorabiać. Ale tobie ciągle żarty w głowie.

Wściekła pobiegła na górę i zamknęła się w pokoju.

- jak ty się spakowałaś? Przecież tu zmieści się jeszcze raz tyle - zadziwił się Zenek.

- Nie mogę zabrać więcej niż dwadzieścia kilogramów - Gabrysia odpowiedziała spokojnie, choć była wściekła, że mąż zabiera się do jej bagaży. Nie chciała, żeby wiedział, że kupiła sobie parę nowych drobnostek.

- Posłuchaj mnie uważnie, ty niedobra, uparta kobieto. Chcę ci tylko pomóc, żebyś mogła zabrać wszystko, co zaplanowałaś.

- No dobrze - skapitulowała.

- Zobacz! - zawołał żonę po jakiś piętnastu minutach. Otworzył walizkę. - Jesteś spakowana jak należy. Wszystko się zmieściło.

Stał dumnie wyprostowany nad tą górą ciuchów. Po chwili przykucnął, wskazał miejsca, w których pochował pewne drobnostki.

- Tutaj masz kosmetyki. - Zerknął z dołu na żonę, która stała jak żandarm, trzymając splecione dłonie na swoim łonie i uśmiechając się. Zadowolenie i satysfakcja odbijały się jak w lustrze, ale mina wyrażała niecierpliwość. Nie ukrywała, że z utęsknieniem czeka na pożegnanie i wyjazd.

Następnego dnia z rana Gabrysia spotkała się z Sylwią, którą zresztą zaprosiła. Umówiły się na dziesiątą. Przyszła punktualnie.

Piły herbatę. Sylwia jak zwykle siedziała od strony okna, Gabrysia naprzeciwko. Zawsze z uwagą przyglądała się nienagannie wyglądającej koleżance.

Zapytała ze smutkiem w głosie:

- Z kim będziesz się teraz spotykać? Z kim będziesz śmiała się do łez? Z kim będziesz w niedzielę „chodziła do kościoła”?

Tak nazywały swoje niedzielne spacerunki.

- Nie wiem - odpowiedziała Sylwia z prawdziwym smutkiem w głosie. - Jesteś moją jedyną przyjaciółką, z którą spotykam się od lat. Masz w sobie coś oryginalnego. Podziwiam twoje fantazje, niesamowite pomysły, twój upór i twoją wiarę w realizację wszystkich marzeń. Jesteś dowodem, że chceć to móc.

- Znasz piosenkę *Wszystko się może zdarzyć, gdy serce pełne wiary, gdy tylko czegoś pragniesz, gdy bardzo chcesz...?* - Gabrysia zaśpiewała z przekonaniem.

- Ale pewne sprawy nie zależą od nas, życie weryfikuje plany.

- Nie poddawaj się - Gabrysia przekonywała przyjaciółkę. - Ty też coś znajdziesz. Mamy całe osiem lat do emerytury, ktoś musi cię zatrudnić. Jesteś kobietą wykształconą i bardzo elegancką.

- Mów tak, mów tak - powtórzyła Sylwia. - Umiesz mnie zdopingować. Chyba tego potrzebuję. Staram się o pracę w nowo otwartym Studiu Sypialń, ale jest parę osób chętnych i obawiam się, że właściciel wybierze kogoś młodszego.

- To nieprawda! Wmów sobie, że to właśnie ty będziesz przyjęta, bo masz większe doświadczenie. Wiara czyni cuda. - Gabrysia lubiła doradzać innym i zawsze święcie wierzyła w to, co mówi. - Na pewno dostaniesz tę pracę.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że Sylwia zaczęła się śmiać:

- Choć nie patrzysz realnie na życie, ale właśnie to mi się podoba i przyciąga do ciebie.

- Nie wiem, skąd to wiem, ale wiem na pewno: za kilka tygodni będziesz pracować.

Gabrysia była tak pewna, że w tym momencie dałaby sobie głowę uciąć, że Sylwia dostanie tę pracę

- Pożyjemy, zobaczymy - ucięła krótko Sylwia.

- Dopijaj kawę. Idziemy na ostatnie zakupy.

Stałe wizyty w lumpeksach były dla nich rozrywką. To hobby Sylwii. Gabrysia tylko jej towarzyszyła. Po obskoczeniu kilku przenosiły się do normalnych sklepów. Tak też było tego dnia. Gdyby Gabrysia nie odczuwała głodu, nie wiedziałyby, że to już trzynasta i najwyższy czas na pożegnanie.

- Tak się zagoniłyśmy, aż zapomniałam, że dzisiaj wyjeżdżam.

Rozstały się na ulicy, żegnając się serdecznie. Sylwia miała łzy w oczach.

- Nie wierzę, że spotkamy się dopiero za rok. Boże! Cały rok! Ale jesteś odważna.

Poprzedniego dnia Gabrysia pożegnała się ze wszystkimi koleżankami przez telefon, była więc gotowa do opuszczenia kraju. Przykrość sprawiło jej tylko pożegnanie z córką. Zuzia płakała.

- Mamuś! Dopiero w tej chwili poczułam, że wyjeżdżasz. Cały czas myślałam, że wydarzy się cud i zostaniesz w domu. Życie bez ciebie, bez twojej silnej ręki, bez twojego żywego umysłu i sposobu patrzenia na wszystkie sprawy, nie będzie takie samo. Jak ja wytrzymam bez ciebie cały rok? Co się tak patrzysz? Płakać nie można? - Ocierając rękoma łzy, zasyczała do ojca. - Jeszcze zatęsknisz za tymi wspaniałymi bitwami, które razem staczaliście.

A do matki:

- Idź już! Idź - powtórzyła - bo nie zniosę tego pożegnania.

Gabrysia czuła, że Zuzia chce mieć pożegnanie za sobą, że zbyt boli ją rozstanie z matką. Zenek chwycił walizkę.

- Czy czegoś nie zapomniałaś? - zapytał.

- Nie. Jestem gotowa - odpowiedziała. Zatrzasnęła za sobą drzwi.

XXX

- Gabi! Obudź się! Już lądujemy. Za dziesięć minut będziemy w Londynie. - Julka szturchnęła lekko koleżankę w ramię.

Gabrysia ocknęła się. Było jej gorąco. Spojrzała przez okienko. Samolot faktycznie zniżał lot, było już widać zarys angielskiej metropolii.

Pasażerowie odczuwali lekkie bum, bum... W pewnym momencie, aż się podniosła.

- Nie boisz się? - zapytała Julkę.

- Co ty! - tamta odpowiedziała z ironią. - To jak jazda autobusem po wertepach. Też może się coś zdarzyć.

- Ale porównanie! Autobus ciągle jedzie po ziemi, a my w powietrzu - ripostowała.

Samolot wylądował. Boże! Co za ulga! Jestem cała i zdrowa. Widać tak musiało być, bo czuję, że mam jakąś misję do spełnienia. Tylko nie wiem, o co chodzi w tych sennych przekazach.

Gabrysia zaczęła sobie przypominać sny, w których uczestniczyła jej matka, a również horrory, w których występowały stare osoby podobne do kościotrupów wołające o pomoc. Powoli wychodzili z samolotu. Wiedziała, że cała grupa ma spotkać się po odebraniu bagaży w głównym holu przed dużym barem. Tam będzie oczekiwać na nich Walińczyk, który busem dowiezie grupę na miejsca. Po drodze miało być kilka przystanków, gdzie wysiądą osoby, które już osiągnęły cel. Gabrysia i Julka jechały do samego końca. Do LL. w Walii. Wiedziały, że to ponad pięćset kilometrów i że podróż będzie trwała kilka godzin.

Wszystko przebiegało jak w zegarku. Przy barze spotkały inne osoby, które czekały na tego samego busa. Prawie wszyscy pili kawę. Obie dołączyły do grupy.

- Jutro się okaże, do jakich luksusów jedziemy - gromkim śmiechem wtórował własnym słowom przystojniak, którego Gabrysia widziała codziennie pijanego w Krakowie. Popijał małą czarną.

W pewnym momencie dopił duszkiem, otarł ręką usta, jak robią to dzieci, i głośno krzyknął:

- Kursanci z Krakowa! Proszę się zgłosić do mojego stolika. Ma nas być osiem osób. - Pomachał ręką tak, jak macha się na pożegnanie, obracając się dookoła własnej osi. Za chwilę dołączyły trzy osoby, których brakowało. - No! Jesteśmy wszyscy - jego głos był taki przyjazny. Gabrysia zawsze odbierała ludzi według tonacji ich głosu. Dla niej głos mówił niemal wszystko o danym człowieku, a przynajmniej o jego wrażliwości.

Miły chłopak, pomyślała. Gdybym miała dwadzieścia lat, mógłbyś być moją sympatią.

- Fajny ten szczun - zwróciła się z lekkim uśmiechem do Julki.

- Aaa! Też podobają ci się młodzi? - odpowiedziała Julka, oddając porozumiewawczy uśmiech, jakby była bardzo zadowolona, że nie tylko jej chłopak przypadł do gustu.

- Przecież on mógłby być moim synem. Chciałam tylko podkreślić, że moja młodość się gdzieś podziła.

- Tak? Po prostu zwiła? - zachichotała Julka. - Ja mam zamiar romansować. Mój stary nie zasłużył na wierność. - Sprawiała wrażenie, że wie, czego chce.

Kiedy mówiła o mężczyznach, zawsze robiła ten sam gest, odgarniając włosy z czoła. Przejeżdżała wskazującym palcem po kąciku ust, jakby ścierała resztki pomadki, a przecież Gabrysia jeszcze nie widziała jej umalowanej. Była kobietą dobrze za-

konserwowaną. Wcale nie wyglądała na czterdzieści osiem lat, podobnie jak Gabrysia na swoje pięćdziesiąt dwa.

Dojeżdżały już do LL. Tylko Gabrysia z Julką. Była godzina siedemnasta. Za szybą siąpił kapuśniaczek. Prawdziwie angielska pogoda. Około siedemnaście stopni. Ciepło. Gabrysia zdjęła sweterek.

Sympatyczny kierowca, pracownik Domu Opieki, w którym będą pracowały, opowiadał jakieś śmieszności, które nie za bardzo obie z Julką rozumiały, raczej się domyślały. Już się dowiedziały, że pracę podejmą od jutra od ósmej rano. Ponieważ pani dyrektor domu nie zdażyła załatwić mieszkania w pobliżu miejsca pracy, na ten czas zamieszkają w hotelu, który prowadzi Polak na stałe mieszkający w Walii. Ożenił się z Walijką, której dziadek ten hotel zbudował.

Siedemnasta trzydzieści. Kierowca melduje panie w hotelu. Gabrysia zdażyła zerknąć do baru, mieszczącego się opodal recepcji, z którego roznosił się gwar męskich głosów.

- Gabi, spójrz na tę dziewczynę. Jakie ma wysokie czoło. Wygląda jak młoda królowa Bona.

- To charakterystyczna uroda walijska: duże oczy, wysokie czoło - stwierdziła Gabrysia z powagą.

- A co ty taka mądra, jakbyś tu już mieszkała? - Julka pokiwała parę razy głową na znak niedowierzania.

- Oglądało się trochę filmów.

Dostały klucze do jednoosobowych pokoi. Kierowca powtórzył, że dopóki tu mieszkają, będą przywożone do pracy i odwożone z powrotem, bo hotel znajduje się kilkanaście kilometrów od miejsca pracy.

- To do siódmej czterdzieści - powiedział na do widzenia kierowca, uśmiechając się. - *Terra, terra* - dokończył i wyszedł.

Gabi z Julką zostały same z kluczami w rękach i walizami obok nóg.

- Co to jest *terra, terra* - zapytała Julka

- Nie wiem, ale domyślam się, że „cześć, cześć”. Cóż by innego. I chyba po walijsku, bo to nie angielskie słowo. Tak myślę.

Gabrysia powiedziała to z takim znawstwem, jakby jej angielski był doskonały, a walijski tylko trochę mniej. Szły po wąskich stromych schodach, tachając swoje walizy, które co chwilę uderzały o krawędzie schodów. Otworzyły swoje pokoje, znajdujące się obok siebie. Obie były bardzo zmęczone, nie myślały już o niczym, chciały tylko wziąć prysznic i położyć się spać. Pożegnały się polskim „cześć, cześć” i każda zamknęła za sobą drzwi.

- Jak się prześpisz, zapukaj do mnie - poprosiła Julka. - Może zajdziemy do baru, jest czynny do pierwszej w nocy. Może jakieś polowanko? - Zrobiła dziwną minę, z której Gabrysi chciało się śmiać.

- Myślę, że do dziesiątej pośpię. No cześć! - Zamykając drzwi, Gabrysia pomachała dłonią.

XXX

Postawiła walizkę obok toaletki. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jaka była ciężka. Wyprostowała się. Ogarnęła wzrokiem pokój. Choć zaliczał się do pokoi jednoosobowych, na środku stało podwójne łóżko.

Naprzeciwko stara toaleta z dużym lustrem, która dotykała drewnianego parapetu okna. W rogu umywalka. Na ścianie prostopadłej do umywalki szafa wnękowa, do której nie było wygodnego dostępu, bowiem odległość od łóżka nie była większa niż kilkanaście centymetrów. Drzwi otwierały się tylko w połowie. Po przeciwnej stronie szafy były drzwi do łazienki, a tam tylko prysznic. Ubogo - pomyślała i zaraz się poprawiła: przecież to bardzo stary hotel i mogło być gorzej.

Zaczęła się powoli rozbierać. Rzuciła sweter na łóżko, zdjęła spodnie. Otworzyła walizę i powyciągała niezbędne akcesoria i kosmetyki, które poustawiała na toaletce i umywalce. Rozebrała się do naga, rzucając resztę odzieży na łóżko. Wzięła gorący prysznic. Cały czas myślała, że przybywa do bogatego kraju, gdzie wszystkie hotele są przebogate, że ludzie mieszkają w wspaniałych domach, dobrze urządzonych mieszkaniach, a tu wita ją taka skromność. - Mamo! Co mnie tu czeka? - zapytała się głośno sama siebie.

Naciągnęła nowiutką nocną koszulę, pogłaskała się po brzuchu. Odchyliła kapę, wsunęła się pod nią. Zasnęła w embrionalnej pozycji.

Obudziło ją pukanie do drzwi. Zerwała się na równe nogi, nie wiedziała, co się dzieje i gdzie jest. Siedząc na łóżku, zapamiętywała resztki snu.

- Zaraz, zaraz - już wiedziała, że to Julka. Otworzyła drzwi i zobaczyła koleżankę wyszykowaną na wieczór.

- Ubieraj się. Idziemy do baru na piwo. Zobaczymy, co się dzieje.

- Poczekaj chwilę. Chcę pozbiierać strzępy snu. Śniła mi się moja mamusia. Rozmawiałam z nią, siedząc przy stole w pokoiku o małych oknach, a sufit miałyśmy niemal nad głową. Był skromnie urządzony: tylko kanapa, stół, trzy krzesła i pusty stolik na telewizor. Pamiętam jej słowo: PRZEZNACZENIE. Boże! Ten obraz jest taki realny!

- Sen mara, Bóg wiara. Nie myśl tyle, idziemy się rozerwać. Ubieraj się szybko - ponaglała Julka.

- Daj mi dziesięć minut i będę gotowa. - Gabrysia już grzebała w walizce, wyciągnęła bieliznę, bluzkę, spódnicę. Nieskrępowana obecnością koleżanki, zaczęła się ubierać.

- Która jest godzina? - spytała Julkę, jakby dopiero się obudziła.
- Dziesiąta piętnaście.
- jeszcze lekki makijaż - spojrzała na Julkę. Nie była umalowana.
- Jeszcze dwie minuty i będę gotowa - malowała prawą powiekę.
- No! Wychodzimy.

Niemal zbiegły po schodach. Mieszkały na drugim piętrze, a hotel nie miał windy.

- Zobacz, Gabi - Julka nachyliła się do jej ucha i zasłaniając je ręką, zauważyła - ilu tu przystojnych mężczyzn!

- A tobie jedno w głowie! To rzuć się na jednego - powiedziała głośno Gabrysia, nie zważając, że ktoś może rozumieć polski.

- Dobry wieczór - niespodziewanie usłyszały po polsku głos z za baru.

- Witam Polki w moim hotelu. Jak się paniom podoba?

- Bardzo - powiedziały niemal jednocześnie.

Julka najpierw mrugnęła i nieznacznie przesunęła się na wysokim, obrotowym stołku, potem wlepiała zły wzrok w Gabrysię, karcąc ją przenikliwie, że nie trzyma języka za zębami i choć siedziały w romantycznym półmroku, ujrzała rumieńce na jej twarzy i speszoną minę.

- Mówiłam, mówiłam, że musimy być ostrożne z polskim językiem - zwróciła uwagę Julka. - Pamiętasz, jak kierowca mówił, że w LL. mieszka dwa i pół tysiąca Polaków. Może część mężczyzn tu siedzących to Polaczki - mówiła już szeptem, niemal na ucho.

Chwilę rozmawiały z właścicielem hotelu. To był przystojny, młody mężczyzna, mający około trzydziestu pięciu lat. Pytały na przemian o miasto, o warunki pracy i inne sprawy. Była już

pierwsza w nocy, kiedy zmęczona Gabrysia niemal spadła ze stołka.
- Idziemy już do łóżka - zarządziła. - Trzeba wstać przed siódmą.
Jutro się okaże, gdzie trafiłyśmy, a po pracy musimy zrobić zakupy.
Rozejrzemy się po mieście.

XXX

Rano zjadły darmowe angielskie śniadanie, to znaczy: jajo sadzone, fasolkę na gorąco z kiełbaską, do tego gorące tosty. Najbardziej smakowało im jajo i tosty. Obie nie lubiły fasoli, a kiełbasa była potworna. Nijak się miała do polskich wyrobów. Na dole miał czekać kierowca.

Gabrysi podobał się taki układ: mieszkanie w hotelu, gotowe śniadania. Tylko hotel mógłby być luksusowy. Jej mottem życiowym było „dobrze albo wcale”.

Na zewnątrz kropił deszcz, było dosyć ciepło, jakieś dziesięć, dwanaście stopni. Jak na koniec października to raczej wysoka temperatura, zważając, że to dopiero siódma trzydzieści rano. Podjechał kierowca, wyjrzał przez okienko, zapraszając do środka, uśmiech nie schodził mu z twarzy. Obie były zestresowane. Przez szyby obserwowały miasto.

Mieszkało w nim trzydzieści pięć tysięcy ludzi, w tym prawie trzy tysiące Polaków, z których ponad dwa tysiące pracowało w tutejszych zakładach mięsnych. Oblicze miasta nijak miało się do wyobrażeń Gabrysi o pięknej, bogatej Anglii. W nieskończoność ciągnęły się szeregi komunalnych, jota w jotę podobnych do siebie domów, połączonych razem, o szaroburym kolorze tynku. Przypominały slumsy. Wszystko jakby bez planu, stłoczone, ordynarne. Wąskie ulice zatłoczone po obu stronach samochodami.

Mimo wcale nie wczesnej godziny, miasteczko było jakby skulone, jeszcze pogrążone we śnie.

- Julka! *Zwróć* uwagę, że do takiego mieszkania wchodzi się jak do obory, a okna też są takie małe. W Polsce nawet biedacy nie chcieliby tutaj mieszkać. - Gabryś już na początku była rozgoryczona i zawiedziona. - To ma być ta bogata Anglia? - Oczy z wściekłości płonęły jej jak fosfor. - Przecież tu jest wszystko inne.

Kobiety nie wiedziały, że to ubogie miasteczko położone było w przedśionku niebiańskich widoków.

- Jestem zawiedziona - powtórzyła Gabryś.

Zrobiła przy tym dziwną minę, wypychając dolną wargę do przodu. Wtem przypomniała sobie sen, w którym stała przy drzwiach takiego właśnie domu. Wspomnienie zachowała dla siebie.

- Dziewczyny! Od teraz nie rozmawiacie już po polsku. - Kierowca odwrócił się, uśmiechnął, puszczając oko do Julki. Umilkły na chwilę. - Zaraz dojedziemy na miejsce - kierowca jakby śpiewał, a nie mówił.

Oczom dziewczyn ukazał się obszerny, długi budynek z czerwonej cegły, jednopiętrowy, z bardzo ładnym wejściem. Dużo zieleni, krzewów ozdobnych, których nie umiały nazwać, i drewniane ławeczki.

- Och! Jak tu ładnie! - powiedziała Gabryś po angielsku, wysiadając z samochodu.

Okolica domu też była zupełnie inna. Kilkanaście małych, jednorodzinnych domków z malutkimi, słodkimi ogródkami i z krzewami, których do tej pory nie widziały. Kierowca zamknął pilotem drzwi samochodu i gestem ręki zapraszał do domu. Jak dżentelmen, otworzył nawet kobietom drzwi wejściowe. Dziewczyny zobaczyły obszerny hol. Na środku na sporym dywanie stała ława, a wokół niej cztery wygodne fotele. Nieopodal duże biurko, za którym Afrykanka przebierała w jakiś dokumentach.

- Proszę tu usiąść - powiedział kierowca. - Zaraz przyjdzie pani manager.

Usiadły wygodnie. Po przeciwnej stronie biurka duże, podwójne drzwi do sali, najprawdopodobniej jadalni, w której miejsca przy stolikach zajęte były przez same starsze osoby, niektóre na wózkach. Przez kilka minut były świadkami krzątania. Dwie Azjatki, których nację trudno określić, Filipinki, Tajki albo kobiety z Nepalu, ubrane w specjalne niebieskie uniformy, pchały wózki z chorymi i wjeżdżały do owej jadalni. W długich korytarzach również krzątały się panie z Azji. Oprócz kierowcy Gabrysia jeszcze nie widziała europejskich buzi.

- Czy tu pracują same obce? - nachyliła się do Julki.

- Przestań mówić po polsku. Pamiętaj, co powiedział kierowca.

Przez chwilę milczały, zajęte obserwacją. W ich kierunku podążała szczupła, niska kobieta, około pięćdziesiątki, w cywilnym ubraniu. Wyglądała nienagannie w czarnych, elegancko skrojonych spodniach i beżowej bluzce, przez którą prześwitywał stanik. Podeszła.

- Nazywam się Agnes Brown, jestem dyrektorką tego domu. W rękę trzymała plik dokumentów.

- Witamy serdecznie. Która z was jest Gabrielle, a która Julia? - zapytała, siadając obok na fotelu. Odłożyła dokumenty na blat stolika i podała rękę na przywitanie. - Czy napijemy się herbatki albo kawy? - zapytała.

- Może kawę z mleczkiem - nieśmiało rzekła Gabrysia.

- Ja również - powtórzyła za nią cicho Julka.

Pani dyrektor poprosiła Afrykankę zza biurka o kawę dla nowych pracownic z Polski. Obserwowały, jak ciemnoskóra dama szła poprzez hol z wysoko podniesioną głową, jakby na niej niosła tacę z owocami.

Weszła do jadalni.

Dopiero teraz, zza szyby jadalni dziewczyny zauważyły krzątanie kilku kobiet stojących przy specjalnym wózku, na którym

było przygotowane śniadanie. Nareszcie zobaczyły europejskie buzie. Zanim się obejrzały, Afrykanka przyniosła dużą tacę, na której stały ładne filiżanki. Osobno naczynia na śmietankę, cukier i dzbanek z kawą.

Na tacy leżały serwetki, które pani dyrektor rozłożyła przy każdej z nich i sama sobie naląła kawy z dzbanka. Rozmowa była dosyć krótka i oficjalna, a przecież przyjemna. Dyrektor, cały czas uśmiechnięta, zadawała pytania.

Gabrysi robiło się to zimno, to gorąco. W dłoniach wyczuwała drżenie, które nie pozwalało jej w tym momencie podnieść filiżanki z kawą. Zaczęła więc chrząkać, zasłaniając usta ręką, uśmiechać się, a uśmiech ten miał wyrażać pewność siebie. Tylko oczy patrzyły błagalnie to na Julkę, to na Agnes. Wiedziała, że ze strachu nie odpowie na żadne pytanie. Z tej opresji wybawiła ją kobieta, również ubrana po cywilnemu, która przyniosła dwie paczki, ładnie zapakowane, dosyć okazałych rozmiarów.

- To dla was - rzekła ta kobieta, wręczając paczki nowo przybyłym paniom z Polski. Gabrysia, niezmiernie zdumiona, wyrażała swoje zaskoczenie szybkim poruszeniem powiek. Dostała jakiegoś tik, nad którym nie mogła zapanować. Julka zaś kiwała głową i dziękowała:

- *Thank you, thank you, thank you!*

To był bardzo przyjemny gest ze strony kierownictwa Domu, który nieco ośmielił dziewczyny, zwłaszcza Gabrysię. Znikł jej tik, przestały drgać powieki. Pozostały tylko ciarki na ciele, których całe mrowie kłuło niemiłosiernie. Jeszcze nigdy nie słyszałam - pomyślała - żeby pracodawca witał nowo przyjęte prezentami w tak ciepły sposób.

Niezręcznie poruszyła się na fotelu, aż spadła jej torebka. Pani dyrektor w mig ją podniosła i podała zażenowanej Polce.

- Czy dopiłyście już kawę? - zapytała wciąż z tym samym uśmiechem. - Jeśli tak, to Gabi idzie na górę, a Julka zostaje na

dole. Gabi będzie pracować na oddziale psychiatrycznym na piętrze. Pojadę z tobą i przedstawię całej zmianie.

- Desi - zwróciła się do drobnej Azjatki, która znalazła się w zasięgu wzroku pani dyrektor - proszę zapoznać nową koleżankę z Polski, Julkę, z obowiązkami i przedstawić ją naszym pensjonariuszom.

Kiedy nowo przybyłe Polki wstały, pani menager odezwała się:

- Moje panie! Od dzisiaj pracujecie za funty angielskie. Myślę, że będziecie usatysfakcjonowane - te słowa wypowiedziała, obracając w dłoniach długopis. - Gabi, idziemy na górę! - Utopiła wzrok w twarzy Gabrysi, która uśmiechając się, podążyła za nią.

Po drodze Agnes wskazała jadalnię, w której mają spędzać przerwy. Zawróciły do windy. Gabrysia czuła na sobie obce spojrzenia. Była skrzepowana jeszcze bardziej. Zostały we windzie same - Gabrysia i pani manager, odwrócona przodem do drzwi. Mimo strachu i chaosu, jaki panował w jej umyśle, Gabrysia nie żałowała podjętej decyzji. Zdawała sobie sprawę, że będzie służyć ludziom starym, schorowanym. Lepiej, że zrobiła krok do przodu w swoim życiu, niż miałaby stać na jednej nodze. Może patrząc na cierpienie, będzie bliżej Boga, którego tak usilnie poszukuje, i bliżej doskonalenia własnej duszy?

Z melodyjnym sygnałem otwarły się drzwi na piętrze. Gabrysię uderzył nieznośny zapach, niepodobny do żadnych zapachów, jakich doznała w swoim życiu. Wiercił w nozdrzach. Na chwilę próbowała wstrzymać oddech. Przyzwyczaję się - przemknęło jej przez myśl.

Podeszły razem do biurka, które stało za szklaną obudową, odgródzone od korytarzy. Gabrysia w sekundę wzrokiem ogarnęła oddział. Cztery długie korytarze z jej snów objawiły się z całą realnością. Po jej ciele przeleciał dreszcz.

- Przedstawiam wam nową koleżankę. Ma na imię Gabi. Proszę przyjąć ją do swego grona - pani dyrektor powiedziała spokojnie i odeszła.

Wianuszek pań w różnym wieku otoczył Polkę, aż poczuła skrępowanie. Znikło ono w momencie, kiedy każda z nich przedstawiała się, podając rękę na przywitanie oraz swoje imię.

- Gabi, Gabi, Gabi - powtarzała w kółko swoje imię, lekko chyląc głowę. Z wrażenia nie zapamiętała imion, jakie podawały nowe koleżanki.

Były wśród nich Filipinki, Afrykanki, jedna Hinduska, Arabka i oczywiście Walijki. Przełożoną pielęgniarką na dziennej zmianie była Afrykanka: zgrabna, wysoka, o pełnej buzi, w dziesiątkach zaplecionych warkoczyków. Uśmiechając się, pokazywała białe, duże zęby. Spodobała się Gabrysi, którą serdecznie wzięła pod rękę.

- Czy wiesz, że tutaj pracuje Polak? Ma na imię Marek. To młody chłopak. Skończył studia bibliotekarskie, bardzo dobrze mówi po angielsku. U nas pracuje już ponad rok, ale dzisiaj ma wolne. Będiesz miała kolegę - mówiła tak szybko, że Gabrysia choć zrozumiała, miała problem z przełożeniem angielskich słów na język polski. - A jak twój angielski? - zapytała, spoglądając głęboko w oczy, ciągle trzymając Polkę.

- No... tak... Rozumiem prawie wszystko, ale nie mówię doskonale. Języka uczyłam się sama.

Starła się powiedzieć te słowa w miarę poprawnie. Udało się.

- Gabi! Dobrze mówisz po angielsku, nie narzekaj. Gabrysia nie zrozumiała ostatniego słowa, ale wrzuciła je na

dysk swego umysłu do zapamiętania. Ciągle trzymając Gabrysię pod ramię, Afrykanka skierowała się do długiego korytarza. Boże! To korytarze z moich snów - pomyślała Gabrysia, idąc w kierunku drzwi, które otworzyły się ze skrzypieniem. Jej oczom ukazał się nieduży pokoik, w którym na środku stało szpitalne,

nowoczesne łóżko z podnoszonymi barierkami, które zapewniały bezpieczeństwo osobie w nim leżącej.

Naprzeciwko drzwi było szerokie okno wychodzące na zielony dziedziniec. Z drugiej strony łóżka umywalka z szafką. Nad łóżkiem, u wezłowania chorej, reprodukcja nadmorskiego widoku. Pustka, szarość, nicość. Z głośnika sączyła się muzyka, która umilić miała ostatnie dni, może godziny. Nawet Bóg tego nie wie.

- Gabi! Podejdź z drugiej strony łóżka, proszę. Musimy babcię umyć i przebrać.

- Zapomniałam, jak masz na imię - z nieśmiałością stwierdziła Gabi.

- jestem Judy. Pochodzę z Zambii. Pracuję tu już cztery lata. Za rok kończy mi się kontrakt i wracam do Afryki.

- Cztery lata... - Gabrysia znieruchomiała. Wlepiała wzrok w widok na ścianie.

- Gabi, ocknij się, proszę. Tu dni mijają szybko. Tu każda godzina, każda minuta, spieszy się sama nie wiem dokąd. Te cztery lata minęły jak jeden rok. Twój rok też minie szybko.

Gabrysia spojrzała na Judy i ich oczy spotkały się w porozumieniu. Był w nim jakiś sygnał, jakaś nieprzetworzona jeszcze informacja. Judy podniosła koc i białe, lśniące prześcieradło, które przykrywało ciało staruszki. Na białym materacu leżała bardzo stara kobieta. Gabrysia wlepiała wzrok w duże, jasne oczy staruszki. Oczy z jej snów.

Te oczy były młode, ale reszta ciała wyglądała jak embrion, tyle że pokryty pergaminową, suchą, pomarszczoną skórą. Powykręcane palce zginały się do środka. Zdawało się, że za chwilę jej paznokcie przebiją kości na wylot. Kolana miała podciągnięte niemal pod brodę i powykręcane w nieludzki sposób. Celowo rozdarta koszula ochraniała tylko ramiona, sięgała do pępka. Embrion z pamperssem na pośladkach. Gabrysia już wiedziała,

co będą robić. Na widok staruszki w jej oczach pojawiły się łzy. Poruszone powieką opadły na policzki.

- To ostatnie stadium Alzheimera. Ona już nie przyjmuje pokarmu. Odchodzi - powiedziała Judy. - Była w tym domu dziewięć lat. Niektórzy pamiętają ją z dawnych czasów, kiedy choroba atakowała ją jeszcze łagodnie. Rozsunie my nogi, aby zmienić pieluchy. To bardzo boli, ale musimy ją oczyścić. Takie nasze zadanie - mówiąc to, spojrzała świdrującym wzrokiem na Gabrysię. Obserwowała jej reakcję. - Nie płacz. Przyzwyczaisz się do cierpienia jak do chleba. Ból to tylko argument, by dostać się do nieba. Jestem praktykującą chrześcijanką - dodała Judy.

Gabrysia przyglądała się profesjonalnym ruchom pielęgniarki. Stara kobieta krzykiem, jękiem, wtórowała jej pracy. Poskręcane nogi staruszki w miarę łagodnie się rozchodziły, co umożliwiało umycie ciała i zmianę pieluchy. Padały słowa krótkie.

- Musimy cię, kochanie, umyć. Zaraz kończymy. Już, już, kwiatuszku ty mój.

Judy robiła to szybko, z pielęgniarską wprawą, by jak najkrócej bolało. Jednak miłość i profesjonalizm nie pomagały. W pokoju unosił się ból. Zostawiał ledwo widoczne kropelki potu, które spływały jedna po drugiej po skroniach staruszki, przypominając brokatowe pejsy. Gabrysia usłyszała głos, który był niejasnym przecuciem, a jednocześnie okazał się bardzo realny, jakby słowa wypowiedane przez Judy, choć ona nie otworzyła ust. To jest twoje PRZEZNACZENIE.

Nagie ciało staruszki, puchnące od bólu, onieśmiało Gabrysię i napawało czymś w rodzaju czci. Zauważyła to Judy. Przykrywała ukojone już ciało kocem.

- Jesteś wystraszona i blada... - ciągnęła myśl. Gabrysia łapała co drugie słowo w tym obcym języku, lecz jej umysł pozwolił zrozumieć wszystko. Wyszły z pokoju, zostawia-

jąc staruszkę samą. Gabrysia już nie była taka pewna, czy w tym pokoju mieszka Bóg. Na pomoc czekali inni pensjonariusze.

- Teraz widzisz, jakie życie jest tanie, nic niewarte. Życie to nie wieczysty dar. Każdy rok dokłada tu swoje brzemię, aż nadchodzi takie niedołęstwo i bezsila, jakiego byłaś świadkiem.

Kiedy znalazły się z powrotem w długim korytarzu, od którego w centralnym punkcie rozwidlały się następne, Gabrysia krzyknęła:

- To są korytarze z moich snów!

Pielęgniarka przemilczała to zdanie. Długie korytarze jawiły się z całą realnością, nabierały złowróbnego tonu. Pojedyncze głosy staruszek siedzących w fotelach, w korytarzu, przy samej dyżurce, przypominały, że nie znajdują się w hotelu, a wypowiedane schizofreniczne zdania raptem cichły, kiedy przechodziły opiekunki. To sprawiało, że gromada stawała się niespokojną, falującą tłuszcza, której rozum nie mógł ogarnąć. Codziennie ta tłuszcza wywijala się śmierci, przy międzynarodowym wsparciu aniołów.

- To jest Peter - poinformowała Desri, filipińska opiekunka, która znalazła się obok Polki.

Wskazała na mężczyznę, który spacerował w tę i w tamtą stronę po długim korytarzu. Pasek już nie był w stanie ogarnąć chudego ciała, które jeszcze resztkami sił trzymało pionową postawę. Peter wyglądał jak poturbowany: rozcięta warga, zmiądzony nos, wystający guz na łysinie.

- Miał szczęście, że się nie zabił, kiedy się przewalił - powiedziała. - Na szczęście ktoś z opiekunów podbiegł w porę. Zawsze musimy być blisko i zdążyć na czas. Taka nasza praca.

Filipinka była niska i drobniutka, jej głowa sięgała niewiele powyżej ramion Gabrysi. Nie ważyła więcej niż czterdzieści pięć kilo. Skąd u niej siła potrzebna do tak ciężkiej pracy? - pomyślała Gabrysia. Przecież tu trzeba dźwigać!

- Gabi! Teraz pójdziemy do dziennego pokoju, gdzie siedzą nasi podopieczni.

Przy jej boku znów znalazła się afrykańska piękność o długich nogach i wydatnych pośladkach, których wypukłość podkreślał mocno dopasowany kitel. Duży biust trzymał się mocno filarów ramion.

- OK - szepnęła.

Długimi korytarzami, gdzie trudno było znaleźć odpowiednie drzwi, Judy prowadziła do świetlicy, a Gabi podążała za nią. Jej oczom ukazały się dwa rzędy foteli, wysokich i głębokich. Na fotelach przygarbione ciała staruszków w zgrzebnym ubraniu. Wyglądali jak chwiejące się na patykach kukły poruszane przez niewidzialnego animatora. Judy podchodziła do każdego z osobna i przedstawiała:

- To jest Betty, czyli Elizabeth. W 195 roku jako repatriantka emigrowała ze wschodu do Anglii. Jechała pociągiem przez pół Europy, również przez Polskę. - W tym momencie spojrzała na Gabrysię, mrużąc oczy. - Pamiętam jedną historię, którą opowiedziała, gdy jeszcze rozmawiała. Od jakichś dwóch lat się nie odzywa, nawet nie uśmiecha. Często powtarzała, że nie umrze, dopóki nie podziękuję za chleb, za zapasy żywności, które uratowały jej życie. W podróży do Anglii zmarła jej matka. Betty nie miała dzieci. Jej brat zmarł parę lat temu w tym domu. Betty! To jest opiekunka z Polski. Ma na imię Gabrielle, będzie się tobą opiekować.

Staruszka poruszyła się nerwowo, ale z gracją. Odsunęła kosmyk bielutkich włosów sterczący nad czołem i uśmiechnęła się. Oczy błysnęły żarem. Miała wyjątkowo gładką cerę, jak na swoje osiemdziesiąt dziewięć lat. Tylko zwisająca mocno skóra podgardla i opuszczone ku dołowi kąciki ust były świadectwem starości. Czerwona jedwabna bluzka i czarne spodnie z dobrego towaru odejmowały jej lat.

- Gabrielle, Gabrielle - powtórzyła z nutą niedowierzania, ale w taki sposób, jakby coś sobie przypominała.

- Betty! Ty mówisz? Aniele ty mój! - Judy zanurzyła spojrzenie w przyblakłych, wystraszonych oczach Gabrysi, która wciąż klęczała u nóg Betty. - Ona wypowiedziała twoje imię! Nie odezwała się do nikogo przez ostatnie lata. To cud!

Słowo „cud” było Gabrysi obce, ale znowu się domyśliła. Zapanowało chwilowe milczenie. Betty zakryła usta dłonią, jakby chciała zapanować nad zdziwieniem.

Do pokoju wpadła z impetem Lilly, młoda Hinduska, już fama się rozniosła, że Betty wymówiła imię nowej opiekunki z Polski. Podchodziły kolejno do następnych pensjonariuszy. Obok Betty siedział wciśnięty głęboko w fotel tłusty mężczyzna. A właściwie jego ciało, bo on był nieobecny duchem. To Frank, jego twarz przypominała potwora z bajek dla dzieci, Gargamela z dawnych *Smerfów*.

- Frank ma głęboką demencję - powiedziała Judy. Tłusta, nalana twarz o szerokim nosie i długie, krzaczaste,

czarne brwi przypominały potwory z najgorszych horrorów. Para wielkich uszu wisiała niemal jak kolczyki, a matowotrupią cerę pokrywały setki zmarszczek, które tworzyły grube fałdy na policzkach i na czole. Każda z tych zmarszczek to osobna historia jego życia zapisana w bruzdach, które wyrył czas. Był nieogolony, co dodawało potworności jego twarzy. Malutkie, borsucze oczka ciągle były przymknięte.

Spał. Nie było widać ust, tylko otwór gębowy. Był potwornie gruby. Gabrysia oceniła go na sto czterdzieści kilo.

- Do Franka używamy podnośników. Jest za ciężki do ręcznego przesuwania - poinformowała czarna piękność. - Frank tak przesiaduje całymi dniami, z opadłymi rękami, jak nieprzytomny. Jest cichy, nawet nie mruczy. Czasami zakłada palce na Palce i rusza nogami. To jedyna widoczna oznaka, że żyje.

Otworzyły się szerokie drzwi. Na podnośniku, w pasach, wjechała następna osoba. Przerażliwie jęczała, wypowiadając jakieś niezrozumiałe, bólem przerywane, krótkie słowa. Opiekunki posadziły ją na fotel z rozsuwanym podnóżkiem, aby chora mogła wygodnie leżeć. Do końca zmiany nie ustawały jęki: dżą, dzi, lo, dżo.

Gabrysia stanęła. W zamyśleniu przykuła wzrok do chorej. Znieruchomiała. Boże! Daj znak, jakiś malutki znak, że jesteś tu wszechobecny, a ja z pokorą będę usługiwać tym starym, zmęczonym, chorym. Zaspokój chorą wyobraźnię i ciekawość o Twoje jestestwo, bo jeśli nie ma Cię tutaj, to nie ma Ciebie nigdzie. Przysięgam, że nie będę Cię więcej szukała.

Po raz drugi tego dnia gdzieś w środku sumienia usłyszała ten sam głos: to twoje PRZEZNACZENIE.

Wciąż stała jak słup soli, nogi przyrosły jej do podłogi, jakby była kawałkiem drewna. Chciała wracać do domu, do Polski. Na pewno nie wytrzyma tu długo. To ponad jej siły. Tylko słowa o przeznaczeniu jeszcze drgały echem. Pomyślała, że sama zwariowała.

- Gabi, Gabi! Mówię do ciebie! Czy muszę cię szarpać? - Nagle poczuła ostre klepnięcie po plecach. Ocknęła się. Powróciła z korytarzy swego umysłu.

- *Sorry, sorry*, zamyśliłam się.

- Nie możesz! Tu musisz zachować trzeźwość umysłu! Tu oczy musisz mieć z przodu i z tyłu głowy. Sama zobaczysz dlaczego. Jestem szefową tego oddziału. Przykro mi, że musiałam sprowadzić cię na ziemię. Mam na imię Dorothy. Pracuję tutaj jedenaście lat. Myślę, że w ciągu kilku dni moje dziewczęta nauczą cię pracy i wprowadzą do wszystkich obowiązków.

W tym momencie podała rękę na przywitanie. Miała oczy koloru piwa i granatowoczarne włosy w artystycznym nieładzie. Jej biała, delikatna cera odbijała się w źrenicach Gabrysi,

która drgnęła ze strachu. Dorothy zauważyła lęk i zamieszanie. Uśmiechnęła się ciepło i zapytała:

- Czy wszyscy pensjonariusze zostali tobie przedstawieni?

- Nie - odpowiedziała sucho.

- Wobec tego zabierajmy się do pracy. - I pociągnęła ją za ramię.

Podchodziły kolejno do każdego fotela, a pielęgniarka podawała imiona chorych i przedstawiała krótką historię życia: kim byli, gdzie pracowali.

- To jest pani, która pracowała w Londynie w Pałacu Buckingham jako sekretarka jednego z lordów. Była piękną kobietą. Cały czas milczy, ale też stale się uśmiecha. Jest bardzo pogodną staruszką. Ma dziewięćdziesiąt pięć lat i na imię Rebecca. A tu siedzi Jack. - Zrobiła krok do przodu. - Był marynarzem. W pokoju śpi na materacu rozłożonym na podłodze ze względu na bezpieczeństwo.

Na słowa „marynarz”, „materac”, Gabrysi zaćmiło się w oczach od uderzenia krwi. Omal nie upadła, przypominając sobie sen.

- Tego staruszka już widziałam.

Dorothy uniosła głowę i przenicowała ją na wylot ostrym wzrokiem.

- Gdzie? - zapytała.

- W moich snach. Wszystko, co tu jest, widziałam w moich snach.

Patrzyły na siebie w milczeniu. Po krótkiej chwili Dorothy się odezwała:

- Jesteś bardzo wrażliwą osobą. To dobrze, bo tylko tacy mogą tu pracować.

Jej wzrok przeniósł się na kobietę, którą opiekunki posadziły już na fotelu. Dalej wydawała gardłowo brzmiące dźwięki: dza, dza, yyy, be, yyy, be. Okrzyki przerywały powietrze i zdawało

się, że cięły je na kawałki. Uszy wędły. Pensjonariuszka była również agresywna. Jej zniekształcone wiecznym krzykiem usta pracowały bez przerwy, ukazując czarne, zepsute zęby.

- Codziennie na kilka godzin przychodzi do niej mąż, siedzi przy jej boku i trzyma ją za ręce. Musiał ją bardzo kochać. Jeszcze teraz widać, że była piękną kobietą, ale Alzheimer zrobił swoje - dodała Dorothy.

Gabrysi zostało przedstawionych jeszcze kilkunastu pensjonariuszy zgrupowanych w świetlicy. Prawie dwadzieścia imion i nazwisk do zapamiętania. Wszyscy wyglądali tak, jakby wywinęli się śmierci, która wciąż czekała w zaułku.

W pewnym momencie Jack wstał z fotela, zaczął się wolno nadymać, kołysać, jakby zgarniał wokół siebie przestrzeń. Falował ramionami jak bocian skrzydłami, unosił się i próbował zachować harmonię swoich ruchów. Gabrysi zdawało się, że widzi kolory otaczające tego wysokiego, kiedyś na pewno krzepkiego mężczyznę, a obecnie wychudzonego jak kij od szczotki. Nagle rozległ się huk. Ujrzała go na podłodze rozłożonego jak krowi placek. Gabrysia znieruchomiała, natomiast Dorothy w sekundę po upadku już udzielała Jackowi pomocy.

- Co tak stoisz! Znów się zamyślasz? - zrugła stojącą i drżącą ze strachu Gabrysię.

Gabrysia podeszła i przyklękła. Z zagubienia wybawiła ją szefowa.

- Zostań tu, ale nic nie rób. Ja pójdę po wsparcie. We dwie nie damy rady go podnieść.

Tego dnia obie zakończyły pracę o szesnastej. Gabrysia z Julką wymieniały w samochodzie pierwsze wrażenia.

- Długo tu nie wytrzymam. Mam dość cierpienia, bólu, starości. Żałuję, że tu przyjechałam. Jak mam przebrnąć przez aż

roczny kontrakt? - Julka obróciła się do Gabrysi połową ciała, rzucając pytanie prosto w jej również wylęknione oczy.

- Nic nie mów. Jestem też ciężko wystraszona, nie wiem, co ci odpowiedzieć. Ale muszę wytrzymać. Dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Dzisiaj po raz pierwszy zagłądałam śmierci w oczy. Cudzej śmierci. Mogę cię pocieszyć tylko tym, że pracujesz za dwadzieścia pięć złotych za godzinę i że będziesz w stanie posłacać swoje długi. Rok minie szybko

- pocieszała ją Gabrysia, ale też opuściła głowę, jakby sama nie wierzyła w to, co mówi.

- Od dźwigania wszystko mnie boli. Nie czuję nóg. Mam wrażenie, że przez te osiem godzin zrobiłam sto kilometrów -Julka mówiła ściszym głosem, żeby kierowca nie zwrócił im uwagi, że rozmawiają w ojczystym języku.

- Wiesz, że nie możemy rozmawiać na terenie Domu po polsku? - spojrzała pytająco na koleżankę.

- Tak, wiem. Poinformowano mnie, że za rozmowy w ojczystym języku możemy być wpisane do raportu.

- Proszę wysiadać! - ciepłym basem poinstruował kierowca.

- Jesteście na miejscu. Jutro rano spotykamy się znowu o siódmej czterdzieści. *Terra, terra* - zakończył zdanie z typowym angielskim uśmiechem, co oznaczało - już wiedziały - polskie „cześć, cześć”.

- *Terra, terra* - zawtórowały obie jednocześnie, spoglądając na siebie i wymieniając porozumiewawcze spojrzenia.

- Widziałaś, jaki był niezadowolony, że rozmawiałyśmy po polsku? Zauważyłaś to? - zwróciła uwagę Gabrysia.

- Jasne! - Julka odpowiedziała, podśpiewując. - Ale mam to w dupie - urwała krótko.

- Jesteśmy w obcym kraju i obowiązują tu inne zasady. Jeżeli chcemy tu mieszkać i pracować, musimy się dostosować - skwitowała Gabrysia.

Zmęczone wchodziły na górę po wąskich schodach. Ruchy miały leniwe, osowiałe. Jakoś dotarły na swoje wysokie drugie piętro.

- No to cześć!

- Cześć! O której się spotkamy?

- Która pierwsza wypocznie, obudzi jeszcze śpiącą. Gabrysia rzuciła się na łóżko, próbowała oczyścić swój umysł

z toksyn całego dnia. Będzie ciężko, mogę nie wytrzymać tego roku - myślała. Nie wiem, co wtedy zrobię. Kurewskie pieniądze, kurewskie pieniądze, pieniądze...

Zasnęła w ubraniu, nawet się nie przykrywając. Obudziło ją głośne pukanie do drzwi, a właściwie walenie pięścią.

- Gabi, Gabi - usłyszała.

Z trudem podniosła głowę, która zdawała się bardzo ciężać jej na karku. Poczowała ból w części potylicznej. Prawą ręką masowała obolałe miejsce. W półprzymkniętych oczach jawiły się senne obrazy jak żywe i niespiesznie jej było do otwarcia drzwi.

- Zaraz, zaraz.

- No! Już myślałam, że ci się coś stało. Walę i walę, a ty nie odpowiadasz.

Gabi słuchała tych słów zza drzwi jak zza grobu i wstawiała ociężale, wciąż trzymając prawą dłoń na potylicy. Otworzyła drzwi.

- Wiesz, jak się przestraszyłam? Pukałam do drzwi dosyć długo, a ty milczałaś. Potem zaczęłam walić pięścią i też nic.

- Dobrze, że mnie obudziłaś, bo jestem głodna. Połknę świat w jednym kawałku.

- No właśnie. Musimy zrobić jakieś zakupy. Czy wiesz, która jest godzina?

- Nie mam pojęcia.

- Dziewiętnasta trzydzieści. Co prawda market jest czynny do dwudziestej pierwszej, więc mamy trochę czasu, ale jest

trochę daleko. Obserwowałam zza szyb samochodu odległość, jaka dzieli nas od ASDY. Tak na wszelki wypadek.

Zaspana Gabrysia rozumiała co drugie słowo, ale w tym momencie uświadomiła sobie:

- Jak mi tu brakuje męża - powiedziała przytłumionym, śpiącym jeszcze głosem.

- Niby dlaczego? Trzy dni po wyjeździe z Polski? - zdziwiła się Julka.

- Tobie jedno w głowie. Myślałam o gotowaniu. Przez ostatnie dziesięć lat w moim domu gotował i podawał mój mąż. A teraz przyjdzie mi gotować samej. Chyba umrę z głodu. Trzeba poszukać jakiejś knajpy.

x-xx-

ASDA to sieć dużych walijskich supermarketów. Gabi z Julką buszują pomiędzy regałami, szukając tanich towarów. W sklepie tłok.

Jest piątek wieczorem. W drodze do marketu uzgodniły, że w czasie pobytu w hotelu będą prowadziły wspólną kasę, bo tak będzie wygodnie. Julka okazała się bardziej bystra i w koszyku ładowały tanie artykuły. Bez przerwy patrzyła na ceny. Dla Gabrysi ceny nie były istotne. Ważne, by artykuły były smaczne. Nigdy nie liczyła się z kosztami żywności.

- Na stare lata przyjdzie mi się nauczyć oszczędzać - zagadnęła Gabrysia.

- Oj! Przyjdzie, przyjdzie, jeśli chcesz spłacić wszystkie długi i naszykować córce kasę na studia.

- *Sorry, sorry* - usłyszała, potrącona. Odwróciła się i dopiero wtedy spostrzegła Hindusa z Hinduską ubranych w regionalne stroje.

- No problem - odrzekła Gabrysia grzecznie. Wzrokiem objęła market i zobaczyła cały świat: Afrykańczycy, Azjaci, Europejczycy. Chyba brakowało tylko Eskimosów.

Naprzeciwko stała para młodych Polaków, którzy się sprzeciali. Skierowała ucho na ich stronę.

- Kurwa, mówiłem ci, żebyś tego nie brała - zwracał się do młodej dziewczyny trzymającej koszyk jej mąż lub partner. Dziewczyna spokojnie odłożyła paczkę z chipsami z powrotem na półkę.

- Gabi! - zawołała Julka i lekko przechyliła się, szepcząc na ucho. - Nie odzywaj się do tych Polaków. To chyba ci pracujący w zakładach mięsnych, o których mówił nam kierowca. Żeby tak kłać ostentacyjnie - skomentowała.

- Masz rację.

Mrugnęły do siebie porozumiewawczo i zaczęły rozmawiać po angielsku. Teraz obie obserwowały tę istną wieżę Babel, w której się znalazły. Co chwilę przechodziły obok kogoś, kto mówi innym językiem. Fascynujące zjawisko.

- Ubiory, kolory, wzory, odmienne języki, kolory skóry. Jest w tym wszystkim jakaś magia - rozmarzyła się Gabrysia.

- Uważaj, bo się zauroczysz - odpowiedziała Julka już spokojniej.

- Boże! Wyrwałeś mnie z pewnego osłupienia, w którym czułam się jak w letargu i było mi z tym dobrze.

- Och, ty marzycielko. Idziemy do kasy i do hotelu. Już późno.

Gabrysia stanęła w kole kobiet jeszcze niegotowych do pracy, przysłuchując się ich świergotaniu i mało rozumiejąc z tego jazgotu.

Nagle otworzyły się drzwi od windy i jak Filip z konopi wyskoczył młody, około trzydziestoletni mężczyzna. Dłońmi na wysokości piersi podtrzymywał szelki plecaka, który zwisał jak worek. Z jego twarzy wystawał długi spiczasty nos, a z czoła

opadała długa grzywa. Trochę wyglądał jak dzieciół, ale ogólnie sprawiał wrażenie przystojnego młodzieńca.

- To jest Marek. Polak - szepnęła Judy.

- *Hallo! Girls!* - krzyknął i podszedł do grupy dziewcząt, każdej podając rękę. - Cześć, jestem Marek - zwrócił się przyjaźnie i po polsku do nowej Polki i też podał jej dłoń.

- Mam na imię Gabrysia - odpowiedziała serdecznie, po polsku.

- Witam w piekle. - W oczach zaiskrzyło mu szelmstwo.

Oboje spojrzeli sobie głęboko w oczy, jakby chcieli nawzajem przeświecić swoje dusze. Gwar na korytarzu nie cichł. Za innymi Gabi skierowała się na korytarz. Za nią szedł ten młody Polak.

- Gdzie teraz idziemy? - zapytała, odwracając się do niego.

- Do drugiej świetlicy, w której odbywają się raporty. Zaraz przyjdzie szefowa.

Zajęli miejsca w wygodnych fotelach, jedna z opiekunek rozsiadła się, wyciągając nogi na podnóżku, już przed rozpoczęciem pracy sprawiała wrażenie bardzo zmęczonej. Gabrysia usiadła obok kolegi.

Na sali było głośno. Niektórzy chichotali. Marek nachylił się do ucha Gabi:

- Spoko, spoko - powtórzył. - Co jesteś taka wystraszona? Nie taki diabeł straszny, jak go malują.

- Nie pluj mi do ucha.

- A co ty taka delikatna dama?

Podrapała się za uchem na znak, że taka konwersacja jej przeszkadza.

- Hej! Polaczki! Dlaczego gadacie po swojemu? Jesteście w Zjednoczonym Królestwie i nie życzymy sobie żadnych rozmów w obcych językach, bo was nie rozumiemy - szorstko odezwała się jedna z młodych opiekunek.

- OK, OK - powtórzył głośno Marek. Jednocześnie ponownie nachylił się do ucha Gabi, mówiąc po cichu: - Uważaj na tę sukę. Ona raportuje na każdego cudzoziemca. Za byle co możesz iść na dywanik.

Gwar nagle ucichł, a w drzwiach ukazała się Dorothy. Usiadła przy stoliku, dużą torbę położyła na podłodze. Na stole leżał zeszyt.

- Jak wiecie od wczoraj mamy w pracy nową koleżankę, Gabi. Oczywiście wszystkich opiekunek zwróciły się na Gabrysię, której

od razu zaróżowiły się policzki, co bardzo ją speszyło. Poruszyła się w fotelu na znak, że wszystko rozumie. No a potem się zaczęło. Prawie nic nie rozumiała. Dorothy mówiła bardzo szybko. Domyślała się po wypowiedzianych imionach, że to raport o stanie zdrowia i humorach podopiecznych..

- Życzę miłego dnia. - Przełożona wstała, a za nią cała grupa opiekunek.

Gabi podniosła się ostatnia, za Markiem.

- Co? - zapytał z dziwnym uśmiechem. - Nic nie rozumiałaś? - mimo zakazu mówił znów po polsku, jakby sprawiało mu to satysfakcję. - Oni walą dialektem i wcale się nami nie przejmują. Dobrze, że możesz liczyć na moją pomoc. Wyobraź sobie, że mamy razem korytarz. Dorothy specjalnie dała mi ciebie, bym mógł wprowadzić cię w arkana tej gównianej roboty. Spoko, spoko - szeptał. - Teraz weźmiemy wózek i pójdziemy na przeznaczony nam korytarz. Myślę, że jesteś dobrze przeszkolona i potrafisz pracować ze starymi i chorymi. - A zresztą - tu machnął ręką - nauczysz się wszystkiego. Ja też byłem zielony.

Oburącz pchnął wózek, na którym były naszykowane przez nocną zmianę prześcieradła, poszwy, pampersy, ręczniki, kremy, myjki i wiele innych drobnych, a potrzebnych akcesoriów.

- Zaczynamy od ostatniego pokoju. Zanim wejdziemy, chcę ci powiedzieć, że mamy tu Polaka, który po wojnie osiedlił się

w Anglii, a dokładniej w Walii, jest agresywny. Żeby nie przyszło ci na myśl zajmować się nim sama, bo możesz mocno oberwać. To silny, zdrowy fizycznie mężczyzna, choć przekroczył osiemdziesiątkę. Trzeba się z nim obchodzić jak z jajkiem bez skorupki, już była taka dama, Rumunka, którą niemal oskalpował. Teraz zakładaj rękawice - zarządzał jak dyrektor, uśmiechając się przy tych słowach tak jakoś dziwnie. Zrozumiała ten uśmieszek. -Zaczekaj chwilkę.

Powoli otwierał drzwi pokoju, na których tabliczka z imieniem i nazwiskiem dawała pierwszą informację o mieszkańcu: Steve Mazur.

Wsunął głowę do środka, zostawiając tułów za drzwiami. Nagle machnął wystającą zza drzwi ręką, zapraszając do środka. Otworzył drzwi na oścież. Gabrysia powoli, powoli wchodziła z dużą dozą niepewności i strachu. Na łóżku siedział potężny mężczyzna, oburącz oparty o materac łóżka, kiwał się do przodu i do tyłu. Głowę miał spuszczoną, a zapach w pokoju nie zapowiadał nic dobrego.

- Załóż ochronny fartuch, bo tu wszystko jest w gównie. Czekają nas trochę brudnej roboty. To tu normalne - mówił szybko, po polsku.

- Wyobraź sobie, Marek, że moje rodowe nazwisko to Mazur - cicho powiedziała Gabrysia.

Nie słuchał już koleżanki, przyklęknął przy starcu.

- Hej, Steve! Jak się masz? - zagadnął.

Pacjent podniósł głowę i wtedy Gabrysia mogła ujrzeć jego twarz, która nie zdradzała żadnych oznak agresji. Tylko zmęczone, na pół przymknięte oczy wyrażały kosmiczny smutek. Zasłoniła ręką usta, bo odór był nieznośny.

- Spójrz na inwalidzki wózek. - Marek popatrzył na Gabrysię, która w tym momencie odwróciła się. Widok nie był Przyjemny. W koła wózka Steve wsmarował swoje odchody.

- Pewnie myślał, że w ten sposób się ich pozbędzie - skomentował Marek. - Zabieramy się do roboty. Przynies z łazienki miskę z wodą, naszykuj ręczniki z wózka na korytarzu oraz pampersy. Mam nadzieję, że uda się nam go umyć, bo czasami bywa tak, że trzeba go zostawić i po jakimś czasie wrócić, kiedy zmieni się mu humor.

Wróciła, położyła miskę na podłodze, ręczniki rzuciła na fotel.

- Gabi, ja go podniosę, a ty umyjesz dół i założysz pampersa. Dla niej wszystko było nowe, obce i na dodatek wstrętne.

Rzeczywistość ją przerażała, odruchy wymiotne nie dały spokojnie robić tego, co do niej należy.

- Steve, przedstawiam ci nową opiekunkę. Ma na imię Gabrysia i też pochodzi z Polski. Jak wstaniesz, to ta miła kobieta umyje cię - mówił do niego po polsku. - Rób swoje, ja już go trzymam - zarządził.

- Dobra, gotowy - zameldowała Gabrysia.

- Ściągnij teraz prześcieradło, a ja go posadzę z powrotem na łóżku i będzie można umyć mu tors.

Gabrysia ze strachem w oczach wykonywała polecenia tak szybko, jak umiała.

- Też tak miałem jakiś czas, aż się przyzwyczyłem. Wszystko kwestią czasu i rutyny. Jesteśmy sami w pokoju, a tu trochę komfortu się nam należy. Ale nie przyznawaj się, że rozmawiamy po polsku, mimo że teoretycznie mamy prawo, bo to nasz rodak. Przygotuj teraz nowe ubrania, zajrzyj do szafy, poszukaj czegoś, a ja go zagadam.

Kłęcząc zadawał mu pytania.

- Powiedz, gdzie się urodziłeś, bo wiemy, że w Polsce. Zostałeś tu po wojnie.

Gabrysia grzebała w szafie, gdy nagle usłyszała głośne:

- Jezu, Jezu!

Odwróciła się i ujrzała Steva trzymającego głowę Marka pomiędzy nogami i szarpiącego go za włosy.

- Ty skurwysynie! Kutasie! Puszczaj! Gabi, zrób coś, bo kurewsko boli - Marek darł się wniebogłosy.

Gabi zostawiła odzież i rzuciła się z odsieczą. Podbiegła do Steva, przyklękła, ujęła jego dłoń w nadgarstku.

- Taki jesteś dżentelmen? Puść Marka, proszę, nie rób mu krzywdy - tylko takie słowa przyszyły jej na myśl. - Zrób to dla mnie. Przyjechałam aż z Polski, żeby ci pomóc. Wierzę, że w tym kraju mieszkają sami dżentelmeni - wyrzucała słowa jak z armaty.

O dziwo, Steve puścił głowę Marka. Marek wstał, dłonie położył na biodrach i krzyknął:

- Ty chuju jeden!

Marek, cały czerwony, parował wściekłością jak gwizdzący czajnik z wodą.

- Ja wychodzę. Jeśli ciebie, Gabi, posłuchał, to poradzisz sobie z całą resztą. Ubierz go i zrób na cacy pokój. Pościel łóżko, zrób to dokładnie tak, jak cię uczono, bo na poprawę nie ma czasu.

- Marek, czy słyszałeś, co do ciebie mówiłam?

- Kiedy?

- Przed paroma minutami.

Gabi stała wyprostowana naprzeciw Marka, patrząc mu w oczy, a on zaś zaczął pocierać bujną czuprynę.

- Kurwa... ale oberwałem - powiedział z niekłamana złością. - Wychodzę, choć nie powinienem zostawiać cię samej. Ale skoro sobie poradziłaś z jego agresją, to poradzisz sobie z całą resztą.

- Jeszcze raz, proszę, nie wychodź. Wytlumacz mi coś - prosiła z błagalną miną.

- O co ci chodzi?

- Miałam stryja Stefana, który w czasie wojny przebywał na Wyspach Brytyjskich. Niewiele pamiętam, byłam malutką dziewczynką. Moja matka już nie żyje. Wiem tylko, że słuch po nim zaginął, że nie wrócił nigdy do Polski. Moje nazwisko rodowe to Mazur.

- O kurwa! Może to twój stryj? - Marek spojrzał na starca, to znów na koleżankę. Zmarszczone brwi świadczyły o jego zadziwieniu.

- Co mogę zrobić, żeby to sprawdzić? - zapytała niepewnie, spoglądając na Steva, który próbował wstać, obiema drżącymi rękoma opierając się na poręczach fotela.

Marek uchwycił jego dłonie, próbując przytrzymać wielkie ciało. W tym momencie starzec odepchnął młodzika, jakby wstąpiły w niego nowe, nieznanne siły. Chłopak zachwiał się, potem wyprostował i z całym impetem pchnął stariego z powrotem na łóżko.

- Co mu robisz? - krzyknęła ze złością w głosie Gabrysia.

- To przemoc.

- Ten kutas nie będzie podnosił na mnie ręki. Co? Może polecisz na skargę do dyrektorki jak wszystkie Walijki? - pienił się.

- Zrozum. To tylko bezbronny staruszek - starała się załagodzić głosem i postawą ten nieprzyjemny incydent.

- Wychodzę - syknął przez zęby. - A jeśli chcesz sprawdzić, kim jest, idź do Agnes.

Skrzyżował ręce na piersi, oparł się o drzwi, jakby czekał, że coś się jeszcze wydarzy. Gabrysia przykucnęła przy pacjencie, ujęła jego trzęsącą się głowę w obie dłonie.

- *Sorry, sorry* - niemal płakała.

- To japrzepraaaszam... przepraaaszam... przepraszam...

- w słowach dziadka nie czuło się angielskiego akcentu.

Oczy Gabrysi wypełniły się łzami, ale żadna nie miała siły opaść na policzki. Marek stał i śmiał się.

- *Kyrie eleison* - zawołała przerażona. - Teraz rozumiem moje sny.
- Jakie sny? - Chamski wyraz na twarzy Marka ustąpił miejsca zdziwieniu.

- To nie temat na teraz. - Gabi opuściła dłonie i spojrzała w twarz Marka, który dalej stał oparty o drzwi, jakby się do nich przykleił.

- Gabi! Ja wychodzę. *Terra, terra.* - Odwrócił się, otworzył drzwi i z całą siłą młodych mięśni zatrzęsął je od zewnątrz.

Gabrysia została sama ze starszym panem. Przykucnęła, ręce położyła na jego kolanach. Zamyśliła się. Zaczęła układać puzzle ze swoich snów.

- Pozbieraj się - mówiła sama do siebie, wciąż zdumiona własnymi myślami, wpatrzona w niebieskie oczy tego starego człowieka. - Kto mi uwierzy, że taka sytuacja ma miejsce?

W jej głowie powstało takie zamieszanie, że najchętniej zostawiłaby dziadka i pobiegła do dyrektorki wyjaśnić całą sytuację, lecz nie mogła tego zrobić. Jednego była pewna: z jego strony nic jej nie grozi.

Ocknęła się na tyle, by móc dalej pracować i zrobić to, co do jej obowiązków należało. Podała przygotowane ubranie, przetransportowała go na fotel i ścieliła po wojskowemu łóżko. Zwracała uwagę, by każda zakładka, każda fałdka była na właściwym miejscu.

- *No problem.* Ga... - uciął jej imię w pół słowa, jakby mu sprawiało ból.

Kątem oka obserwowała jego powolne ruchy, kiedy się ubierał.

- *No problem.* Cy mogę pytać *cie from* jesteś, Gabrysiu? -Jego spojrzenie było tak ciepłe, że najchętniej by go przytuliła.

- Z G. To duże miasto na zachodzie Polski.

- Po Niemcach.

Zadawał wiele pytań kiepską polszczyzną, mówił z angielskim akcentem. Szczególnie interesowało go, skąd pochodzi jej rodzina. Odpowiadała, ale skupiała się na zakładkach i poprawnym pościeleniu łóżka. Minęło kilka minut. Pokój był gotowy, a staruszek ubrany. Ten czas spędzony z nim, bez Marka, wypełniony był jej życzliwością i jego spokojem, dobrą wolą i posłuszeństwem. Został tylko do umycia wózek. Gabrysia nie wiedziała, co z nim zrobić. Chciałaby już szybko wyjść i pozbyć się wymiotnych odruchów, które cały czas nią szarpały.

Steve jakby odczytywał jej myśli, bo odezwał się:

- Przepraszam, przepraszam, przepraszam - nie tyle mówił, co prawie śpiewał po polsku.

Gabrysia ponownie przyklękła naprzeciw staruszka. Nie mogła się poruszyć, czekała na jakiś wewnętrzny rozkaz. Wtem otworzyły się drzwi i wsunął głowę Marek.

- Wszystko gotowe? - zapytał z dziwnym uśmiechem, tym razem po angielsku

- *Ready* - odpowiedziała.

- Zrobiłem drugi pokój, teraz idziemy do trzeciego. Zostaw go tak na fotelu, bo on je śniadanie w pokoju.

Poczuła uspokojenie i podążyła za Markiem. Do śniadania zrobili jeszcze toaletę Betty i zaprowadzili ją do świetlicy, oraz biegającego Jacka, który ubrany wyskoczył na korytarz jak z procy, by kontynuować swój maraton.

W świetlicy gwar. Dziadkowie siedzą jeden obok drugiego. W pokoju obok, który służył za jadalnię, nakrywanie do stołu. Opiekunki prowadzą chodzących podopiecznych i sadzają na krzesłach.

Gabrysia stała zdezorientowana na środku świetlicy i nie wiedziała, co ma dalej robić, kogo zostawić na fotelu, a kogo

przeprowadzić do jadalni. W pamięci zachowała obraz Steve'a, który prawdopodobnie mógł być jej stryjem. Jak to możliwe? -pogubiła się w tych rozmyślaniach. Nawet nie wiedziała, że stoi nieruchomo na środku świetlicy, kiedy wszyscy uwijają się tak szybko, jak to możliwe.

- Hej! hej! - wpadło jej do ucha. - Co tak stoisz jak brama? Dlaczego nie przeprowadzasz mieszkańców do jadalni - te słowa usłyszała już bardzo wyraźnie. Drgnęła ze strachu i poczuła, że zbladła. Poruszyła się wokół własnej osi jak przytomna, ale nieobecna.

- Nie wiem, nie wiem - powtórzyła dwukrotnie. - Nie wiem, co mam robić.

- Może usiądziesz za pięć funtów na godzinę. - W głosie wyczuła ironię. Wtedy zobaczyła, że zwraca się do niej ta niesympatyczna młoda Walijka, przed którą Marek przestrzegał, żeby uważała na nią, bo ona donosi na obcokrajowców. Gabrysia nie знаła jej imienia, ale wiedziała, że będą miały na pieńku cały czas.

- Dobra! Będziesz karmić tu, w świetlicy. Sprawdź w grafiku, co masz robić, moja *lady* z Polski - zakończyła ostentacyjnie. Jej twarz z tym drwiącym uśmieszkiem wyrażała zadowolenie.

Gabrysia szybko poszła do kantorka i zajrzała do zeszytu. Faktycznie: ma dzisiaj karmienie w świetlicy. Na szczęście w drzwiach stanął Marek-wybawiciel.

- Nie wiem, kogo mam karmić - wyznała nieśmiało, a jej zbłąkane oczy, jak u sarenki, wyrażały bezradność.

- Ja bym nikogo nie karmił. Szybciej by poumierali - przykrył te słowa głośnym szyderczym śmiechem.

Nagle w mgnienia oka zrobił się poważny.

- A tak naprawdę to spoko, spoko. Zaraz przylecą wszystkie wrony z korytarzy i myślę, że Dorothy przydzielili ci kogoś do karmienia. I pamiętaj: my pierwsi po śniadaniu mamy przerwę. Zaprowadzę cię do naszej jadalni na dole. Co? Dostałaś w dupę?

Trochę się nagimnastykowałam. I jeszcze jedno, zanim zapomnę: mycie wózka zaraz po śniadaniu. A potem mamy trzy kąpiele. -Uśmiechał się przy tym szelmowskim uśmiechem, który kazał zapomnieć jego wstrętne odzywki.

Kiedy za zmęczoną i spoconą Gabrysią zamykały się drzwi windy i kierowała swe kroki do przebieralni, podbiegły dwie Afrykanki z dolnego oddziału.

- Gabi, Gabi, zaczekaj. Prawdopodobnie na tym oddziale mieszka twój stryj.

- Nic nie wiem - syknęła do nieznajomych jeszcze koleżanek. Ciągłe podążając za nią, zadawały mnóstwo pytań, na które

nie umiała i nie miała zamiaru odpowiadać. W szatni przebierała się powoli. Wszystkie mięśnie ją bolały, najbardziej doskwierały naprężone łydki.

Przy wyjściu czekała na samochód i Julkę. Było słoneczne popołudnie. Ogród z cisami koił duszę. Jej myśli krążyły wokół staruszka i snów. Nawet nie była głodna mimo pory na posiłek.

- Hej, Gabi, jak się masz? Ja spierdalałam do Polski, nie wytrzymam tu dłużej ani jednego dnia. - Julka wymachiwała torebką.

- Ja też jestem zmęczona. - Nie podobał się jej ton głosu Julki, w którym czuć było wzbierający gniew na cały świat. Mimo to odrzekła spokojnie: - Myślisz, że mi się tu podoba? Siedzę sobie za biurkiem i maluję paznokcie, tak jak to bywało za komuny?

- O! Pamiętam, pamiętam. - Julce wrócił humor.

- Idziemy! Woła nas kierowca. Nie słyszysz? Zmęczone powoli wsiadały do samochodu.

- Jak minął dzień? - zapytał Leo, kiedy ruszyli.

- Nie wiem, czy dam radę tu pracować - pierwsza wyrwała się piękna Julka.

- Każdy tak mówi na początku - odparł Leo - a potem zasuwa po trzysta godzin miesięcznie i przedłuża kontrakty. To nie nowość dla mnie. Praca z ludźmi starymi jest ciężka, wyczerpująca fizycznie i psychicznie. Trzeba się do tego przyzwyczaić i po prostu ją pokochać.

Rozmawiali jeszcze o Steve'ie. Rozeszła się plotka o tym, że Steve z psychiatrycznego to stryj nowo przybyłej do pracy Polki. Skoro wiedział o tym zdarzeniu kierowca, to znaczy, że wiedzieli już wszyscy pracownicy Domu.

- jeśli to prawda, będą pisać o tym wszystkie gazety. Nawet „Times”. Agnes też już wie o tym. Tu żadna tajemnica się nie ukryje.

Leo jedną ręką trzymał kierownicę, a drugą próbował objąć Julkę. Odwrócił się twarzą do Gabrysi, siedzącej tuż za koleżanką. Był niemal uszczęśliwiony tą nowiną.

- No! już jesteśmy, miłe panie - oznajmił po chwili. Dziewczyny z trudem weszły na drugie piętro i każda poszła

do swojego pokoju. Umówiły się, że jak odpoczną, to zapukają do siebie i coś zjedzą. Gabrysia nie była głodna. Rzuciła się bezwładnie na łóżko. Zasnęła od razu. Kiedy się przebudziła, z głębi jej umysłu dochodził głos coraz słabszy i słabszy, ale słyszała go dokładnie: to twoje PRZEZNACZENIE. Do głosu dołączył ledwo widoczny obraz.

Zamknęła oczy i jeszcze raz próbowała go przywołać, jakby chciała cofnąć taśmę filmu, który przed chwilą oglądała. Zostały strzępy snu: na krześle obok toaletki siedziała jej matka w fioletowej sukience, piękna i młoda, taka sama jak w tym śnie na jawie. Teraz Gabrysia zrozumiała: to ona, jej matka, mówiła słowa, które echem się oddalały.

Chciała unieść głowę. Nagle poczuła, że zepsuł się jej centralny układ ruchu, więc stan ten, łącznie z echem słowa PRZEZNACZENIE, odebrała jako halucynacje. Nie rozumiała nic.

Westchnęła. Nie otwierając oczu, zaczęła rozmyślać nad sensem cierpienia, na które przyszło jej patrzeć. Chciała wszystko pozbierać w logiczną całość. Dlaczego to mnie spotkało? Jakie to wszystko dziwne, że prawdopodobnie odnalazłam swego stryja. Wyuczona na dobrą katoliczkę zaczęła przyznawać rację, że jednak coś musi istnieć po śmierci, ale tak naprawdę niczemu nie dawała wiary. Same sprzeczności targały jej umysłem. Za dużo się naczytała. Dotąd była zrównoważoną, rezolutną kobietą, która z każdej opresji wychodziła cało. Jakby batalion aniołów pilnował jej skromnej osoby. Jej siostra powtarzała: „Tyto masz szczęście, zawsze spadasz na cztery łapy jak kot”. A Gabrysia odpowiadała dumnie: „Chcieć to móc”. Te słowa były jej życiowym mottem. Ich moc przekazała własnym córkom.

Otworzyła oczy, usiadła i patrząc na krzesło, skąd odchodził obraz jej matki, powiedziała głośno sama do siebie:

- Muszę się zmienić i uwierzyć. Mamo, dam radę. Obiecuję. Byłoby wspaniale, gdybyś wytłumaczyła mi to wszystko. Zwyczajnie, prosto, po ludzku. Bez symboli.

Teraz poczuła, że jest głodna. Wstała, ręką poprawiła włosy, wsunęła klapki, zarzuciła na ramiona duży szal i poszła do Julki.

Minęły dwa tygodnie. Kobietom było wygodnie w hotelu.

o siódmej rano schodziły na gotowe angielskie śniadanie, za które nie płaciły. Odchodziły od stołu jak *ladies*, nie musiały po sobie zmywać naczyń. Obiad zjadały w pracy za jednego funta. Dzisiaj była lasagne. Wieczorem piwko w barze. A mimo to Julka bez przerwy narzekała. Natomiast Gabi była prawie zadowolona. Dla niej najważniejsze było bezpieczeństwo finansowe i nadzieja, że Zuzia po maturze może pojechać na studia do Francji. Wówczas mogłaby spełnić jej marzenie, tak jak spełniła marzenia starszej córki, Roksany.

Gotowe, spakowane, czekały na Leo, który miał je przewieźć na miejsce stałego zamieszkania. Od jutra będą już chodziły do pracy pieszo.

Sprawdziły, że droga z nowego mieszkania zajmie im około dwudziestu minut. Czekając na kierowcę, marzyły o ładnym i wygodnym domu. Gabrysi nie podobały się ulice z ciągnącymi się po kilkaset metrów jednopiętrowymi budynkami. Wszystkie były jednakowe. Gdyby nie numery, nikt by nie wiedział, gdzie mieszka. Żadnych punktów odniesienia, wszystko szarobure. Tylko parę budynków zbudowanych w centrum ponad dwieście lat temu świadczyło, że miasto od dawna ma prawa miejskie.

Dwie długie ulice ciągnące się do zatoki były nieco inne. Pachniało tam bogactwem. Stały przy nich domki wiktoriańskie. Gabrysia z Julką były już nad oceanem i podziwiałały te kolorowe zabudowania. Zatoka okazała się najpiękniejszym miejscem w LL.

- jak to będzie? Zamieszkamy w slumsach? - z ironią w głosie odezwała się Gabrysia.

- A ty chciałabyś w pałacu? - Julka dopowiedziała ostro. -Księżniczka!

- Dlaczego nie... ? Mogłabym pracować dla samej królowej. Wyobraź sobie, kiedyś miałam sen, że pracowałam na jej dworze jako kucharka. To był jeden z najpiękniejszych snów.

- jak tak ci się sny sprawdzają, to może wyjedziesz do Buckingham - zaśmiała się szyderczo.

Gabrysia poczuła się nieswojo. Zabolał ją ten śmiech.

- Ja ci się zwierzam z mojego duchowego życia, z moich marzeń, a ty się nabijasz. Już po raz drugi się ze mnie śmiejesz. Najpierw ze Steve'a i teraz... Zrozum, że różne historie się ludziom przytrafiają, o których nawet nie śnili, a ja nic nie skomentowałam. To jest świeża sprawa, może po prostu przypadek, że moje nazwisko rodowe i jego nazwisko jest takie samo. Dużo Polaków zostało po wojnie w Anglii czy w Walii.

Julka spoważniała, znikły dołki w jej policzkach, które ukazywały się podczas śmiechu.

- Hmm... Może faktycznie wszystko jest możliwe. Rozprawiały tak jeszcze przez kilkanaście minut, czekając na kierowcę, który lekko się spóźnił.

Wreszcie podjechał. Samochód stanął z piskiem opon. Uchylił okno i z uśmiechem na twarzy zagadnął:

- Ładujcie się, otwieram wam bagażnik.

Julka z Gabi wymieniły spojrzenia. Były niemal pewne, że są w kraju dżentelmenów, a tu przyjdzie im dźwigać ciężkie walizy. Zapakowały i usiadły na tylnym siedzeniu. Ze złości nie odpowiadały kierowcy na pytania, zbywając go krótkimi: hmm, aha... Kiedy na miejscu wyciągały walizy i taszczyły je pod drzwi, nawet nie odwróciły się, by powiedzieć walijskie „cześć”, czyli *terra*. Usłyszały tylko, że już odjeżdża.

- Prostack jeden. Nie wie, że kobietom się pomaga - Julka syknęła ze złością.

- Masz klucze? - zapytała.

- Moment, zaczekaj. - Zaczęła szukać po kieszeniach kurtki, robiąc nerwowe ruchy. - Mam - niemal krzyknęła z radością, bo już pomyślała, że gdzieś je posiadała, co by wcale nie było dziwne, biorąc pod uwagę jej ciągle roztargnienie i zamyślenie. Podała klucze Julce. - Otwieraj te wrota do naszego pałacu. - Uśmiechała się przy tym serdecznie.

Typowe plastikowe drzwi od chodnika dzielił tylko jeden stopień. Miało się wrażenie, że są to sutereny, jakie Gabrysia pamiętała z lat dzieciństwa. Okna parteru znajdowały się kilkanaście centymetrów nad ziemią. Po otwarciu drzwi dziewczynom ukazał się malutki przedpokoik.

Na lewo następne drzwi do mieszkania na parterze. Jeszcze

nie wiedziały, kto zajmuje to mieszkanie. One miały przydział na górę, dokąd prowadziły wąskie schody z zieloną wykładziną nie pierwszej czystości. Nie bez problemu zataszczyły swoje wielkie walizy na górę.

Gabrysia stanęła na górnym korytarzu, który od schodów dzieliła drewniana balustrada. Wykonała typowy ruch zmęczonego człowieka ocierającego czoło. Nie czekała na współlokatorkę, ruszyła na obchód mieszkania. Otwarte drzwi naprzeciw schodów prowadziły do kuchni.

- Julka! - krzyknęła. - Nie jest najgorzej. Mamy prawie nowe meble kuchenne, ale jakoś pusto. Nie widzę czajnika, w oknie nie ma firanek.

Odpowiedziało jej tylko sapanie Julki.

Gabrysia weszła do łazienki, do której prowadziły drzwi prosto z kuchni. Przywitała ją idealna czystość, ale także jakaś nieopisana pustka. Nie mogła tej pustki w pierwszych sekundach zrozumieć, aż dotarło do niej, że oprócz wanny i umywalki nie było tam nic. Wanna nie miała nawet baterii prysznicowej.

- Gabi! Który pokój zajmujesz? Na tym piętrze czy na górze? - głośno pytała Julka.

Gabrysia wyszła z łazienki, stanęła obok Julki, która czekała na progu maleńkiego pokoiku skąpanego w słonecznym świetle wpadającym przez duże okno. Skromność tej izby dała im powód do gromkiego śmiechu. Stały tak przez chwilę i nie mogły się opanować. Gabryśce leciały już łzy ze śmiechu. Naprzeciwko drzwi, tuż przy ścianie, stało łóżko z materacem, bez koca i bez żadnej pościeli, a ściany były puste.

Z drugiej strony łóżka, na bocznej ścianie, która była przedłużeniem drzwi, stała chwiejąca się dwudrzwiowa szafa. Ot i wszystko. Na lewo od pokoiku były drzwi do większego pokoju, który na oko mógł mieć jakieś piętnaście metrów kwadratowych. To był salon. Naprzeciwko stał stary stół i dwa zwykłe drewniane

krzesła. Kiedy weszły obie do środka, ich oczom ukazała się skóropodobna kanapa w kolorze kości słoniowej.

- Co za luksus! - z drwiną w głosie odezwała się Julka.

W rogu przy ścianie, na której było duże okno, stała drewniana zabudowa ze schowkiem w środku, prawdopodobnie na telewizor. Gołe ściany wiały smutkiem. Gabrysia podeszła do okna i z rozmachem je otworzyła. Panował nieprzeciętny zaduch. Zaproponowała:

- Idziemy zwiedzać dalej? Obejrzymy sobie pokój na górze. Nie było już im do śmiechu.

- Idziemy na strych naszego pałacu. Oto bogactwo Anglii. Pojedynczo weszły na górę. I jeszcze raz wybuchły gromkim śmiechem. Gabrysia aż przysiadła. Ze śmiechu zabolął ją brzuch.

Weszły głębiej chyląc nisko głowy, by nie uderzyć się o drewniany sufit nagrany jesiennym słońcem. Pokój był dużo większy, ale tylko nad łóżkiem była odpowiednia wysokość.

-No i co? - spytała powtórnie Julka. - Jaka jest twoja decyzja?

- Biorę pokój na dole. W nocy wstaję do ubikacji i nie wyobrażam sobie latania po schodach. Zaspana mogłabym zabić się o pułap sufitu.

- Twój stary by się ucieszył. Dostałby niemałe odszkodowanie, pospłacał długi i żył jak pączek w maśle.

- Jeszcze nie wybieram się na drugi świat. Moją ambicją jest odebrać od ZUS-u trochę kasy, którą wpłacałam przez całe dorosłe życie. Nie mam zamiaru darować im mojej krwawicy.

Każda zajęła swój pokój i zaczęły się rozpakowywać. Kiedy opróżniły walizy i poukładały swoje akcesoria w łazience, przeszły do kuchni, by tam się rozejrzeć. Otwierały szafkę za szafką. Żadnych naczyń, żadnego czajnika.

- Cholera - syknęła z jadem w głosie Julka. - Musimy skontaktować się z Agnes. Przecież tak nie da się żyć, a nie będziemy wykładać własnej kasy. Nie tak było w umowie.

- Musimy się czymś przykryć. Potrzebny czajnik i naczynia - Gabi mówiła z żalem. - Ubieraj się - zarekomendowała.

Był ciepły jesienny dzień, bezchmurne niebo, pogodny poranek.

Dziewczyny zarzuciły letnie kurteczki i wybiegły w kierunku Care Home, by spotkać się z panią menager i przedstawić jej sytuację, jaką zastały na miejscu.

Jeszcze tego samego dnia w późniejszych godzinach zносиły na górę wszystko, co było im niezbędne do życia. Zakupy w AS-DZIE robiły razem z Agnes. Dostały koce, pościel, poduszki, czajnik, wiadro, mopy, naczynia, toster, żelazko i parę innych drobiazgów. Wszystko na koszt firmy. Dużo jedzenia do lodówki również.

- Zobacz, jak ładnie to wygląda - cieszyła się Julka. - Mamy wszystko: masło, wędliny, miód, dżem, sery, mleko, drób. Do szafek włożymy ryż, kaszę, makaron i cukier.

Gabi podbiegła do Julki i uściskała ją z całej siły, niemal krzycząc z radości:

- Mamy żarcia na cały miesiąc!

- Nie tak zupełnie - stonowała ją wiecznie niezadowolona Julka.

XXX

Rozpoczął się nowy miesiąc. Wszyscy odebrali już informację o zarobkach. Każdy wiedział, ile zarobił. Pieniądze będą za tydzień, dokładnie siódmego, na koncie w banku. Gabrysia zaplanowała na nowy miesiąc aż osiemdziesiąt nadgodzin. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, w listopadzie zrobi dwieście pięćdziesiąt godzin.

Nigdy w życiu tyle nie pracowała, chciała spróbować swoich sił. Energii nie brakowało jej nigdy, nosiła w sobie zapas niewidzialnej siły, którą mogła teraz uszczuplić, byle tylko zarobić.

Nie pomogły tłumaczenia koleżanek, które twierdziły, że im więcej pracujesz, tym większy musisz zapłacić podatek. Liczył się każdy dodatkowo zarobiony funt.

xxx

Coraz bliżej Świąt. Dekoracje na korytarzach i przystrojone okna witały odwiedzających. Codziennie odbywały się imprezy dla starszków. Dzisiaj będzie śpiewała młodzież ze szkoły podstawowej w LL. Na rannej zmianie Gabrysia razem z Markiem znowu będą mieli wspólnie korytarz. Gabrysia jest zadowolona, ponieważ może liczyć na pomoc tego sympatycznego chłopaka, już nieraz wybawiał ją z opresji, kiedy nie rozumiała poleceń lub po prostu nie mogła się dogadać.

Choć prawie wszystko rozumiała, bywały dni, że miała wiele problemów. Nieraz szukała Julki, by jej pomogła. Każdego dnia poznawała po kilkanaście nowych słówek. Czasami zapisywała je na dłoni i powtarzała w czasie karmienia mieszkańców lub zwyczajnie w drodze do i z pracy. Pracowała po dwanaście godzin na dobę, miała tylko jeden dzień w tygodniu wolny. Pomimo przepracowanych pełnych dwóch miesięcy wciąż nie pamiętała wszystkich imion swoich podopiecznych. Imiona były dla niej jak nowe słówka, które wkuwała na pamięć.

Nie oswoiła się z cierpieniem, ze starością, której bardziej się bała niż nienawidziła, choć podchodziła z wielkim szacunkiem do wszystkich mieszkańców. Nie to co Marek, który kpił ze starości, ułomności i chorób psychicznych. Usprawiedliwiała tego młodzieńca, bo mimo jego postawy pałała doń dziwną sympatią. Może to była wdzięczność za okazywaną pomoc, a może zwyczajnie go lubiła. Marka bawiło, gdy Gabrysia popełniała niesamowite gafy związane ze słabą znajomością języka angielskiego. Chociażby dzisiaj w czasie porannego raportu.

Gabrysia, jeszcze senna, uciekała myślami do swojego domu do G. Nie interesowało jej, co przekazywała dyżurna pielęgniarka, bo wiedziała, że wystarczy przeczytać harmonogram pracy na cały dzień. Nie skupiała się na słowach Dorothy. Niektóre ze słów jak motyle przelatwały obok ucha. Często padało słowo „Binia”, jakby skierowane do Gabi, która robiła bardzo poważną minę, udając, że uważnie słucha.

- Gabi! Ocknij się! Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? -Dorothy była drażniąca z tym rozkazującym tonem.

- Tak, rozumiem. Będę miała korytarz Binia - odpowiedziała Gabrysia z powagą.

Na sali wybuchł gorący śmiech. Tylko pielęgniarka jakoś się nie zaśmiała. Siedziała z poważną miną, no może z lekko drwiącym uśmiechem w kąciku ust. Gabrysia zawstydzila się. Nie wiedziała, o co chodzi. Śmiech nie ustawał, a zwrócone na nią oczy wszystkich peszyły ją, aż zaciskała palce u stóp, które pocily się, choć były schowane w roboczych butach.

- Gabi, czy słuchałaś raportu? - już spokojniej, z dozą serdeczności, zapytała Dorothy.

Gabi wstała jak uczennica zganiona za nieprzygotowanie do lekcji.

- Przepraszam, nie słuchałam. Docierały do mnie pojedyncze słowa.

- już dobrze, przestańcie się śmiać - zwróciła się do wszystkich Dorothy.

Śmiech powoli milkł, zamieniając się w ciszę, która była jeszcze gorsza. Wszyscy powoli wstawali do swoich zajęć i odgłos szurania butami zagłuszył tę przeklętą ciszę. Gabrysia stanęła Przy Marku.

- Co się stało? - zapytała po cichu. - Dlaczego wszyscy się ze mnie śmiali?

- Oj! Gabi, Gabi! Ty głupiutka kobieto!

Gabrysia nie obraziła się. Marek powiedział to tak ciepło, że musiałyby być głupią gęsią, żeby się obrazić. Udała, że nie zwraca uwagi na takie bzdety. I to Markowi się w niej podobało.

- Dzisiaj przychodzi nowy mieszkaniec i zamieszka w korytarzu Binia, w pokoju, w którym mieszkała Katrin. A ty w ogóle nie wiedziałaś, o co chodzi. Zabieramy się do roboty. To kurewski korytarz, jak sama wiesz.

- Hej, Polaczki, znowu zasuwacie po polsku. Chcecie stanąć do raportu? - z drwiną w głosie zapytała gruba Berta.

Była tak gruba, że siadała na dwóch krzesłach. Normalnie była przesympatyczna, ale też bardzo leniwa. Kiedy mogła, wykorzystywała emigrantów, czasami zdawała się być lekko uszczypliwa. Ta jej wada wynikała z kompleksów i Gabrysia dobrze ją rozumiała. W Domu Opieki nie tylko Berta była taka gruba. Co druga Walijka miała nadwagę. Ale wszystkie, nigdy nie skrępowane swoją tuszą, pełniły funkcje opiekunek i sprzątaczek zawsze z uśmiechem i radością.

Gabrysia podążała za Markiem. Nie umiała narzucać swojej woli, wolała wykonywać polecenia. Zresztą to jej pierwsza praca w tak dużym zespole, w którym nie czuła się najlepiej, ale była mistrzynią kamuflażu: umiała się do każdego i do wszystkiego dopasować. Nikt nie śmiał się domyślić, że nie nadaje się do pracy w grupie. Zawsze pogodna i uśmiechnięta, starała się wykonywać swoje obowiązki najlepiej jak umiała.

Marek zaczynał od ostatniego pokoju. Mieszkała tam upierdliwa Lilly, która wiodła życie na korytarzu. Posadzona na łóżko, fotel lub zwyczajnie na wózek inwalidzki, zsuwała się i po paru minutach znów czołgała się po podłodze. Unosiła lekko pośladki, przesuwał tułów do przodu, potem znów do tyłu. I tak od początku. Mała głowa na długiej szyi i malutkie wścibskie oczęta zrodziły jej przydomek: nazywano ją węzem. W momentach, kiedy nie przesuwała się, kiwała się to do przodu, to znów

do tyłu. Była jak małe dziecko, które próbuje zwrócić na siebie uwagę. Pamiętała prawie wszystkie imiona opiekunek. Gabrysia już wiedziała, że to jej styl życia. Tej staruszce nie brakowało nic, prócz zwykłej ludzkiej miłości, która w takich Domach jest reglamentowana jak kartki na mięso w czasie stanu wojennego w Polsce.

- Czy wiesz, jaka jest trudna do wykąpania? - zagadnął Marek, kiedy Gabrysia próbowała nawiązać z nią nić porozumienia.

- Nie, nie kąpałam jej jeszcze.

- To nie pragnij! Na widok podnośnika krzyczy, jakby ją ktoś obdzierał ze skóry. Kurewska starość, kurewska starość. Do chuja ta starość komu potrzebna. Bogu się coś popierdoliło.

- Boże! Marek - Gabrysia przykryła usta dłonią na znak oburzenia - ale jesteś wulgarny.

- Chce mi się pieprzyć. Tak zwyczajnie, po ludzku. Dłużej już nie wytrzymam tej samotności, a tu jeszcze całe dwa tygodnie, zanim przyjedzie moja Agnieszka. Teraz to i ciebie bym przeleciał jak burą sukę. Zawsze tak pociągająco pachniesz. Lubię wdychać twój zapach, który wpija się w nozdrza i pozostaje aż do nocy. Wyobraź sobie, że kiedy idę spać, to zamiast pomyśleć o Agnieszce, czuję zapach twoich perfum. Po prostu mnie kręci. Przepraszam, chyba nie uraziłem damy. Powinnaś być dumna, że młody i przystojny - w tym momencie wypiął pierś do przodu, prawą dłonią poklepał się po klatce, uśmiechając się przy tym ironicznie - pragnąłby przespać się z tobą.

- jesteś bezczelny i śmieszny z tym żartem nie na miejscu. Chciało się jej płakać za tę burą sukę, ale ukrywała łzy pod powieką.

- Coś ci powiem. - Podeszedł do niej i delikatnie położył dłoń na jej ramieniu, którą natychmiast odepchnęła. - jesteś bardzo sexy i lata tu nie grają roli. Dla mnie jesteś bardzo pociągająca.

Gabrysia słuchała z mieszanymi uczuciami.

- Widziałaś te grube Walijki zasuwające na mieście z młodymi partnerami, ukazujące bez skrpułów swe nagie ciała? Nie przeszkadzają im rozstępy na brzuchach i zwisające cyce. Nie mają gustu w ubiorze, no i często brudne pięty, jak nasza Mendi pracująca na dole. Wiesz, o której mówię? - zapytał, spoglądając na Gabi pożądlwym uśmiechem spragnionego mężczyzny. Przykucnął obok niej na materacu. - Gabi - zwrócił się do niej chrapliwym głosem i spojrzał na nią pełnym pożądania wzrokiem. - Spójrz na siebie, może nie w tej chwili, nie w tym uniformie, ale jesteś fajna babka jeszcze warta grzechu. Wyglądasz na jakieś dziesięć lat młodziej niż masz.

W tym momencie klapnął, aż materac podskoczył, i podłożył ręce pod głowę.

- Wiesz co, młody chłopaku? - Gabi odwróciła się do niego i skrzywiła usta. - Czekaj ty sobie na swoją Agnieszkę, a teraz zabierajmy się do pracy.

Była bardzo poważna. Powoli wstawała. Marek był szybszy. Podniósł się pierwszy jak sprężyna. Podskoczył i podał jej rękę.

- No, wstawaj! - Patrzył jej w oczy jak zakochany kundel. Była całkowicie zmieszana po raz drugi tego dnia, ale zachowywała się z godną powagą dojrzałej kobiety.

- Mógłbyś być moim synem, durniu, smarkaczu. Skończony temat. Zabierzmy się do mycia i ubrania Lilly, ja zrobię toaletę, a ty pościel łóżko i uprzątnij pokój. - Tym razem dyrygowała jak matka synem.

- Na pogaduszki straciliśmy jakieś dziesięć minut.

- Nadrobimy. Spoko, spoko.

Odslaniając ciężkie zasłony, odwrócił się i zdecydował za nią:

- Pójdiesz do Betty, twojej faworytki, a ja zrobię następny pokój Franka i zawiozę go do jadalni.

- OK.

- Nie przyznawaj się, że robimy pokoje osobno. Wiesz z treningów, że przy podopiecznych pracuje się we dwójkę ze względu na możliwą przemoc. W innym wypadku możemy stanąć do raportu. Nigdy nie wyrażaj zgody na samodzielną pracę, kiedy będziesz miała korytarz z Hindusem albo z Walijkami. Możesz dogadać się tylko z Filipinkami, to fajne dziewczyny. Dantonowi też możesz zaufać.

Gabi poszła do pokoju Betty. Bardzo ją lubiła. Zawsze żałowała, że ma za mało czasu, który mogłaby jej poświęcić.

xxx

Drzwi otwierała powoli.

- *Good morning, my sweet lady.*

Betty podnosiła głowę tak wysoko, jak tylko mogła. Widać było, że z trudem dźwigała jej ciężar. Twarz jej rozjaśniała się uśmiechem z sekundy na sekundę, oczy nabierały blasku, stawały się bardziej wyraziste.

Ruch ręką po włosach świadczył, że wstydziła się swojego porannego wyglądu.

- Śniłaś mi się dzisiaj - Betty zagadnęła słodko.

Betty była chętna do rozmów ze wszystkimi. Gabrysia usiadła naprzeciw pólśiedzącej w łóżku staruszki. Patrzyła jej prosto w oczy, które wyrażały tyle próśb naraz. W swoich snach widziała właśnie te proszące oczy.

- Jak ci się śniłam? - zapytała, biorąc dłoń Betty w swoje ręce. Zaczęła je lekko głaskać, pocierać.

- Miałaś na sobie fioletową, klasyczną sukienkę i byłaś dużo młodsza. Sprzątałaś tynk, który spadał na podłogę z sufitu i ciągle powtarzałaś, że musisz mi go oczyścić.

Gabi w nienaturalnym odruchu puściła rękę Betty. Złożyła swoje dłonie jak składa się do modlitwy, ścisnęła wargi mocno, z całej siły, aż poczuła ból. Tego potrzebowała.

- To niemożliwe, to niemożliwe - nawet nie zwróciła uwagi, że słowa te wypowiedziała po polsku.

- Co mówisz? - zapytała Betty.

- *It is not possible, it is not possible.*

- Co jest niemożliwe?

- Betty! Mamy podobne sny! ja też śniłam o kobiecie w fioletowej sukience, ale to była moja matka. Miałam ten sen kilka miesięcy temu. To znaczy... - tu zaczęła się plątać i jąkać, pomagać sobie rękoma jakby nie umiała dobrać słów. - Do dzisiaj nie wiem, czy działo się to naprawdę, czy był to tylko sen. Ale w moim śnie ona również oczyszczała podłogę z tynku z sufitu. Dokładnie tak jak ty opisujesz. Zrozum, ja jestem do mojej matki bardzo podobna więc, może wzięłaś ją za mnie.

Gabriełę ogarnął lęk, jakiś niezrozumiały strach. Aż ciarki ją przeszły. Rozplotła ręce i przesunęła po swoich włosach w odruchu niepokoju.

- Betty, na pewno jeszcze porozmawiamy. Cały czas tu pracuję. Teraz muszę cię umyć, ubrać i zawieźć do jadalni. W trakcie możemy rozmawiać.

- Najchętniej zostałabym w pokoju i chciałabym, żebyś z niego nigdy nie wychodziła, czuję od ciebie takie dobre wibracje, jakbyśmy nadawały na jednej fali. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego jesteś mi taka bliska, ty, kobieta z Polski.

Gabriela powoli zmieniała jej bieliznę.

- Co chcesz dzisiaj założyć? - spytała, patrząc w prosto w oczy Betty i uśmiechając się dobrotliwie.

- Tę czerwoną spódnicę, beżową bluzkę i ciepły sweter, który leży na fotelu.

Gabi ubrała ją i posadziła na wózku inwalidzkim. Pierwsza godzina pracy dała jej już w kość.

- Gabi, proszę, po śniadaniu przywieź mnie na relaks z po-

wrotem do pokoju. Proszę, proszę. - Wwierciła wzrok w oczy Gabrysi tak błagalnie, że ta nie mogła odmówić.

- Oczywiście, pani księżno. - Nachyliła się i pocałowała ją w czoło.

Po chwili Gabi pchała już wózek z Betty do jadalni. Pokochała tych staruszków, choć nie do wszystkich pałała taką sympatią jak do Betty. Niektórych podopiecznych unikała. Na przykład Anitę, tę bez nogi, która stawiała cały Dom na nogi. Wszyscy się jej bali jak ognia. Czasami opiekunki przechodząc korytarzem schylały się nisko i na kuckach przechodziły obok jej pokoju, do którego były zawsze otwarte drzwi przesłonięte dużym fotelem, aby ich nie zauważyła. Nie było godziny, w której Anita nie wzywała głośno dyżurnych, bo zawsze miała jakieś nowe życzenia. Często udawały, że nie słyszą. Kiedy krzyk był nie do zniesienia, któraś z opiekunek zaglądała do pokoju i spełniała życzenia.

- Ta polska małpa nie mówi po angielsku - narzekała na Gabi. Nie lubiła obcokrajowców. - *Fuck, you fuck...* - powtarzała niejednokrotnie, widząc Gabrysię w drzwiach.

Na szczęście Gabi nie robiła jej toalety. To była praca dla wybranych Walijek.

xxx

Podczas śniadania na oddział przyszła pani dyrektor Domu. Chwilę rozmawiała z dyżurującą pielęgniarką i weszła do jadalni.

- Dzień dobry wszystkim. - Gabrysia obejrzała się za siebie. - Właśnie do ciebie przyszłam - powiedziała, stojąc przed Gabi. Była wyprostowana, elegancka. - Czy możemy spotkać się po śniadaniu u mnie w biurze?

Gabrysi zastygła ręka, w której trzymała łyżkę. Drgnęła niewidocznie. Nigdy nie bywała na dywaniku. To był lekki szok. Nawet nie wiedząc kiedy, wypuściła łyżkę z dłoni. Krzyknęła:

- O Jezu!

- *Don't worry, don't worry...* - powtórzyła Agnes, widząc jej roztargnienie. - Kochanie, jeśli możesz, weź sobie do pomocy jako tłumacza na przykład Marka. A teraz, proszę, spokojnie kontynuuj karmienie.

Powoli odeszła. Ręka Gabrysi drżała, oblało ją wewnętrzne ciepło. Pierwszą myślą było zwolnienie z pracy, jest jeszcze w okresie próbnym, więc mogą ją zwolnić. Nie, to niemożliwe, przecież nie zrobiłam nic takiego, za co mogłabym być ukarana. Próbowała sięgnąć pamięcią do wszystkich chwil spędzonych w Domu. Nie znalazła żadnych uchybień. A może o czymś nie wiem? - pytała samą siebie. Minuty wlokły się w nieskończoność. Rwetes po śniadaniu. Trzeba znowu wszystkich przeprowadzać z jadalni do świetlicy oraz zawieźć Betty do jej pokoju, tak jak sobie życzyła. A potem z niepokojem wsiadała do windy. Obok stał Marek, którego poprosiła o pomoc, tak na wszelki wypadek.

- Spoko, spoko, Gabi. To tylko rozmowa, przecież ci nic nie zrobią - zapewniał ją.

- Łatwo ci mówić, nie jesteś na próbnym. Ciebie lubią, a ponadto jesteś jedynym białym facetem na tym oddziale, więc masz względy u pań. Ja z kolei mam fatalny akcent, mówię niepoprawnie, choć z każdym dniem lepiej.

Winda zatrzymała się. Wyszła pierwsza.

W pokoju pani dyrektor było już kilka osób. Pod Gabrysią ugięły się nogi, lecz z podniesioną głową zajęła wskazane miejsce. Agnes siedziała naprzeciwko.

- Gabi, są na ciebie skargi, że źle pracujesz, że jesteś ciągle zamyślona. Czy wiesz o tym, że dwukrotnie zostawiłaś w pokoju brudną pieluchę? Pracownik tego Domu nie może o niczym zapominać. Byłaś na szkoleniu i znasz zasady, że wszystkie własne problemy zostawiamy w swoich domach, a tu całkowicie

poświęcamy się ludziom. Dla nich tu jesteśmy. Wyobraź sobie, że przychodzi rodzina w odwiedziny, a w łazience leży brudna pielucha. To karygodne, to robi nam złą opinię. Care Home, jak wiesz, bierze udział w konkursach na najlepszy, najczystszy dom opieki. Do tej pory w rankingach osiągamy najwyższe miejsca. Co masz na swoją obronę? I czy dobrze rozumiałaś zarzuty? -spytała, uśmiechając się anielsko.

Gabrysia nerwowo poruszyła się na krześle, dłonie podniosła na wysokość piersi i zaczęła nerwowo je pocierać, jakby zaraz po umyciu.

- Tak, rozumiałam wszystko. Trochę trudniej będzie mi się bronić, ale myślę, że Marek mi pomoże.

- Wiesz, że są to bardzo poważne zarzuty.

- Nie, nie wiem. Nikt mi nie powiedział, że zostawiłam dwukrotnie pampersy w łazience. Gdyby zwrócono mi uwagę na oddziale, na pewno bym się poprawiła i nie byłoby problemu. A co do mojego roztargnienia, mam swoje powody, o których właśnie chciałam porozmawiać, ale dopiero po Nowym Roku.

Dalej zwróciła się do Marka po polsku:

- Pomóż mi, chodzi o Steve'a.

Rozpoczęła powoli, z łezką w oku, swój monolog:

- Być może to jest mój stryj. Wszystko by się zgadzało, nawet to, że tylko przy mnie nie jest agresywny. Zresztą każdy to zauważył. Bardziej to czuję, niż wiem. Często staram się zrobić szybko zadaną pracę i biegnę do niego choćby na pięć minut, by pogadać, tak po prostu, o niczym. Nie wypytywałam go o nic, ale jego życie mnie intryguje i może być powodem, że jestem ciągle zamyślona. Dziwne jest także, że Betty ma takie same sny jak ja. To wszystko jakieś irracjonalne. Chciałabym o tym z kimś porozmawiać, ale boję się, że wezmą mnie za wariatkę. Pewnie dlatego czasami odlatuję myślami i jestem nieobecna. Powiedz jej, Marek - spoglądała na niego błagalnym spojrzeniem - że przepraszam i nigdy więcej się to nie powtórzy.

Do tej pory trzymała się jak dumna Polka, ale kiedy Marek zaczął tłumaczyć, rozkleiła się jak zwyczajna baba. Martina z biura socjalnego podała jej szklankę wody i chusteczkę. Gabrysię peszyło te kilka osób, przed którymi przyszło się jej zwierzać. Bolesnie poruszona uwagą o jakości pracy, po prostu się rozplakała.

Wszyscy wysłuchali w wielkim skupieniu opowiadanie Marka. Dyrektorka założyła nogę na nogę, co było oznaką zakłopotania i kręciła się na obrotowym krześle.

- Gabi - zaczęła delikatnie. - już ze dwa miesiące temu dotarły do mnie jakieś ploty, że na oddziale leży twój stryj. Wzięłam te wiadomości za jakieś brednie, ale wobec tego co dzisiaj usłyszałam, jestem skłonna ci pomóc i sprawdzić dokładnie, kim naprawdę jest Steve Mazur. Wiemy tylko, że pochodzi z Polski i po wojnie osiadł w Walii, jego żona, Walijka, zmarła kilka lat temu. Jest samotny, bezdzietny. To wszystko. Dlaczego nie przyszedł do mnie z tym problemem?

- Nie umiałam.

- To źle, bo jestem tu po to, by chronić także moich pracowników.

Wypowiedziała jeszcze raz imię Gabi i wstała, dając do zrozumienia, że to koniec rozmowy. Gabrysia również się podniosła.

- Głowa do góry, wracaj do pracy, a wszystko będzie dobrze. Była tym razem naturalnie serdeczna. Gabrysia umiała to

wyczuć. Agnes podała rękę jakby na zgodę, dopowiadając:

- Za wyjaśnienie tej przedziwnej sytuacji zabiorę się dopiero po Nowym Roku. Teraz przygotowujemy się do świąt. Ponieważ trzeba to wszystko sprawdzić w Departamencie Ewidencji Ludności, musisz uzbroić się w cierpliwość. Procedura może trwać nawet około roku. Myślę, że przydałoby się przeprowadzić prywatne śledztwo: czy miał przyjaciół, sąsiadów. Trzeba to wszystko sprawdzić. A teraz do widzenia. - Dopiero wtedy delikatnie puściła dłoń Gabi.

Roztrzęsiona Gabrysia wróciła na oddział. Jeszcze trawiły ją emocje, ale starała się spokojnie zajmować pracą. Niestety, ciekawskie walijskie wrony obsiadły ją. Pierwsza podeszła gruba Berta.

- Oberwałaś, co? Ktoś cię zakapował? - spytała z satysfakcją.

- Wyobraź sobie, że nikt mnie nie nadał. Wręcz przeciwnie, zostałam pochwalona, a Agnes wezwała mnie w całkiem innej sprawie - Gabi kłamała jak z nut.

Skoro nie było sensacji, kobiety szybko się rozeszły, każda do swoich zajęć. Gabrysia weszła do kantorku, zagadując zatopioną w dokumentach Dorothy:

- Pozwól mi iść na dziesięć minut do Steve'a. Chcę z nim porozmawiać - spojrzała błagalnie.

XXX

Powoli otwierała drzwi do pokoju Polaka.

- Hej, dzień dobry! To ja, Gabrysia.

Wchodziła niepewnie, powoli, bo знаła z opowiadań agresję tego człowieka, choć sama się z nią nie spotkała. Dla niej był spokojny, czasami tylko wykonywał nerwowe, nieskoordynowane ruchy, które świadczyły o jego niezrównoważonych emocjach. Kiedy pracowała na jego korytarzu, nigdy robił problemów, p oddawał się czynnościom związanym z toaletą jak doświadczalny królik. Ale bywały dni, że nikt z opiekunów nie mógł sobie z nim poradzić. Wówczas wzywano Gabi na pomoc. Nieraz pytano się jej, co ona ma w sobie takiego, że ten staruszek słucha każdego jej polecenia.

Był małomówny, czasami jąkał parę słów po angielsku albo po polsku. Słowa nie miały związku z zadawanymi pytaniami. Choć czasami były to odpowiedzi logiczne, na przykład *sorry* albo po prostu polskie „przepraszam”. Wsunęła się do pokoju lekko jak duch. Nie wiedziała, jak zacząć rozmowę.

Steve siedział w swoim wygodnym fotelu, nogi miał oparte o podnózek, ręce bezwiednie, jak sparaliżowane, opadały na poręcze fotela. Przysiadła naprzeciwko na brzegu łóżka, położyła ręce na kolanach.

- Będę mówiła do ciebie po polsku. Rozumiesz, bo jesteś Polakiem. Moje panięskie nazwisko to Mazur. Może jesteś moim stryjkiem? Może jesteś członkiem mojej rodziny? Nosimy takie samo nazwisko. Powiedz mi coś o sobie, proszę.

Starzec poruszył się nerwowo, uniósł do góry spuszczoną głowę, ręce zarzucił na kolana, jego krótkie spojrzenie odbiło się w jej oczach jak w zwierciadle. Nagle zaczął drżeć. Ręce podnosiły się, to znów opadały. Całe ciało drżało jak przy Parkinsonie.

- Mam guza mózgu, został mi najwyżej rok życia. Przegrałem, przegrałem, przegrałem - głos podnosił coraz wyżej i wyżej, aż pokój wypełnił się jednostajnym krzykiem. Trząsał się coraz bardziej. Gabrysia ze strachem wyleciała na korytarz.

- *Help, help* - krzyczała.

Biegła pustym, długim korytarzem w kierunku kantorka. Nie było nikogo. Wpadła do świetlicy.

- Berta! - krzyczała. - Szybko, proszę, coś dziwnego dzieje się ze Steveem.

Berta odłożyła filiżankę, do której chciała nalać herbaty. Przy wózku została jedna z niewielu szczupłych Waliijek, Helga. Reszta opiekunek rozpierzchnęła się gdzieś po oddziale wykonując swoje prace.

- Co się dzieje? Co się dzieje! - Biegły do Steve'a.

- Gdzie jest Dorothy - nerwowo pytała Gabrysia.

- Prawdopodobnie poszła do Agnes.

Drzwi były szeroko otwarte, tak jak Gabrysia je zostawiła. Steve już nie krzyczał, leżał na podłodze cały w konwulsjach, zwinięty w kłębek.

- Szybko po pielęgniarkę i lekarza. On potrzebuje pomocy.

- Zostań w pokoju, proszę. Nie dotykaj go, ja biegnę po pomoc.

Berta wybiegła. Konwulsje nie ustawały. Gabrysia przyklękła na podłodze, ujęła dłoń Steve'a i zaczęła pieszczotliwie głaskać.

- Będzie dobrze, będzie dobrze.

Dłoń drżała tak mocno, że niemal wymykała się z jej ręki. Kilka minut, kiedy czekała na pomoc, zdawały się wiecznością. Pierwsza wbiegła Agnes za nią Dorothy i pielęgniarka z dolnego oddziału.

- Gabi, wyjdź, proszę. Zaraz będzie pogotowie. Ciebie znowu poproszę do biura. - Agnes nie uśmiechała się tym razem.

Powoli ze spuszczoną głową, markotna, dźwigając winę za to co się stało, Gabrysia wlekła nogę za nogą. Zamknęła się w oddziałowej kuchni, gdzie dzisiaj był jej dyżur, przykucnęła w rogu, zakryła twarz rękoma i zaczęła najpierw łkać, aż rozplakała się na dobre. Otworzyły się drzwi i wjechała wózkami Helga z brudnymi naczyniami po przedpołudniowej herbatce. Stała przed nią z pełnym współczuciem ubolewaniem.

Przykucnęła i objęła ją za szyję. Chciała ją pocałować, ale Gabrysia zrobiła unik.

- Zrobić ci herbatki? - zapytała dobrotliwie Helga.

- Nie. Mam dosyć dzisiejszego dnia, a przecież jeszcze nie koniec.

- Może napijemy się herbaty? - Helga ponowiła pytanie. - Opowiedz mi, co się stało.

Herbatka była panaceum na wszystko: na agresję mieszkańców, na niepogodę ducha, na humory. Herbatę podawano mieszkańcom kilka razy dziennie, do niej zawsze jakieś ciasteczka, a po obiedzie owoce.

Gabrysi wydawało się, że dla mieszkańców zawsze był czas na herbatę. Ale właśnie dlatego opiekunki nigdy nie miały czasu, żeby przysiąść na pięć minut i odpocząć. Gabrysia wiedziała, że

w Anglii nie płacą za siedzenie, tylko za efektywną pracę. Kiedy była zmęczona wiecznym bieganiem, przysiadła czasami po kryjomu na parę minut. To dawało ukojenie jej obolałym nogom i ramionom nie nawykłym do takiego dźwigania. Helga naląła herbatę i podała ciasteczka.

- Dobrze, spróbuj - prosiła, a jedno nawet włożyła jej wprost do ust.

Gabrysia wydeła wargi i ugryzła kawałek, jeszcze łkała i niemal się nie zakrztusiła. W tym momencie weszła pielęgniarzka Dorothy. Miała srogą minę.

- A wy co? Która ma dziś kuchnię?

- Gabi - odpowiedziała Helga.

- A ty co, adwokat diabła? - obruszyła się Dorothy. - Zrobisz za nią kuchnię, a Gabrysia pójdzie ze mną.

- Tak, ale... - chciała tłumaczyć się Helga.

- Ale co? - głos Dorothy zabrzmiał złowrogo.

- ja mam teraz kąpiele.

- Kąpiele zaczekają - ucieła krótko i odwróciła się na pięcie. Za nią ze spuszczoną głową szła Gabrysia. Znowu poczuła to ogłuszające bicie serca, te kolki w całym ciele i wrażenie uciekania wszystkich myśli z głowy.

- To był bardzo zły dzień - Gabi podsumowała zdarzenia, siadając do stołu razem z Julką.

Przy końcu rozmowy płakały już obie. Julka była pełna obaw o przyszłość swoją i rodziny.

- Mam kilka miesięcy na podjęcie decyzji o swoim życiu. Nie wiem, czy sprzedać dom i sprowadzić tu męża i syna, czy tylko syna, a z mężem się rozejść.

- Nigdy o takich zamiarach nie opowiadałaś. - Zaskoczona Gabi zrobiła duże oczy.

- Podoba mi się cholernie jeden facet. Znasz go. Ten pielęgniarz z mojego oddziału, Peter. Ja też mu wpadłam w oko. Coś planujemy - dokończyła.

Gabrysia była dyskretną osobą, więc nie pytała, skoro Julka nie chciała powiedzieć nic więcej. Zmęczona poszła do swojego pokoiku, a raczej celi więziennej, jak go nazywała. Rozebrała się i zmęczona rzuciła się na materac. Nawet się nie przykryła. Myśli krążyły jak złowrózne ptaki z połamanymi skrzydłami, które trzepotały i trzepotały nie dając upragnionego spokoju.

Nie było już w niej ani śladu tej wesołości i uniesienia, z jakim przyjechała do Anglii. Pokój oświetlało czerwone światło wpadające do pokoju z ulicy. Leżała z otwartymi oczyma i rozczochraną czupryną wtulając się w poduszkę. Wzrok mimo woli przesunął się po granatowym niebie. To, co jeszcze niedawno budziło jej zachwyty, przerodziło się w tęsknotę za domem, za mężem, za córkami i wnukiem. Czuła się nieszczęśliwa i bardzo samotna. „Mamo! Czemu mi los zgotował takie życie? Nie takiego pragnęłam. Nie wiem, czy wytrzymam tu cały rok. Jest mi za ciężko, tęsknię, a dopiero minęły dwa miesiące”. Kilka grubych łez potoczyło się na poduszkę.

W końcu odwróciła się na wznak, przymknęła oczy, przykryła się kołdrą i z myślami o matce, zmęczona zasnęła.

xxx

- Wszystko w porządku - Julka powiedziała cicho, dotykając jej ramienia. - To tylko zły sen.

Gabrysia już siedziała na łóżku podparta na łokciach z szeroko otwartymi oczyma. Nerwowo zrzuciła z siebie kołdrę.

- O Boże! Ale koszmar. - Jeszcze ciężko dyszała. - Co ty tu robisz? - spytała lodowatym tonem.

- Strasznie krzyczałaś. Aż mnie obudziłaś. Przypuszczam, że sąsiedzi zza ściany też słyszeli. W pierwszej chwili nie wie-

działałam, co się stało. Gdy krzyk nie ustawał, zbiegłam szybko i zrozumiałam, że coś paskudnego ci się śniło.

- Nawiedził mnie parszywy sen. Myślę, że u jego podłoża były ostatnie przeżycia. Widziałam żywe serca w otwartej gablocie. Było ich dużo: od najmniejszego do największego. Wszystkie jeszcze drgały, choć były poza ciałami. Za gablotą moja nieżyjąca już matka czytała Biblię otwartą na stronie z psalmami. Nie uśmiechała się, jak zawsze w moich snach, lecz płakała. A ja czekałam w jakiejś kolejce. Następne serce miało być moje. Zrozum, ktoś chciał mi je żywcem wyciąć. To było straszne. Chyba stąd mój krzyk.

Julka zastanawiała się nad snem koleżanki. Nie wygłosiła żadnego komentarza.

- Idź już na górę - uspokajała ją Gabrysia. - Zostaw tylko małe światło na korytarzu.

- Muszę zgasić, bo nie mamy na karcie kredytu na opłatę. Będzie trzeba jutro uzupełnić.

- No, idź już, idź! - błagała zmęczona.

Cholerne karty: prąd na kartę, gaz na kartę. Może i miłość na kartę?

Z myślami o codzienności Gabi ponownie zasnęła. Czekał ją tak zwany długi dzień, czyli dwanaście godzin pracy.

Szybki prysznic, żeby wyrzucić senne majaki, śniadanie i do pracy. Gabrysia dzisiaj z chęcią pospałaby dłużej. Na zewnątrz ciemno, w domu chłodno, bo oszczędzają na czym się da. Wyłączają gaz, kiedy wychodzą z domu, również w nocy, kiedy śpią. Dzisiaj Julka ma wolne, więc kiedy Gabi wróci wieczorem, będzie w miarę ciepło. Zbiegła szybko po schodach, nerwowo otwierała drzwi, bo było już późno.

Znowu padało. Silny podmuch cisnął jej w twarz strzępy mgły. Z parasolki zrezygnowała. W zacinającym od morza desz-

czu zasuwawa dwadziecia piec minut otulona kapturem i dlugim szalem. Wiatr i deszcz cial po twarzy, prawie nic nie widziala. Szla po chodniku, ktory znala na pamiec. Przechodzila obok niskich okien jakby wyrastajacych z ziemi. Zasloniete byly zaluzjami, bez firanek, brudne.

W Polsce to sa okna - pomyslala. - Gdy w nie zagladasz, to zdaje sie, ze miasto urzadzilo konkurs na najpiekniejsze.

Kiedy juz przebrana stala w windzie, ujrzala swoja czerwona twarz, na ktorej czula jeszcze morski naturalny masaz. Dzisiaj dyzur pielęgniarski miala nie lubiana Vera. Byla to trzydziestoletnia Afrykanka z Zambii na czteroletnim kontrakcie. Pracowala juz ponad dwa lata. Bardzo zaprzyjaznila sie z Walijkami, a trzymala dystans do europejskich emigrantow. Gabrysi wydawalo sie, ze zawsze przydzielala jej najgorszy korytarz, nakazuje najwiecej kapieli i nie daje chwili na wytchnienie.

Ciagle za plecami slyszala swoje imie: Gabi zrobc to, Gabi zrobc tamto. Dokladala nawet dodatkowe prace nie uje te grafikiem, wyslugiwala sie Polka, jakby ta byla meblem do przesuwania. Gabi wiedziala, ze nie moze odmowic wykonania polecenia, posluszna wszystkim rozkazom ulegala pokornie. Biegala wiec po korytarzach, wykonywala sluzbowe obowiazki, ale zaciskala mocno wargi. Kiedy smiertelnie zmeczona, spocona, ponownie slyszala swoje imie, miala ochote napluc tamtej w twarz, lecz ulegla postawie kamuflowala swoje zamiary.

Tego dnia poczula sie slabo. Siedzac na stoleczku i karmiac jednego z mieszkancow, omal nie spadla. Opadla na ramie Filipinki, ktora karmila Petera.

- Gabi! - krzyknela. - Dlaczego sie o mnie opierasz? O mały włos nie upuscilam lyzki.

- Nie wiem, co sie mi stalo, jestem dzis slaba jak niemowle - tłumaczyła sie Gabrysia.

Nagle wstala, jakby porazona piorunem.

- Już wiem, nie wzięłam leków.

- Biegnij do Very, niech ci zmierzy ciśnienie. Pomóc ci? -zapytała ciepło Filipinka.

Po kilkunastu minutach siedziała już w służbowym samochodzie i Leo wiózł ją do domu po tabletki. Nie przyszło jej to łatwo. Musiała dostać zgodę Agnes, która ze złością, choć uśmiechając się od ucha do ucha, dała do zrozumienia, że służbowe samochody nie są do prywatnych przejazdów.

- Pierwszy i ostatni raz idę ci na rękę - powiedziała. -W przyszłości w takim przypadku musisz podczas przerwy wziąć taksówkę.

Gabi skromnie, z pochyloną głową, podziękowała i nawet zrobiła dyg małej dziewczynki. Kiedy wysiadała z samochodu, była słaba jak gołąbek. Czowała drżenie całego ciała, jakby miała delirkę. Świadoma objawów cukrzycy, pragnęła jak najszybciej zażyć tabletki, również na nadciśnienie. Drżącymi rękoma otwierała drzwi do mieszkania. Po schodach szła powoli trzymając się poręczy jak staruszka. Z jej pokoiku dochodziły jęki i sapanie. Nie wiedziała, co się dzieje. Lekko przyspieszyła, stawiając szybciej kroki, a ostatnie dwa schodki przeskoczyła resztkami sił. Stała tuż przy otwartych drzwiach.

- O, kurwa! - to było jej pierwsze przekleństwo w Anglii. -Co wy tu robicie? - Ciśnienie w ciągu kilkunastu sekund wzrosło jej na tyle, że nie były potrzebne leki. Zabułgotała złością.

Julka była przykryta pielęgniarzem jak kołdrą. Peter capnął w odruchu zaskoczenia ręcznik leżący na parapecie okna, owinął się nim i wyskoczył jak poparzony na górę do pokoju Julki. Jego partnerka szybko podniosła kołdrę leżącą na ziemi i się przykryła. Gabrysia trzasnęła z całej siły drzwiami i poszła do kuchni. Zażyła wszystkie tabletki, wypła szklankę wody. Wychodząc krzyknęła, kierując głos na schody prowadzące do pokoju Julki.

- Porozmawiamy jak przyjdę wieczorem.

Tego dnia miała ją spotkać jeszcze jedna przykrość. Gdyby o tym wiedziała, nie wróciłaby do pracy. Pod koniec dnia, kiedy przygotowywała wózek na nocną zmianę i zamyślona wykonywała swoją pracę w sposób mechaniczny, obudził ją z odrętwienia silny głos Very. Aż drgnęła.

- Gabi, Gabi, Gabi - echo murzyńskiego basu niesło jej imię po całym korytarzu.

- Tak, słucham - powiedziała cicho.

Podeszła do wózka, na którym czarna pielęgniarzka rozkładała leki. Vera stała sztywna, z wysoko podniesioną głową, jakby połknęła kij.

Postawa charakterystyczna dla wszystkich Afrykanek. Odczuwało się w tej pozie ich dumę, którą nosiły w genach. Chodziły bardzo powoli, nigdy się nie spieszyły. Robiły wrażenie osób bardzo pracowitych i umiały wykorzystywać emigrantów zza wschodniej kurtyny. Te cechy miały opanowane do perfekcji. W sumie nie można było im niczego zarzucić, a jednak po dwóch miesiącach obserwacji Gabryśia wiedziała swoje. Przyjazne były dla tutejszych, a niemiłe dla innych.

- Podnieś ten papierek, proszę - wzrokiem wskazała kawałek kartki leżącej u jej stóp.

Drgnęła jakby ukąsiła ją pszczoła. Zabolało. Opuściła swoje miejsce i szła przez cały korytarz, aby damie usunąć spod nóg papierek.

Schyliła się posłusznie, spuchnięta od afrykańskiego jadu. Podniosła, wyprostowała się dumnie jak Murzynka, też podniosła wysoko głowę i powiedziała:

- Bardzo proszę. - Uśmiechnęła się przy tym uśmiechem numer sześć.

- Aaa... Przypominam ci, że jeszcze masz dzisiaj służyć - mówiła, nie zmieniając postawy i nie spoglądając na Gabrysię.

Kiedy kończyła pracę wieczorem, zawsze jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności musiała wynosić worki z brudnymi pampersami.

Jakby ta praca była szczególnie dla niej przeznaczona. Worki ogromnie śmierdziały, ich zapach wkręcał się w nozdrza. Wdychało się przy tym bakterie, aż ogarniały całe wnętrze człowieka. Gabrysia miała wrażenie, że sama stawała się śmierdzącą masą. Bolesnie odczuwała ten rodzaj ukrytej, cichej dyskryminacji. A przecież sama dawała na nią przyzwolenie. Nie umiała się zbuntować, nie umiała odmówić wykonania służbowego polecenia. Ale gdzieś wewnątrz jej jaźni się gotowało. Naruszone zostało jej prawo do godności.

Kiedy wieczorem w strugach deszczu wracała do domu, myślała tylko o tym, żeby jak najszybciej położyć swoje zmęczone ciało. Mokłą odzież przerzuciła przez poręcz schodów, na której niejednokrotnie suszyły swoje szmatki. Zajrzała do kuchni, ale nie miała siły nic jeść. Tylko zażyła tabletki. Kiedy nalewała sobie wody z kranu do ich popicia, zauważyła na blacie kartkę zapisaną dużymi literami: „Gabi, bardzo cię przepraszam. Nie mam odwagi z tobą na ten temat rozmawiać. Proszę, nabierz dystansu i mi wybac. Porozmawiamy któregoś dnia, kiedy obie będziemy miały wolne”. Przeczytała i pomaszerowała do swojej celi.

Nie ubierając nocnej koszulki, rzuciła się na łóżko. Myślała, że zaśnie od razu. Bardzo się myliła. Zawsze tak było, kiedy padała ze zmęczenia, a przecież dzisiejszy dzień obfitował w dodatkowe nieprzyjemne sytuacje.

Rzucała się na łóżku jak pchła, która nie wie, gdzie zaatakować. Zmieniała pozycję, to znowu podkurczała nogi aż pod brodę, łapała się oburącz i siadała. Kołysała się jak chora psychicznie, tuląc głowę do swoich ud. Chciałaby teraz z kimś porozmawiać, wyzalić się, choć dobrze wiedziała, że utyskiwanie i żalenie się na los nic nie pomoże.

Najchętniej zawołałaby Julkę, ale jeszcze czuła do niej złość, że tak okrutnie się szmaci. Gabrysia nie uważała się za świętą, niejednokrotnie miała grzeszne myśli, marzyła o wspaniałym romansie, lecz partner musi spełniać jej oczekiwania. Marzeniami sięgała wysoko, pewnie zbyt wysoko. Zawsze twierdziła, że jedną z niewielu rzeczy, za którą się nie płaci, są marzenia. Miała powiedzenie: „Bogaty jak moje marzenie”.

Znała swoją wartość. Często nosiła głowę wysoko jak Afrykanki. Powtarzała niejednokrotnie: „Jestem jedynym egzemplarzem na tym świecie, ba, nawet w całym kosmosie. Nie ma takiej drugiej, nie ma nawet podobnej do mnie”.

Tak kołysząc się do przodu, to znowu do tyłu, usłyszała głośnie kroki na schodach. Spuściła nogi, przysiadła. Nadśluchiwała. Kroki zbliżały się do ostatnich schodków. Milczała ogarnięta paralizującym strachem, który jednak otwierał szeroko jej źrenice. Było ciemno, bo Julka zasunęła żaluzje. Kto tu idzie do diabła o tej porze? - pomyślała. Kroki przystanęły obok poręczy, naprzeciw jej uchylonych drzwi. Podniosła głowę. Z ciemności zaczęła wyłaniać się postać. Najpierw jakaś bezkształtna masa, która puchła, nabrzmiwała. Zrobiło się jej zimno.

Zamarła w bezruchu. Chciała uciekać, krzyczeć, wezwać na pomoc Julkę, ale słowa zamarły na ustach, a ona cała zeszywniała. Po kilku sekundach z tej bezkształtnej masy wyłoniła się jej matka. Twarz widziała dokładnie, jakby oświetlało ją niewidzialne światło, natomiast oczy przyzwyczajone do ciemności nie zauważyły nóg. Nagle z gardła Gabrysi wydobył się nienaturalny krzyk: - Mamo! - krzyczała przeraźliwie i głośno. Obraz matki znikł, wraz z nim ustąpił paralizujący strach. Rzuciła się do ucieczki. Wbiegła na schody wiodące do pokoju lulki. Ta już stała w drzwiach w króciutkiej koszuli nie przykrywającej nawet jej tyłka.

- Boże! Co się dzieje? Czemu krzyczysz? - Przecierała oczy jak dziecko, które jeszcze niezupełnie się obudziło.

- Ja chyba majaczę. Albo mi się śniła, albo widziałam ją naprawdę. Moja matka tu była. Jeszcze nie spałam, byłam jakby w półśnie, kiedy usłyszałam kroki po schodach. Myślałam, że kogoś zaprosiłaś, nawet się ucieszyłam, bo byśmy były kwita.

- To jednak słyszałaś?

Gabrysia weszła do środka chyląc głowę, żeby się nie uderzyć o sufit. Siadła na łóżku Julki.

- Słyszałam, słyszałam - potwierdziła dwukrotnie. - Dobra, nie krępuj się. - Gabrysia uśmiechnęła się szczerze.

Julka podeszła do siedzącej koleżanki i objęła ją za szyję jedną ręką, a drugą ciągle naciągała koszulinę.

- Przepraszam.

- Przyjmuję - odparła krótko. Gabrysia nie umiała długo się gniewać.

Szybko zapominała o zadanych ciosach. Choć lojalność cenila sobie wysoko, umiała przebaczać i zapominać. Po prostu z wielką precyzją wymazywała z umysłu wszystko to, o czym chciała zapomnieć.

xxx

Wstały około południa, zjadły śniadanie i w dobrym humorze wyruszyły do miasta. Chciały się trochę powalęsać. Był ciepły, grudniowy dzień. Do Wigilii zostało tylko trzy dni. Najpierw zrobiły zakupy, już na święta. W markecie był przedświąteczny ruch. Długie kolejki do kas. Wychodziły z wielką ulgą. Na deptaku ludzie tłoczyli się dźwigając pełne torby prezentów. Ruch jak w mrowisku. Przed wejściem do ASDY dzieci śpiewały kolędy i zbierały datki na jakieś zbożne cele, stała wielka choinka, girlandy, światła. Zagonione tłumy robią świąteczną atmosferę. Gabi i Julka przytachały duże torby, resztkami sił wnieśli je po schodach. Wypiły kawę i poszły na długi spacer.

Przechodziły właśnie środkiem głównego deptaka. Po jednej stronie na samym rogu kończącej się ulicy stała stara, dwupiętrowa kamienica z dziewiętnastego wieku. Raziła oczy dużymi wystawowymi oknami, na których brud nie pozwalał zajrzeć do środka. Drzwi były pozamykane na cztery spusty, jedno wejście zabito dechami na krzyż. Dom był zaniedbany, opadał z niego tynk. Nie można rozpoznać, jakiego koloru była fasada łącząca się z wypielęgnowaną kamienicą, w której znajdował się bank. Po przeciwnej stronie, też na rogu, okazały, dwupiętrowy, świeżo odrestaurowany gmach, w którym znajdowała się publiczna biblioteka. Przed biblioteką stare, ale odnowione domy z ekskluzywnymi sklepami. Ten stary, zaniedbany budynek *vis à vis* biblioteki nijak nie pasował do odnowionych domów.

- Boże jak to wygląda? Spójrz na ten budynek - Gabrysia wskazała palcem na ruderę.

- A teraz ci coś powiem. - Julka złapała podniesioną rękę Gabrysi, dając do zrozumienia, żeby nie pokazywała palcem. Ta spojrzała na nią z oburzeniem i jednocześnie jej twarz wyrażała zaciekawienie:

- Co mi możesz powiedzieć o tej ruderze? - zapytała szybko.

- A właśnie, że mogę - Julka drażniła się z nią jak z dzieckiem.

- Umieram z ciekawości.

- W zeszłym tygodniu przeczytałam artykuł na temat właśnie tego budynku. Od ponad dziesięciu lat nikt nie chce nic w nim robić, bo tam po prostu straszy. Ponoć nie tylko w nocy, ale i w dzień słychać płacz dzieci. Ktokolwiek miał tu swój biznes, zawsze bankrutował. Były tam nawet swego czasu biura, ale musiano je przenieść winne miejsce, bo działy się jakieś dantejskie sceny. Nie pisali, co się działo. Władze miasta postanowiły więc sprowadzić specjalistów od zjawisk paranormalnych aż ze Stanów Zjednoczonych. Mają zająć się likwidowaniem duchów, żeby można było normalnie wykorzystywać ten budynek.

- A to ci heca. - Gabi kręciła głową. - Teraz rozumiem, dlaczego ten okazały gmach straszy swym wyglądem.

Przechodziły przez park okalający ratusz, za którym prosta droga prowadziła do zatoki, jakby za ratuszem kończyło się miasto. Zaczęło się ściemniać. Drogę oświetlały włączone już lampy, siąpił kapuśniaczek.

- Może wrócimy do domu? - ze smętną miną zapytała Gabrysia.

- Zimno ci? - Julka zamrugła, jakby jej coś wpadło do oka.

- Nie, ale robi się ciemno.

- Zobacz, cały teren jest dobrze oświetlony, a zmrok ma swój urok. Na pewno byłeś nad morzem wieczorem.

- Tak, nad Bałtykiem.

Gabi odczuwała zmęczenie, ból w nogach zaczął jej doskwierać.

W pracy codziennie robi ponad trzydzieści kilometrów i choć dzisiaj ma wolne, ból nie ustępuje. Uczucie niepokoju w związku ze zmierzchem osłabło, ale z kolei zaczął dokuczać jej głód. Zdecydowała jednak, że zrobi ten długi spacer.

Dochodziły już do wzgórza, za którym rozciągało się niewielkie jezioro zwieńczone białą wstęgą wody u ujścia, a płytka i wąska rzeka płynęła na zachód do morza. Tu swoje żerowiska miały mewy. Dotarły do zatoki akurat, gdy nadciągnął przypływ i morze rwało po piaszczystej równinie jak galopujący koń. Niesamowity szum, jakby złowrogi śpiew wynurzający się z ciemności.

Stały na mostku oparte o balustradę przy długiej alei ciągnącej się ze dwa kilometry. W dole obserwowały pustą plażę, która lada moment zapełni się wodą. Były świadkami cudu, jakim jest przypływ. Woda zabierała coraz to większe połacie plaży. Wpatrzone w tą otchłań nawet nie zauważyły jak bardzo

się ściemniło, tylko światła lamp, które ciągnęły się przez cały deptak, oświetlały ich sylwetki. Daleko jakiś mężczyzna spacerował z psem, który biegł obok swego pana.

- Wracamy - szepnęła Gabrysia, trzymając ręce w kieszeni, skulona jak zmarznięty psiak. - Z każdą chwilą odczuwam większe zimno, jeszcze się przeziębę.

Odwróciła się na pięcie gotowa do powrotu. Zima w Walii wygląda inaczej niż w Polsce, raczej przypomina jesień, jej melancholijne uroki przywodzą na myśl pozostałości weselnej uczty po wyjściu gości.

Smutek wdarł się do serca Gabi. Chciała szybko znaleźć się w domu, najeść i przykryć kołdrą, by zakryć depresyjny nastrój samotności, który w tej chwili odczuwała. Nawet nie powiedziała Julce, że patrząc na przypyływ myślała o rodzinie zostawionej dwa tysiące kilometrów stąd.

Tęsknotę nasilała nieprzyjemna aura, ciemność i mżawka.

Tylko dwa dni do Wigilii. W pracy wre. Ostatnie przygotowania. Dzisiaj porządki w szafach. Opiekunki przygotowują świąteczne ubrania dla swoich podopiecznych na pierwszy dzień świąt. Wyciągają najlepsze, choć nie każdy mieszkaniec takie ma. Każdy pracownik dostał dodatkowe zadania. Nie ma chwili odpoczynku. Przez oddział przewijają się goście, witają swoich bliskich, przynoszą torby pełne świątecznych prezentów: ubrania, słodycze, maskotki. Zostawiają również pełne torby słodyczy i owoców dla personelu w podziękowaniu za całoroczną pracę. Składane są one w pokoju przeznaczonym do treningu i będą dzielone zaraz po Świętach wśród całego personelu.

Z głośników rozbrzmiewa świąteczna muzyka. Opiekunki wykonują więcej kąpieli, w dzień Wigilii bowiem, jak również w czasie świąt, obowiązuje specjalny przywilej: nie będzie tych nieprzyjem-

nych dla niektórych mieszkańców czynności. Na korytarzu słysząc Filipinki śpiewające kolędy. Te drobne, małe istotki, które wyglądają jak kosmitki, świetnie znają angielski. Gabrysia chciałaby nauczyć się chociaż jednej kolędy. Obiecała jej to przyjacielsko nastawiona Fama. Lubiła z nią pracować. One umieją kraść cenny czas na odpoczynek, zamykając się w pokojach na choćby kilka chwil. Gabrysia wówczas słuchała z zainteresowaniem opowiadań o egzotycznym kraju, jakim są Filipiny, ojczyzna Famy. Gabrysia zaś opowiadała jej o Polsce, o ludziach, kulturze, zwyczajach.

Łączyło je wiele, między innymi ta sama katolicka wiara. Miały wzajemne zaufanie do siebie. To Fama uczuliła Gabrysię na pewne osoby, natomiast gardziła plotkami i wzruszała swoją dobrocią i miłością do podopiecznych. Umiała w trudnych chwilach pocieszyć, przytulić. Ta ciepła kosmitka spowodowała, że Gabrysia pokochała Filipińczyków. W jej umyśle zrodziła się myśl o wyjeździe na Filipiny, gdzie zaprosiła ją Fama. Gabrysia zaprosiła Famę do Polski.

Zawsze były szczęśliwe, kiedy w grafiku wyznaczono im wspólny korytarz. Fama przyjechała na pięcioletni kontrakt. Była również nowym pracownikiem, przyjechała zaledwie miesiąc wcześniej niż Gabi.

A przecież to od niej Gabrysia uczyła się, jak zachować pogodę ducha, nie nienawidzić starości, pokochać cierpienie.

Po śniadaniu wyszły na pierwszą przerwę. Odbywały je parami, każda para po dwadzieścia minut. Na parterze, w długim korytarzu, naprzeciwko szatni opiekunek i pielęgniarek, znajdowała się duża jadalnia.

Jedna część ściany była zabudowana szafkami, w których trzymały prywatne naczynia. Na długim blacie stał elektryczny czajnik, nieopodal kuchenka mikrofalowa i dziesięciolitrowy baniak z mineralną wodą. W kącie obok okna duży toster. Na sali sześć stolików z plastikowymi krzesłami.

- Hej, hej - śpiewająco zakomunikowała swoją obecność Fama i podeszła do stolika, przy którym siedziały już jej koleżanki z innego oddziału. Gabrysia zawtórowała w podobnym przyśpiewie krótkimi „hej, hej”. Przysiadła się do grupy.

- jak się masz, Gabi? - zapytała Desri, przyjaciółka Famy, z którą razem mieszkały.

- OK - odpowiedziała nieśmiało.

Naprzeciwko grupa Waliijek jadła swoje śniadania i głośno plotkowała. Gabrysia zaparzyła sobie herbatę i dodała plasterki cytryny.

- Dlaczego pijesz herbatę z cytryną? Przecież to świństwo. Herbatę pije się z mlekiem - wygłosiła swoje zdanie Eliza, pracownica z kuchni.

Przy drugim stoliku walijscy młodzieńcy zaczęli się głośno śmiać.

- W Polsce wszystko robi się inaczej - naśmiewał się tykowany chudzielec, a wtórowały mu chichoty kolegów.

- Co ty możesz wiedzieć o Polsce? - z gniewem zapytała Gabrysia, odwracając się twarzą w ich kierunku.

- Komunizm, Wałęsa. - jego głupkowaty śmiech zdawał się być jak tykająca bomba.

- No! To bardzo dużo, brawo! Moja wiedza o Anglii jest na poziomie uniwersyteckim, a twoja o Polsce jak dwuletniego dziecka z przedszkola - oddała, robiąc kpiącą minę.

Na sali wybuchła salwa gromkich śmiechów. Zawrzało. Śmiali się już wszyscy.

- Tyyyy, naucz się porządnie angielskiego - przeciągając słowa, wtrącił jakiś obcy typ. - Nie dosyć, że mówisz niepoprawnie, to jeszcze nie masz akcentu - zakończył ironicznym ochrypłym głosem. Podniósł prawy pośladek, przechylił ramiona na lewą stronę i buchnął salwą smrodu, śmiejąc się przy tym kpiąco.

- Mówię kiepsko po angielsku, ale jakoś mnie rozumiesz, a ty nie znasz żadnego polskiego słowa.

- Kuwa, kurwa, kuwa... Coś jeszcze? - zapytał złośliwie i beknął z całej siły, jak po sytym posiłku. Pokazał w ten sposób swoją pogardę do Polaków.

- Nikt was tu nie lubi, nędzarze z Polski. Wracajcie do siebie - nie darował, rozzłoszczony, rozpieniony.

- Gabi, nie odzywaj się więcej! - szepnęła na ucho Fama. -To cham, wszyscy o tym wiedzą.

Gabrysia odwróciła się tyłem, ale przedtem jeszcze pokazała mu język.

Na stoliku Filipinki rozłożyły już swoje podgrzane w mikrofalce pudełeczka.

Gabrysia podziwiała ich sposób odżywiania. Wydawało jej się, że codziennie jedzą takie same wegetariańskie posiłki, lecz dziś zauważyła mięso w potrawce.

- Myślałam, że wy wszyscy jesteście wegetarianami. Wasze potrawy zmieszane z ryżem robią wrażenie bezmięsnych - Gabi podzieliła się swoimi obserwacjami.

- Chcesz spróbować? - zapytała Desri

- Może trochę...

Gabrysia po raz pierwszy w życiu kosztowała filipińskie jedzenie. Nie smakowały nieznane jej podniebieniu przyprawy, ale udała, że zjadła z apetytem.

- Dziękuję, smaczne - kłamała, jakby miała dyplom wyższej szkoły łgarstwa.

- Na zdrowie - powiedziały trzy równocześnie. Zrobiło się ciszej. Nachylone do siebie Filipinki szeptały.

Ironizujący mężczyźni opuścili już stołówkę. Gabrysia zabrała się do jedzenia swoich kanapek z wędliną.

- Nie robisz tostów? - zapytała trzecia z Filipinek, której imienia Gabrysia nie pamiętała, a niezręcznie jej było powtórnie pytać.

- Wolę polski chleb - odpowiedziała, uśmiechając się.

- Tu jest polski chleb? - zapytała Fama.

- Tak. Kupiłam go w polskim sklepie.

- Chcesz spróbować?

- Tak, proszę o kawałek.

Ta wymiana jedzenia przybliżyła kobiety do siebie. Gabrysia dopijała swoją herbatę z cytryną, kiedy Filipinki rozprawiły o czymś gorąco w swoim języku. W chwilach przerwy można sobie na ten luksus pozwolić. Czasami udawało się posłuchać kilka języków naraz. Istna wieża Babel: arabski, hinduski, rumuński, polski, afrykańskie dialekty, no i oczywiście angielski. Dopijając herbatę spoglądała w okno na parking, na którym stały rzędem używane samochody pracowników. Nikt tu do pracy nie przychodził pieszo. Oprócz emigrantów, chociaż także niektórzy z nich byli już właścicielami starszych modeli. Z chwilowego zamyślenia wyrwała ją Fama.

- Koniec przerwy - oznajmiła szorstko.

Podążając za Famą, Gabrysia myślała o tym, że jej wejście do jadalni wywołało poruszenie wśród już obecnych. Uciekali przed jej spojrzeniem. Tylko Filipinki były przyjazne. Angole nie lubili Polaków.

Można było to odczuć w wielu sytuacjach podobnych dzisiejszej. Otworzyły się drzwi windy, kobiety dojechały na oddział. Z oddziału zaś trzy następne osoby - w tym Cristal - które wyczekiwały na powrót koleżanek, pospiesznie wchodziły do windy. Cristal zdążyła przesłać ręką symboliczny pocałunek i w otwartych ustach przewrócić kilkakrotnie językiem. Robiła to już niejednokrotnie, ale Gabrysia nie brała tego poważnie, po prostu myślała, że gruba Walijka wygłupia się, że taki jej rodzaj humoru. Tę scenkę zauważyła Fama. Pociągnęła Gabrysię za ramię, wzięła pod pachę i idąc w kierunku szafek, gdzie zostawiały swoje torby, szepnęła jej na ucho

- Uważaj, to lesbijka.

- Co ty opowiadasz? - Ze zdziwieniem patrzyła na Famę, jakby ją pierwszy raz zobaczyła.

- Tylko cię informuję. Wszyscy o tym wiedzą, a ona niczym się nie przejmuję. Wyspiarze nie dyskryminują ludzi o innych orientacjach seksualnych, jakikolwiek przejaw nieakceptacji będzie uważany za dyskryminację, więc uważaj - Fama zakończyła z poważną miną.

Gabi była zaskoczona. Nie wiedziała, że ponad dwa miesiące pracowała z lesbijką.

- A powiem ci coś jeszcze. - Fama zrobiła usteczka w szpic. - Ona ma partnerkę, która wygląda jak mężczyzna. Nie wiem, czy byś się zorientowała.

- *Hallo, girls!* Miałyście dosyć czasu na plotki. Tu nie płacą wam za gadanie.

- *Sorry, sorry, Dorothy* - odezwała się Fama i zamknęła drzwi szafy.

Ujęła dłoń koleżanki i powędrowały przygotowywać kąpiele.

To było nie lada wyzwanie, miały bowiem wykąpać Anitę, jedną z najgorszych podopiecznych, kapryśną, wiecznie niezadowoloną, utyskującą na wszystko, a poza tym trudną do kąpania z powodu amputowanej nogi. Anita nie lubiła Gabrysi, Filipinki tylko tolerowała.

- jak my sobie z nią poradzimy? - zapytała Fama z nutą niepewności w głosie.

- ja przygotuję ją psychicznie, naszykuję ręczniki i całą resztę, a ty idź do łazienki nalej wody. Przywieź mi podnośnik, pospinam ją pasami i ciebie zawołam - uspokajała ją Gabi.

Fama była spięta, dłonią drapała się po brodzie, co było zawsze oznaką zakłopotania. Nalała wodę do wanny, zmierzyła temperaturę, przyniosła ręczniki i wszystkie potrzebne akceso-

ria, łącznie ze świeżą bielizną. Bała się tej Anity jak ognia, bo staruszka miała niewyparzony jęzor, nie oszczędzała nikogo, mówiła, co chciała. Kiedyś powiedziała do Gabrysi „Ty polska świnio”. Najgorsze, że nie można było się odezwać, obronić. Tylko milczenie było na miejscu. Gabrysia nie jeden raz zastanawiała się, jak to możliwe, że podopieczna o zdrowym umyśle mogła sobie na wszystko pozwolić, a opiekunka musiała być jak niewolnica: kłaniać się nisko, usługiwać i wykonywać polecenia wydawane niekiedy tylko po to, żeby ją poniżyć. Anitę broniła starość, kalectwo, choroba i... pełna odpłatność za pobyt. Nieraz Gabrysia przez nią płakała. Od czasu do czasu interweniowała pani dyrektor i wówczas kilka dni było spokojniejszych.

Siostra Anity, która odwiedzała ją codziennie, też była wymagająca. Kiedy któregoś dnia zauważyła, że Dorothy przechodzi nisko schylona obok stale otwartych, ale przesłoniętych w progu fotelem drzwi Anity, chowając się przed wrzeszczącą i ciągle czegoś się domagającą siostrą, zrozumiała, że ta staruszka daje się we znaki dosłownie wszystkim. Dom Opieki nie gardził jednak jej pieniędzmi i dlatego wciąż tu była. Kiedy Gabrysia ponownie ukazała się w drzwiach pokoju z informacją, że łazienka przygotowana, Anita zapięta w pasach na podnośniku krzyczała na cały oddział krzykiem dziecka chorego na ADHD:

- Zostawcie mnie, nie chcę się kąpać! Kąpcie się same! Nie jestem brudna, a ta polska świnia niech wraca tam, skąd przybyła. Niech was szlag trafi.

Kiwała przy tym głowią, jakby nie mogła utrzymać jej na karku i machała obiema rękoma. Sterczący kikut przywiązany do podnośnika jakby chciał uwolnić się i wyskoczyć z pasów.

-Szybko! Szybko! - wołała Fama, ciągnąc podnośnik tyłem do drzwi.

Kiedy już znalazła się na korytarzu, obróciła ten niewygodny sprzęt i wreszcie wjechały do łazienki. Wśród krzyków

i spazmów przenosiły staruszkę z podnośnika na specjalne regulowane krzesło przymocowane do wanny, które za pomocą korbki przesuwano się do góry i babcia wjeżdżała, siedząc ciągle na krześle, do wanny z wodą. Mycie odbywało się ekspresowo. Echo spazmów roznosiło się po całym oddziale.

Wydawać się mogło, że mieszkańców obdzierają ze skóry. Bywało, że potrzebna była pomoc osób trzecich. Tym razem dziewczynom się udało. Poradziły sobie bez interwencji. Mokre, umordowane psychicznie, spocone, ale szczęśliwe, ustawiały fotel na progu drzwi.

- *Goodbye*, Anita - Fama wciąż pogodna i uśmiechnięta odpowiadała na stek wyzwisk.

- *Goodbye* - zawtórowała wewnętrznie zagotowana, lecz z maską pogody na twarzy Gabi.

Wyszły z ulgą.

- Idę na dziesięć minut odpocząć do toalety. - Fama wycierała spocone czoło.

- A ja się schowam do pokoju Elizy - odpowiedziała jej Gabi.

- Czekaj na mnie i zabierzemy się za następną kąpiel.

xxx

Ten dzień Gabrysia zapamięta na zawsze. Wieczorem, przed końcem pracy, ból stóp i spuchnięta kostka lewej nogi nie pozwalały na pieszy powrót do domu. Dodatkowo doskwierał jej ból kręgosłupa. Przygotowana była na takie sytuacje, zawsze w torebce nosiła ketonal. Łyknęła tabletkę.

- Co ci jest? - zapytał Danton, filipiński pielęgniarz, który również wyczerpany całodniowym dyżurem wpadł do oddziałowej kuchni napić się wody.

Gabrysia lubiła tego grubaska o małych, filuternych, czarnych oczkach, z postawioną na żel krótko przyciętą czupryną, jego policzki były jak nadmuchane i dlatego dostał przydomek „Chomik”. Mimo swojej tuszy był bardzo sprytny i gibki.

- Boli mnie noga, chyba skręciłam. Musiałam wziąć tabletkę, by bezpiecznie wrócić do domu.

- Pokaż - rozkazał.

Nachyliła się, uniosła nogawkę spodni. Danton przyklęknął najedno kolano, jak zwykł to robić przy swoich podopiecznych, obejrzał kostkę i wystawił lekarską diagnozę.

- Słuchaj, mała. Za dużo pracujesz. Spasuj trochę, bo twoje ciało nie jest przyzwyczajone do takiego fizycznego wysiłku. Woła o pomoc.

Gabi otworzyła usta, ale nie zdążyła nic powiedzieć. Danton położył jej palec na usta i dodał:

- Słuchaj mnie. Wiem, chcesz zarobić. Ja też biorę nadgodziny. Zaglądałem w twój grafik, ty masz w tym miesiącu dwieście dziewięćdziesiąt godzin. Za dużo jak na nowicjuszkę. Możesz wyciągnąć swoje nogi - zaczął się głośno i dobrodusznie śmiać. - Wiem, że mieszkasz na Swansea Road. To niedaleko mnie. Mogę cię podwieźć.

- Dziękuję ci bardzo.

Odruchowo złapała obiema rękoma za jego pulchne policzki i raz, raz, pocałowała szybko. Natychmiast odskoczyła jak poparzona. Zdała sobie sprawę, że pocałowała młodego Filipińczyka i nie była pewna, czy zrobiła dobrze. Ten pogłaskał się po twarzy i z zadowoloną miną i powiedział:

- Możesz powtórzyć jeszcze raz. Czym tak ładnie pachniesz?

- Dior, Poison.

- „Trucizna”. Ładnie jak na perfumy - skomentował ironicznie.

- Nawet nie wiedziałam, że *poison* to znaczy trucizna, doszło mi nowe słowo.

Nagle ktoś pchnął ostro drzwi, o które była oparta. Przechyliła się do przodu i wpadła prosto w ramiona grubaska.

- A wy co tutaj? Zmykajcie do domu. Już koniec zmiany - odezwała się podstarzała Hellen, Walijka, która pracowała tylko w nocy.

Obwieszona tanim złotem sprawiała wrażenie sroki. Nie tylko ze względu na biżuterię, ale także kraczący głos. Gdyby nie wsłuchiwać się w słowa, można by usłyszeć „kra, kra, kra, kra” Do tego te farbowane na czarno włosy, mocno tapirowane i zaczerniane henną brwi.

Gabrysia nie darzyła serdecznością tej kobiety. Jej palce, ozdobione kiepskimi pierścionkami, wyglądały jak u wiedźmy. Za każdym razem, kiedy się spotykały w przelocie, myślała: walijskie bezguście. Drażnił ją brak stylu Hellen. Często wyśmiewały się z Julką z braku smaku walijskich kobiet, które nie umiały dbać o siebie jak Polki.

XXX

Tego wieczoru Gabrysia nie mogła ze zmęczenia długo zasnąć. Ból w kostce ustał, tabletki pomogły. Pełna obaw o jutrzejszy dzień powtarzała w myślach: „Nie mogę być chora, nie mogę być chora, nie mogę być chora”. W końcu zasnęła.

Korytarze wynurzały się z ciemności. Półmrok i straszne zimno. W długiej nocnej koszuli biegła do ostatniego pokoju, ale jej nogi ugiwały się jak u nowo narodzonego źrebaka. Z pokoju dobiegały słowa wypowiedane powoli. Łamały jakiś czar, który utrzymywał panującą ciszę. Ale tylko przez chwilę. Cisza powróciła i stała się bardziej intensywna i nienaturalna, jakby pochodziła z innego wymiaru. Biegła nadal na uginających się nogach z waty, a drzwi, które były jej celem, ciągle pozostawały w tej samej odległości. Nagle ciszę przerwała gra na flecie dobiegająca z tego pokoju. Doprowadziła do szybszego poruszania nogami, nie pozwalając zrezygnować z biegu. W końcu zmęczona dobiegła i... zastała drzwi otwarte. Na łóżku siedział staruszek o cerze pożółkłej jak kartki wiekowej książki. Jego twarz wyglądała jak wydrążona łupina orzecha, na której sterczą naelektryzowane włosy. Staruszek chciał coś powiedzieć, ale słychać było tylko jakieś zachrypnięte głoski. Strach zmaterializował się.

Przebudziła się. Była cała mokra. Zrzuciła kołdrę, która ciążyła niczym kamień. Jej ciało, jeszcze ciężkie, jak we śnie, nieposłuszne rozkazom umysłu, leżało bezradnie. Spojrzała w okno. Witała ją szarość poranka. Spojrzała na budzik, który stał obok łóżka na nocnym stoliku.

Była ósma czterdzieści. Jak dobrze chodzić do pracy na drugą zmianę - tą myślą oczyściła senne mary. Usta miała lepkie jak od miodu.

Ciężar kamienia ustąpił. Przysiadła na łóżku opierając się rękoma o materac. Pokój wydawał jej się obcy. Obcy był też widok zza okna. Nie rozpoznawała niczego, a mimo to wszystko było znajome. Jak miejsca we śnie. Siedziała tak z pękającą głową i lepiącymi się ustami, szeroko otwartymi oczami, choć jeszcze nie całkiem przebudzona. Z wyrazem niemego osłupienia, jakby straciła pamięć, wpatrywała się w plamę na podłodze. Pomyślała, że taka jest od paru lat: uwięziona pomiędzy jawą a snem, z trudem odróżniająca realny świat od snów. Nosila w sobie miejsca, chwile, zdarzenia i sama nie była pewna, co jest realne, a co nie. Wszystkie obrazy ze snu raziły ją jak prądem swą wyrazistością i siłą.

Jeszcze teraz, siedząc na łóżku, widziała wypolerowaną posadzkę korytarza i zapach środków czystości pomieszany z zapachem uryny. Gdzieś z mrocznej głębi korytarza dobiegał głos fletu. Słyszała go, choć miała świadomość jawy. Czuła się tak, jakby w pełni nie należała do siebie. Jak podróżnik, który czeka na pociąg, bo wyrusza w drogę. Mieszkanie pogrążone było w ciszy.

Wstała, poruszając się ostrożnie, jakby nie chciała zakłócić panującej ciszy. Zaparzyła sobie herbatę, usiadła przy stole, ale niepokój, który zajmował jej umysł, nie pozwolił na siedzenie. Z kubkiem w dłoni zaczęła chodzić od kuchni do saloniku i z powrotem.

Z grymasem na twarzy przypominała sobie całe dzieciństwo, młodość i wszechobecną w niej matkę. Także jej słowa, które często powtarzała: „Masz żyć z ludźmi tak, jakby patrzył na ciebie sam Bóg, a z Bogiem rozmawiaj tak, jakby słyszeli cię ludzie”.

Nie wiedziała, dlaczego akurat te słowa sobie przypominała. Może dlatego, że właśnie teraz miała szczerą ochotę na rozmowę z Bogiem, którego istnienia nie była pewna, jak można do końca nie wierzyć w kogoś, a jednocześnie bać się go? - zapytała samą siebie. - Boże! Ja naprawdę odchodzę od zmysłów - pomyślała.

Przysiadła z kubkiem na sofie, bo dały znać bolące nogi, a zwłaszcza napuchnięta kostka. Oddała się myślom nad sensem jej pobytu w Walii, pracy w Care Home, cierpieniu ludzi, którymi się opiekowała.

Zadawała Bogu pytania, ale na odpowiedź nie czekała. Uśmiechnęła się sama do siebie. - Jaki sens mają moje powtarzające się sny? - Złapała się, że to pytanie wypowiedziała głośno.

Dlaczego musi taplać się w bajorach snów, budzić się w dreszczach i oszołomieniu, ociekając potem, przesiewać później myśl po myśli, obraz po obrazie i być coraz bardziej zdumiona i zawiedziona, że jest tutaj, z dala od najbliższych, taka samotna? Chciałaby chociaż raz obudzić się z dziecięcą rozkoszą i ujrzeć nachylającą się twarz matki, która oznajmia: „Gabi, wstawaj, moje dziecko. Czekają gorące kakao”.

XXX

Droga do pracy dłużyła się. Szła bardzo powoli ze względu na opuchnięte, bolące nogi. Tęsknota za domem ciążyła, nie pomogła ładna pogoda o tej porze roku. Był to jeden z cudownych dni, kiedy na całym nieboskłonie nie ujrzysz ani jednej chmurki, a powietrze jest ciepłe, bez odrobiny chłodnego wiatru. Po drodze mijała rdzawce juki.

Jutro Wigilia - wolne. Zastanawiała się, jakie poczynić zakupy na następny tydzień, również na Nowy Rok, bo przez kilka następnych dni będzie miała dwunastogodzinne dyżury.

Wciągała wstrętny, biało-niebieski uniform. Nienawidziła go, czuła się w nim jak więźniarka obozu pracy. Samą na siebie zakładała niewolę. Biała niewolnica XXI wieku. Stała w staniku i majtkach, trzymając w ręku bluzę, kiedy otwarły się drzwi i weszła gruba Cristal. Lezbija - przemknęło jej przez myśl. Za chwilę zganiła się za tę myśl, bo Walijska, niezmiernie pogodna, przywitała ją serdecznie i grzecznie.

Jednak zmieniła zdanie, kiedy Cristal odezwała się-.

- Mogłabyś się nie ubierać. Wyglądasz zachęcająco. Chociaż tyłeczek masz płaski, to twoje mleczne, gładkie ciało, jest całkiem, całkiem. I te sterczące, małe cycuszki. Mało kobiet w twoim wieku wygląda tak dobrze - ciągnęła niemal bez tchu

- Wal się - Gabrysia zaczęła używać słownictwa młodych. Szybko, jak tylko umiała, wciągała bluzę. - Wszystkie Polki są zgrabne. Jestem tego przykładem - powiedziała z dumą w głosie, co prawda nie całkiem poprawną angielszczyzną, ale zrozumiale.

Oparta o szafki zaczęła wciągać spodnie. Lekko się zakołysała, nachylona niemal nie upadła. W tym momencie podbiegła do mej Cristal, próbowała pomóc.

- Uważaj, bo się przewrócisz - powiedziała z niekłamaną troską.

Podsunęła swoje ramię jako podparcie. Gabrysia odebrała to jako zainteresowanie jej osobą, czego w ogóle sobie nie życzyła, więc pchnęła jej ramię, cedząc przez zęby:

- Walijska suka.

- Polska kurwa - Cristal, o dziwo, powiedziała te słowa po polsku.

- Co? Marek nauczył cię tych słówek?

- Może Marek, może Kamil... Suko! - odpowiedziała bez żenady. - Coś ci powiem. Jesteśmy w tej chwili same. Cholernie mi się podobaś i choć nie jestem sama, mam partnerkę, to potrzebuję nowych wrażeń. Zostań moją partnerką. Będę cię wozić do pracy i z pracy. Będiesz miała ze mną dobrze. Albo się zgodzisz, albo nie będziesz miała już normalnego życia. To mój rewanż za tę „sukę walijską”.

Gabrysia, gotowa do wyjścia, łapiąc za klamkę syknęła *Fuck you*, odwróciła się i siarczyście splunęła jej pod nogi. Zatrzasnęła za sobą drzwi. Biegła do windy tak szybko, jakby ją ktoś gonił. Do windy wsiadało parę osób.

Gabrysia miała okazję po raz pierwszy w życiu zobaczyć, jak wyglądają Święta w Domu Opieki. Rano, po toaletach, staruszkowie ubrani odświętnie otwierali paczki z prezentami od Świętego Mikołaja.

Wszystkie były jednakowe: chusteczki do nosa, zapakowane w ładne kartoniki, i kremy po kąpielach. Po rozpakowaniu prezentów zasiedli w swoich fotelach. Panowie w garniturach i w krawatach. Co zdrowsi siedzieli w jadalni przy stolikach przystrojonych w odświętne obrusy, na których obok nakryć stały dodatkowe gwiazdkowe serwetki.

Z głośników rozbrzmiewały koledy. Obsługa, gotowa do wydawania śniadania, czekała na dania z kuchni. Gabrysia, w mikołajkowej czapce na głowie, podparta o ścianę, z resztą obsługi przyglądała się temu teatrzykowi. Staruszkowie wyglądali komicznie. Niektóre panie upudrowane, z różem na policzkach i wyzywająco czerwonymi ustami, dodawały scenie komizmu. Jedna z siedzących babć, z kosmetyczką na kolanach, nadal malowała sobie usta, a była już zasmarowana do samego nosa.

- Zobaczcie Kate! Co ona sobie zrobiła! Niech jej ktoś zabierze pomadkę, bo zamaluje sobie całą twarz. - odezwała się Dorothy. Do babci podbiegła gruba Berta i próbowała wyrwać z rąk pomadkę.

- Zostaw, to moje! - krzyczała babcia, szarpała i nie dawała za wygraną.

Siły miała dosyć żeby złapać Bertę za włosy.

- Ale draka, to mi się podoba - szepnął Marek po polsku na ucho do stojącej obok Gabrysi.

- Istny dom wariatów - odpowiedziała.

- A gdzie ty jesteś, jak nie w domu wariatów? Co drugi z demencją albo Alzheimerem. Te stare grzyby poubierane w garnitury gotowe są tylko do trumny - mówił głośno, po polsku, jakby wszystkim na złość.

- Marek! - zaakcentowała jego imię i spojrzała karcąco.

- No co? Tobie też już dużo nie brakuje - powiedział te słowa z pełną szczerością.

- Starość nie radość. Wiem. Ale młodość nie wieczność. Ciebie czeka to samo - dopowiedziała.

- Ale ciebie wcześniej.

- Nigdy nic nie wiadomo, mój młody chłopcze. W genach mam długą młodość, a u ciebie już widzę oznaki starzenia.

- No, ciekawe jakie - odezwał się z ironią.

- Hej! Polaczki, znowu zaczynacie? - z szyderczym uśmiechem odezwała się Cristal, która stanęła przed nimi nagle niczym widmo.

- Gabi, idziesz do raportu za mówienie po polsku.

- W takim razie ja też - Marek odezwał się w obronie koleżanki.

Gabrysia to wyczuła i jej złość do tego młodzieńca jakby automatycznie odeszła. Cristal zawinęła się na pięcie i podeszła do walijskiej grupy oczekującej na kuchnię.

- Gruba żmija - powiedział po angielsku, ale cicho.
- Co gruba? - zapytała, nie rozumiejąc słowa.
- *Viper* to po polsku żmija.
- O, doszło mi nowe słowo.
- Powinnaś mi płacić za naukę języka. - Znowu ten filuterny uśmiech złagodził jej irytację. Gabrysia obrażała się dosyć szybko, ale też szybko zapominała. Zanim wjechała kuchnia, zdążyła pomyśleć.

- I tak jesteś sympatyczny. Nigdy bym się na ciebie nie obrażała. Masz w sobie coś, że nie można cię nie lubić.

Rozpoczął się rwetes. Wszyscy gotowi byli do roznoszenia talerzy z uroczystym śniadaniem i do karmienia wyznaczonych sobie osób.

Gabrysia dostała dzisiaj Betty, której trzeba było pomagać ze względu na drganie rąk. Wiedziała, że nie był to Parkinson. Na talerzu leżały tradycyjne tosty i trzy rodzaje past oraz połówki jajek naszykowane do nafaszerowania. Jej zadaniem było posmarowanie tostów, pokrojenie ich na drobne kawałeczki mieszczące się w ustach i pokrojenie jajek.

Do picia kakao i prawdziwy sok z pomarańczy. Po śniadaniu herbatka z mlekiem i smacznym ciastkiem. Betty była dzisiaj w dobrym nastroju i nawet rozmowna. Pierwsza przywitała się prostym „Dzień dobry”, co zdarzało się rzadko. Wydawać by się mogło, że to na widok polskiej opiekunki robiła się pogodna i rozmowna. Wiedziała już o tym cała obsługa. Siedząca obok Fama zapytała grzecznie:

- Co ty robisz, że Betty na twój widok się rozpogadza i tylko tobie odpowiada na pytania? Normalnie do nikogo się nie odzywa. To dziwne. Już nawet dyrektorka o tym wie.

- Nie mam pojęcia. Myślę, że mnie po prostu lubi, bo jestem Polką, Słowianką. Tak jak ona.

I dalej, w kierunku podopiecznej:

- Betty, powiedz, czy mnie lubisz? - zapytała, trzymając kawałek jajeczka nafaszerowanego pastą na łyżce i gotowego do przełknięcia.

- Oczywiście, bo jesteś z Polski. - Miała ładny, angielski akcent.

Podczas karmienia po raz pierwszy od ponad dwóch miesięcy Betty zadawała Gabrysi pytania ni to po polsku, ni to po rosyjsku, częściowo po angielsku.

- O! *Luboczka ty maja, ty krasawica. Skazi ty mienia*, gdzie twój dom, gdzie się urodziłaś? Smutno ci, kochanie, że musisz dzisiaj pracować?

- Nie, kwiatuszku! - odpowiadała Gabi. - Jestem z tobą i czuję się tym wyróżniona.

- *Skazi ty mienia: dumajesz ty o swajej famili?*. - Wzrok zawiesiła na twarzy Gabrysi, aż ta poczuła się nieswojo.

- Tak. Tęsknie przeogromnie, ale jestem szczęśliwa, że mogę pracować i wysyłać pieniądze do domu.

- O, tak, tak. Dobrze robisz, moje dziecko. Pomagasz swoim. Coś ci powiem, kochanie moje. Kiedyś, kiedyś, w 195 roku, ludzie z Polski, na postojach w małej stacji - *ja już zabyła* - obdarowali nas koszami z jedzeniem. Tylko dzięki tym darom znalazłam się w Anglii cała i zdrowa. Jakiś czas mieszkaliśmy z rodziną w okolicach Birmingham. Po latach przeniosłam się tutaj, najpierw do S., a później zamieszkałam w LL. Nikt już z mojej rodziny nie żyje. Moja matka zmarła dawno temu, a siostra i brat nie tak znów dawno. Tylko ja zostałam i tkwię w tym życiu samotnie. Tyle lat minęło i wciąż myślami wracam do mojej ojczyzny, gdzie zostawiłam swoje dzieciństwo, młodość, miłość. Umrzeć mi przyjdzie na obcej ziemi. *A ty budziesz maja, Gabrysia*. - Uśmiechnęła się słodko. - Pamiętam, jak mała *dzieweczka* na rękach ojca podawała mi kosz do wagonu. Miała dużą kokardę na czubku głowy. Pamiętam piegi na jej buzi i czerwoną

zamszową sukienkę z białym koronkowym kołnierzykiem. Ona nazywała się *toże Gabrysia. Potamujaj ciebia lublju. Ja dala jej krasiwu torebusiu* z czarnym lakierkowym kotkiem.

W tym momencie Gabrysia zakryła dłonią usta i szybko wybiegła. Pochłonęły ją emocje, lecz uporała się z nimi i powróciła na miejsce.

- *Znajesz ty majo* pragnienie - rozpoczęła Betty, niczego się nie domyślając.

- Nie, nie znam.

- *Ja by chatiela* odnaleźć ta Gabrysia. *Ja jej nie zabudu...*

W tym czasie, kiedy Betty rozgadała się na dobre, wtrącając do angielskiego języka rosyjskie i polskie słówka, wokół zgromadził się wianuszek opiekunek, które stanęły za siedzącą Polką. Jedne pytały, co jej się stało, że tak szybko wybiegła, inne prosiły o przetłumaczenie.

Gabrysia nie umiała mówić po rosyjsku, ale wszystko rozumiała. Przydała się znajomość języka, którego uczyła się w szkole przez dobre parę lat. Nie odmówiła więc tłumaczenia. Grono osób wokół Betty i Gabrysi urosło. Przyszły nawet gruba Berta i Cristal. Wszyscy zaciekawieni, jak to się stało, że Betty tak się rozgadała. Nie mogli zrozumieć, bo przecież całkowicie milczała, do momentu, kiedy do pracy przyszła Polka. Wszyscy byli zdziwieni, że Betty zaczęła się uśmiechać i wypowiadać krótkie zdania, najpierw tylko w obecności Gabrysi. Dzisiejsze gadanie przerosło oczekiwania. Zdziwieniu nie było końca.

- Co się, do diabła, dzieje? Do pracy! - krzyknęła głośno Dorothy. Towarzystwo rozpierzchnęło się w jednej sekundzie jak uciekające gołębie.

Koniec toalety. Marek zostawił Gabrysię przy łóżku Mary. Miała wpisany do grafiku jednogodzinny dyżur. W dniach,

w których nie przychodził mąż Mary, ona zostawała w pokoju z opiekunkami.

Gabi jeszcze przez chwilę słyszała głosy na korytarzu. Wszystkie radośnie świergotały, śmiały się, gruchały jak gołąbki, ale po chwili odfrunęły do swoich obowiązków. Wydawało się jej, że w tym domu opieki pracowały panie obojętne na ból. Miały tylko ciepłe dłonie i serdeczne głosy.

Usiadła wygodnie przy łóżku. Nagle głowa chorej drgnęła, odskoczyła na bok, jakby nie należała do reszty ciała. Następny spazm szarpnął tą głową. Gabrysia wiedziała, że dla Mary nie ma żadnej nadziei.

Nogi ułożone jak u płodu, głowa i ręce w nienaturalnej pozycji, a twarz wykrzywiona wiecznym spazmem. Wiedziała, że chora widzi, słyszy, czuje. Ale te uczucia były jak miazga. Chora wydawała tylko dźwięki, wzdychała, jęczała lub wyła. Mogła tylko przełykać i żuć. To nie życie. To chaos, który jest jej ciałem, jest istotą jej człowieczeństwa. Ma wolę, rozum, serce, które wciąż bije i płuca, które oddychają. I ludzki mózg. Ale to wszystko za mało, więc tkwi w sieci pajęczej, którą rozpiął Bóg. jest jak owad. Ta kobieta w wieku Gabrysi nie ma jedwabnej skóry i jędrnego ciała. Twarz zmęczona, rozrosłe brwi, worki pod oczyma.

Gabi nachyliła się blisko. Sweterek spod jej kitla pachniał egzotycznie. Zaczęła przesuwając dłońią po kocu. Próbowwała pogłaskać Mary po głowie, ale wtedy tamta podnosiła swoją rękę i odgarnęła dłoń Gabi jak natrętną muchę. Zrozumiała: kobieta nie chce litości. Tylko chwilami pozwalała się dotykać. Gabi musi wyczuć tę chwilę. Wówczas brała jej głowę w swoje ramiona i przytulała do serca. Rozumiały się bez słów. Ich spojrzenia stały się nicią porozumienia.

Gabrysia patrzyła na jej skórę, która wyglądała jak przezroczysta tkanina, miała się zaraz rozpuścić, rozplynać i zniknąć. Zastanawiała się nad ciałem, które składa się z cząstek, atomów,

fal. Nie rozumiała praw natury, które pozwalają żyć tej biednej istocie. Miała wrażenie, że cała jej materia składa się z próżni, a odległość pomiędzy atomami, kwarkami, super strunami są tak olbrzymie, jak między gwiazdami i planetami. Teraz przypomniała sobie, kiedy zafascynowana doktorem Hellerem wczytywała się w prawa rządzące światem. A przecież świat to również my.

Co dwie godziny trzeba było zmienić pozycję. Mimo tego na jej pośladkach nie znikwały wieczne odleżyny. Dopiero teraz Gabi zauważyła, że na ścianie wisi dyplom doktorski Uniwersytetu Cardiff. Śmierć pachnie tak samo dla wszystkich - pomyślała. Dla tych, co niewykształceni i dla tych, którzy mają dyplomy doktorskie. Śmierć ma nieprzyjemny oddech. Czuła ten kwaśny zapach, który wydobywał się z otwartych ust Mary i rozlewał się po jej obrzękniętych policzkach.

Dla zachowania pozorów poprawiła przykrycie, dotknęła suchych dłoni i kościstych palców. Czuła, jak bije serce chorej i jak walczy z tym, co nieuniknione. Po policzkach Gabi zaczęły spływać łzy. Umieranie.

Czym jest? - zastanawiała się. Gdyby tylko mogła, dołożyłaby starań, żeby Mary nie cierpiała. Widok chorej odbierał jej własny blask i chęć do radości. Mogła tylko współczuć tej kobiecie. Sama czuła się w tej chwili jak drzewo, które gubi liście podczas wichury. Samotne drzewo. Los trzęsie tym drzewem, liście opadają. Powoli traci czucie w nogach. Umiera. Za oknem jesień. Nowy spazm chorej wydobył ją z zadumy.

- Widzisz te anioły? - zagadnęła Gabi. - To anioły od Boga. Mary lekko uniosła głowę i wytrzeszczyła oczy.

- Zobacz tego anioła. - Wskazała dłonią. - Prawda, że ładny? - Gabi chciała pobudzić wyobraźnię Mary. - On kiedyś zaprowadzi cię do Boga. Do prawdziwego domu. Na świecie nic nie jest prawdziwe.

Tu przerwała monolog, bo zabrakło jej słów w obcym języku. Nie otwierając ust ciągnęła monolog, jakby czuła, że Mary odbierze go telepatycznie. „Postrzegamy ten świat zmysłami, ale one nas zwodzą. Atomy twojego ciała są w ciągłym ruchu, drgają w świetle neonówek i kurzu w pokoju. Atomy są wieczne. Nie powstają i nie giną, nie podlegają żadnym zmianom. Zmienna jest tylko cała rzeczywistość”. Gabi ciągnęła swój wykład, nie otwierając ust. Patrzyła prosto w załzawione oczy Mary. „Z tego wniosek, że nie umrzesz tak naprawdę, tylko skurczysz się do atomów, super-strun, kwarków, które są odwieczne. Twoje atomy stworzą kiedyś nowe życie. Najmniejsze cząstki są najdoskonalsze i z nich właśnie składają się nasze dusze. Osiągniesz stan wewnętrznej harmonii”.

- Nie bój się - powiedziała głośno. - To tylko twoje ciało umiera, ale nie ty. Twoja myśl jest energią, falą, a te są wieczne.

W tym momencie Mary uśmiechnęła się, jakby naprawdę wszystko rozumiała. Gabi otarła chusteczką jej łzy i pocałowała w policzek.

Mary nie cofnęła twarzy, jakby zaakceptowała ich emocjonalne zbliżenie. Gabi naprawdę poczuła się jak anioł, który niesie ulgę.

- Połóż swą dłoń na mojej, jeśli tylko chcesz - Gabrysia odezwała się nieśmiało.

I wtedy ta kobieta z zaburzeniem mowy zaczęła własny monolog:

- Dżo, dża, je, je, dzi...

Na jej twarzy nie było już bólu. Zwyczajnie się uśmiechała.

- Boże! Czyżbyś mnie rozumiała? Mary kiwnęła głową.

xxx

Gabrysia spojrzała na zegarek: była siedemnasta czterdzieści- Nie mogła już chodzić ze względu na obolałą kostkę. Miała

teraz chwilę wolną, by schować się w którymś pokoju i obejrzeć obolałe nogi. Usiadła wygodnie w fotelu, podciągnęła nogawki spodni. Utkwiła wzrok w bosych nogach.

- Mój Boże! - westchnęła. Lewa noga była cała spuchnięta. Kostka, której nie było widać, bolała coraz bardziej. - Chyba skręciłam - powiedziała sama do siebie głośno.

Raptownie wstała i kuśtykając, skierowała się do dyżurki do Dorothy. Chciała jej tę nogę pokazać i poprosić o pomoc. Dorothy schyliła się nisko, iekko podniosła stopę. Obejrzała ją jak chirurg. Usiadła z powrotem wygodnie na krześle, opierając wyciągnięte dłonie na swoich udach i z poważną pielęgniarzką miną rzekła:

- Chyba skręciłaś kostkę. To normalne u nowicjuszy, którzy prowadzili siedzący tryb życia, a nagle przyszło im robić po pięćdziesiąt kilometrów dziennie, dodatkowo dźwigając i pracując po trzysta godzin miesięcznie, jesteś przepracowana, moja droga. Masz za mało odpoczynku. Wyluzuj, bo nie dasz rady. W tej chwili mogę zabandażować ci tę nogę, usztywnić i zwolnić do domu.

- O, co to, to nie!

- A poradzisz sobie przy wieczornych toaletach? - zapytała z niedowierzaniem w głosie

- Chcieć to móc.

- Niezupełnie. Jak chcesz. Twoja wola.

Z zabandażowaną nogą Gabi zbliżyła się do Marka, który stał w otwartych drzwiach świetlicy i jakoś dziwnie przyglądał się starszkom oczekującym na wieczorną toaletę. Byli sami. Marek, trzymając sztubacko ręce w kieszeni, z pogardliwą miną, kołysał się lekko na boki. Odezwał się gromko po polsku, jakby chciał popisać się przed Gabrysią:

- Co tu tak jebie?

Gabrysia zignorowała te paskudne słowa, jakby do niej nie dotarły.

- No, robaki! Do ziemi, a nie do toalety. Widziałaś kiedyś dżdżownicę w garniturach? - Odwrócił się do koleżanki.

Tej nie było do śmiechu, lecz nie umiała szybko reagować. Odwróciła się na pięcie w stronę Marka, ciągle stojącego w drzwiach z pokpiwającą miną:

- Słuchaj, smarkaczu - zaczęła swój monolog. - Nie przerywaj mi, proszę. Może tu nie pachnie Dior, ale tym ludziom należy się szacunek. To od nas zależy, czy będą śmierdzieć, czy też nie.

- Kurwa! Przecież wiesz, że starość śmierdzi i nie pomoże im kąpiel ani w mleku, ani w perfumach. Oni zapomnieli poumierać. Większość ma ponad dziewięćdziesiąt lat i trzymają się życia jak poręczy. Wszyscy wierzący, ale nie chcą iść do Domu Bożego. Przyjrzyj się im, w jakim są stanie. Nikt nie pomaga im odejść, tylko ratuje się ich życie wegetatywne. Po cholere to i komu? Spójrz na Franka, jaki biedny. On nawet nie wie, że żyje.

- Marek! - krzyknęła Gabrysia. - Ty czegoś nie rozumiesz. Może kiedyś będzie okazja do dłuższej rozmowy, to wytłumaczę ci, czym jest życie. Martwi mnie, że nie masz żadnych skrupułów. Jakby moralność to była choroba, a skrupuły to jakaś nieznana waluta. Gdybym teraz poszła do Agnes i przedstawiła twoją filozofię, wyleciałbyś z pracy najszybciej, jak to możliwe.

- A ty co taka mądra? - Pokiwał głową. - Nie mów mi, że jesteś Samarytanką albo świętą Gabriellą, która poświęca swój kręgosłup dla pięknej idei pomagania starym, którzy tylko czekają na śmierć w Wielkiej Poczekalni Świata. Wiem jedno: jestem tu dla kasy, żeby spłacić kurewską studencką pożyczkę i spierdalam z powrotem do Polski. Mogę się poświęcić tylko dla mojej matki. Tylko ją mogę nosić na plecach.

-To są czyjeś matki.

- Ale nie moje. Rozumiesz?! Rozumiesz?!

- Czas toalet, czas toalet, czas toalet - śpiewający głos Famy przerwał tę dyskusję Polaków.

Gabrysia zamilkła, bo wiedziała, co ją czeka za rozmowę po polsku.

Tego wieczoru panie zrobiły sobie uroczysty obiad. Ponieważ Julka miała krótki dzień, wszystko było już naszykowane. Nowy obrus z ceraty zakrywał mały, okrągły stół. Nie było kandelabru ani świec, nie było choinki, bo pożalowały na nią pieniędzy. Wszak dostały dopiero jedną całą wypłatę, a rodziny w Polsce czekały na każdy grosz.

Na stole Julka postawiła butelkę sherry, a zapach z piekarnika kusił niespodzianką. Gabrysia wygodnie rozsiadła się na kanapie i rozłożyła bolące nogi.

- Już nie wstanę z tej kanapy - powiedziała jakby sama do siebie.

- Nie słyszę, co mówisz! Zaczekaj, aż przyjdę - wołała z kuchni Julka.

Gabrysia dłuższy czas wpatrywała się w zdjęcia swoich córek i wnuka, które oprawione w ramkach stały w miejscu, gdzie powinien stać telewizor. Później w obraz samej siebie, jaki się zeń wyłonił.

Analizowała rozmowę z Betty, a szczególnie informacje o czerwonej torebce, którą dokładnie pamięta, choć minęło tyle lat. Pamięta, że ją zgubiła na jakimś kolejowym dworcu, kiedy oczekiwały z matką na pociąg. Miała może sześć lat. Rozpaczała, jak może rozpaczać mała dziewczynka, kiedy zgubi ulubioną rzecz. Kiedy córkom opowiada o swoim dzieciństwie, zawsze musi być historia z torebką. Zatrzymała na chwilę w pamięci obraz, kiedy to dumnie, w czerwonej zamszowej sukience z bia-

łym kołnierzykiem schodzi po schodach i macha lakierkową torebką z czarnym kotkiem obszytym czerwonymi nićmi tak, by sąsiedzi wychodzący z domu go widzieli. Nie pamięta, żeby chodziła z rodzicami na dworzec i podawała żywność podróżnym. Nie było takiej historii w żadnym z maminych opowiadań. Sprawdzę to, sprawdzę, kiedy pojedę na urlop - postanowiła. -Przecież moje starsze o kilkanaście lat siostry muszą coś na ten temat wiedzieć. Nie chciała się z nikim dzielić tą nowiną, nie chciała widzieć dziwnych uśmiezków na twarzach koleżanek, że przytrafiają się jej takie cuda.

Nagle usłyszała głos jak z zaświatów: „Gabi! Gabi! Gabi!”

Zerwała się. Wszystko się jej pomieszało, nie wiedziała przez kilka sekund gdzie jest i co tu robi. Była oszołomiona, nie potrafiła powstrzymać drżenia, a czuła, jak coś ją dusi w piersi uciskając płuca, aż zabrakło jej tchu. W żołądku przewracało się jej z głodu. Nawet ramiona zaczęły jej drżeć. Nie zdążyła uporządkować wszystkich wątpliwości, kiedy Julka wyrwała ją z letargu:

- Dostałaś w dupę jak ja wczoraj. Mam nadzieję, że siądziesz ze mną do świątecznej kolacji. Wszystko przygotowałam. Wiem, że jesteś śmiertelnie zmęczona i głodna.

- Zobacz moją nogę. - Podniosła nogawkę spodni, odwinęła bandaż i pokazała opuchliznę.

- O, cholera! Jak ty będziesz pracowała?

- Będę musiała.

Tego wieczoru siedziały dosyć długo. Po skończonej kolacji rozmawiały przez telefon - każda w swojej celi - ze swoimi rodzinami.

xxx

Jest dwudziesty stycznia następnego roku. Właśnie dzisiaj obie z Julką dostały nowe kontrakty na czas nieokreślony. Ga-

brysi spadł kamień z serca. Przeszła pomyślnie okres próbny. Nie może się doczekać wieczoru, kiedy to miały w szczególny sposób uczcić tę okazję.

Zaprosiły Marka i jego kolegę, Kamila, pracującego na głównym oddziale. Gabi segreguje worki z brudną odzieżą i bielizną, szykując je do pralni. Worki zawiesza na specjalnym wózku. Są ciężkie. Nie może uporać się z jednym z nich, który waży ponad dwadzieścia kilogramów. Co go zawiesi, to on spada. W końcu dochodzi do wniosku, że jest za ciężki, by utrzymać się na ramie. Zaczyna więc przekładanie i upychanie rzeczy do następnych. Do dźwigania jest już nieco przyzwyczajona.

I do ketonalu, który uśmierza ból kręgosłupa oraz stopy.

Walijki czekają już na wyjście do domu. Siedzą przy dyżurce i plotkują, a emigranci pracują. Dzisiaj Marek wywozi brudy do śluzy. Gabi widzi go z daleka, jak ładuje żółte wory z pampersami na specjalny wózek. Zamyśliła się przez chwilę. W tym momencie na całym oddziale zgasło światło. Któraś z kobiet krzyknęła:

- Co się stało?

- Światła zostały zgaszone - odezwała się Gabi po polsku z aktorskim akcentem, jakby recytowała „Kości zostały rzucone”.

- Maaarek - śpiewającym, walijskim akcentem odezwała się Dorothy - powiedz nam, co mówiła Gabi.

- Światła zostały zgaszone - powtórzył po angielsku z podobnie aktorskim akcentem.

Na korytarzu rozległa się salwa śmiechu. Kilkanaście gromkich głosów przeobraziło się w tornado. Gabrysia stała w ciemnościach samotnie przy swoim wózku i nic z tego nie rozumiała.

- O co chodzi? Z czego się śmiejecie? - Głos roznosił się w ciemnościach jakby szybciej i donioślej. Tornado śmiechu nie słabło, wręcz rosło jego natężenie. Nagle ciemności ustąpiły. Zajaśniały jarzeniówki. Głosy nagle przycichły, a całkowicie przerwał je głos Marka.

- Teraz rozumiecie, jaki kabaret mam z moją koleżanką. Ona jest moim rozrywkowym programem. Zaproponowałem dziewczynom, by przeprowadziły się do nas. Będzie weselej i oszczędniej. Mają tę propozycję przemyśleć.

xxx

Stała z Markiem, oczekując na Kamila i Julkę. Będą razem świętować przedłużenie kontraktu. Gabrysia dotychczas wymieniała z Kamilem tylko krótkie „cześć”. Wiedziała o nim tyle, ile przekazał jej Marek, bo mieszkali razem. Niewiele: że jest to facet, który w całym Care Home ma najwięcej godzin, że bije rekordy, że jego chytrość nie zna granic, że biega w podartych butach, a listy na pocztę nosi osobiście, by zaoszczędzić na wszystkim i udowodnić, że w ciągu roku jest w stanie odłożyć na nowy, dobry samochód w Polsce. Ponoć po to przyjechał. Żywi się w pracy i jeszcze kradnie żarcie z kuchni, bo skumplował się z kucharzami.

- O, idzie długonogi - poinformował Marek, odwracając się na pięcie w kierunku szatni. Podniósł rękę do góry i machał nią jak na przywitanie lub pożegnanie. - A gdzie Julka? - zapytał.

- Grzebie się w szatni, jak to baba. Krzyknąłem, żeby się pospieszyła.

- Cześć, Gabi. Fajnie, że dziś się spotykamy. Cała polska ferajna. Trzeba by lepiej się poznać. Marek opowiadał o tobie i twoim spontanicznym poczuciu humoru. Ponoć jesteś jedną z niewielu osób, z którą on chce pracować. - Tu spojrzał na Marka z przelotnym błyskiem.

- Boże! jaki ty jesteś wysoki! - Gabi odpowiedziała z uśmiechem.

Żeby bardziej mu się przyjrzeć musiała zadrzeć wysoko głowę.

- Tylko metr dziewięćdziesiąt siedem - wyjaśnił z oczywistą pewnością.

W tym momencie Gabrysia zauważyła w jego surowych ustach rząd równych, białych zębów.

- Cześć, chłopaki, cześć, Gabi. - Julka nie wiadomo kiedy wyrosła przed nimi. Złapała Kamila pod ramię, szarpnęła go lekko zmuszając do wyjścia. Gabrysia stanęła za nimi i wzięła pod pachę Marka.

- A spytała się pani, czy może mnie wziąć pod rękę? - Z tym swoim filuternym uśmiechem utopił wzrok w jej twarzy.

- Nigdy się nie pytam, jeżeli gest uważam za stosowny - odrzuciła.

- Dobrze wiedzieć. Będę uległy, poddam się wszystkim kobietom, a szczególnie tobie. Chciałbym mieć przygodę z pięć-dziesięciolatką.

- Chyba jesteś chory. Już ci kiedyś powiedziałam, że mógłbyś być moim synem. Taki układ nie wchodzi w rachubę.

- Chciałbym wiedzieć, jaka jesteś po alkoholu albo po prochach.

- A co? Bierzesz?

- A co? Nie mogę?

- Jesteś dorosły.

- Mam coś przy sobie, możemy spróbować.

- Maaarek! W życiu nie próbowałam i teraz, na stare lata, miałabym się odważyć?

- Dlaczego nie? Wszystkiego można spróbować.

- Mam nadzieję, że do niczego nie będziesz mnie zmuszał.

- Sama będziesz chciała, zobaczysz. - W tym momencie ujął jej ciepłą dłoń. - Ale jesteś cieplutka. Oddaj mi trochę tego ciepła.

Przechodzili już obok stacji benzynowej. To połowa drogi. Wiatr dał im w twarz. Zapowiadała się bezksiężycowa, ciemna noc. Buzie mieli wilgotne od kapuśniaczku, jaki mżył całe popołudnie.

- Kurewska angielska pogoda. Jej tutaj nienawidzę najbardziej.

Nagle oboje zauważyli, jak bardzo oddalili się od Julki i Kamila.

- Szybciej, Gabi. - Pociągnął ją lekko za rękę nadając rytm nogom.
- Hola, nie mogę tak szybko, mam spuchnięte nogi i choć nie czuję bólu, bo wzięłam ketonal, to jednak nie mogę biec. Jestem zmęczona.
- Nawet nie wiesz, że możesz. - Spojrzał porozumiewawczo z tym filuternym uśmieszkiem. Ich twarze znalazły się tak blisko siebie, że Gabi zauważyła jego oczy, świecące się jak dwie małe gwiazdy wysyłające niewidoczne promieniowanie.
- Jeśli zesłabniesz, zaniosę cię na plecach.
- O, o! Ja swoje ważę, choć tego nie widać.
- Ja dla kobiety nawet złamię kręgosłup.
- Rozumiem. Dla młodej i pięknej, ale nie dla staruszki takiej jak ja.
- Przestań, Gabi. Nawet nie wiesz, jaka jesteś pociągająca. Mogłabyś jeszcze niejednego faceta owinać wokół palca. Nawet młodego. Tu, w Anglii, wszystko jest możliwe. Kobiety w twoim wieku bawią się z małolatami. Czy znasz Mary? Ona obecnie żyje z dwudziestopięciolatkiem, a jest w twoim wieku. To któryś z kolei jej młody amant. Przebiera jak w ulęgawkach. Ponoć teraz taka moda. A ja mam dwadzieścia osiem lat i spore doświadczenie.
- Przeestań - zaciągnęła celowo, puszczając jego dłoń. -Dalej pójdziemy osobno. Tak będzie lżej.
- Nie wyrażam zgody! - Uśmiechnął się ciepło. Złapał ponownie jej dłoń i ścisnął mocniej. - Grzejesz mnie, więc zlituj się, jeżeli nie chcesz, bym odmroził sobie dłonie.

Byli już na Swansea Road. Jeszcze kilkanaście metrów Kamil z Julka zginęli im z oczu. Szli po wąskim chodniku, który w połowie był zajęty przez zaparkowane samochody.

- Denerwują mnie te wąskie ulice i te szeregi baraków jak domki górników z *Germinale* Emila Zoli.

- Jesteśmy właśnie w miejscu, gdzie kiedyś był ośrodek górniczy. Tu znajdowały się największe w Anglii pokłady węgla, a te chałupki to mieszkania górników. Walia była bardzo zależna od Anglii. Ludzie w tych okolicach żyli również z połowów małż. Znam takie plaże, gdzie dobrze się je zbiera. Może cię kiedyś zabiorę. Oczywiście jak będziesz grzeczna - dopowiedział jak do małej dziewczynki. - Jeżeli chcesz poznać historię LL., przyjrzyj się fotografiom w holu biblioteki. Tam można zobaczyć jak jeszcze niedawno, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wyglądały te tereny. Mówię ci: makabra. Ja też nie chciałem wierzyć. Zawsze myślałem, że Anglia czy Walia to bogate miejsca na świecie. Sama widziałaś ruiny, kikuty domów w centrum miasta, które straszą. LL. zmieniło się dopiero, kiedy powstała ASDA i ten cały deptak do TESCO. Zwróć uwagę na ludzi. Poobserwuj trochę, przecież będziesz tu dłużej. Zobaczysz, jak żyją, jak mieszkają i jak bardzo różnią się od Polaków. Naród jest dwuwarstwowy: bogaci, wykształceni, i nieuki, którzy po specjalnych kursikach chcą udawać lepszych. Dla mnie to bydło, które dostało pieniądze i nie za bardzo wie, co z nimi zrobić. Zwróć uwagę w marketach: jakie oni robią zakupy, co kupują. To leniuchy. Lecą na gotowiznę. I ponoć brudasy nie z tej ziemi.

Byli na miejscu. Gabrysię zawstydziły brudne wejściowe drzwi.

- O! Widzisz, Gabi. Jesteś Polką i masz poczucie wstydu za nieumyte drzwi. Ale czy tu gdzieś zobaczysz czyste? - Uniósł brwi do góry, aż twarz nabrała poważnego, surowego wyrazu, a jednocześnie jakiś błysk satysfakcji rozświetlił jego twarz. Był dumny, że pochodzi z Polski. Gabi poczuła to intuicyjnie.

Wchodzili już po schodach wsłuchując się w chichoty, które dochodziły z kuchni. Gabi zdjęła mokrą kurtkę. Wyciągnęła telefon, spojrzała na zegarek. Była ósma czterdzieści.

- Boże! Tak późno, a my zabieramy się do libacji.

- Spoko, spoko! Przecież jutro masz wolne. I Julka też. My z Kamilem mamy drugą zmianę. Można posiedzieć nawet do rana.

Stanęli oboje w drzwiach kuchni. Zobaczyli opartego o blat stołu pielęgniarza, którego Gabryś nakryła w swoim łóżku z Julką.

- Cześć, Gabi. - Podszedł do niej z dłonią wyciągniętą na przywitanie. Odruchowo schowała ręce za sobą, dając do zrozumienia, że jest intruzem.

- Nie gniewaj się na mnie, proszę. Razem z Julką myślimy bardzo poważnie o naszym związku. Ona ci wszystko opowie.

- Przecież Julka ma męża.

- Gabi, proszę, nie psuj nam wieczoru, kiedy może być całkiem sympatycznie - Julka odezwała się niepewnym głosem, jakby lekko zawstydzona, że nie przygotowała Gabrysi na tę wizytę.

- Dobra - Gabi odpowiedziała z niesmakiem. - Co mnie to obchodzi? Twoja dupa, twoje życie, ale nie chciałabym, żebyś kiedykolwiek żałowała tej decyzji. Jesteś mi tu najbliższą osobą i moją przyjaciółką. Zależy mi na twojej reputacji.

- W Anglii „reputacja” to nieznanne słowo - oponowała Julka. - Tu nie jest staromodna Polska. Gdzie ty, Gabi, żyjesz?

- Na planecie Ziemia - Gabryś pokręciła głową.

- No to mamy kosmitkę - wybuchnął śmiechem Kamil, który w ten sposób rozbroił ładunek złych emocji wypełniający Gabrysię.

Uśmiechnęła się delikatnie i pierwsza podała rękę Peterowi do zgody.

- Róbta co chceta. Co mnie to obchodzi. Nalewajcie w te szklanki, bo przecież kieliszków nie mamy.

- O! Gabi, Gabi! To mi się podoba. - Marek stanął twarzą w twarz do Gabrysi i ujął ją w pasie. Próbował podnieść lekko

do góry. - O, cholera! Faktycznie masz swoją wagę. Nigdy bym cię o to nie posądził.

- Marek! - Julka niemal krzyknęła. - Ty się podwalasz do Gabrysi, a przecież niedawno wyjechała twoja Agnieszka.

Dla zgody wręczyła mu szklanke whisky z lodem, następnie podała Kamilowi i Peterowi.

- Jej szczęście. Ślubu z nią nie mam, a pożartować można - odciął się Marek.

- Powiem prawdę, mam ochotę na Gabi jak cholera. Sam nie wiem, co to za kobieta. Ma w sobie jakiś magnes i nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Marek, przecież ja niczym cię nie prowokuję - powiedziała Gabi ze złością, biorąc do ust duży haust alkoholu.

Spojrzała na Marka. On szklanke opróżnił do dna. Otarł ręką buzię, jak robią to dzieci. Mina lekko zmieniła mu się na kwaśną.

- A wy to co? Będziecie siorbać te sto gram do rana? - Marek zwrócił się do dziewczyn.

- Idźcie do salonu - odezwała się Julka - a my z Peterem przygotujemy coś do jedzenia. Będzie niespodzianka. Dostaliście wolne.

Gabrysia niemal pobiegła do dużego pokoju i zajęła najlepsze miejsce na sofie. Oparła głowę i wlała całą resztę w siebie. Jak alkoholiczka.

- Teraz tylko haszu i już jestem tutejsza. - Zaczęła się głośno śmiać. Obok niej zajął miejsce Marek.

- A dostałeś pozwolenie, żeby usiąść na sofie?

- Już piszę. Czy pani dyrektor zechce podpisać?

- Zastanowię się. Kamil - zwróciła się do niego ciepło, bo wciąż stał cichutko za kanapą. - Usiądź obok mnie z drugiej strony, jak obok mamusi.

Buchnęła gromkim śmiechem, którego ani Kamil, ani Marek nie mogli już powstrzymać. Kiedy Julka wraz z Peterem wcho-

dzili z tacami zarcia, Gabi siedziała w objęciach obu chłopaków rozbawiona i rozluźniona. Trzymając pustą szklankę w dłoniach, zaczęła głośno śpiewać: *Życie ma cierpki smak i zawsze jest pod górę, niemal bez przerwy pada deszcz, słońce świeci tylko przez chwilę. A ja zmoczona do suchej nitki przychodzę do domu, sięgam po kieliszki. Pij, malutka, pij - szepcze mi szkło. Pij i pij, by nie było ci mdło. Zapal haszu, by okpić życie, byś poczuła się jak w Madrycie.*

Marek z Kamilem puścili Gabrysię. Stanęli jak na baczność, obaj wyciągnęli papierosy. Pierwszy odezwał się Marek.

- Gabi, spróbuj jednego, jeśli ty po setce śpiewasz piosenki, to po takim papierosku odstawisz dobry repertuar.

- Co to za piosenka? - spytał Peter.

- Właśnie ją wymyśliłam.

- Tak na poczekaniu? - zdziwił się Kamil.

- Czasami mi się zdarza.

- Gabi pisze wiersze i wydaje. Czytałam jej tomik.

- Żartujesz?! - nie dowierzał Marek. - Muszę go zobaczyć.

- Dobrze, ale nie dzisiaj. Bawmy się, bo po to tu jesteśmy. Mamy opić nasz kontrakt i ewentualnie omówić przeprowadzkę do was.

Gabrysia podeszła do tacy przykrytej folią, która miała zawierać tajemnicę. Zrobiła się niemożliwie głodna. Te trochę alkoholu rozbudziło w niej wilczy apetyt. Na tacy leżały ciepłutkie hamburgery. Nie pytając o Julki zgodę, podniosła tacę i zaczęła częstować jak gospodyni, która sama to wszystko przygotowała. Zrobiło się na moment cicho, każdy zajął się ciężką pracą pochłaniania jedzenia.

Gabrysia zjadła trzy hamburgery, nie zwracając uwagi na innych. Na tacy było chyba z piętnaście, a więc po trzy dla każdego. Po kilkunastu minutach taca świeciła pustkami. Peter zaczął rozlewać drugą kolejkę. Gabrysia przyglądała się Julce, która jednym haustem opróżniła całą szklankę.

Ze swojej zaczęła saczyć powoli, jakby się delectowała.

- No to co, chłopaki?! Dawajcie tego haszu! Raz w życiu mogę spróbować - zdecydowała się Gabrysia.

Marek, który stał, sącząc brązowy płyn ze szklanki, poderwał się nerwowo. Odstawił szklankę i zaczął buszować po kieszeniach, bo w czasie śpiewu Gabrysi schował uprzednio wyciągniętą paczkę.

- Mam! - krzyknął radośnie. Otworzył pudełko i podał Gabrysi. Było podobne do pudełka z czekoladkami. - Proszę, poczęstuj się jednym, jeszcze bardziej poprawi ci nastrój.

Podszedł do Julki, która stała obok drzwi oparta o pierś Petera i ją poczęstował również. Nie odmówiła.

- To ja biorę dwa - powiedziała, siląc się na słodki uśmiech.

- Hola, hola! Tylko po jednym. To kosztuje.

- Hej, chłopaki! Powiedźcie mi w sekrecie, skąd to macie i gdzie się zaopatrujecie - dopytywała się Gabi.

- Co drugi Walijczyk pali maryskę albo zażywa mocne narkotyki. Nie ma żadnego problemu, by zaopatrzyć się w nie w miejscu pracy. Ale cicho. Nikt nic nie wie. Oficjalnie można mieć porcję przy sobie, tylko nie można handlować.

Gabrysia, siedząc na sofie, obracała w jednej dłoni papierosa, a w drugiej trzymała szklankę.

- Co mi się stanie, jak zapalę? - spytała.

- Odlecisz - odpowiedział Marek

- Gdzie? Do ciepłych krajów? - I zaczęła się głośno śmiać. Kiedy przestała chichotać, zaczęła znowu śpiewać: *Znam ludzi z kamienia, co będą wiecznie trwać, znam ludzi z papieru, co rzucają się na wiatr. A my tak łatwopalni biegniemy w ogień, by mocniej żyć.*

Urwała, zerkając na wielkoluda Kamila. Wlepiła w niego oczy.

- No! Młody! Daj babciom ognia. Niech spróbują, co to takiego i odlecą w kosmos.

- Tylko nie „babciom” - odezwała się Julka.

- Babciom, babciom. Tyle że ty dobrze wyglądasz - ugodowo stwierdziła Gabrysia. - Zapal też i odleć ze mną.

Gabrysia odstawiła szklanekę, ceremonialnie obróciła w palcach papierosa, jakby trzymała brylant.

- No, malutki! - powiedziała do papieroska. - Spalę cię całego, nie zostawię innym. Pokaż mi prawdziwe życie.

Kamil nachylił się nisko i podpalił, a Marek instruował:

- Zaciągnij się mocno, mocniej niż się pali normalnego papierosa. Głęboko do samego tyłka.

Gabi zaciągnęła się tak głęboko, jak tylko umiała. Usiadła.

- Zakręciło ci się w głowie? - Marek miał bardzo poważną minę.

- Neeee... - z lekką złością odpowiedziała mu. - Nawet nie poczułam, że się zaciągnęłam.

- Spróbuj drugi raz - Kamil się uśmiechał. Nie zmieniał pozycji od kilkunastu minut, jakby wrósł w podłogę.

Peter z Julką przesiedli się na sofę. Walińczyk założył jedną nogę pod swój tyłek, a drugą opuścił. Jedną dłoń oparł o brzeg sofy, a drugą o prawy policzek. Między nogami siedziała Julka, całym ciałem opierając się o jego tors. On lewą ręką wyciągnął zapalniczkę i przypalił jej papierosa. Gabrysia spojrzała jak jej koleżanka zaciąga się z całej siły. Jej usta, złożone w łódeczkę, jakby zaróżowiły się, a twarz nabrała surowego wyrazu.

- No, Gabi! - odezwał się Marek. - Machnij jeszcze raz. A Gabrysia głośno:

-I jeszcze jeden, i jeszcze raz. Sto lat, sto lat, niech żyję wam.

- Boże! Gabi! Zapłacę ci, tylko nie śpiewaj.

- Pozwól jej - wtrąciła się Julka. Gabrysia znowu zaciągnęła się mocno.

- Idź do diabła. Nic nie czuję. Zupełnie jakbym paliła zwykłego papierosa.

- Spal do końca - odezwał się Peter.
- Ty też palisz marychę? - Odwróciła głowę w jego kierunku.
- Czasami.

Gabrysia przyglądała się tej parze z odrobiną zazdrości w duchu, ale z wyrazem twarzy pogodnym, by nikt nie domyślił się jej pragnień. Ni stąd, ni zowąd odezwał się długonogi Kamil:

- Opowiem wam kawał. Przychodzi baba do lekarza - tu przerwał, spojrzał po wszystkich twarzach. - A lekarz też baba.
- To koniec? - zapytała Gabrysia
- Koniec. A co?
- Wiesz, za co Kain zabił Abła?
- Za co? - odezwali się chórem.
- Za opowiadanie starych dowcipów.

xxx

Tego wieczoru całą piątką wylądowali w barze. Rozbawieni, wnieśli tam nowy klimat. Zamówili po dwa piwa dla każdego. Choć w barze siedziało kilkanaście osób, atmosfera przypominała raczej stypę, bo każdy po cichu szeptał sobie do ucha. Rozochoceni, zaczęli więc śpiewać. Wyśpiewali wszystkie znane im biesiadne polskie piosenki.

W trakcie śpiewania po kolei przysiadali się Angole, spragnieni zabawy, i próbowali pojedynczymi głosami im wtórować. Przed zamknięciem baru śpiewali już wszyscy. Nawet barman. Wychodząc z baru - napici i weseli - zaczęli śpiewać kolędę *Wśród nocnej ciszy*.

- Repertuar się wyczerpał? Zostały tylko kolędy? - Julka zwróciła uwagę na niestosowność śpiewania kolęd.
- Mogę zmienić repertuar i zaśpiewać postne - zażartował Marek.
- Ani mi się waż. - Pogroziła mu palcem. Gabrysia już słała się na nogach.

- Róbta co chceta, upiliście mnie. Idę spać. - I ruszyła z kopyta.

Pozostał po niej tylko zapach, który swą słodkością mdlił nozdrza napitego Marka. Stali jeszcze chwilę, spoglądając na odchodzącą Gabi, póki jej postać nie rozplynęła się w mroku.

- Niesamowita kobieta - Marek zwrócił się do Kamila. -Przyciąga jak magnes poczuciem humoru i zaskakującą wiedzą. Wiele bym dał, żeby mogła być młodsza. Nie miałbym wątpliwości, że to odpowiednia partnerka dla mnie.

- Pieprzysz głupoty. Jest mądrzejsza, bo starsza

- Ja z nią pracuję i dużo rozmawiamy. Mówi tak mądrze, jakby znała całą filozofię od Platona do Sartrea. Ja skończyłem bibliotekarstwo, więc powinienem być odczytany, a jednak ona mnie ciągle zaskakuje. Uwielbiam mądre kobiety i seks, a ona łączy te dwa elementy.

- Nie znam jej z tej strony - odparł Kamil - a dzisiaj poznałem ją tylko od jednej. Wiem, że umie się bawić.

Gabi odwróciła się i zobaczyła zarys dwóch postaci w łopoczących na wietrze kurtkach. Ona sama, idąc w kierunku domu, chciała zatopić się w ciszy i schować się przed światem. Tej nocy zasypiała szczęśliwa, że jutro ma wolny dzień. Udało się jej zasnąć dopiero wtedy, gdy świt zaznaczył na parapecie smugi szarości w różnych odcieniach.

Była połowa lutego.

- Dzisiaj wrócił ze szpitala Steve - oznajmiła Dorothy w czasie ранego raportu. - Usunięto mu guza mózgu. Już wcześniej mu to proponowano, ale nie wyrażał zgody. Ponoć do prowadzącego go neurochirurga powiedział, że teraz odnalazł sens życia i zdrowie jest mu bardzo potrzebne, by naprawić błędy, jakie popełnił.

Zwróciła się do Gabrysi:

- O dziewiątej zgłosisz się do Agnes.

- Boże! Co się stało? - Gabi zapytała przestraszona i spojrzała Dorothy prosto w oczy.

- Nie wiem, naprawdę nie wiem. Ja żadnej skargi nie wносиłam.

- Dzień dobry, Gabi. Jak się masz? - odezwała się ciepło Agnes i podała rękę na przywitanie. Były same. To zaważyło na lepszym samopoczuciu Gabi. - Proszę, usiądź wygodnie. - Wskazała ręką na fotel, a sama usiadła za biurkiem. Zadzwoił telefon. - Proszę nie łączyć mnie z nikim. Odezwę się, kiedy skończę - powiedziała i odłożyła słuchawkę. Następnie wzięła do ręki długopis i zaczęła obracać go w palcach, jakby chciała ukryć zdenerwowanie. - Poprosiłam ciebie, by porozmawiać o Stevie. Wiesz, że wrócił dzisiaj ze szpitala. Przeszedł bardzo poważną operację, ale opłacało się, bo jest w lepszej kondycji fizycznej i psychicznej. Jakby nie ten sam człowiek. Wezwałam cię w związku z życzeniem Steve'a, który prosił mnie, żebyś to ty była jego opiekunką wówczas, kiedy masz zmianę.

Natychmiast dorzuciła, jakby z szybkością światła przefiltrowała myśli Gabrysi:

- Nie, nie, niczego się nie dowiedziałam. Wiem tyle, ile wszyscy: że jest Polakiem. Obiecałam dowiedzieć się czegoś więcej i dotrzymam obietnicy. Przygotowałam już pismo, które jeszcze dzisiaj zostanie wysłane do Departamentu Ewidencji Ludności. Steve ma inne nazwisko, na pewno nie angielskie i to mnie zastanawia. Mogę udostępnić ci dokumenty, które mówią o jego pochodzeniu.

Spod biurka wyciągnęła teczkę, na której widniały duże litery. Steve Mazur. Oczom Gabrysi ukazały się karty już sinawe,

jakby opuchnięte ze starości, pokryte czarnymi żyłeczkami, które kiedyś napiły się czarnego druku.

- Zobacz, Gabi. - Podała otwartą księgę, w której widniały dane o pochodzeniu i miejscu urodzenia.

Gabrysia rzuciła okiem na dane. W miejsce urodzenia wpisane było „Ostrów, Poland”.

Gabrysia podniosła wzrok znad strony, jej oczy zaszklily się. Odezwała się po krótkiej chwili milczenia:

- Wszystko wskazuje na to, że to mój stryj. Moja cała rodzina pochodzi właśnie z tego miasta, ale stuprocentowej pewności nie mam, więc będę czekała na dokładniejsze informacje.

- Dziwne, bardzo dziwne, że trafiłaś do tego Domu Opieki, w którym odnajdujesz osobę bliską, z rodziny. - Podniosła dłoń do ust i zrobiła gest, jakby je wycierała. Widać było, że głęboko się zamyśliła.

- Agnes - Gabi wypowiedziała imię szefowej cichutko, jakby się jej bała. Tym dźwiękiem wyrwała ją z dziwnego odrętwienia, w którym pani menager trwała od kilku sekund.

- Tak? Słucham.

- jeśli masz trochę czasu, wytłumaczę ci, że to wcale nie tak dziwne, jak tobie się wydaje.

Opowiedziała swoje sny, które zaprowadziły ją do tego Domu Opieki i które mówiły o przeznaczeniu.

- Zaczynam odbierać te wszystkie zjawiska jako coś naturalnego i czekam na dowody - zakończyła swoją opowieść.

- Niesamowite, niesamowite - Agnes nie mogła się nadziwić. - Sprawdźmy to wszystko, a teraz wracaj do pracy i nie zapominaj, że jesteś wyjątkową opiekunką. Dziękuję ci za ciężką i odpowiedzialną pracę.

- Dziękuję, Agnes. Postaram się jeszcze lepiej pracować. Zamknęła za sobą drzwi i skierowała się do windy. Czowała na sobie wzrok koleżanek, które akurat kręciły się w głównym holu.

Kiedy tylko otwarły się drzwi windy, podbiegła Dorothy:

- Gabi! Idź do Steve'a. Jeszcze nie jest ubrany, a chciałby posiedzieć ze wszystkimi na świetlicy. Pogodny, zadowolony, więc poradysz sobie sama.

Otwierała drzwi powoli. Jej umysł zaprzętały pytania: Dlaczego ten człowiek odseparował się od rodziny? Od najbliższych? Jakie miał ku temu powody? Co go do tego zmusiło? Weszła do pokoju z posągową twarzą, a z jej ust wydobył się spokojny głos:

- Witam. Cieszę się, że wróciłeś do nas cały i zdrow. - Zamknęła za sobą drzwi i przysiadła na fotelu naprzeciwko Steve'a, który w pidżamie siedział na łóżku.

- Także się cieszę.

- Kiedy ostatni raz rozmawiałeś po polsku? Poza rozmową ze mną, oczywiście.

- O...! Bardzo dawno. Tak dawno, że nie pamiętam. Kiedyś Polakom tłumaczyłem jakieś teksty, byłem zaproszony przez nich na obiad i wtedy przegadaliśmy cały wieczór - dobierał słowa, cedził je wolno, ale wysławiał się wyśmienicie.

Gabrysia nie chciała poruszać tematu rodziny. Nie miała stu-procentowej pewności, więc zostawiła tę sprawę do wyjaśnienia. Nie miała też zamiaru z kimkolwiek na ten temat rozmawiać, chociaż w Care Home aż szumiało od plotek.

- Gdzie nauczyłaś się angielskiego? - Wymownie spojrzął jej w oczy.

Ten wbity wzrok jakby zahipnotyzował ją na kilkanaście sekund. Ujrzała siebie we własnych snach, jak siedzi naprzeciw staruszka, tak jak obecnie. A on woła: *help me, help me*. Ten sam strach owładnął jej ciałem. Patrzyły na nią te same oczy. Patrzyły błagalnie jak oczy kogoś, kto popełnił przestępstwo. Dziesiątki razy bywała w tym pokoju, rozmawiała ze Steveem, przyglądała się jego twarzy, a nigdy nie skojarzyła go z żadnym

rodzinnym podobieństwem. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że jest podobny... do jej ojca. Ukryła twarz w dłoniach. Straciła poczucie rzeczywistości zatopiona we własnym oceanie myśli. Zaczęła modlić się, żeby to nie było prawdą, a tylko snem.

Ale tym razem była to rzeczywistość. Przed nią siedział staruszek, być może stryj. Przypomniła sobie moment agonii ojca, który w otwierających się drzwiach do mieszkania zawsze wypatrywał swego brata. Choć minęło tyle lat, pamięta, jak mówił do matki: „Franiu, może to Stefan?” Miała wtedy zaledwie siedem lat. Ale Stefan nie przyjechał, bo myślał, że liczna rodzina potrzebuje pomocy.

- Gabi, Gabi! - Szturchnięta w ramię poczuła, jak oderwana od skały niebezpiecznie spada w swoje myśli.

- *Sorry, sorry, Steve.* Tak się zamyśliłam.

- Nic się nie stało. Miałaś prawo.

Zapanowało krótkie milczenie. Gabrysia, wbita w fotel, nie mogła się ruszyć, jak w swoich snach.

- Znowu się zamyśliłaś? - odezwał się, przerywając milczenie. - O czym myślałaś? - zapytał ciepło i jakoś tak... bajecznie.

- O urzeczywistnieniu się snów.

- Jak to? - ponowił pytanie.

Nie odpowiedziała. Wstała, poszła do łazienki, by przygotować wszystko do porannej toalety. Spojrzała na zegarek. Już była dziesiąta dwadzieścia. Przestraszyła się, że za długo tu przebywa, a Steve jeszcze w pidżamie.

- Musimy zdążyć na herbatkę o jedenastej - powiedziała.

W czasie obiadu usiadła samotnie przy stoliku. Nie była głodna, nie chciało się jej nawet pić. Musiała po prostu odpocząć. Na zaproszenia koleżanek z innych oddziałów, spragnionych plotek, odpowiadała tylko „Dziękuję”. Usiadła tyłem do wszystkich,

a przodem do okna, za którym sznur samochodów koił jej duszę. Trwała tak w beczynności, podparta dłońmi o policzki. Gwar panujący w jadalni stał się muzycznym tłem do jej rozmyślań. Na pół godziny zatraciła się w rozważaniach i wracała do szaleństw ze snami. Analizowała, rozgryzała obrazy i słowa. Skupiała uwagę na zjawiskach paranormalnych, a nie na świecie rzeczywistym. Chciała natychmiast ogarnąć jednym rzutem oka całość świata, odkryć jego tajemnicę i utajoną celowość, ale jej myśli waliły się w gruzy. Trudno było ustalić sens tych scen ze snów.

Nagle poczuła mocne klepięcie w ramię. To Sylwia z Polski, nowa pielęgniarka na głównym oddziale. Poznały się kilka dni temu. Była młodą, trzydziestoletnią, wysoką blondynką o falujących włosach spiętych teraz w kucyk. Gabrysia poczuła się jak przebudzona ze snu.

- Która godzina?

Sylwia zerknęła na zegarek przywieszony do kieszonki służbowej bluzy.

- Dochodzi czternasta.

- O Boże! Przesiedziałam samotnie tyle czasu! Ale tego potrzebowałam. Muszę już wracać.

- jeśli chcesz, możemy razem wracać po dwudziestej do domu. Rozmawiałam z Julką - mówiła, przebierając palcami, wyraźnie się denerwowała.

- Gdyby nie ona, nie poradziłabym sobie.

- Dlaczego?

- Mój angielski jest słabiutki.

- O, nie martw się! Nie jesteś sama. Zawsze znajdzie się jakaś dusza, która ci pomoże. A może Julka jest tobie przeznaczona?

- Przeznaczona? - Sylwia zrobiła duże oczy, jakby pierwszy raz słyszała to słowo.

- No, tak sobie powiedziałam, ja też chyba nie poradziłabym sobie bez Marka - uzasadniła Gabi.

- Fajny chłopak, już go poznałam.
jadąc windą, Gabrysia myślała jak to miło rozmawiać po polsku. Przez chwilę poczuła się jak w kraju. Umawiając się ze Sylwią na powrót do domu, przez sekundę miała wrażenie, że będzie wracać do prawdziwego domu, który jest jej miejscem na świecie, bez którego nie można normalnie funkcjonować. A przecież to jej własne miejsce było oddalone o dwa i pół tysiąca kilometrów. Coś ścisnęło ją za gardło, jak nocna zmora. Szybko te nostalgiczne myśli przenicowała na drugą stronę: jeszcze tylko sześć tygodni i pojedę na pierwszy urlop - pocieszyła się i wróciła do obowiązków.

XXX

- Cześć, Gabi! Mamy razem poobiedni dyżur - Marek zaczął ją, biegnąc szybko w przeciwnym kierunku, gdy ona wysiadała z windy.

Poszła prosto do dyżurki po instrukcje, by sprawdzić, czy aby na pewno będzie pracować z Markiem. Znała jego żarty i psikusy. Kiedy przeglądała zeszyt z raportami, ktoś ujął ją w pasie. Poczuła ciepły oddech na szyi.

- Ale pachniesz! Tylko że przy tych gównach nawet Dior nie pomoże - usłyszała za plecami.

Wiedziała, że to Marek. Zrobiło się jej przyjemnie. Odwróciła się. Stała naprzeciwko niego twarzą w twarz.

- Och, ty smarkaczu - odchrząknęła jakby chciała wycofać słowa. - Puść mnie - poprosiła złagodniałym głosem, kiedy ten nie chciał jej wypuścić. Szturchnęła go lekko w brzuch. Odwróciła głowę, wskazując na Dantona, pielęgniarza, który szedł w kierunku dyżurki. - Zaraz będzie draka.

- Mamy prawo sprawdzić raport - odrzekł szybko i wziął do ręki zeszyt, zatapiając się w lekturze.

Wychodząc z dyżurki Gabrysia natknęła się na Audrey -jedyną Walijkę, którą lubiła i na której pomoc mogła liczyć.

Zawsze miały sobie wiele do powiedzenia. Spojrzały na siebie wymownie. Gabrysia zauważyła, że płakała.

- Co się stało? Audrey, ty płakałaś? - zapytała.

- Ach! Mam problemy w domu. Właśnie chcę pogadać z Dantonem, żeby mnie zwolnił, a tę popołudniówkę odrobie innym razem.

- Zastanów się, może nie warto.

Audrey podniosła rękaw bluzy. Oczom Gabrysi ukazała się jej fioletowa ręka: jeden wielki krwiatek.

- Boże! Co się stało?

Jakby tego było mało, Audrey podniosła nogawkę spodni. Na nodze nie było jasnego miejsca.

- O, *Kyrie eleison!* - Nic innego nie przyszło Gabrysi na myśl.

- A wy co tak gadacie? Praca już podzielona. - Danton był lekko poirytowany pogaduszkami kobiet. W końcu odpowiadał za cały zespół, a ponieważ był filipińskim emigrantem na kontrakcie, więc uważał na wszystko i wszystkich. Był wyrozumiały dla personelu. Gdy zobaczył niewielką niesubordynację, zawsze najpierw o tym rozmawiał. Nigdy nie skarżył dyrektorce, nigdy też nie pisał raportów na nikogo. Gabrysia kochała Filipińczyków za ich wyrozumiałość, troskę, za pomoc na każdym kroku. Nie bała się ich i miała wśród nich przyjaciół.

- Danton - odezwała się Audrey. - Chcę z tobą porozmawiać. Weszli do dyżurki. Gabrysia została sama. Stała naprzeciw

gromadki staruszków okupujących miejsca na korytarzu. Podeszła do Katrin, stuletniej staruszki, która ciągle spakowana, z walizką obok nogi, siedziała spokojnie i czekała na pociąg. Często była powodem żartów i śmiechów, co bardzo Gabrysi się nie podobało. Wyobrażała wtedy sobie siebie jako stuletnią babcię, która jest pośmiewiskiem dla młodych.

Tym razem jednak podeszła, kucnęła, by jej wzrok był na wysokości oczu babci, i powiedziała tym samym tonem, jakby sposób mówienia i traktowania innych wchodził powoli w krew.

- Katrin, gdzie ty dzisiaj wyjeżdżasz?

- London Paddington. Jadę do moich znajomych. Często tam jeżdżę - stwierdziła z powagą. Głosik miała piskliwy, mówiła jak przydepnięta myszka. Gabrysia musiała bardzo wsłuchiwać się w słowa, by zrozumieć. Jeszcze cały czas w umyśle musiała zamieniać słowa angielskie na polskie, co niestety utrudniało najprostszą konwersację.

- A może mnie zabierzesz ze sobą? - zapytała łagodnie.

- Aaa! Po co ty mnie potrzebna? Czy ja sama nie trafię? - Katrin zrobiła tak pewną siebie minę, że można było jej uwierzyć. Gabrysia przypomniała sobie pewną historię ze szpitala. Kiedyś Katrin upadła i pojechały razem na prześwietlenie. Gdy Gabrysia podawała hinduskiemu lekarzowi zdjęcie i kartę choroby, on zapytał:

- Babcia, ile masz lat?

- Aaa... bo ja to wiem? Chyba zapomniałam. A może pięćdziesiąt?

- Jesteś całkiem młoda - stwierdził Hindus z poważną miną, oddając jej zdjęcia. I dodał: - Nic się nie stało. Babcia jest zupełnie zdrowa.

- Pewnie, że zdrowa - upewniła go Katrin.

Szybko wstała, zaczęła obracać się w kółko i śpiewać jakąś piosenkę, której słów Gabi nie rozumiała. W pewnym momencie wszyscy byli gotowi babcie pochwycić, by nie upadła.

- Wy młodzi, ale wy słabi. Tylko mózgi wam rosną, ale mózgami nie będziecie piec chleba. Potrzebne są mocne ręce. O, zobaczcie! - Wyciągnęła chudziutkie kończyny, które pokrywała sucha, pergaminowa skóra o fioletowym zabarwieniu. Katrin spojrzała na swoje ręce. Nagle jakby spoważniała. Popatrzyła na lekarzy, którzy bacznie się jej przyglądali. Szybko schowała ręce do kieszeni palta. Zrobiła przy tym dziwną minę, jakby chciała powiedzieć, że nie udało się przeciwnika wpuścić w maliny. Po-

kiwała śmiesznie głową na znak, że kapituluje i sama zakończyła wizytę, mówiąc tonem szorstkim: - Idziemy do domu.

Cała ta sytuacja stanęła przed oczami Gabrysi. Uśmiechnęła się sama do siebie.

- Jak nie chcesz mnie zabrać, to jedź sama. - Wstała i ruszyła na korytarz, wołając głośno Marka. Znalazła go w łazience, właśnie przygotowywał kąpiel dla Katrin.

- Gabi, przyprowadź babcię.

- O! o! Mylisz się. Nasza babcia wybiera się do Londynu. Podniósł głowę, wyciągnął palce z wody.

- Do mierzenia temperatury masz termometr, a ty jak stara baba używasz metod sprzed stu lat - ofuknęła go Gabrysia.

- Zamknij drzwi, jeśli chcesz mówić po polsku, bo jeszcze się nam oberwie - tym razem to Marek pouczał Gabrysię.

- Nie ma nikogo na naszym korytarzu. Wszyscy zajęci kąpielami swoich podopiecznych. Tylko Danton rozmawia w dyżurce z Audrey. Pobił ją mąż i chce iść do domu.

- O kurwa! Jak ona pójdzie, to dojdą nam dwie kąpiele.

- Nie przeklinaj! - powiedziała całkiem poważnie.

- I na ciebie przyjdzie kolej, że zaczniesz bluźnić jak szewc.

- Twoje niedoczekanie. - Gabi nie chciała się kłócić, więc szybko wyszła przygotować Katrin.

Podeszła do niej i znów przyklękła.

- *Lady* Katrin, przed podróżą wypada wziąć kąpiel. - Patrzyła jej prosto w oczy:

- Kąpiel? Nie, tydzień temu się kąpałam - odrzekła dumnie Katrin.

- Nieprawda. Ostatni raz kąpałaś się dwa tygodnie temu.

- Co ty, głupia? Ty myślisz, że ja brudaska?

- Nie, babciu. Jesteś bardzo elegancka i zadbana. Jeśli chcesz wcześniej wyjechać, to chodź ze mną na drugi przystanek. Stamtąd zaraz będzie odjeżdżał pociąg do Londynu.

- Londyn, Londyn - powtórzyła Katrin piskliwym głosem.
Przynęta chwyciła - pomyślała Gabrysia, pomagając babci wstać.
- Ja wezmę walizkę. - Schyliła się i podniosła ją za rączkę.
Podtrzymując babcię podreptały w kierunku następnego przystanku, czyli drzwi do łazienki, które Gabi z impetem pchnęła nogą.
- Niiieeee! - Katrin krzyczała tak głośno, że jej głos echem rozniósł się po korytarzu.
- Zamknij drzwi - dał rozkaz Marek i szybko podbiegł na pomoc.
Gabrysia postawiła walizkę obok toalety. Zaczęła się szarpanina. Babcia ciągle miała dosyć siły, żeby walczyć. Przez parę sekund wydawało się obojgu, że nie podołają. Wtem Marek ostro szarpnął staruszkę.
- Dosyć tego! Nie będziesz mną rządzić - krzyknął ostro. - Trzymaj ją, Gabi, a ja będę ją rozbierał.
Kiedy wsadzali ją do wanny, oboje ociekali potem. Krzyki babci nie ustępowały. Nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich zapłakana Audrey.
- Idę do domu, będziecie mieli więcej kąpieli.
- O kurwa - zaklął Marek.
- Kuwa, kuwa - odpowiedziała Audrey, uśmiechając się przez łzy.
Znała polskie przekleństwa, których wszyscy uczyli się bardzo szybko.
- *Terra, terra* - usłyszeli oboje. Drzwi zamknęły się z hukiem. Babcia, siedząc w wannie, nieco się uspokoiła. Woda sięgała jej powyżej pasa.
- Niech tak sobie posiedzi, a my ochłoniemy. No to czeka nas więcej roboty - Marek nie mógł tego przeżyć.

- To nie nowina. Nie po raz pierwszy Walijka idzie do domu, a tylko ty spróbuj się zwolnić.

- jeszcze nie próbowałem - przyznał Marek.

- To spróbuj - odrzekła Gabi z tą samą pewnością siebie. Marek spojrział na staruszkę i ściągnął na nią wzrok Gabrysi.

- Zobacz, jej skórę! Ma chyba ponad sto lat i jeszcze chodzi.

- jeszcze dwa miesiące i już się położy.

- Niby dlaczego?

- Bo nie ma wiecznych ludzi - sentencjonalnie stwierdziła Gabrysia. - Rodzimy się, by umrzeć, a ona i tak żyje poza gwarancją. Chyba ma bonus od Boga.

- Pomyśl raczej, że jej życie nie ma w ogóle sensu. Tylko robi kasę firmom farmaceutycznym. - Marek był zawsze realistą.

- Widocznie Bóg tak chciał. A śmierć jest wpisana w porządek wszechświata i nic nie możemy na to poradzić. Musimy się tylko z nią oswoić i pogodzić. - Gabrysia nie zmieniła stanowiska.

- Znowu wyskakujesz z tym swoim Bogiem, który potrafi tylko karmić się ludzkim cierpieniem, złem i starością, ja też pochodzę z katolickiej rodziny, ale mam rozum i potrafię myśleć, jest życie, jest ewolucja, jest instynkt, ale nie ma nic poza tym - Marek dalej filozofował.

- Głupi jesteś jak but z lewej nogi. - Gabi zdawała się kończyć dyskusję, a jednak kontynuowała: - jest dobro i jest zło, jest miłość i nienawiść. Wszystko ma plusy i minusy. Niedawno odkryto antymaterię, a myślano dotychczas, że istnieje tylko materia, jest życie i jest śmierć. Wszędzie jest waga i przeciwwaga. Taki jest kosmos, a my jesteśmy jego częścią. Boską częścią. Tkwi w nas jądro, czyli dusza, której nikt i nic nie może unicestwić, jeśli chodzi o zło, to nie jest ono bytem jak dobro. Zło jest metafizyczną próżnią, która powstaje tam, gdzie nie ma dobra. Ludzie czynią źle wtedy, kiedy nie czynią dobrze. Nie

ma żadnej substancji, która byłaby zła, bo wszystko co istnieje, jest dobre. Zło jest niebytem, nie ma wewnętrznej siły, aby się rozwijać. Powstaje tylko tam, gdzie chwilowo nie ma dobra. Tak powiedział święty Augustyn i bardzo mi odpowiada jego filozofia. Zgadzam się z nim.

- Czegoś nie rozumiem. - Marek spojrzał na Gabi, kontynuując tę poważną dyskusję. - Dlaczego ludzie tak długo cierpią, czekając na własną śmierć? A potem odchodzą w długiej agonii, niekiedy bardzo świadomi. Przecież byłeś już świadkiem śmierci. - Nabrał oddechu, jakby ta wypowiedź bardzo go znużyła. - A w ogóle co ty możesz powiedzieć na temat dobra i zła?

- Nic! Absolutnie nic. Mam osiemnaście lat, jestem jeszcze całkiem szczęśliwa pod skrzydłami rodziców. - Gabi spoglądała z ironią na Marka i chrząkała złowrogo od czasu do czasu. - Słuchaj, młokosie! - Była mocno poirytowana. - już swoje przeżyłam. Wyszłam z domu jako dziewiętnastolatka z reklamówką, w której były skarpetki, majtki, jakiś sweterek i nie pamiętam co tam jeszcze. Ale pamiętam, że ta reklamówka była lekka. Tak rozpoczęłam nowe życie na własny rachunek. Mój mąż też nic nie wniósł do rodziny. Pierwszym dobytkiem było dziecko. Ale byliśmy szczęśliwi. Dzięki ambicji osiągnęłam to, co osiągnęłam, jak widzisz, walczę do dzisiaj i naprawdę nie jest mi lekko. Zdążyłam poznać dobro i zło.

- Ale na pewno jest ci lżej, bo wierzysz w Boga. A ja wierzę tylko w siebie i w ludzki rozum. Uważam, że nie było żadnych bogów przed nami. To my jesteśmy bogami - Marek poważnie wygłosił swoje credo.

Staruszcze widać nie przeszkadzała rozmowa w innym języku, bo chlapała się jak małe dziecko, a Marek, siedząc przy wannie, Pomagał jej robić fale.

- Dolej ciepłej wody. - Gabi włożyła rękę, by zbadać temperaturę.

- Zamrozimy babkę. Dla potomnych. - Marek zaczął się głupio rechotać.

- Jesteś świnia, paskudna świnia. Radzę ci iść do spowiedzi i nabrać szacunku do starych ludzi.

- Słuchaj, Gabi. - Jego mina spoważniała, podparł się jedną ręką o brzeg wanny, nachylił do babci i spoglądając jej prosto w twarz, powiedział: - I ty mówisz, że to jest człowiek, że... że... to coś... wysuszone jak jabłko, jest boskie? Dla mnie jeśli Bóg istnieje, to jest bardzo niedoskonały. A jak mam wierzyć w coś niedoskonałego?

- Słuchaj, młokosie - odezwała się Gabi ze złością, przebierając palcami. - Boga odkrywa się raczej poprzez cierpienia aniżeli poprzez szczęście i jeżeli działasz w jego imię, bądź przygotowany na porażkę, na przegraną. Dla mnie są dwa sposoby na życie. *Jeden to żyć tak, jakby nic nie było cudem, a drugi to żyć tak, jakby wszystko było cudem.* Cudem dla mnie jest życie, cudem starość i śmierć. Zobacz, jaka ona jest teraz słodka - dodała, wskazując na Katrin. - Cieszy się chwilą, którą podarował jej Bóg. A On jest milczeniem. Jego milczenie jest tajemnicą, więc nie dopuści nas do swojej tajemnicy i nie dowiesz się, dlaczego nasza babcia wygląda jak wygląda i dlaczego jeszcze żyje, mimo swoich stu lat i sfiksowanego umysłu.

- Dobra, nie filozofuj, tylko ją myj - Marek wrócił na ziemię. - Mamy już mało czasu. Zobaczysz, jaka będzie słodka, gdy będziemy ją wyciągać.

- To nasza praca. Nie pracujesz za darmo - Gabrysia ciągle broniła swojego stanowiska.

- O Boże! Amerykę odkryłaś! Ja pracuję tylko i wyłącznie dla kasy, a ty jak chcesz, to się poświęcaj.

- Życzę ci, smarkaczu, szybkiej starości - zawyrokowała Gabi.

- Ja nie mam dzisiaj urodzin. - Marka ogarnął głupi, młodzieńczy śmiech.

Gabi zaczęła obracać wajchą krzeselko, na którym w wannie siedziała babcia. Znowu zaczął się raban. Staruszka opierając się o boczne poręcze krzeselka wrzeszczała wniebogłosy, jakby ją ktoś ze skóry obdzierał, wierzgała nogami, co mogło być niebezpieczne.

- Trzymaj - zadysponował Marek - a ja skieruję ją na zewnątrz.

Krzesło było już poza wanną, a nogi babci sięgały posadzki. Gabrysia intensywnie, ale delikatnie wycierała ciało staruszki, uważając na krwiaki i siniaki, którymi było pokryte.

- Może ją wyprasujemy w ramach dodatkowych usług? -zażartował Marek.

- Nie. Raczej oddamy ją do magla - Gabi odpowiedziała głupim żartem.

- To mi się podoba - podsumował Marek. - Nadajesz tonem, jakim bije mój dzwon: b-moll, bo ostatnio twoje skrzypce grały w C-dur.

Gabrysia podniosła się z kolan i wymownie spojrzała na kolegę.

- A co? - zapytał rozbawiony. - Tylko ty mówisz wierszami?

- Zaskoczyło mnie, że znalazłeś takie ładne porównanie. Myślałam, że składasz się tylko z części chamskiej. Cieszę się, że jest w tobie też pogoda. Spójrz w lustro, a zobaczysz w nim to, co masz w sobie, czyli dobro i zło. Ja też nie jestem święta. Myślisz, że nie mam wątpliwości co do istnienia Boga? Niejeden raz zadaję sobie pytania. Jestem tylko ułomnym człowiekiem.

- A ja myślałem, że kobietą fajną na seks.

- Ale na pewno nie z tobą.

- A dlaczego nie? Wszystkiego trzeba w życiu spróbować.

- Lepiej podaj mi sweterek, a ty wciągaj rajstopy.

- Ale ona ma starą cipę. Ciekawe, jak by się ją rznąło? Gabrysia już nie mogła zdzierżyć tych słów. Przecież i ona

nie była młoda. Pomyślała: „Ciekawe, co myślą młodzi o takich kobietach jak ja”, ale odezwała się w całkiem innym tonie:

- Gdyby ta staruszka wiedziała, co powiedziałeś, nigdy by ci tego nie wybaczyła. Pamiętaj, że słowa są jak harpuny: łatwo je wbić, ale wyciągnąć bardzo trudno. Uważaj, co mówisz. Jej nie obraziłeś, ponieważ cię nie rozumie, ale dotknąłeś mnie. Poradzę ci coś, smarkaczu, zapamiętaj to motto na zawsze: „Żyj z ludźmi tak, jakby patrzył na ciebie Bóg, a z Bogiem rozmawiaj tak, jakby słyszeli cię ludzie”.

- Seneka - zdecydował szybko, zadowolony z siebie.

- Skończyłeś bibliotekarstwo, więc trudno, żebyś nie znał jego złotych myśli.

- Nie wszystko pamiętam, dużo uleciało.

- To już zaczyna się twoja skleroza? - oddała mu z satysfakcjonującym uśmiechem.

Babcia była ubrana, zostały do wysuszenia włosy. Gabrysia szła powoli trzymając ją pod rękę, a w drugiej dźwigała walizkę. Miejsce babci było zajęte, więc Gabrysia przyniosła z pobliskiego pokoju krzesło. Z szafy obok dyżurki wyciągnęła suszarkę i szczotkę. Zaczęła modelować. Marek w tym czasie uprzątał łazienkę i szykował kąpiel dla Franka. Musieli się sprężyć, bo czasu niewiele, a jeszcze czekało kilku podopiecznych do wykąpania.

Frank siedział nieruchomo w swoim głębokim fotelu. Miał oczy wpatrzone w jakiś punkt na suficie. Gdyby nie były otwarte, można by pomyśleć, że nie żyje. Wielki, ciężki.

- Pozapinałaś go dobrze? - zapytał Marek, włączając podnośnik.

Maszyna zaczęła unosić się powoli do góry dźwigając z fotela nieruchome ciało Franka. Wydawać by się mogło, że jemu jest wszystko obojętne. A jednak w chwili podnoszenia ze zdziwieniem otworzył szeroko swoje małe, borsucze oczka. Jego krzacza-

ste brwi uniosły się do góry w taki sposób, że czoło pokryło się dodatkową siecią zmarszczek, grubych, fałdzystych. Wyglądało to tak, jakby ktoś zaorał kawałek ziemi.

Podniósł też nieznacznie lewą rękę do góry i ruszył palcami jak manekin. Na sali oprócz Marka i Gabrysi nie było nikogo. Rozochocony Marek rozpoczął swój występ.

- Operacja Gargamel! Podnośnik w górę! - zadysponował aktorsko. - Asekuruj go, bo skurwysyn ciężki jak cholera.

- Czeka cię pięć lat, jak mu coś niechcący zrobisz. - Gabi spojrzała ostro.

- A skąd ty to wiesz?! - zapytał ze zdziwieniem, jednocześnie prostując plecy i przesuwając lewą ręką po kręgosłupie.

- Łupie cię? - zapytała Gabi z niedowierzaniem.

- Po prostu zemdlał mi mój pręt w czasie zapinania pasów. - Uśmiechnął się dziwacznie przy tych słowach.

- Jeśli w twoim wieku mdleje ci pręt, to no, no... - Gabi podchwyciła dwuznaczność sformułowania. - Nie możesz zabierać się za kobiety, szczególnie te doświadczone i wymagające.

- Aaaa, to coś już wiem o tobie: doświadczona i wymagająca.

- Dodaj: leniwa egoistka, która wyssie z ciebie całą energię, w zamian nic nie dając.

- O! Uwielbiam takie! - stwierdził jednoznacznie, patrząc Gabrysi prosto w oczy, aż ją to speszyło.

- Niemożliwe - rzuciła krótko. Podnośnik już wyjeżdżał na korytarz.

- Myślałam, że najpierw na wózek, a potem znów na wysięgnik.

- Oszalałaś? Czy zdajesz sobie sprawę, ile to dodatkowej pracy? Zamiast wykorzystać, że w tej chwili jest spokój na oddziale i nikt nas nie widzi, to ty wydziwiasz.

- Nie wydziwiam, tylko nie chcę pracować wbrew przepisom. Przecież w każdej chwili pojawić się może jakiś kapuś.

Nie chcę wylądować na dywaniku i nie chcę byś służył mi za tłumacza. Kiedyś powiedziałam Agnes, że w Polsce nie ma kapowania, a za skarzenie są wysokie kary, które wymierzają sami oskarżani, i że większość stara się być solidarna. Popatrzyła wtedy na mnie jak na wariatkę.

- Słuchaj, Gabi. Tu żyją prości ludzie, którzy nie czytają książek. Na ich edukację składa się program TV i filmy wideo oraz konsumpcja chińszczyzny i frytek z rybami. Skarżypoctwo i podglądanie cudzego życia jest ich ulubionym zajęciem, To sens ich jestestwa.

Dojechali już do łazienki. Gabi miała serce w gardle, bo robili coś wbrew przepisom, ale nie umiała się temu chłopakowi przeciwstawić. Nie nosiła w sobie pierwiastka przywódcy, chyba że we własnym domu. Wolą być podporządkowaną i posłuszenie wykonywać polecenia.

Zawsze twierdziła, że jak chcesz poznać człowieka, to pozwól mu rządzić. Wreszcie zamknęli drzwi łazienki i Gabi wzięła głęboki oddech. Schyliła się i zaczęła ustawiać uchwyt przymocowany do wanny, który podnosił jeden bok do góry. Kiedy się udało, można było położyć Franka na dnie. Wannę tę można było całą podnosić na resorach na wysokość wygodną dla kąpiących. Przy pomocy wysięgnika wsunęli Franka do suchej wanny na siedzisko. Marek rozpiął pasy, a Gabrysia przystąpiła do rozbierania delikwenta. Zamknęła wannę. Od tego momentu Frank był bezpieczny. Tym razem użyli prysznicza. Kąpanie było wygodne, choć od opiekunów wymagało wiele wysiłku.

- Szoruj go energicznie, a ja będę polewał wodą - zadysponował Marek.

Frank siedział prawie nieruchomo, tylko mrużył oczy, kiedy woda jak kaskada spływała mu po twarzy mocnym strumieniem. W pewnej chwili chwycił się prawą dłonią o brzeg wanny, jakby bał się upadku. Poruszył głową.

- O, zwierzątku! To ty się ruszasz? To ty żyjesz? - Marek nie mógł ukryć zdziwienia.

- Marek! Przestań! - Gabi podniosła się wyniośle i z oburzeniem spojrzała na niego. - jeszcze raz tak powiesz, to zobaczysz.

- Straszysz mnie? Gabi, ja wcale się ciebie nie boję.

- Nieludzkie jest takie wyrażanie się o człowieku.

- Przecież to już nie człowiek, tłumaczyłem ci tyle razy. On był człowiekiem, nie neguję, ale nie jest w chwili obecnej. Czy nie widzisz, że to zombie? Jak wielu innych biegających po korytarzach albo siedzących na fotelach, ubezwłasnowolnionych staruszków, czekających w kolejce na śmierć, która nie nadchodzi. Czy nie widzisz, że starość to wielki biznes farmaceutyczny i medyczny? Gdzie ty masz oczy, kobieto, jeśli nie zauważasz, jak wyciska się ostatnie krople krwi za duże pieniądze. Pokażę ci na dole kobietę, która cały czas cierpi, wyje z bólu i nikt się tym nie przejmuje. A wynalazki medyczne nie pozwalają jej odejść i skrócić mękę. Morfinę podaje się tylko w chwilach agonii. Popracujesz, poprzyglądasz się temu wszystkiemu, to zmienisz zdanie. Odechce ci się być taką Samarytanką. Będziesz prosiła Boga o szybką śmierć dla podopiecznych i w przyszłości dla siebie, by nikt na twojej starości, ułomności i bezsilności nie zarabiał.

Gabrysia rzucała w jego kierunku spojrzenia. Wydawało się jej, że otacza go poświata chłodu, wprost biła z jego twarzy, na którą opadały długie, ciemne włosy. Dzika pantera na dwóch nogach - pomyślała.

Słuchała go z zimnym, obojętnym uśmiechem i twarzą zwróconą w bok, jakby te wszystkie informacje nie miały dla niej żadnego znaczenia.

Wycierał Franka. Jego kocie ciało poruszało się gibko. Diabeł nie człowiek - pomyślała o Marku. On zapytał:

- Czytałaś może Łysiaka *Kłamstwa XX wieku*, gdzie autor odslania nam całą prawdę? Dostał za tę książkę nagrodę literacką.

- Wyobraź sobie, że czytałam.

Marek spojrział na Gabrysię z niedowierzaniem, podniósł się, ale za chwilę zamarł w bezruchu jak kot gotowy do skoku.

- Kłamstwo socjalizmu - argumentowała - kłamstwo komunizm, kłamstwo demokracji i wiele innych. Zapamiętałam również pewne hasła, takie jak „jedźmy gówna, bo tysiące much nie mogą się mylić”.

- Teraz wierzę ci, że czytałaś, ale bardzo się dziwię, że nie wyciągnęłaś żadnych wniosków.

- Być może nie przemyślałam jej tak dogłębnie jak ty-tymi słowami Gabrysia potwierdziła sąd Marka, ale tylko dla świętego spokoju.

- Wciągaj mu lewą skarpetkę, a ja prawą - dyktował. Gabrysia posłusznie wykonywała polecenia. W niewygodnej pozycji, poprzez brzeg wanny, oboje nachyleni, ubierali Franka. Ich głowy stukały o siebie, a twarze bardzo zbliżone wyczuwały ciepłe oddechy.

Oboje żuli gumę i jej przyjemny zapach z ust muskał wargi obojga. Przy zapinaniu pasów Marek podniósł głowę i zapytał:

- Czy rozmawiałaś już z Julką o przeprowadzce do nas? Czy już uzgodniłyście termin?

- Nie rozmawiałam jeszcze konkretnie - odpowiedziała - ale myślę, że zrobimy to po moim urlopie. Po Wielkanocy wyjeżdżam do domu. Wrócę pod koniec kwietnia, więc od pierwszego maja mogłybyśmy już się przeprowadzić. Decyzji jeszcze nie podjęliśmy, ponieważ nie byliśmy u was i nie znamy warunków, jeśli się nam spodoba, to nie ma sprawy, bo oszczędności są spore, a to nie bez znaczenia. Musimy któregoś dnia się umówić. Dasz nam znać, kiedy będziecie mogli nas zaprosić, wówczas na miejscu podejmiemy decyzję.

- OK.

Tego wieczoru Sylwia już czekała na Gabrysię w głównym holu. Płaszcz sięgał jej do kostek, a na nogach miała czółenka na wysokim obcasie.

- Czy ty dasz radę maszerować w tych butach taki kawał?
 - z niepokojem zapytała Gabi.
 - jestem przyzwyczajona.
 - Ja w twoim wieku też biegałam w takich czółenkach.
 - Mówisz, jakbyś była stara. - Sylwia spojrzała na Gabrysię.
 - Mogłabym być twoją matką. Mam córkę w twoim wieku
 - wyjaśniła Gabrysia.
 - Żartujesz?
 - Nie żartuję. Właśnie skończyłam pięćdziesiąt trzy lata.
 - Głupia! Przepraszam, Gabi. Nie chciałam.
 - W porządku - odpowiedziała Gabrysia przeciągle, jakby zastanawiała się nad każdą literą.
 - Wyglądasz na kobietę czterdziestoletnią.
 - O! Dziękuję za komplement.
 - To prawda. Zawsze jesteś dobrze zrobiona, masz zadbaną głowę, porządne ciuchy i delikatny makijaż.
 - Spływający wieczorem od potu. - Gabi zaczęła się głośno śmiać.
- Drzwi Domu Opieki zamknęły się za nimi. Obie słyszały warkot odpalanych silników i odjeżdżających samochodów. Ten warkot był jak muzyka oznajmiająca koniec pracy dla poobiedniej zmiany. Znad zatoki nadciągały ciemne chmury.
- Znowu będzie padać - podsumowała Sylwia. - Masz parasolkę?
 - Już połamałam kilka, a jestem tu zaledwie parę miesięcy. Chodzę teraz bez żadnych rekwizytów. Musisz, Sylwio, zrozumieć, że tutaj, w Anglii, pada bez przerwy. Wychodzisz do pracy - świeci słońce, ale zanim dojdiesz na miejsce, to już pada.

Zwłaszcza o tej porze. Ja już się przyzwyczałam. Niejeden raz wracałam w czasie deszczu. Ale ogólnie klimat mi odpowiada, czuję się młodo, mam dużo werwy w sobie, energia mnie rozsadza. Czuję się jak w kabinie z tlenem. Tu jest specyficzny mikroklimat. Często powtarzam to mężowi, kiedy rozmawiamy o pogodzie.

- A ja nie znoszę opadów. Kocham słońce - upierała się Sylwia.

- Przecież tutaj też świeci słońce. Zaczekaj na lato.

- Słuchaj, Gabi. - Wsunęła rękę pod jej pachę, jakby chciała się ogrzać. - Szukamy z mężem mieszkania, bo na razie mieszkamy u koleżanki, która pracuje w innym Domu Opieki. Dzięki niej jestem tutaj, ona nas przygarnęła.

- Jesteś tylko z mężem? - zapytała Gabi.

- Mamy czteroletniego synka. Już chodzi tu do przedszkola. Poprzednio pracowałam w małym, prywatnym domu, tylko na nocki, bo ni w ząb nie znałam angielskiego. Mam dobre zdanie o Angolach, bo przecież mogli mnie wyrzucić, a oni dali mi nocki. Teraz jest trochę lepiej. Pracuję w tej chwili na stanowisku opiekunki i mam trzy miesiące, by przyuczyć się na pielęgniarkę. Jeśli nie podołam, to mogą mnie zwolnić, czego bardzo się boję. Mój mąż jest fryzjerem. Trochę dorabia, czesze znajomych Polaków, bo też nie zna języka. Całe szczęście, że Kamil i Julka pomagają mi chętnie. Uczę się języka w drodze do pracy, z pracy i wieczorami. Nie za bardzo mam czas. Mój synek już załapał więcej ode mnie.

- Dzieci szybko się uczą.

- Liczę na jego pomoc.

- Mój angielski też nie jest dobry - usprawiedliwiła się Gabi. - Ciągłe mam wysmarowane dłonie i przedramiona długopisem, bo zapisuję nowe słowa. Ciężko mi to wszystko idzie. Muszę wkładać dużo umysłowego wysiłku, by zapamiętać pojęcia i zwroty.

- Życie jest takie ciężkie - Sylwia westchnęła sentencjonalnie.
- Nikt nam nie gwarantował, że będzie łatwo - odpowiedziała Gabi.
- Nie martw się, życie jest zbyt poważne, żeby brać je serio - próbowała pocieszyć Sylwię, choć sama ze sobą miała wiele problemów.

Zrobiło się już całkiem ciemno, chmury przesłoniły niebo, choć jeszcze nie padało. Ostre, świeże powietrze znad oceanu wierciło w nozdrzach. Pomiędzy chmurami ukazał się blady księżyc wysyłający wieniec światła po to, by znów zniknąć. Schodziły teraz z górki i spoglądały na nędzne zabudowania, w oknach których co rusz zapalały się nowe światła. Sylwia bardziej przytuliła się do Gabrysi. Obie poczuły przenikający chłód.

- Boże! jak zimno, jeszcze przejście podziemne i jestem u siebie - z zadowoleniem powiedziała Gabrysia.

- Cwaniara! ja muszę przejść całe centrum.

- A co do mieszkania, poszukaj w ogłoszeniach.

- Nie dam rady rozmawiać po angielsku, a nie chcę prosić koleżanki, bo poróżniłyśmy się parę dni temu. Dlatego chciałabym jak najszybciej się wyprowadzić.

- To niech Julka ci pomoże. Pogadaj z nią, na pewno nie odmówi.

Pożegnały się przy drzwiach mieszkania Gabrysi.

Podczas świątecznego pobytu w Polsce Gabi napisała do Julki:

Od wyjazdu do Anglii mój własny dom jakby wstrzymał oddech. Dopiero razem z moim powrotem zaczęły śpiewać drzwi i klamki. Wróciłam. Karmię się śmiechem córki, przyjaciół i sma-

kiem polskiej kielbasy. Cieszą się wszyscy, nawet mój piesek. Z jednej mojej strony dominuje radość, ale z drugiej tęsknię za wami, za całym zespołem.

No, może oprócz paru osób.

Czekam, aż zagrasz tonem, którym bije mój dzwon. Właśnie przeglądam moje pisanie, moje wiersze. Zatrzymałam wzrok na jednym z nich:

Dochodzę do granicy

Przekraczam

Znowu dochodzę do granicy

Znowu przekraczam

Zmieniam kierunki bagaże kaprysy

W poszukiwaniu siebie

Gdzieś przecież rosnę

W oazie

Czy ta oaza znajduje się w LL. ?

Zakochałam się w Londynie. Utkano go chyba na szydełku. Jest młody, czysty, ciepły jak mężczyzna. Było osiemnaście stopni. Przejechałam cały Londyn. Chcę tam wrócić, wysiąść i napisać wiersz. Napisz mi, kto za mną tęskni. Jeśli nikt, to nie wracam.

GABI

xxx

Gabrysi przykro było wracać z pierwszego urlopu. Pod powiekami chowała łzy, które i tak musiały wydostać się na zewnątrz. Doniosła je do autobusu, gdzie za białą szybą mogły spływać do woli. Pożegnania nie są mocną stroną nikogo na świecie. Dobrze o tym wiedziała, a jednak nie umiała się pocieszyć. Choć była przyzwyczajona, bo starszą córkę żegnała przynajmniej dwa razy w roku, gdy ona odwiedzała rodzinny dom, Gabi nigdy nie uodporniła się na pożegnania. Czuła się

rozbita, jakby były je dwie: jedna w LL., a druga w G. Dodatkowo targają nią obawy, jak poradzi sobie w Londynie na dworcu Victoria. Tam przesiadać się będzie do autobusu, który dowiezie ją do oazy, jak nazwała swoje obecne miejsce życia.

W Kostrzynie nad Odrą zbierały się autobusy z całej Polski i stamtąd wyruszały do Anglii. Zrobiło to na Gabrysi niesamowite wrażenie: jakby cała Polska jednego dnia chciała opuścić kraj. Ponad godzinny postój nie nastrojał optymistycznie. Kiedy w końcu wysiadła w Londynie, poczuła się zagubiona jak małe dziecko. Gdy przechodziła na drugi dworzec, który mieścił się nieopodal, zaczepił ją Polak.

- Ma pani coś do jedzenia? Wiem, że pani jest Polką - Gabrysia odstawiła ciężką walizę.

- Tylko kanapki, które zrobił mi mąż na podróż. Mogę je panu dać.

- A nie dałaby mi pani na paczkę papierosów? Jestem bez pracy, śpię na dworcu.

- Nie mogę. Po prostu nie mam, nie palę. Przykro mi. Przestały już ją obchodzić losy innych, bo pamiętała, jak

sama była bez pracy i żaden pies łapy jej nie podał. Musiała radzić sobie sama. Wszyscy mają taką samą szansę - pomyślała.

xxx

Siedziała już w docelowym autobusie. Było późne popołudnie. Rozmyślała o swoim niełatwym życiu. Na skórze czuła upływ czasu, a coraz częściej znużenie wkradało się do jej samopoczucia. Choć była już zmęczona długą jazdą i nieprzespaną nocą, nie mogła zmrużyć oka.

Siedziała wyprostowana, jakby połknęła kij. Nachodziły ją obłąkańcze myśli, jak to w podróży. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, że wcale na tym urlopie nie odpoczęła ani się nie wyspała. Choć wszystko, co wydarzyło się podczas pobytu w domu,

należało do przyjemności: wizyta córki i zięcia, którego uwielbiała, radość z wnuka, spotkania z przyjaciółmi, teraz dopiero uzmysłowiła sobie, że potrzebuje wyciszenia, spokoju, taplania się w błogim lenistwie. Nie chciała wracać do ciężkiej pracy, gdzie tylko ból i cierpienie. Po tych kilku miesiącach, kiedy zachłyśnięcie nową pracą minęło, po raz pierwszy poczuła niechęć do samego życia, które nigdy ją nie pieściło, a teraz wręcz dusiło powoli, powoli, ale skutecznie. Czowała, jakby gdzieś w środku umierała.

Znowu malutki pokoik jak cela z niewygodnym, starym materacem, od którego bolały plecy. I to przekłete puste miejsce obok. Lubiła zawsze zakładać nogi na brzuch męża. Czowała się bezpiecznie, kiedy jego ciepły, miarowy oddech przecinał nocną ciszę. Obrzydła jej już ta kilkumiesięczna samotność, budzenie się w pustym łóżku. Żeby nie bolało, zaczęła uświadamiać sobie nową rzeczywistość, tłumacząc, że tak musi być, że lepsze to niż bezrobocie, że w końcu chandra przejdzie, że zamieszka z młodymi ludźmi, do których będzie musiała się dopasować i te nowe doświadczenia dodadzą jej wigoru.

Uzmysłowiła sobie, że przecież nie jest sama, że taki sam los dzielą miliony Polaków rozsianych po całej Europie. Mimo że wszystko to wiedziała, ciężar życia ją przygniatał. Zacieśniały się haftki w gorsecie czasu. W końcu przysnęła.

- *Excuse me, excuse me, lady.* - Poczowała rękę na ramieniu, jakby klepanie i słowa niewyraźne, odbijające się echem. Ocknęła się, otworzyła oczy, spojrzała jeszcze nieprzytomnie z wyrazem niedowierzania, że oto siedzi w autobusie, który wystukiwał usypiające miarowe dźwięki. I ten szum silnika. Spojrzała za okno. Było zupełnie ciemno.

Nad nią pochylał się młody mężczyzna, któremu najprawdopodobniej przeszkadzała chrapaniem.

- *Sorry, sorry* - powtórzyła dwukrotnie.

Mężczyzna odszedł na swoje miejsce. W pamięci pozostały strzępy snu. Jak za mgłą obraz jej matki, ciągle w tej samej sukience. Często witała ją na korytarzu przy otwartych drzwiach. Tak było i tym razem.

Nagle znów poczuła stuknięcie w ramię, usłyszała dźwięk, coś co dałoby się określić jako muzykę, która przepływała w powietrzu. Ciągle wisiało w powietrzu kończące sen słowo PRZEZNACZENIE. Wznosiło się i opadało, było delikatne i ulotne, było głosem matki, jak z poprzednich snów. Pochodziło z daleka, jakby ze skraju wieczności.

Doznała uczucia, że zamyka się wokół niej powietrze. Nie dostrzegała żadnych granic. Bała się. To słowo miało dla niej nieznaną moc, którego siła raziła jak kulisty piorun. Próbowwała schować głęboko w podświadomość obrazy ze snu i zmienić rodzaj myśli. Podeszła do kierowcy.

- Jak daleko do S.? - zapytała grzecznie.

- Będziemy za jakieś pół godziny.

- Dziękuję. - Spostrzegła nagle, że autobus jest prawie pusty. Jechały nim tylko trzy osoby. Usiadła na swoim miejscu. No tak - pomyślała - przecież to koniec świata. Dalej autobus już nie jedzie.

** *

Gabi rozbierała się w biegu. Walizkę zostawiła na korytarzu, bo nie mieściła się w jej pokoiku. Ułożyła ją tylko tak, by Julce nie przeszkadzała przy wejściu do kuchni. Zasnęła natychmiast.

Obudziła się, kiedy słońce było już wysoko. Zapowiadał się ciepły, słoneczny dzień. Spojrzała na zegarek, który stał na nocnej szafce i miarowo wystukiwał minuty.

Ciszę przerwała, włączając radio, które kupiła tuż przed wyjazdem do Polski. Potem podeszła do szuflady, wyciągnęła płyty Cohena, Chrisa Rei i Enyi. Uwielbiała tych wykonawców. Choć

nastrajali ją smutnie, to jednocześnie koili nerwy. Muzyczny balsam, który wchodził głęboko, aż do podświadomości, jako pierwszą włączyła płytę Cohena. Spieszyła się. Miała drugą zmianę, a trzeba zrobić zakupy i przygotować sobie jedzenie na kilka dni. Pomyślała: „Zrobię zupę pomidorową i upiekę kurczaka, starczy mi na cztery dni. Do roboty, do roboty”. - Zaczęła nucić pod nosem, uśmiechając się sama do siebie.

Szybki prysznic splukał senne marzenia. Stała naga, szukając ręcznika. Nie ma, zapomniała przygotować. Pobiegła do pokoiku, wyciągnęła świeży i zaczęła się energicznie wycierać. Realia dnia coraz bardziej uzmysłowiły jej czekające ją obowiązki.

LL. różniło się od miast w Polsce. Chociaż miało swoją historię, było przede wszystkim niedużym miastem, gdzie rudery, nawet w centrum, straszyły jeszcze ubogą przeszłością, jakby nie zainteresowane tym, żeby nadążyć za coraz szybszym tempem życia. Ludzie w drodze do pracy pozdrawiali ją ciepłym „Dzień dobry”. Wydawało się, że wszyscy znali się od dawna i byli w jakiś sposób powiązani. Zwykle było to bardzo sympatyczne, choć czasami doprowadzało ją do szaleństwa: te ukłony, jakby życie śmiało się przez cały czas. Choć miasteczko było urocze, nigdy nie chciałyby w nim zamieszkać na stałe. Wolą duże zespoły miejskie, a wielkie gmachy napawały ją szacunkiem do budowniczych. Podobnie jak w wielu takich miasteczkach rządził tu pewien społeczny konwenans. Ludzie spotykali się w barach, których nie sposób zliczyć, w małych knajpkach lub „u Turka”, gdzie jadaliby obiady. Prawie nikt tu nie przyrządzał posiłków w domu. Walijskie kobiety rozglądały się ciągle za nowymi przygodami, za coraz młodszymi mężczyznami. Traktowały ich jak instrumenty seksu. Prawie każda

kobieta miała kilkoro dzieci, ale każde z innym mężczyzną. Do rzadkości należała prawdziwa rodzina.

Wiele się zmieniło od jej powrotu z urlopu. Kwitnące magnolie, poruszone drganiem powietrza, jakby się uroczyście kłaniały na przywitanie, jakby chciały powiedzieć: „jesteśmy, znowu jesteśmy”. Zatrzymała się. Podeszła do krzewu, który zapraszał na indywidualny pokaz mody, kusząc soczystą, świeżą zielenią i pąkami kwiatów. Te piękne magnolie, które rozkwiatały w prawie każdym przydomowym ogródku, napawały ją radością nadchodzącej prawdziwej wiosny. Wiosna, co mi przyniesie? -pomyślała.

Nawet nie zauważyła jak doszła do Domu Opieki, po drodze mijając i witając się z afrykańskimi koleżankami z pracy, do których nie pałała przyjaźnią za ich urojoną dumę, wysoko postawione czoła, wyprostowane plecy. W szatni była sama. Jak ciężko po urlopie wracać do pracy, świadczyły jej niezgrabne, powolne ruchy, którymi chciała zatrzymać czas. A czas biegł jak szalony poprzez płotki i przeszkody.

Gabrysia, jeszcze niegotowa, ociągająca się, wyobrażała sobie zgrzybienie i śmierć osób, które kochała, a z którymi przyjdzie się pożegnać. Obsesja ta dręczyła ją całą drogę od szatni na oddział. Samą siebie widziała jako trupa - oczy rojące się od robaków, a jeszcze proszące o pomoc. Ludzie umierają, ale jeszcze na godzinę przed śmiercią żyją, są obecni. Gdyby mogła zabezpieczyć się polisą utkaną z jej własnych myśli... Chyba Pan Bóg zamówił u niej wykonanie jakiegoś zadania i to zadanie musi doprowadzić do końca. Dał jej dużo czasu, a ona chciałaby odjąć śmierci jej brutalność - z takimi myślami weszła na oddział.

Odgłos zamykanych drzwi od windy uzmysłowił jej celowość i sens pobytu. Zdażyła jeszcze pomyśleć o Steveem, którego pragnęła odwiedzić, za którym się stęskniła, kiedy poczuła z tyłu mocne klepnięcie w prawe ramię. Odwróciła się. Za nią stał

wesolutki Marek, który rozłożył ramiona szeroko i objął nimi powracającą koleżankę, klepiąc jedną ręką po plecach.

- No, wreszcie! Smutno było bez ciebie - mówił głośno po angielsku z akcentem walijskim, który złapał bardzo szybko. Przy dyżurce grupka opiekunek zwróciła oczy w kierunku Gabrysi, a Desri, najmniejsza Filipinka, wyrwała się z grupy i biegła na przywitanie z otwartymi rękoma.

Naśladowując Desri, pozostałe - nawet niesympatyczna Afrykanka - zrobiły to samo. Stała tak w wianuszkach kobiet ciekawych urlopowych wrażeń. Po raz pierwszy, od kiedy zaczęła tu pracować, poczuła się lubiana. To przyjemne uczucie rozkojarzyło ją na moment. Zaczęła się po kolei witać z każdą, jakby witała się z najlepszą przyjaciółką.

Wszystkie złe emocje związane z pracą zginęły w jednej sekundzie, jedna przez drugą, ciekawa wrażeń z Polski, zagadywały. Gabrysia poczuła się trochę jak w młynie.

- Stop, może usiadzimy w świetlicy, pokażę wam zdjęcia i co nieco opowiem.

- jak ładnie wyglądasz! Widać, że jesteś wypoczęta - zagadnęła Judy stereotypowym komplementem.

- Dziękuję - Gabi odpowiedziała skromnie. Rozsiadły się w fotelach, Gabrysia wyciągnęła zdjęcia:

- Może zdążymy je jeszcze oglądnąć zanim przyjdzie Danton, który ma dzisiaj służbę pielęgniarstwa.

- Danton rozkłada leki, więc mamy dziesięć minut do przodu - zapiszczała gruba Berta.

- Dawaj te zdjęcia. - Judy, która usiadła obok Gabrysi, niemal wyrwała je z jej ręki. - Kto to? - zapytała, wskazując pierwsze zdjęcie.

- To moja starsza córka, Roksana, a ten przystojniak to mój zięć.

- Pokaż, pokaż - domagały się koleżanki.

- Powoli, ja obejrzę i będę podawać dalej. - Judy nie była zbyt sympatyczna w tym momencie. - Ale masz piękną córkę! Wcale niepodobna do ciebie - skomentowała na swój sposób.

- Ale do mojego przystojnego męża - odpowiedziała Gabi z dumą w głosie.

W tym momencie przyszedł Marek i przyklęknął w nogach Judi, niemal wyrywając fotkę.

- Ale lala! - Spojrzał na Gabrysię szeroko otwartymi oczyma. - Jakbym poznał taką dziewczynę, to kochałbym ją do końca życia. Szkoda, że zajęta, bo nie dałbym ci, Gabi, spokoju.

- Mam jeszcze drugą - szybko znalazła zdjęcie Zuzi. Marek przyjrzał się uważnie, jak policjant badający jakiś dokument.

- Ta też nie jest do ciebie podobna - skomentował krótko. - Można sfiksować, bo nie wiem, która ładniejsza. Laski obydwie.

Nie dokończył, bo koleżanki już wyrywały zdjęcia sobie z rąk.

- A to w jakim muzeum robiłaś? - zapytała Dorothy podsuwając Gabrysi jedno ze zdjęć.

- W moim pokoju.

- A ten ze stylowymi meblami?

- To nasz pokój stołowy. - Dorothy podniosła wysoko te dwa zdjęcia odwracając się w kierunku koleżanek.

- Patrzcie, patrzcie! Gabi mieszka w pałacu, a przyjechała do Anglii zarabiać na chleb - zakpiła, śmiejąc się szyderczo śmiechem, który stał się początkiem żartów o biednych Polakach.

- Stop, kurwiszony - wrzasnął Marek, który wypowiedział niecenzuralne słowo po polsku, niezrozumiałe dla Walijek i Filipinek.

- To wy, kurwa, mieszkacie w slumsach, w niegustownie urządzonych chatkach. Polacy to szlachta. Jesteśmy na emigracji, bo mamy ambicję żyć lepiej i inaczej. Jeździmy dobrymi samo-

chodami, mieszkamy bogato. To, co widzicie na zdjęciach, to prawda.
- Był nieźle wkurzony, bo aż zaczął się jękać.

- A skąd tyto wiesz? Gabi zrobiła zdjęcia w jakimś muzeum i chce nam wcisnąć zwykły kit - odezwała się Dorothy, która w jednym momencie spowaźniała. Razem z nią uspokoiła się cała reszta.

- Nie, moi kochani. Tu przez okno widać secesyjne, piękne kamienice. Poniemieckie domy faktycznie tak wyglądają. - Marek przylgnął do Dorothy, która trzymała w ręku dowód, jak mieszkają Polacy.

- Mieszkania w tych domach są o wiele większe niż wasze slumsy, o których mówicie, że to domy. Naprawdę macie marne, betonowe klitki z azbestowymi dachami. Azbest zatruwa wam życie i dlatego tyle pojebańców w waszym kraju. W Polsce pokrywanie dachów azbestem jest karalne ze względu na jego dużą toksyczność. - Wściekłość Marka przypominała głodnego szakala rzucającego się na padlinę.

- Gabi, zabierz zdjęcia tym kurwom - zwrócił się do niej zakazanym językiem polskim. - Idziemy stąd, bo tu nas nie lubią.

Gabrysia nigdy by nie podejrzewała tego smarkacza o taką bojową postawę i o obronę polskości. Zyskał w jej oczach, polubiła go za wsparcie. Rozłożyła ręce na znak niemocy. Oboje zaczęli się śmiać, tym razem z Angoli. Śmiali się inaczej, tak jakoś gniewnie, tak porażeni angielską głupotą, że już nie udało się obejrzeć zdjęć do końca.

xxx

Tego dnia wieczorną toaletę zaczęła oczywiście od Steve'a, który ponoć cały dzień siedział samotnie w pokoju. Celowo nie zaglądała do niego wcześniej, bo nie czuła się przygotowana, a poza tym nie było dość czasu na przyjazną rozmowę. Od kiedy Gabrysia wyjechała na urlop do Polski, odmawiał wychodzenia

do świetlicy. Stała przy drzwiach czytając tabliczkę z imieniem i nazwiskiem jakby widziała ją po raz pierwszy: „Steve Mazur”. Z szacunkiem literowała nazwisko i myślami przebiegła przez dzieciństwo do momentu śmierci ojca.

Miała wówczas tylko siedem lat. Zapukała delikatnie, potem mocniej, zdając sobie sprawę, że to przecież staruszek, który ma prawo nie słyszeć.

- *Yes, yes* - usłyszała. Szeroko otworzyła drzwi z serdecznym uśmiechem na twarzy.

Steve odpowiedział jej tym samym. Zrozumiała, że czekał na nią i tęsknił. Wyrażała to jego twarz. Przysiadła na skraju łóżka, mając naprzeciwko siebie staruszkę, który prawdopodobnie jest jej stryjem. Wszystko na to wskazywało, ale musiała czekać na stuprocentowe dowody. Po chwili wstała i przykucnęła u jego stóp, położyła dłonie na jego kolanach.

- Cześć, Steve! - powiedziała nieśmiało.

Podniósł z oparcia swoją długą rękę i dłonią delikatnie dotknął jej policzka. Nagle gwałtownie oderwał, jakby poczuł się oparzony, jego ręka zastygła na sekundę w powietrzu, nie wiedział, co z nią zrobić. Gabrysia, w jakimś dzikim odruchu, uchwyciła jego dłoń i sama przysunęła ją do drugiego policzka. Patrzyli sobie w oczy, ciesząc się milczeniem, wymieniając szczerze uśmiechy. Za oknem uśmiechało się słońce. Miało się wrażenie, że podgląda tych dwoje. Ciszę pokoju przerywał monotony szum morza i skrzeczące z oddali alki. Oboje mieli głowy pełne pytań, a żadne z nich nie było skore do otwarcia ust. Wtem staruszek odezwał się pierwszy:

- Gabi, opowiedz mi o Polsce, opowiedz o sobie.

Pryskął z ust śliną, ale to Gabrysi nie przeszkadzało, nawet jej nie otarła, jakiś wewnętrzny impuls nakazywał głęboki szacunek dla starości, dla tego zwiotczałego ciała, tych paru kosmyków włosów, które pozostawił czas, tych wyblakłych oczu,

które wyrażały głód miłości. Szacunek do ludzkiej istoty, która nie przetrwa bez pomocy innych.

- Byłam w domu szczęśliwa - rozpoczęła nieśmiało. - Gościłam moją kochaną córeczkę Roksanę, zięcia Pierrea i wnuka Mikołaja. Skończył już roczek. Bardzo boleśnie przeżywam każde pożegnanie, jakbym ich traciła na zawsze, a ostatnio podwójnie, bo i ja opuszczałam własny dom. Ale wróciłam tu, do was. Moje miasto jest coraz piękniejsze. Przez ponad pół roku mojej nieobecności wiele się zmieniło. Odrestaurowane stare, secesyjne budynki, rozpoczęto budowę nowego mostu, nowej biblioteki, jest nowe TESCO w centrum. Kocham swoje miasto, swoje mieszkanie. Mój mąż miał urlop i nas wszystkich rozpieszczał dobrą kuchnią. Kuchnia to jego pasja. Teraz jest tak samo samotny jak ja. Pozostały nam tylko telefony, więc dzwonic do siebie dość często. Czasem płaczę, czego on bardzo nie lubi. Wiem, że wtedy zgrywa twardziela. Pytałeś o Polskę? - Gabrysia wciąż kucała u nóg, lekko zadzierając głowę. - jest piękna jak kobieta - wymknęło się jej to dziwne porównanie, ale właśnie tak odczuwała w tym momencie. - jest nowoczesna, wszystkie miasta są odnowione. Kilka milionów Polaków pracuje za granicą w całej Europie. Radzimy sobie świetnie, chyba jesteśmy najbardziej ambitnym narodem na świecie. Co trzeci Polak ma samochód, mieszkamy w ładnych mieszkaniach. Rodziny pomagają sobie nawzajem. Ja całe życie walczę. Dawniej jeździłam do Turcji, handlowałam kozuchami - nieźle na tym wychodziłam. Jeździłam też do Wiednia, skąd przywoziłam włóczkę, a z Węgier odzież. Tak radziło sobie wielu Polaków. Myślę, że kto chciał, to biedy się nie bał. Niektórzy czasy komunizmu wspominają z łezką w oku, pamiętając refundowane wczasy, zapewniony dach nad głową i chleb. Dzisiaj trzeba walczyć. Wszystko można kupić, tylko ciężko zdobyć pieniądze. Życie zmieniło jakość. Często powracam do czasów dzieciństwa, kiedy chleb polany

wodą z cukrem i biała polewka smakowały jak dzisiejszy tort na imieninach. Pamiętam też zapach mydła w bieliźniarce oraz ojca, który mnie rozpieszczał, niemal bez przerwy nosił na rękach. Mimo że nikt mi nie opowiadał bajek na dobranoc, a na Pierwszą Komunię dostałam od chrzestnego i chrzestnej tylko po czekoladzie, byłam szczęśliwym dzieckiem. Mama zapewniła mi warunki, bym mogła ukończyć dobre technikum chemiczne, jestem z wykształcenia technologiem procesów chemicznych.

Jej słowa zabrzmiały tak dumnie, aż staruszek wydał kilka gardłowych pomruków.

- Szkoda, że zlikwidowano zakład, w którym pracowałam. Potem założyłam prywatną działalność: prowadziłam sklep z odzieżą. Byłam jedną z pierwszych osób w moim mieście, które importowały towar z zagranicy. Pamiętam kolejki do mojego sklepu. - Gabi zmieniła rodzaj uśmiechu, a powaga, z jaką opowiadała swoją krótką historię, ustąpiła miejsca rozmarzeniu.

- Dobrze zarabiałaś? - Steve dokończył jej frazę i uśmiechnął się tak, jak każdy uśmiecha się do pieniędzy. - Te czasy to była twoja szczęśliwa ruletka?

- Chyba tak. - Tu zamyśliła się na parę sekund, aż poczuła ciepłą dłoń starca.

- Steve - przeciągnęła jego imię - mam zdjęcia z mojego domu. Możesz zobaczyć moje córki i moje mieszkanie.

Wyciągnęła z kieszeni plik kolorowych zdjęć i pojedynczo podawała je staruszkowi.

- To twoje mieszkanie! ? - zapytał z niedowierzaniem w głosie.

- Tak, urządziłam je ze smakiem. Tak mi się wydaje. A tu jest moja starsza córka z zięciem i wnukiem.

- Jesteś z nich dumna. To widać - powiedział te słowa wyciszonym tonem, jakby brakło mu tchu.

- Tak! A tu jest młodsza, właśnie zdaje maturę. Myślami jestem cały czas przy niej. Takie rozdwojenie jaźni: rozmawiam

z tobą, a jednocześnie myślę o jej egzaminie. Z niecierpliwością będę czekała na wyniki. W sierpniu mam następny urlop i pragnę całą moją rodzinę zaprosić do LL. Zbieram na studia Zuzi. Wiem, że jej marzeniem są studia we Francji.

- Chcieć to móc. - Spojrzał jej w oczy tak, jak spoglądają młodzienci na swoje partnerki. Jego wzrok, mimo wieku, stał się ostry, jasny i przejrzysty jak niebo bez chmur w upalne lato. - Urodziwe masz te córki - stwierdził.

- Cieszę się, że są ładniejsze ode mnie, nawet kiedy byłam młoda.

- Co ty opowiadasz? - aż krzyknął. - Jesteś jeszcze młodą i atrakcyjną kobietą.

- Dobrze, niech tak będzie. My tu gadu, gadu, a na mnie czeka kilka osób, więc muszę pomóc ci przygotować się do snu.

- Sam powoli zajmę się sobą, a ty biegnij do następnych pokoi. Nikomu nie powiem, że po operacji odzyskałem nowe życie. Nie wiem tylko, na jak długo. Czuję się jak młody bóg. Jeszcze bym zatańczył. - Uśmiechnął się przy tych słowach tak jakoś pieszczotliwie.

Mówił coraz lepiej po polsku, coraz mniej popełniał błędów, nawet jakby odzyskał polski akcent. Języka się nie zapomina, jak nie zapomina się chodzić czy pływać - pomyślała. Wstała i ciężkimi, zmęczonymi ruchami ciała poszła do toalety, naszykowała ręczniki, żel pod prysznic, pidżamę, ułożyła na blacie.

- Wszystko gotowe - powiedziała, wychylając głowę zza drzwi, jakby miała zostać w tej łazience na dłużej.

Nalała wodę do umywalki. Wyszła, podnosząc prawą dłoń z wysuniętym kciukiem do góry. Gest ten miał oznaczać: brawo, trzymaj tak jak teraz, a wszystko będzie dobrze. Wychodząc z pokoju, jeszcze raz odwróciła się i oddała gorący uśmiech. Czowała, że się mu należy.

Zamykając za sobą drzwi, myślała już tylko o tym, jak bardzo bliski jest jej ten stary człowiek. Nie rozumiała tego zjawiska,

a odczuwała je tylko na poziomie emocji, gdzieś w głębi umysłu. Chciałaby, żeby naprawdę należał do jej rodziny. Miała taką nadzieję, bo przecież nadzieja to skrzydlata postać, która mieszka w duszy i pomaga ludziom, którzy tej pomocy potrzebują. Próbowła sobie przypomnieć, skąd знаła to porównanie, ale pamięć zawiodła, co zdarzało się jej coraz częściej.

XXX

Tej majowej niedzieli obie z Julką były umówione na rekonesans domu chłopaków przy Brynmelin. Od tego spotkania zależało, czy się przeprowadzą. Bardzo by chciały, ponieważ zaoszczędziłyby ponad sto funtów każda. Mimo takiej nadziei Gabrysia wstała z uczuciem paniki.

Prześladowała ją myśl, że tak mało w życiu osiągnęła. Skończyło się na tym, że łąziła od saloniku do kuchni w tę i w tamtą, czując się obco i jakoś dziwnie. Julka jeszcze spała. Gabrysia nie chciała zakłócać jej spokoju tak upragnionego, bowiem ona również zaharowywała się na śmierć, robiąc po dwieście pięćdziesiąt godzin miesięcznie.

W końcu usiadła na łóżku w swojej celi, odwróciła się twarzą do okna i dopiero teraz usłyszała, jak za oknem gruchają gołębie. Wydawało się jej przez moment, że słyszy: odpuść sobie, uratuje cię tylko rozsądek, spójrz na wszystko inaczej. Te głupie istotki miały z pewnością rację-przyznała. Pomaszerowała do łazienki. Resztki wątpliwości zmywała woda. Obserwowała, jak strużki wody spływają po jej ciele. A nie trzeba było tak od razu - pomyślała.

Jedną ręką trzymała prysznic, a drugą masowała tułów, bez mydła i gąbki. Okrągłymi ruchami wykasowywała złe myśli. Podziałało.

Kiedy zarzuciła szlafrok, poczuła się jak nowo narodzona. -No, popatrz! Ile to potrzeba, żeby zmienić nastrój - powiedziała cicho sama do siebie, uśmiechając się do własnych słów.

- Hej, Gabi! Mówisz sama do siebie - głos Julki dobiegał z kuchni.
Drgnęła zawstydzona.
- A co, nie mogę, jeśli jestem sama? - Uchyliła drzwi i wystawiła głowę w turbanie z ręcznika.
- Możesz, wszystko możesz... - powtórzyła Julka, stojąc przy blacie kuchennym i zajadając coś szybko na stojąco. - Obudził mnie głód. - Odwróciła się i uśmiechnęła pokazując rząd białych, równych zębów, o które Gabrysia była zawsze zazdrosna, choć nigdy jej o tym nie powiedziała.
- Jak twój romans z Peterem? Jeśli zamieszkamy z chłopakami, nie będziesz mogła nikogo przyprowadzać.
- Nie mówiłam ci, że byłam któregoś dnia u Marka i obejrzałam całe mieszkanie. Dom - niech im będzie. Ja zajęłabym mały pokój na górze, a ty zamieszkałabyś na dole, bo jak sama mówisz, musisz wstawać w nocy do toalety. Tylko musiałybyś kupić sobie szafę. Kamil opuszcza chatę w sierpniu. Kończy kontrakt i nie ma zamiaru go przedłużać, więc zwolni się zajebisty pokój. - Julka w tym momencie zakryła usta ręką i skrzyżowała nogi, jakby chciało się jej sikać. - Przepraszam, Gabi, przepraszam - cedziła przez zasłonięte usta.
- Słyszę, że młodzi nauczyli cię już swojego języka.
- Jak z nimi pomieszkasz, też się nauczysz.
- Nigdy - syknęła przez zęby Gabi.
- A wiesz jaki zajebisty ogród? - podkreślając to słowo, Julka uśmiechnęła się tak dobrotliwie, że Gabrysi nawet się spodobało, choć nie chciała się do tego przyznać.
- Idź się ubierać - powiedziała Gabi. - Zrobię nam obu śniadanie i śmigamy do chłopaków.
- Zobaczysz, będziesz zadowolona i będziesz chciała się przeprowadzić - zapewniała Julka.

Gabrysia ubrała tweedowy żakiet i beżową spódnicę, którą kupiła przed wyjazdem na urlop. Wiedziała, że w obecności koleżanek z pracy wyróżnia się wyglądem. Chociaż wykonywały tę samą ciężką pracę, różniły się sposobem ubierania i wyrażania emocji. Gabrysia nie tylko nosiła eleganckie ciuchy, ale też miała elegancki sposób bycia.

- Gotowa? - Julka zapytała Gabrysię, stając w drzwiach podparta rękoma w talii, jakby chciała rozkazywać. - No to idziemy.

Przeszły całą Swansea Road, nie odzywając się do siebie, łapiąc ciężko cząsteczki tlenu, którego jakby w powietrzu zabrakło. Był późny ranek, słońce przygrzewało ostro, jakby nabijając się z tych dwóch istot, które jeszcze niedawno były spragnione jego promieni. Gabrysia zdjęła żakiet, który wcale nie pasował do dzisiejszej aury.

- Nie spodziewałam się takiej pogody. - Spojrzała na Julkę.

- Za-cze-kaj - przeciągała Julka. - Za dwie godziny zacznie padać i się ochłodzi. Jak to na Wyspach. Nie słyszałaś o angielskiej pogodzie?

- Myślałam, że dla Anglii typowe są mgły, a nie ciągłe opady. Najbardziej podoba mi się, że nie ma tu zim ani śniegu.

Julka nagle przystanęła i przez chwilę patrzyła się na chłopca, który nie miał więcej niż dziewięć lat. - Ten smarkacz oficjalnie pali papierosa! Zobacz, jak się zaciąga!

- Przecież jesteśmy na Wyspach - odcięła się szybko Gabrysia. - Dla mnie to nie nowość. Już widziałam takie obrazki. A widziałas dziewczęta jedenasto-, dwunastoletnie w spódniczkach węższych od twojego paska od spodni? W ostrym makijażu ze zrobioną fryzurą, z wymalowanymi paznokciami i w butach na obcasach? W takich momentach przypominało mi się moje własne dzieciństwo. Pończochy w prążki na płóciennych szelkach, długie warkocze z wpiętymi kokardami, grzeczne sukien-

ki z kołnierzykami robionymi na szydełku. To był szyk mody. - Gabrysia spojrzała na Julkę tym rodzajem uśmiechu, który pobudza do chichotów.

- Szyk mody! - powtórzyła Julka.

Zaczęły się głośno śmiać, aż wzbudziły zainteresowanie przechodniów.

- Zobacz! - Julka szturchnęła Gabrysię. - Ten smarkacz podąża w naszym kierunku! Ile w nim pewności, jak on chodzi!

- Idzie jak dorosły rozbójnik.

Mały podszedł, przystanął, wyjął ręce z kieszeni i zaczął je przecierać, jakby mył pod bieżącą wodą.

- *Hi, ladies, could you give me one cigarette please?*

- *We don't speak English* - odpowiedziała bez namysłu Julka. Ten plunął siarczyście pod nogi kobiet.

- *Polish pig* - odwrócił się na pięcie i pomaszerował w przeciwnym kierunku.

- Angielski dżentelmen! - Obie buchnęły gromkim śmiechem.

- Mogę się z tobą założyć, że dżentelmenów tu nie ma -stwierdziła Gabi.

- Z pewnością - zaakceptowała Julka. - Powymierali.

- Teraz rośnie pokolenie dziwek i narkomanów - Gabrysia powiedziała to bardzo poważnie.

Właśnie doszły na deptak, gdzie słońce prażyło jeszcze bardziej, próbując wdrzeć się poprzez szklaną kopułę do środka.

- Spójrz na to mrowie gołębi! - wykrzyknęła Gabrysia w zachwycie i przykucnęła. Od razu do niej przyfrunęły następne.

- Ale ich tu jest! - Julka obojętnym wzrokiem przyglądała się niebieskoszarej ciżbie u swych stóp.

- Nie lubisz gołębi?

- To srające nikkzemniki, brudasy, dlatego za nimi nie przepadam.

Ale jednocześnie są ozdobą miast.

- Mówi się „gołąb dobroci” albo „gołębie serce”.

Julka odruchowo odepchnęła nogą ptaka, który zaczął dziobać ją w nogę. Przez sekundę miała wrażenie, że chce ją zadziobać na śmierć. A ona - ciągle jeszcze w przysiadzie, z młodym, ciemnym gołąbkim na ramieniu. Zaczął paradować po niej jak po deptaku. Powoli wstawiała i, o dziwo, ptak już był na jej karku, za chwilę na drugiej ręce.

- Jaki on jest jedwabście lśniący, jak zabawnie mruga i się kołysze - zachwycała się Gabi. Nagle wstała, wyprostowała się i gołąbek odleciał przestraszony. - Wszystko jest inne niż w dzieciństwie - sentencjonalnie stwierdziła Gabrysia. - Pamiętam krakowskie gołębie. Kiedy jeszcze z ojcem bawiłam się na placu otoczona setkami gołębi, ptaki te były dla mnie cudem natury. Wtedy wszystko było cudem, a życie samą bajką.

- Chcesz wrócić do tamtych czasów? - zapytała Julka z niedowierzaniem.

- Nie mogę wracać marzeniami do czasów dzieciństwa? Dzieciństwo to najpiękniejszy kawałek życia.

- Ale cię wzięło na nostalg...

Nie wypowiedziała do końca słowa, bo w torebce usłyszała dzwonek telefonu. Zaczęła nerwowo szukać go w zakamarkach.

- Znowu nie zdążyłam. - Spojrzała na ekran komórki, kliknęła dwa razy. - Marek dzwonił. Spieszmy się, na pewno na nas czekają.

- Zadzwoń do niego. Poinformuj, że idziemy

Miały jeszcze jakieś dziesięć minut drogi, cały czas pod górę. Miasto rozpościerało się pomiędzy wzgórzami na nierównym terenie.

Opuściły już deptak i skierowały kroki w kierunku rzędu szarych jednopiętrowych bloków, takich samych na całej ulicy. Gdyby nie wiedziały, że się przemieściły, pomyślałaby, że są na

Swansea Road - tak podobne do siebie były ulice i jednakowe szarobure domki. Gabrysia zdawała się na orientację Julki, sama na pewno by zabłądziła. Szły, prawie biegnąc.

- Zaczekaj, nie leć tak szybko, nie mogę nadążyć. Jestem starsza, nie mogę cię dogonić - wymawiała słowa, łapiąc powietrze jak ryba.

- Gadasz do siebie? - Julka zaczęła na zmęczoną koleżankę.

- Spójrz, jak tu zmienia się krajobraz - zauważyła Gabrysia, bo jej oczom ukazały się rzędy nieco innych, jakby bogatszych domów z wysuniętymi fasadami. Takie domy wiktoriańskie widziała, kiedy przejeżdżała przez Londyn. Uśmiechnęła się.

- Podoba ci się?

- Tu pachnie bogactwem. Tak, tu chcę mieszkać.

Szły właśnie obok zielonego placu, na którym bawiły się dzieci.

- Przekonasz się, że nie ma tu ani jednego brzydkiego elementu. Sama doskonałość. Wszystkie domki mają ogrody.

- A już myślałam, że LL. składa się z samych slumsów.

- Zobacz, jesteśmy na Brynmelin. Teraz szukajmy numeru.

- A wy gdzie? hej! hej! - usłyszały głos Marka. - Czy na wszystkie damy tak długo trzeba czekać?

- Przepraszam, Marek, ale zatrzymałyśmy się na deptaku. Gabi rozmawiała z gołębiami - usprawiedliwiała je Julka.

- Trzeba było jakiegoś upolować na obiad, bo my nic nie mamy oprócz pół litra polskiej wódki, którą Kamil przywiózł z urlopu. Zapraszam. - Zrobił gest ręką i tak jakoś dziwnie spojrział na Gabrysię.

Bardziej to poczuła niż zauważyła. Właśnie z chodnika schodziły po schodkach w dół, co jej się nie spodobało. Zrobiła kwaśną minę. Marek zauważył ten moment i zapytał.

- Co się tak skwasiałaś?

- Widać?

- Widać, widać - odpowiedział i dżentelmeńsko objął całą ręką jej ramiona. Ponowił zaproszenie.

Najpierw był wąski korytarzyk, a na wprost równie wąskie schody, zupełnie takie same jak u nich na Swansea Road. Po prawej stronie wejście do małej jadalni.

- Cześć, Kamil!

- Cześć - odpowiedział nie ruszając się z miejsca, nie podnosząc wzroku, zajęty skręcaniem papierosów, Julka zajęła miejsce obok niego, rozglądając się dookoła.

- Jesteście w pałacu, w którym panuje nieporządek, ponieważ tu nie ma służby - powiedział Kamil, który dopiero w tej chwili podniósł wzrok i okręcił się na obrotowym krześle.

- Mamy tu zamieszkać jako służba? - Julka odezwała pieszczotliwym głosem, ale Kamil zmienił temat.

- Chodźcie, dziewczyny, do ogrodu.

Poprowadził je przez kuchnię, w której panował ogólny nieporządek. W zlewie fura brudnych naczyń - chyba sprzed tygodnia. Gabryśce rzuciły się w oczy brudne okna, a na ich punkcie miała fioła. Jej mina zdradzała niezadowolenie. Zauważył to Marek i objął ją ramieniem.

- Hej, dama! Idziemy do ogrodu! - Otworzył drzwi w kuchni, które prowadziły prosto do dużego ogrodu. - Chciałem pokazać ci krzewy bzu, które pięknie kwitną o tej porze - zanim dokończył zdanie, w nozdrza Gabrysi uderzył ostry zapach, który uwielbiała. Ten zapach zdecydował, że wyraziła zgodę na przeprowadzkę.

Stała na dróżce ułożonej z kafelków, która ciągnęła się w głąb ogrodu, który wydawał się dziki i nieokiełzany jak pantera. Nie obchodziły jej chichoty Kamila i Julki, którzy buszowali w głębi ogrodu.

- Idziemy, idziemy - ponaglił Marek i delikatnie dotknął pleców, jakby chciał ją pchnąć.

Kafle ustąpiły miejsca wysokiej, niestrzyżonej trawie. Znajdowali się w równoległej linii od drzwi kuchennych. Kilka metrów zajmowały krzewy jeżyn.

- Obfite owoce pod koniec lata. - Marek jakby odczytał myśli Gabrysi.

Po prawej stronie kwitły krzewy bzu.

- Ale ich dużo! - Szła w ich kierunku z myślą, żeby zerwać całą kiść i zanieść na swoją kwaterę.

Wysoka trawa, chwasty i pokrzywy gilgały jej gołe nogi, nie pomogła spódniczka zakrywająca łydki. Marek wciąż szedł za nią. Podniosła ręce wysoko do góry, aby narwać gałęzi.

- jestem za mała. Te najpiękniejsze są dla mnie nieosiągalne.

Marek stanął na palcach, zrywał długie gałązki i jej podawał. Wąchała je z takim namaszczeniem, jakby obawiała się, że zapach za chwilę wyparuje i nie będzie co wdychać. Marek dalej zrywał, a ona spojrzała na drugą stronę. Od sąsiedniej posesji oddzielał ich szary, dwumetrowy płot, zza którego dobiegły głosy bawiących się dzieci.

W drugim końcu ogrodu Kamil zrywał bez dla Julki, która cały czas coś opowiadała. Gabrysi nie interesowało to. Myślała tylko, jak ten duży ogród zagospodarować. Przede wszystkim skosić trawę. Na kawałku, gdzie rosły nadzwyczaj bujne, nieprawdopodobnie wysokie pokrzywy, zasadziłaby kwiaty, chociażby w donicach. Zawsze marzyła o ogrodzie.

- Nie zrywaj więcej - powiedziała do Marka - bo nie udźwignę. Gałęzie bzu oparła o swoje piersi. Prawie zasłaniały jej twarz.

Gabrysia weszła z powrotem do kuchni i dalej do saloniku, gdzie przysiadła na dużej, kolorowej, wytartej od starości sofie. Naprzeciwko stały dwa wielkie fotele, z drugiej zaś strony niska komódka z radiem i luźno porozkładanymi płytami CD. Ot i wszystko. Od strony ogrodu nad samym oknem uderzał w oczy duży zaciek wilgoci na suficie. Marek podszedł do okna i zasłonił

je ciężkimi storami, aż smuga zakurzonego światła położyła swój cień na twarzy Gabrysi.

- Tu wszystko jest stare i brudne, nawet wykładzina nie pamięta pierwotnych kolorów - powiedział. - Nie dbam o to. Jeszcze trzy miesiące i wyjeżdżam z tego burdelu. Może jeszcze wrócę, ale tego nie wiem na pewno.

Marek spojrzał na Gabrysię takim kłującym spojrzeniem, że aż przeszły ją ciarki.

- Ja uważam - odezwała się z całą powagą - że choćbym nie wiedziała, jak długo będę tu mieszkać, to muszę mieszkać jak człowiek, a nie jak bydlę.

- Odpoczęłaś już? - zapytał, nie kontynuując tematu. Podszedł do niej i ujął dłonie Gabrysi nakłaniając do wstania. - Chodź, pokażę ci teraz górę.

Wstała. W tym momencie wrócił Kamil z Julką, która rzuciła gałęzie na fotel.

- Przeprowadzam się tutaj - zdecydowała. - Chociażby dla tego dzikiego ogrodu, który trzeba doprowadzić do porządku.

- Zgadnam się z tobą - zaakceptowała Gabrysia i już wychodziła za Markiem.

- Dokąd idziecie - usłyszała za sobą głos Kamila.

- Na górę do sypialni.

- No! no! Ładnie się zaczyna - łapał za słowa.

Schody skrzypiały pod nogami. Na pewno nie były wymieniane od początku istnienia tego domu, tylko wykładzina była nieco młodsza.

Stała na piętrze, zdezorientowana, w którą stronę ma skręcić, a Marek w tym czasie otworzył drzwi do łazienki. Spojrzała przelotnym wzrokiem na brudną wannę. Weszła do środka. Umywalka i kibełek były tego samego koloru.

- Boże! Dlaczego wy tu nic nie robicie? Mieszkacie w takim syfie! Przecież to wszystko można umyć, doprowadzić do porządku.

- Chromolę to. Powiedziałem ci dlaczego. Nie moje, nie dbam.
 - Jak cię widzą, tak cię piszą. I nieważne: moje czy twoje.
 - Zobacz. Tu może być pokój Julki.
 - Gdzie, gdzie? - Julka stała już za plecami Gabrysi.
 - Proszę, proszę. Zobacz swój pokój. - Gabi przesunęła się nieznacznie, ustępując miejsca koleżance w wąskim gardle korytarzyka. Oczom Julki ukazało się małe, narożnikowe pomieszczenie z cienką jak tektura jedną ścianą, przy której stało niskie, staromodne, drewniane łóżko. Naprzeciwko drzwi także drewniana, chyba stuletnia szafa. Pod oknem zaś mały stolik i piecyk na kółkach. Ot i wszystko. Z okna widok na las kominów i anten oraz następnych rzędów domów, ciągnących się zaraz za ogrodem.
 - Boże, tu wszystko jest takie wiekowe! Czuję, jakbym przeniosła się w czasie - Gabrysia dawała upust emocjom.
 - Zobacz, ile wrażeń! W Polsce tego nie masz. - Marek uśmiechał się głupkowato.
 - Ach! Gabi, przecież nie zostaniemy tu na całe życie. Jakoś się urządzimy, co nieco pozmieniamy, posprzątamy. - Julka wracała o rzeczywistości.
 - Można wiele zmienić. Najważniejsze, że zaoszczędzimy sporo kasy.
 - Teraz, dziewczyny, zatykać nosy. Otwieram swój pokój i przepraszam, że moje skarpetki stoją grzecznie w kącie -ostrzegł Marek.
- Faktycznie po otwarciu drzwi z jego pokoju zaleciał smrodzik potu, nie pranej pościeli, brudnych i ciężkich od kurzu zasłon, cuchnącej wykładziny i chyba tych skarpetek, o których wspomniał.
- *Sorry, sorry!* Nie otworzyłem okna. - Niemal podleciał, by je otworzyć.

Okna też były stare, drewniane, otwierające się ze skrzypieniem, nie pamiętające koloru bieli. Gabrysia zauważyła w oczach kolegi lekkie zażenowanie, więc komentarz zostawiła dla siebie. Pomyślała tylko, że młody to chłopak, a taki brudas. Gdyby był jej synem, chyba by go zabiła. Współczuła tej jego Agniesi, której przyjdzie żyć z brudasem.

W tym czasie Kamil pokazywał Julce swój pokój. Tu panował ład i porządek. Łóżko było ładnie pościelone, okna pootwierane.

Gabrysia zapytała:

- Czy wszyscy górale to brudasy?

- Dobra, dobra! Posprzątam. Jakby ten syf zobaczyła moja matka, zabiłaby się własną pięścią. Zaczęło się na studiach, kiedy na nic nie było czasu, a każdą wolną chwilę przeznaczano się na imprezowanie. Sprzątały zawsze dziewczyny - tłumaczył się Marek.

Gęsiego zeszli po tych wąskich schodach, przy których nawet poręcze od balustrady były lepkie od brudu. Panie usiadły na sofie, Marek rozsiadł się w wielkim fotelu naprzeciwko.

- Napijecie się czegoś? - zapytał Kamil.

- Zróbcie nam drinki z polskiej wódki, o której mówił Marek.

Kamil powędrował do kuchni i za chwilę wrócił z butelką Starki.

- Przecież Starka to ruska wódka, a nie polska.

- Ale stara. Pasuje do tej chałupy.

- Faktycznie. - Gabrysia zaczęła się śmiać tak głośno i szczerze, że jej gromki śmiech udzielił się wszystkim.

- Jeszcze nie pijani, a już was bierze? - pierwszy odezwał się Marek.

- Tyle razy przyglądałam się, Marek, twojej twarzy, a nigdy me zauważyłam, że twój nos jest aż tak długi. - Julka wpatrzona ślepo w jego twarz robiła dziwne miny.

- Jaki nochol, taki kochol. Pokazać? - zapytał i zrobił rękoma ruch, jakby chciał odpinać rozporek. - Obie bym was zadowolili.

- Słuchaj, smarkaczu! Nie interesuje mnie, co nosisz w rozporoku, a tylko warunki naszej przeprowadzki - Gabrysia ostudziła atmosferę, a Marek poczuł się, jakby wylano na niego kubel zimnej wody.

- No to rozlewaj - Julka zwróciła się do Kamila.

- Nie mamy kieliszków ani ładnych lampek do drinków, tylko zwykłe szklanki.

- Lej w szklanki. W końcu i mnie przypomną się studenckie czasy.

Julka pierwszego drinka wypła jednym haustem. Jak kompot. Gabrysia nie wiedziała, jak zabrać się do picia, jakby to było nieprzyzwoite dla kobiety w jej wieku. Policzki Julki nabrały rumieńców, oczy jakby się powiększyły, stały się weselsze i śmielsze. W tym czasie Gabi wypła zaledwie jeden łyk.

- No, dziewczyny! Pijemy za wysokie stanowiska w Polsce. Przecież wszyscy jesteśmy dobrze wykształceni.

- Nie lubię wysokich stanowisk - odezwała się Gabrysia. - Mam lęk wysokości. Zresztą niewiele brakuje mi do emerytury.

- O, emerytka się odezwała.

- Jestem cierpliwa, doczekam się wkrótce. Choć jest bardzo ciężko, to uzbrojona w cierpliwość nawet kamień ugotuję.

- Lepiej ugotuj obiad, bo zaraz umrzemy z głodu - Kamil z lękiem wypowiedział te słowa i nerwowo poruszył się na sofie, obejmując Julkę za ramiona. Dostał przyzwolenie na ten gest.

- Podziwiam cię, Gabi - odezwał się Marek - i darzę szacunkiem, że w twoim wieku dajesz sobie radę. I jeszcze pokazujesz tym pieprzonym Angolom, leniwcom, ile można z siebie wykrzesać.

- Wy o Gabi zbyt mało wiecie. - Julka opróżniła już drugą szklankę.

- Zapytajcie, ile razy ryczy do poduszki.
- No! Odezwała się ta, co nie ryczy - usprawiedliwiła się Gabi.
- Ja na twoją opinię o mnie mam ripostę: kto pracuje płacząc, grzeszy z zadowoleniem.
- Mówiłem ci Kamil - skomentował Marek - że ta kobieta ma w zanadru takie powiedzonka, że może cię zabić słowami. Coś niesamowitego.
- Czy wiecie, co powiedział Roosevelt? - zapytała Gabi z dumą w głosie i nie czekając na odpowiedź, zarecytowała znaną sobie złotą myśl: - Poć się, a będziesz ocalony.
- Teraz zrobiła głęboki łyk i szklanka prawie się opróżniła. Kamil jakby na to czekał, gotowy ją uzupełnić.
- Nie, dziękuję. Nie piję więcej.
- Julka piła już w tym czasie trzeciego drinka, co bardzo podobało się młodemu chłopakom.
- E, szczawiki, może pójdziemy coś zjeść do baru - zaproponowała z satysfakcją wykorzystując apetyty chłopaków.
- Zgoda - niemal równocześnie wyrazili aplauz.
- No i jak, dziewczyny? Podoba się wam na Brynmelin? -zadając pytanie, Marek wcale nie miał pewnej miny. Tak przynajmniej wydawało się Gabrysi.
- W domu to wszystko przemyślimy i damy odpowiedź w ciągu dwóch dni - odezwała się Julka, której głos nabrał innego brzmienia, jako że już sączyła czwartego drinka.
- To co? Robimy rząd i spadamy stąd? - Kamil był chyba bardzo głodny, bo pierwszy skory do wyjścia. Julka odstawiła opróżnioną szklankę na ławę.
- Gdzie pójdziemy? - zapytała, krztusząc się źle połkniętą śliną. Kamil stanął za nią i z całej siły puknął ją w plecy, aż z ust wyleciał kawałek lodu. - Omal bym się udusiła. Dziękuję ci, Kamil.

- Uratowałem ci życie. Teraz stawiasz mi obiad.

LL. kąpało się w słońcu. Gabi, nieprzygotowana na taką pogodę, zdjęła bluzkę i została w podkoszulce, w której uwydatniał się jej pulchny biust. Rozbierała tę bluzkę z pewnym skrępowaniem, wiedziała bowiem, że Marek będzie w ten biust zaglądał jak szpak w gniazdo.

Miała rację. Ruszyli przed siebie. Marek objął Gabrysię ramieniem, ocierając się o naręcze bzu, które trzymała w prawej dłoni.

- Najlepsze śniadania są na deptaku.

- Najlepszy lunch: hamburger, *fish and chips* - na rogu Colleshill Terrace i West Street

- Najlepsze kanapki przy... - Marek nie dokończył.

- W ASDZIE - wtrąciła szybko Julka i znowu buchnęła śmiechem, a za nią Kamil.

- Zobacz, Marek. - Gabi otworzyła usta, jakby chciała pokazać mu rząd nienajgorszych zębów. - Kamil przy Julce, w tych swoich krótkich spodenkach i śmiesznym staromodnym meloniku, wygląda jak strach na wróble.

- Raczej jak odkrywca w osiemnastym wieku. - Marek brał kolegę w obronę.

- Najlepsza kolacja - Julka wróciła do tematu - spaghetti pomodoro przy dworcu kolejowym.

Weszli na deptak. Usiedli wygodnie przy stolikach, które były rozstawione na zewnątrz lokalu. Zamówili *fish and chips*. Zajadali i śmiali się do łez, obserwując walijską ulicę.

- Kiedyś przez pół godziny naliczyłam dwadzieścia sześć bardzo tęgich osób, w tym czterech mężczyzn oraz szesnaście osób niepełnosprawnych: dzieci i dorosłych - powiedziała Gabrysia. - Przyjrzyjcie się, jak miejscowi są poubierani. Wstydu nie mają. Czują się jak najzgrabniejsze małolaty, którym wszystko ujdzie na sucho, nawet jak wyjdą nago. Kobiety noszą brudne bluzki z resztkami jedzenia. Mają braki w uzębieniu.

- Walijskich grubasów tutaj jest wysyp - dodał Marek. -Szczególnie widać to w takie piękne dni jak dzisiejszy.

Kamil rozciągnął swoje długie nogi w rozkroku, mocno oparł się o tył krzesła i z pozycji pólężącej - takiego rozkokoszonego leniwca - obserwował przechodniów, którzy jak fala przemieszczali się powolnymi ruchami, a głosy ich wibrowały. Rzucane przez nich cienie jakby ogromniały na ospowatej ścianie budynku. Gabrysia założyła nogę na nogę, co nie umknęło uwadze Marka.

- Czemu ten smarkacz się mnie uczepił? - szepnęła na ucho Julce. - Patrzy na mnie tak seksualnie jakbym miała szesnaście lat.

- Nie cieszysz się? Może faktycznie lubi starsze panie.

- Dla mnie to zboczenie...

- Ale nie tu, w Anglii. - Kiwnęła głową, by podkreślić powagę słów.

Czuli się jak widzowie w teatrze. Zaczęli już chrząkać na kiepską uliczną sztukę. Gromada przypadkowych aktorów, która wymyślała program na poczekaniu i żeglowała przez deptak, sprawiała wrażenie, że prowadzona jest przez niewidzialnego pilota. Do stolika podeszła młoda, ładna kelnerka. Marek z Kamilem zamówili po piwie.

- Jak to wypijecie, na pewno będziecie śpiewać - odezwała się Gabrysia.

- A czemu nie? Ja mogę już śpiewać - odpowiedział Marek.

- Znom wszyscyutkie gorolskie melodyje. Jestem gorol z polskich gór - także zadeklarował swoje umiejętności Kamil. Podniósł kufel z piwem i całym głosem ryknął: - *Gorolu, czy ci nie żal...*

Julka i Gabrysia opuściły głowy w zawstydzeniu.

- Ja już idę - Gabrysia zamruczała pod nosem.

- Zaczekaj, idę z tobą. - Julka spojrzała na zegarek.

Dochodziła pięta. Spędziły w tym teatrze prawie dwie godziny.

- Czas jest jak kameleon, ciągle się zmienia.

- Ale masz porównania.

- Zobaczysz jak szybko deptak opustoszeje, dosłownie w parę minut.

Nie będzie już tej ławicy grubasek i szesnastek. Kończy się sztuka teatralna i czas opuścić widownię.

- Cześć, chłopaki. - jeszcze raz się odwróciły i dołączyły do tych istot, które podobne do żyjatek w zatoce płynęły z prądem do oceanu.

O dwudziestej drugiej cała czwórka wylądowała w barze na zaproszenie chłopaków dla uczczenia zgody pań na przeprowadzkę. Spotkali się przed „Tom Pepersem”, dużą dyskoteką wypełnioną przez niemal całe LL. Chłopcy zjawili się nieco wcześniej i czekając na koleżanki, obserwowali ludzi, którzy ubrani w skrawki odzieży zakrywającej tylko najważniejsze części ciała maszerowali stadnie do przybytku rozrywki. Wśród tej masy byli nastolatki, próbujący dostać się na dyskotekę nielegalnie i sześćdziesięciolatki, także spragnieni rozrywki.

- Są, są - Kamil niemal krzyknął i pomachał w kierunku kobiet, które wyglądały dosyć dziwnie w porównaniu z damską gawiedzią walijską. Polki wyszykowały się jak na prawdziwy bal.

- Wyglądasz sztywnie. - Marek objął Gabrysię i z nienacką pocałował w policzek. Zaszokowana wytarła ręką miejsce, gdzie ten złożył głośny całus. Weszli do środka. W olbrzymiej sali jeszcze wiało pustką.

- Ale tu przestrzeń - Gabi szepnęła Julce na ucho, bo z głośników roznosiły się tysiące watów. Miejsce do tańca było jeszcze puste, za to wokół dwóch rzędów barów po przeciwległych stronach sali cisnęli się ochotnicy zimnego piwa. Młodzież popijała jakieś napoje z małych, niebieskich i różowych buteleczek.

- Co jest w kolorowych, ćwiartkowych butelkach? - Gabrysia zwróciła się do Marka, który zdążył usiąść na wysokim stołku przy barze.

- Drinki o bardzo niskiej zawartości alkoholu. Zamiast piwa. Gdyby Angole pili wodę tak jak Polacy, to o dwunastej wszyscy leżeliby pokotem na ziemi. W barach angielskich króluje piwo i te słabe drinki. Dwa drinki masz w cenie biletu. Daj swój bilet, zamówię ci - powiedział, wciągając nosem zapach, jaki ulatniał się z jej ciała.

- Nie wiedziałam. Przecież jestem tu po raz pierwszy.

Za długim barem uwijało się aż czterech barmanów, każdy w białej koszuli i z lśniącoymi włosami. Reagują na skinienia i mrugnięcia klientów, odgadują każde zamówienie. Jeden równocześnie wydaje resztę i nalewa piwo. Każda czynność dzieje się w mgnienia oka.

- Żałuj - zapewnił ją Marek. - Znam wszystkie puby i jadłodajnie w mieście. Jest ich bez liku. Wyspy Brytyjskie z nich słyną.

Gabrysia zaczęła się oglądać dookoła jakby coś zgubiła. Z pola widzenia znikli jej Julka z Kamilem. Po chwili wypatrzyła ich w cichej loży, gdzie rozłożeni na długiej sofie, schowani za filarami, sączyli piwo. Gabrysia miała wrażenie, że Julka przystawia się do Długonogiego - jak nazwała Kamila, ale przestało ją to obchodzić. W pewnym momencie wszyscy siedzący przy barze niemal powykręcali karki w kierunku wyjścia. Gabrysia z Markiem zrobili to samo. Wraz z ławicą klienteli spragnionej wrażeń weszła dziwna istota.

- Anioł z powyłamywanymi skrzydłami - szepnęła.

- Raczej diabeł bez ogona - poprawił Marek.

Młoda, szczupła, wysoka, ekstrawagancka piękność szła, rytmicznie kręcąc biodrami. Ubrana była w krótkie, białe, džinsowe spodenki z wysokim, gorsetowym pasem. Spoza prawie Przeźroczystej bluzki bez ramiączek wylewał się duży, pulchny

biust. Uwagę wszystkich zwróciła fryzura - z planety Avon, jak to potem określiła Gabrysia. Włosy długie na kilkanaście centymetrów stały równo jak las chudych sosen. Raziła różnorodność ich kolorów. Do tego diabelski makijaż podkreślający magię dużych oczu dziewczyny. Karminowe usta tonowały opalenizną i czerń jej powiek.

- Ale dziwoląg! - Gabi wpatrzona była w nią, jakby zobaczyła ducha.

- Z jakiego ty świata przybywasz? Tu jest Anglia. Wszystko, co nie zabronione, jest dopuszczalne. Dziwolągów, jak polskich żebraków na Victoria Stadion w Londynie, tu nie brakuje. Pomieszkasz, zobaczysz.

Za diabelską Anielicą wszedł tłusty facet około czterdziestki, łysy, z wytatuowaną czaszką i dłońmi. Na udach i łydkach też ani kawałka białej skóry.

- W tej Anglii, co drugi facet jest niesamowicie wytatuowany! Znasz tego Briana, który pracuje na centrali? Cały kolorowy! Co za moda? - Gabrysia nie mogła się nadziwić.

- Pogódź się z tym, że świat pędzi do przodu, a ludzie dziwaczejają.

- Jakie to dobre! - Gabrysia już opróżniła ćwiarteczkę. - Chyba wypiję takich dziesięć.

- No, uważaj, bo te drinki są jak piwo. Nimi też możesz się upić.

- Nie obchodzi mnie to, bo mi smakują.

Marek zamówił jej jeszcze dwie buteleczki, sobie następne piwo.

Przesiedli się na sofy w zacisznym miejscu obok Kamila i Julki. Bar zapełniał się z minuty na minutę.

- Zobacz, jakie wszystkie kobiety mają fryzury i jak są poubierane. Zupełnie inaczej niż na ulicy - Julka szeptała Gabrysi na ucho, ponieważ głośna muzyka nie pozwalała na normalną konwersację.

Młodzi i starsi wypełniali dyskotekę, byli nawet sześćdziesięciolatkowie. Robiło się coraz ciasniej i głośniejsze. Na parkiecie pierwsza młodziutka dzierlatka dawała pokaz solo. O tej porze wszystkie bary, puby i dyskoteki były już wypełnione. Piątkowa zabawa rozpoczęła się. Na długi, wąski stolik, przy którym siedzieli, weszła siksa - jak to określił Kamil. Spod krótkiej, dżinsowej sukienki, która nawet nie zakrywała pośladków, a te z pozycji siedzących gości jawiły się całą nagością, dziewczyna z niebieską buteleczką w rękę obracała się w takt muzyki.

- Odwróć się mała! Chcę zobaczyć, czy masz stringi - po angielsku krzyknął Marek.

Smarkuła odwróciła się i podciągnęła leciutko boki spódnicy. Oczom wszystkim siedzącym dookoła stolika ukazała się wygolona cipka.

- Boże! - syknęła Gabrysia i w odruchu wstydu nakryła twarz dłonią jak mała dziewczynka, którą przyłapano na kłamstwie. Z kolei chłopcy zaczęli bić brawo.

- Ładna cipa, ładna cipa - krzyczeli już wszyscy mężczyźni zajmujący miejsca w pobliżu.

- Gdzie ja się znalazłam? - Gabi szepnęła na ucho Julce.

- Cicho! To mi się podoba! Jaka ona pijana. Jesteś w Walii i dobrze zobaczyć, jak tu się bawią. Przecież nawet nie wiemy, jak jest w Polsce, bo panie takie jak my nie chodzą na dyskoteki. Nawet by cię nie wpuścili, bo jesteś za stara. Sama widzisz, że tutaj nie ma żadnej dyskryminacji wiekowej - zapewniała ją Julka.

- Go, go, go, go - krzyczeli mężczyźni do tańczącej dziewczyny, podnieceni gołym tyłkiem.

Gabrysia, odwrócona od tej sceny, nawet nie poczuła, kiedy Marek pociągnął ją za ramię. Krzyknął do jej ucha jak do tuby:

- Idziemy tańczyć. - Stał nad nią i wyciągał dłoń. - Zapraszam.

Zrobiło się jej jakoś dziwnie. Dlaczego nie poprosi kogoś z młodych, a uczeplił się starej kobiety? Lecz uległa i podała mu rękę. Wstała.

Niemal pobiegli na parkiet. Tańczyli osobno, jak prawie wszyscy na parkiecie. Zauważyła starszą parę, która wtulona w siebie nie zwracała uwagi na muzykę. Poruszała się w rytm swojej własnej melodii miłości. Zdziwiona była, że niemal wszyscy trzymali w rękach różowe i niebieskie buteleczki, jakby osobiste trofeum, bez którego nie wyrusza się na parkiet. Po pewnym czasie znużona tańcem i głośną muzyką oderwała się od grona tańczących i powoli wracała na swoje miejsce. Za nią podążył Marek.

- Dlaczego wracasz?

- Nie podoba mi się to wszystko - prawie krzyczała, żeby zagłuszyć muzykę.

Oczom obojgu ukazał się niecodzienny widok. Dziewczyna, która tańczyła na stole, pochylała się nad dziesięciolitrowym, plastikowym wiadrem i rzygała. W drzwiach obok ukazał się mundurowy policjant, który podszedł i zaczął gestykulować. Miało to oznaczać natychmiastowy nakaz opuszczenia lokalu. Dziewczyna rzuciła się na niego. Wymachiwała w niezdatny sposób, wstawała, to znów siadała, nie mogąc utrzymać się na nogach. Minęło kilka minut szarpaniny, zanim tylnymi drzwiami opuściła lokal.

- Gabi, upij się, bo tu nie można być trzeźwym - rozkazał Marek i podał nową buteleczkę niebieskiego napoju.

Dobiegała druga w nocy. Chłopcy z Julką na parkiecie. Dobry moment na samodzielną ucieczkę - pomyślała Gabi. Powoli wstała, kręciło się jej w głowie, a nogi się plątały. - Boże! - westchnęła sama do siebie - nie pamiętam, kiedy byłam pijana.

Powoli przesuwiała się przez tłum stojących i tańczących, aż dobrnęła do wyjścia. Przeszła ulicą kilkadziesiąt metrów. W ba-

rach, u Turków, nieliczni goście dojadali spóźnioną kolację. Przed następnymi lokalami huczącymi od głośnej muzyki i pubami ruch jak w ulu. Przed wejściem do dyskotek ochrona pilnuje porządku. Na ulicach ruch niemal jak za dnia: młodzi śmieją się głośno, przekrzykując się nawzajem, tańczą, sączą piwo i drinki z butelek. Czasami, ponieważ nie ma miejsca w dyskotecie, zabawa kończy się na dworcu autobusowym, zaraz obok dyskoteki.

Wokół porozrzucane resztki ryb, frytek i innego żarła w poplamionych tłuszczem opakowaniach. Nad ranem nasycone zabawą miasto będzie wyglądać jak plac po bitwie. Tu i ówdzie widać policyjne patrole zatrzymujące i legitymujące młodzież. Porozrzucane puste butelki i inne śmieci zmieniają krajobraz. Naćpani i napici rzucają się na siebie jak samce goryli walczące o samice.

Gabrysia poznawała ten aspekt miejscowego życia, o którym do tej pory nie miała pojęcia. Dołączyła do tej procesji, która już kończyła zabawę. Szła nonszalancko, choć chwiała się na nogach. Została sama i nie pamiętała nawet, jak to się stało. Nie wiedziała też, gdzie się znajduje.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Czuła się niewidzialna. Nagle znalazła się w ślepej uliczce. Nie mogła sobie przypomnieć, czy była tu kiedykolwiek. Nie poznawała miejsca i nie wiedziała, jaki kierunek obrać. Przez moment czuła się jak we śnie. Miasto przepływało przez luki w pamięci. Nie była już tą samą osobą co wczoraj. Wyszła z zaułku i znowu szła obok baru, którego otwarte drzwi ukazywały długi, wąski korytarz.

Tuż za barem była skarpa z ogrodem pełnym żonkili i sitowia. Ustawiono tam rozklekotane stoliki i kulawe krzesła, prowizoryczny plastikowy barek zaopatrzony w podstawowy asortyment, czyli whisky i wódkę, mocny porter i słaby lager. Na stolikach jaśniały świece wbite w butelki, dodając blasku ulicznym lampom. Gabrysia zaryzykowała i przysiadła przy sa-

motnym stoliku. Zamówiła jedno piwo. Postanowiła poczekać, pomyśleć, ewentualnie zapytać o drogę.

XXX

Stały z torbami na chodniku, czekając na taksówkę. Obok walizki Gabrysia ustawiła duży czarny worek, do którego włożyła pościel. W drugim miała garnki, tostery, naczynia - prywatną własność jej i Julki. Zostawiły sprzątnięte mieszkanie, przynajmniej tak im się zdawało.

- Najgorsze jest to, że tam nie mam szafy ani łóżka - martwiła się Gabrysia.

- Oj! Gabi, kupisz sobie, jest tu taki sklep z rupieciami, w którym możesz się umeblować za pięćdziesiąt funtów. Sylwia za trzysta funtów urządziła całe mieszkanie i wygląda nienajgorzej. Wczoraj byłam u niej. Wynajmuje mieszkanie na Seat Road.

- jedzie taksówka, uważaj! - Gabrysia szarpnęła Julkę za rękę. Obie uśmiechnęły się do kierowcy, ale on wcale nie miał zamiaru pomagać kobietom. Po prostu otworzył bagażnik i czekał trzymając ręce na kierownicy, potem zamknął go automatycznie. Gabrysia obiecała sobie, że nie odezwie się do kierowcy ani jednym słowem.

- Nie odzywaj się do tego chama! Gdzie ci angielscy dżentelmeni, o których tyle słyszałam? - nakazała Julce. - Społeczeństwo angielskie jest podzielone na trzy warstwy. W zasadzie nic się nie zmieniło od XV wieku. No, może trochę przesadziłam, ale mniejsza o to - ciągnęła myśl. - Pierwsza warstwa to niewykształceni, ewentualnie po jakiś kursiątkach, obywatele tego kraju. Druga to elita po studiach, ludzie bardzo dobrze zarabiający. Myślę, że nie ma ich za dużo. Jest i trzecia, najwyższa warstwa Wysp Brytyjskich. Tworzą ją ci, którzy noszą tytuły.

Dojechali na Brynmelin. Przy wejściu czekali Marek z Kamilem.

- Dobrze chłopaki - odezwała się Gabrysia. Wręczyła walizę Markowi, a sama dźwigała dwa czarne wory. - Czuję się jak żebraczka z tymi worami - odezwała się ni stąd, ni zowąd.

Marek odwrócił się i zaczął się głośno śmiać. Rzucił walizę do dużego pokoju, który mieścił się zaraz za drzwiami wejściowymi i odebrał jej czarne wory.

- Zaraz wracam, pomogę Julce. - I znikł z pola widzenia. Gabrysia lekko zdyszana usiadła na brudnej sofie. Uderzała

ją jasność pokoju, która biła od dwóch okien umieszczonych po przeciwnych stronach. Dokładnie się rozejrzała, wzrokiem omiotła sufit.

Zauważyła dużą, rdzawą plamę. Z samego jej jądra kapłała woda. Ciszę, która panowała w pokoju, przerywały co chwilę spadające krople: chlap, chlap, chlap. Podeszła do tego miejsca. Wykładzina była mokra. Postawiła na niej but i zaczęła tupać, a krople odbijały się od podeszwy. Stała tak w zamyśleniu i nawet nie spostrzegła, kiedy do saloniku weszła reszta towarzystwa. Przyglądali się jej, gdy bawiła się jak małe dziecko w chlapanie.

- Co ty wyprawiasz? - odezwał się pierwszy Kamil.

- Oj, żebym nie żałowała, że się tu sprowadziłam - powiedziała Gabi.

- już zgłosiliśmy właścicielowi. W tym tygodniu mają coś z tym zrobić - odezwał się bardzo poważnie Marek. - Kupisz sobie szafę, dmuchany materac i będzie git. Masz największy pokój do dyspozycji.

- Dlaczego muszę ciągle inwestować? Przyjechałam tu zarabiać i odkładać, a nie wydawać. W sierpniu przyjeżdża cała moja rodzina, a we wrześniu Zuzia rozpoczyna studia w Paryżu.

- Gabi, to są grosze - uspokajała ją Julka.

- No, niezupełnie. Musze wydać jakieś sześćdziesiąt funtów.

- To i tak jesteś do przodu całe czterdzieści, bo miesięcznie zaoszczędzasz stówę.

Rozmawiając, bez przerwy spoglądała przez okno na dziki ogród. Wysokie rośliny tuż za oknem próbowały zajrzeć do środka.

- Nic z tego - powiedziała głośno, nie zdając sobie sprawy, że mówi do roślin. - Nic z tego, moje łodygi. Jutro idziecie pod nóż. Uśmiercę was z wielką przyjemnością, poucinam łby, ręce i nogi, by w tym miejscu mogło wyrosnąć coś pożytecznego.

Szła powoli w kierunku okna, trzymając ręce założone do tyłu jak belfer wykładający biologię.

- Bójcie się, krzewy, trawy i wszelkie niepotrzebne rośliny! Bójcie się kata, czyli Gabryśki - głos już ranił te biedne chwasty.

- Gabi! Rozpakujmy się i pójdziemy do miasta - zachęcała Julka. - Pomogę ci kupić materac i rozejrzemy się za szafą. Kiedy wrócimy, zabierzemy się za porządki. Musimy te chałupę doprowadzić do porządku do jutra wieczorem. Potem pracuję przez pięć długich dni.

- Ja również - Gabi odpowiedziała niedbale, a Julka odwróciła się na pięcie i znikła z jej pola widzenia.

Jeszcze tego wieczoru chłopcy napompowali duży podwójny materac, a kobiety przygotowały wspólną kolację. Ubikacja świeciła już czystością. Można było zażywać kąpieli i załatwiać się na czystym kibelku. Kuchnię zostawiły sobie na następny dzień.

xxx

Gabrysia czytała listę obecności przed biurkiem dyrektorki Domu. Podeszła do niej Sylwia i zapytała:

- Czy wiesz, że Betty umiera? Wczoraj przywieźli ją ze szpitala.

- Nie, nic mi nie wiadomo. Miałam całe dwa dni wolne.

- Idź szybko na górę. Ona bardzo cię lubiła, może zdążysz się z nią pożegnać.

Gabi przebierała się w pośpiechu. Niemal przebiegła długi korytarz. Kiedy wjechała na górny oddział, przywitał ją gwar

staruszek siedzących przed pokojem pielęgniarek. Nie zwracając na nie uwagi, podeszła do pokoju Betty i powoli otworzyła drzwi z nadzieją, jakby za nimi miał stać czarnoksiężnik, który za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przywróci Betty zdrowie. Od strony okna stał Danton, który jeszcze nie zakończył nocnego dyżuru. Tyłem zaś do drzwi stały Desri i Judy. Poprawiały pościel. Danton położył palec na usta i gestem dłoni zaprosił Gabi do środka. Stała obok niego. Odwrócił twarz, przylgnął ustami do jej ucha i szepnął:

- Betty odchodzi.

- Widzę - odpowiedziała mu też po cichu.

Betty leżała na białej pościeli jak podziurawiona. Roztrzaskana tchawica z rurką na zewnątrz przypominała klapę fletu. Kiedy oddychała, Gabrysia słyszała świsty: głos w odcieniach starych pożółkłych zdjęć. Gabrysi zdawało się, że ucichło morze i zamilkły skrzeczące ciągle alki. Nawet światło, które wpadało przez szpary w ciężkich, typowych dla angielskich domów zasłonach, było zsiniałe, a jego cienie ślizgały się w pożegnalnym tańcu po ścianie pokoju. Betty na moment otworzyła oczy i zrobiła grymas, który miał być ostatnim uśmiechem - tak przynajmniej Gabrysi się wydawało. Próbowwała coś powiedzieć: otworzyła usta, ale wydała tylko świszczący dźwięk. Gabrysia nie mogła się domyślić, co miało oznaczać ostatnie słowo przerywające ciszę.

To stare drzewo złamało się - pomyślała. Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, co oznacza nazwa tego Domu Opieki: „LAS STARYCH DRZEW”. Ostatni świst. Ostatni oddech. Danton puścił rękę Betty, którą trzymał na pulsie. Przymknął jej ciągle otwarte oczy.

- Żegnaj, kochana Betty.

Z jego oczu spłynęły dwie duże krople. Opadły na pościel. Gabrysia nieprzytomnie spoglądała na ścianę, na której wciąż tańczyły cienie. Z tego chwilowego zamroczenia wyrwał ją głos Betty:

- Dziękuję ci, kochana.

Gabrysia uniosła wysoko głowę i jak dzika spojrzała na nieruchome ciało.

- Czy ktoś odezwał się? - szepnęła.

- Nie. O co ci chodzi? - zapytała drobniutka Desrii, która trzymając ręce na poręczu łóżka kiwała się w rytmicznym pulsie ciała.

- Nic, nic, absolutnie nic. - Gabi zlekceważyła własne pytanie.

- Zostawiamy ją na godzinę. Polecenie umycia zwłok i uprzątnięcia pokoju wyda ranna zmiana - zdecydował Danton. - Idziemy...

Delikatnie ujął ramię Gabrysi, popychając leciutko w kierunku drzwi. Gabrysia po raz drugi słyszała ten głos, który był tak realny jak słowo PRZEZNACZENIE, które usłyszała w pierwszym dniu pracy. Betty, żegnaj - pomyślała, idąc do wyjścia.

Nadchodził dzień ciężki jak ołów i choć świeciło słońce, Gabrysia rozmyślała o życiu i śmierci. Nawet podczas porannego raportu, gdy wszyscy z uwagą słuchali rozkładu zajęć, jej myśli zaprzątnięte były Bogiem i sensem przeznaczenia. Nic nie słyszała.

- Gabi! Mówię do ciebie! Ty jeszcze śpisz? jeśli tak, to się obudź.

Ostre jak harpuny czyjeś słowa wbiły się w jej świadomość. Ocknęła się, była wystraszona jak małe dziecko. Wyprostowała się.

- Przepraszam. Zamyśliłam się.

- Czy wiesz, co do ciebie mówiłam? - Dorothy nie miała miłego tonu.

- Nie! Dorothy... To wszystko w związku ze śmiercią Betty.

- Betty już nie ma, a ty z Markiem umyjecie ją i przygotujecie ciało do zabrania. Takie było jej życzenie. Ona bardzo, ale to bardzo ciebie polubiła. Kiedy zabrane zostaną jej zwłoki, do

Was należeć będzie dezynfekcja pokoju i przygotowanie go dla nowego mieszkańca. Zrozumiano? - zakończyła ostro tak jak zaczęła. Potem się uśmiechnęła.

- Tak. Zrozumiałam - Gabi odpowiedziała pokornie ze spuszczoną głową.

Wszyscy po raporcie już wychodzili do porannych obowiązków. Gabrysia zatrzymała Marka, który jako ostatni dreptał ociężale jak żółw.

- Ale nam przypadła fucha. Wcale nie mam na to ochoty.

- Spoko - rzekł uśmiechając się szeroko. - Damy radę. Na-szykuj fartuchy i rękawice. Jeśli się boisz, zaczekaj na mnie.

Stała przed drzwiami pokoju numer 122, zajęta swoimi myślami. Opiekunki już pochowały się po pokojach wykonując poranne czynności. Przez korytarz przelatywał Peter i podtrzymywał opuszczone spodnie. Gabrysia podeszła do niego, chcąc mu pomóc zapiąć pasek.

Schyliła się lekko. Celofanowy fartuch, w który się przyodziała, śmiesznie trzeszczał. Jeszcze nie zdążyła dotknąć paska, kiedy Peter dłonią zwiniętą w pięść uderzył ją z całej siły w twarz i pchnął nogą.

Upadła, ciągle trzymając głowę wysoko i obserwując chudego Petera. Drugą nogę już szykował następny kopniak, ale Gabrysia prześlizgnęła się jak wąż i uniknęła ciosu. Z drugiej strony korytarza biegli Dorothy i Marek z odsieczą, krzycząc:

- Nie ruszaj się! Nie ruszaj!

Złapali wściekłego Petera od tyłu, siłą odwrócili i poprowadzili do świetlicy.

- Teraz się podnieś - Marek spokojnie powiedział do leżącej koleżanki i podał jej rękę.

Wstała z trudem Odszedł parę kroków. Odwrócił głowę w jej kierunku i siląc się na poważną minę, zaczął się śmiać. Echo jego szelmowskiego rechotu roznosiło się po korytarzu. Choć

Gabrysia zdawała sobie sprawę z groteskowej sytuacji, w jakiej ją zastali, chciało się jej płakać. Pękała w środku na wiele drobnych kawałków, Weszła do pokoju Betty z myślą: „Skoro żywy mógł mnie skopać, to co może mi zrobić kochana Betty, która jest już duchem?”. Podeszła do jej łóżka.

Ktoś w międzyczasie położył na kołdrze czerwoną różyczkę. Cienie nadal tańczyły na ścianie dając do zrozumienia, że nic się nie zmieniło. Półmrok panujący w pokoju dodawał powagi. Gabrysia przebiegła oczyma po nieruchomej twarzy Betty. Nie odczuwała strachu. Dotknęła ręką jej policzka. Już stracił naturalną ciepłość, chociaż minęło dopiero czterdzieści minut od śmierci.

- Jakżebyś chciała teraz wiedzieć, gdzie jesteś... - powiedziała głośno sama do siebie. W tym momencie wszedł wesolutki Marek.

- W piekle, w piekle - powtórzył.

- Musisz podsłuchiwać?

- A ty musisz rozmawiać z trupem? Jej już nie ma. Była stara i umarła.

- Zobacz! - Wskazał ręką na ścianę, gdzie refleksy światła nadawały blask temu pomieszczeniu.

- O kurwa! Co to jest? - zapytał przestraszony i szybko podszedł do okna, odsłaniając ciężkie zasłony. Do pokoju wpadłoienne światło, aż Gabi zmrużyła oczy.

- Spójrz! - Marek wskazał ręką.

Na ścianie, mimo dziennego oświetlenia, tańczyła świetlista kula. Biegała jak oszalała, by na chwilę zawisnąć nieruchomo i znów po kilku sekundach ruszyć do ataku. Jej taniec był nieregularny. W pewnych momentach oboje odczuli, jakby ta kula chciała się oderwać od ściany.

I doczekali się. Z impetem i dziwnym szumem, który oboje słyszeli, świetlistość odbiła się i zaczęła kołować nad głową Betty.

- O Jezu! O Jezu! - Marek wyleciał z pokoju jak oparzony, trzymając ręce na głowie. Gabrysia została sama. Spojrzała na Betty, to znów na kulę, która zatrzymała się nieruchomo nad głową nieboszczki.

- Betty! Jesteś tutaj? - zapytała nieśmiało, oglądając się za siebie, jakby tam chciała ją ujrzeć.

Kiedy znowu jej wzrok padł na nieruchome ciało, kula poruszyła się i zaczęła wirować, kołować, walcować, jakby miała nogi, a powietrze było jej parkietem.

- Boże! Taniec śmierci! Betty, możesz odejść! Wiem, że tu jesteś. Wracaj do prawdziwego domu, wracaj. Błogosławię cię.

Wciąż patrzyła na bladą twarz zmarłej, kiedy usłyszała za sobą otwieranie drzwi. Cała zgraja opiekunek niemal wtoczyła się jedna za drugą, z Dorothy na czele. Gabrysia odwróciła się tyłem do łóżka, oparła ręce z tyłu na poręczy i w takiej pozycji zaatakowała:

- A wy po co? - głos miała mocny i stanowczy. - Żeby coś zobaczyć, trzeba wierzyć. Niedowiarki. Betty już odeszła. Byłam tego świadkiem i nie chcę o tym rozmawiać.

Do Gabrysi podeszła Filipinka Julian, objęła ją mocno za szyję:

- Wiem, że ją kochałaś - szepnęła.

Reszta stała i dziwnym wzrokiem spoglądała na ścianę, o której na pewno opowiadał wszystkim Marek.

- Wynoście się stąd! - Gabi krzyknęła tym razem. - Śmierć to nie sensacja.

W tym momencie do pokoju weszła Agnes.

- Proszę wyjść! Wszyscy! Chcę zostać sama z Gabi. Zamknęły się drzwi za ostatnią opiekunką, kiedy Agnes po chwili milczenia odezwała się do Gabrysi:

- Betty zostawiła dla ciebie mały pakunek. Prosiła mnie, bym przekazała tobie, jeśli nie wróci ze szpitala.

Gabrysia opuściła ręce z poręczy łóżka, przyjęła pakunek i odłożyła go na szafkę nocną.

- To wszystko - powiedziała Agnes. - Zawołaj Marka i zajmijcie się Betty - odwróciła się i odeszła.

Otworzyła drzwi, w których nagle wyrósł Marek.

- Nie wiem, co o tym myśleć. Wiesz, że nie wierzę w Boga ani w drugie życie.

- Nie myśl nic - poradziła Gabi. - Musimy umyć Betty i ją ubrać. Zabierajmy się do roboty, ja ją umyję, a ty podaj ubranie, jest przygotowane w szafie w worku foliowym.

Oboje już stali nad łóżkiem i obnażali ciało z koszuli. Gabrysia obracała Betty na prawo, to znów na lewo i dokładnie obmywała ciepłą wodą. Marek pomagał. Przez chwilę milczeli.

- Jeżeli to, co zobaczyłem, zmieni mój tok myślenia i uwierzę w życie pozagrobowe, to ciekawy jestem, gdzie ona teraz przebywa - wypowiadał słowa powoli, jakby je cedził przez zęby.

- Umarli nie mają miejsca. To stan. - Gabi na chwilę podniosła głowę i spojrzała na kolegę. - Jesteś bibliotekarzem, powinieneś znać filozofię Kościoła.

- Tak, znam filozofię, według której Judasz zdradził Jezusa po to, by sprowokować Boga do zademonstrowania jego Boskości. Przeczytałem wszystkie traktaty Ojców Kościoła, ale nie znalazłem tam Boga. Wszystko to stek bzdur, a Biblia to nawiedzone myśli j jakiś głupków, którzy mieli wpływy w czasach, kiedy ona powstawała.

Uśmiechał się tym swoim zarozumiałym uśmiechem, który wyrażał pewność siebie. Gabrysia przyjrzała się jego twarzy. Mimo uśmiechu oczy patrzyły tak jakoś błagalnie.

- Jeśli czytałeś Atanazego, to nie zrozumiałeś go - kontynuowała. - Myślisz, że ja nie wątpię? Pewne rzeczy można pojąć tylko wiarą, a to jest trudne.

- Czym lub kim jest dla ciebie Bóg? - Marek był bardzo poważny.

- Jeśli chcesz poznać Boga, musisz poznać CZAS. Według mnie Bóg jest CZASEM, nie ma przeszłości ani przyszłości, ani też teraźniejszości w naszym rozumieniu.

- Mydlisz oczy takim rozumowaniem.

- Pytasz, to ci przedstawiam mój punkt widzenia.

- Ale idąc twoim tokiem myślenia, że dusza jest nieśmiertelna, to jej geometryczny kształt musi być okrągły jak ta świetlista kula, którą widziałem na własne oczy. Podobnie jak twój Bóg nie może mieć początku.

- Właśnie. Jesteś na dobrej drodze. Zasznurowuj jej trzewiki, proszę.

- Według tej filozofii nasze dusze istniały, zanim się połączyły z naszym ciałem

- Też tak uważam.

- No, dobrze. A gdzie one były? - Cały czas był poważny.

- Na to pytanie mógłby ci odpowiedzieć Michał Heller, filozof i fizyk, osoba duchowna. Jakiś czas temu zaczytywałam się w jego książkach dzięki mojej córce Zuzi. Pamiętam jego pytanie: czy Boeing 4 rozłożony na części może się złożyć sam? Na pewno nie. Więc istnieje jakaś substancja, która nas stwarza z części, jakimi stajemy się po śmierci.

- To reinkarnacja - powiedział.

- Nie odrzucam tej hipotezy. Wiele rzeczy po prostu nie rozumiem jak ty, bo Boga nie można zrozumieć.

- Ten tok myślenia prowadzi nas do twierdzenia, że istnieje gdzieś nieskończony zapas dusz, które jeszcze się nie ucieleśniły.

- CZAS nie istnieje w akcie Boskiego stworzenia. To, co On stworzy, ma cechy wieczne. Tak myślę - pokiwała głową.

- Hmm... Nigdy nie rozumowałem w ten sposób.

- Podaj mi biustonosz.

Odwrócił się i wyciągnął szary stanik. Kolor świadczył o jego starości.

- Myślę, że ten stanik był kiedyś biały, ale czas go zmienił. Wraz z upływem lat poszarzał jak ludzka cera.

Po kilku minutach Betty była ubrana. Zostały tylko niezasnurowane trzewiki

- Betty - Marek zwrócił się wprost do zmarłej, pochylił się nisko nad nią, jakby miała go usłyszeć. - Jesteś już umyta i ubrana. Powiedz mi, dokąd teraz zmierzasz.

W jego słowach nie było ironii, była natomiast powaga, powaga wieku młodego, który ma prawo spoglądać na śmierć nieco inaczej.

Śmierć odległa w czasie jeszcze nie budzi tak silnych emocji jak w wieku dojrzałym. Wyszli z pokoju. Gabrysia zabrała swój pakunek ze stolika.

XXX

Wracała do domu sama, przybita śmiercią Betty. Pakunek, który dostała od Agnes, włożyła do reklamówki razem z fartuchami do prania. Miała czterdzieści minut na rozmyślanie. Dokładnie tyle, ile trwała droga powrotna do domu. Włożyła klucz do zamka i długo się szamotała. Zza drzwi dobiegała muzyka, której Gabrysia nie cierpiała. Muzyka Marka i Kamila. Mówi się, że piękniejsza od muzyki jest tylko cisza i w tę ciszę chciała się schować.

Nagle drzwi otwały się, pchnęła je nogą, podniosła reklamówkę i torebkę, rzuciła na materac w swoim pokoju. Śmiechy i muzyka nie cichły. Powoli, jak złodziej, uchylała drzwi do jadalni.

Dopiero teraz poczuła zapach pleśni, alkoholu i ziemi. Zdawało się jej, że cała jadalnia pulsuje od muzyki.

- Ładnie, ładnie, czy musicie tak codziennie chlać? A tobie - zwróciła się do Julki - widzę, że pasuje to męskie towarzystwo.

- A ty, kurwa, święta anielico, co się czepiasz? Siadaj i napij się z nami. - Głowa Julki latała jakoś tak śmiesznie, wymachiwała rękoma, jakby łapała muchy gołymi dłońmi.

- Siadaj, Gabi. Nalać ci piwa? Odkazisz się po dzisiejszym dniu. - Marek siedział w głębokim rozkroku, trzymając butelkę pomiędzy nogami. Warstwy papierosowego niebieskiego dymu płynęły jak pasma fal. Można by na nich zawiesić pranie.

- Nie, dziękuję. Po długim dniu mam ochotę na sen.

W tym momencie pożałowała, że się tu wprowadziła. Rzuciła jeszcze okiem na stół, na którym Kamil ze spokojem zwijał fajki. Rozrzucony tytoń na stole i puste butelki nie robiły dobrego wrażenia. Gabrysia poczuła się jak w melinie.

- Dobranoc - odezwała się szorstko. Wszyscy zrobili dziwne miny.

Odwróciła się, by po trzech krokach znaleźć się w swoim pokoju. Rzuciła się na materac tak jak stała, ciągle w sandałkach.

Przez moment leżała nieruchomo z zamkniętymi oczyma, starając się w ogóle nie myśleć. Chciała odpocząć od ciężkiej fizycznej pracy. Było wiele dźwigania - bolały ją nadwyrężone ręce, żyły pulsowały, nawet drgały zmęczone, zamknięte powieki. Miała wrażenie, że bolą ją włosy. Zasnęła, pomimo dobiegającej do uszu głośnej muzyki. Od jadalni, w której beztriosko zabawiali się współlokatorzy, jej pokój dzielił tylko wąski korytarz.

Nagle zerwała się ze snu. Dzwoniło jej w uszach, a w głowie czuła eksplozję. Było widno, ale nie wiedziała, czy to świt, czy zmierzch. Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Dopiero po kilku sekundach Gabrysia uzmysłowiła sobie, że śpi na dmuchanym materacu na Brynmelin Road. Świadomość docierała powoli. W pierwszej chwili nie poznawała pokoju. Był prawie pusty, niski, wydawało się, że sufit zaraz spadnie na głowę. Z mokrej plamy na suficie kapały rdzawe łzy. Wszystko było w opłakanym stanie, od brudnej wykładziny do zniszczonych zasłon.

Przeleciała wzrokiem po ścianach, z których wycierała wilgoć, nozdrza wyczuwały przykry zapach. Wstała, ostrożnie podeszła do okna, odsłoniła zasłony, których nie zdążyła jeszcze wyprać, i spojrzała na ogród.

jawił się jej całkiem inaczej, niż kiedy się tu wprowadzała. Wszystko było w gołęzim kolorze. Miała wrażenie, że to ogród się jej przygląda.

Do cholery! - pomyślała. - Od czego zależy, że świat spostrzegamy inaczej każdego dnia? Przecież byłam zachwycona tym ogrodem.

Wstała. Skierowała się do drzwi. Chciała zobaczyć, która godzina, a duży zegar wisiał w jadalni. Paliły ją powieki, ślina miała gorzki smak. Zegar na ścianie wskazywał godzinę piątą. Pod zegarem, na gołej, mokrej podłodze, leżała skulona Julka otoczona wiankiem rozsypanych petów i puszek po piwie. Miała opuszczone spodnie i rozpiętą bluzkę. Była pijana, spała mocno. Na stole stały brudne szklanki po kawie i herbacie. Gabrysia odwróciła się na pięcie.

jeszcze raz zarejestrowała obraz jadalni i pospiesznie wróciła do swojego pokoju. Usiadła na skraju materaca, zdjęła buty, w których nogi parzyły jak pokrzywy. Była nadal zmęczona, niewyspana, udręczona snami. Powoli się rozbierała. Dopiero teraz czuła wagę własnej odzieży, choć niewiele miała na sobie.

Położyła się z powrotem. Poczwała głód. Niewypoczęte ciało odmawiało wysiłku, by przygotować cokolwiek do jedzenia. Mogła spać, miała dzisiaj wolne. Czuła, jak z każdego centymetra pokoju wydobywa się zgniły zapach wilgoci zmieszany z zapachem ziemi. Dopiero teraz na własnej skórze odczuła, jak mieszka się w suterenie. Wciągała w nozdrza ten nieprzyjemny zapach.

Zasnęła ponownie, myśląc o nieżyjącej matce.

Zimno, zimno, jak zimno! Gabrysia drżała. Była półprzytomna. Chciała jeszcze zasnąć, ale przeżycia ostatniego dnia nie pozwalały, powieki ciążyły, a w umyśle miała zamęt. Poczła drażniący zapach stęchlizny i usłyszała, jak krople spadają z sufitu do postawionego pod nim wiaderka: plum, plum, plum. Skrzywiła się z niesmakiem.

Nie jestem sama w pokoju - bardziej to czuła, niż wiedziała. Ta myśl ją przeraziła. Gdzie ja jestem? Zmusiła się, żeby otworzyć oczy i zaczęła zbierać myśli. Nagle usłyszała otwieranie skrzypiących drzwi. Podniosła się natychmiast. W drzwiach stanęła jej matka w tej samej co zawsze fioletowej sukience. Usiadła naprzeciwko w wyświeconym fotelu, który Gabrysia zakryła białym prześcieradłem.

jej ruchy wyrażały dostojeństwo. Oparła ręce na poręczy i odezwała się pierwsza:

- Wołałaś mnie, więc jestem. Przypomnij sobie, jak obiecałam ci, że będę przy tobie na każde wezwanie. Słowa dotrzymuję.

Gabrysi wydawało się, że przebudziła się na dobre, a matka jest osobą tak realną jak ona sama. Wpatrywała się w jej zgrabną sylwetkę szeroko otwartymi oczyma z wyrazem niemego osłupienia. Po chwili poczuła się zawieszona pomiędzy snem a jawą i nie wiedziała, jak odróżnić świat realny od własnych snów. Tak już bywało wiele razy. Nie chciała przywoływać teraz tamtych obrazów, a jedynie skupić na tym, co widzi teraz.

- Jestem tu - odezwała się postać matki i uśmiechnęła się. - Nie bój się i nie próbuj ogarnąć mnie rozumem.

- Mamo! Czy mogę cię dotknąć?

- To nie pomoże w rozwiązaniu zagadki. Jestem tu na twoją Prośbę. Twoje PRZEZNACZENIE mnie tu woła. W twoim świecie siłę ma niesprawiedliwość i niepokój, który nosisz w sobie, lecz jest taki stan ducha, którego nic nie może zniewolić, nic nie

może pogwałcić. Twoja dojrzałość musi nabrać cech dziecinnej niewinności. Życie jest przeraźliwie krótkie, nie dbaj więc...

Postać matki rozplynęła się jak we mgle, a Gabrysia przebudzona na dobre, wbita mocno w miękki materac, znowu nie wiedziała, co jest jawą, a co snem. Czuła tylko bezmiar leniwego dnia, a zapamiętany przed chwilą obraz matki był tak realny, jak realna jest ona sama. Jej sny na jawie były powodem niepokoju, który nosiła w sobie.

Siedząc tak na materacu, czuła się jak sztaba ołowiu, przez dobrą chwilę nie mogła się poruszyć. Skóra na czaszce sama się jej marszczyła, a słowa „to twoje PRZEZNACZENIE” przebiegały przez myśl, zaświeciły i znowu zgasły jak światło morskiej latarni. Przez sekundę czuła, że dotykała wiedzy na temat Dobra i jeszcze w większym stopniu innej, dotyczącej Zła. W jej duszy wyraźnie zaznaczały się dwa odmienne stany: pierwszym był stan trzeźwego rozsądku, drugim zaś stan zwątpienia. - To niemożliwe, to niemożliwe! - mówiła szeptem sama do siebie. Poczucie bycia sztabą ołowiu ustąpiło miejsca nagłemu zrywowi:

- Boże! Która godzina?

Wstała, rozglądając się za kapciami. Czuła obrzydzenie, kiedy stąpała po brudnej wykładzinie. Wsunęła nogi w kapcie i zaczęła się ubierać.

Straciła poczucie czasu. Podeszła do okna, potykając się o wiadro, i rozsunęła zasłony. Dzień przywitał ją jasnym blaskiem. Otworzyła okno, podmuch świeżego powietrza orzeźwił jej umysł. Głowa pękała, a usta kleiły się od gorzkiej śliny. Ogród wyglądał całkiem inaczej niż ostatnio. Zieleń pokrzyw i krzewów raziła w oczy. Gabi stała tak przez chwilę rozciągając szeroko ramiona do tyłu, kołysząc się rytmicznie i trzeźwiejąc ze snów. Podeszła do fotela, na którym leżała jej torebka.

Wyciągnęła zegarek. Była jedenasta dwanaście. Poprawiła pościel, wzięła ręcznik i pomaszerowała do łazienki. Przedtem

zajrzała do jadalni. Po porannym nieładzie nie było śladu, po julce też. Jadalnia wzorowo uprzątnięta, z nowym, czystym obrusem na stole. Otwarte okno wpuszczało zapach ulicy. Cisza. Maj ważniej sza teraz była kąpiel i relaks w wannie.

Drzwi do łazienki były jednak zamknięte od środka.

_ Hej! Julka! Jak długo posiedzisz? Też chcę się wykapać.

- Jeszcze pięć minut - usłyszała.

Po godzinie siedziały już razem, jedząc śniadanie.

- Słuchaj, Julka, nie podoba mi się to, co robisz. To nie moja sprawa, ale bardzo się zmieniłaś, od kiedy cię poznałam.

- Przepraszam. - Miała spuszczoną głowę i siorbała głośno kawę. - Upiłam się! Jeszcze raz przepraszam. Gabi, chcę z tobą porozmawiać.

- O czym? - Żrenice Gabrysi powiększyły się wyraźnie, poruszyła się niespokojnie. Poczwała się, jakby ktoś za chwilę miał wbić jej nóż w plecy. Julka zauważyła jej reakcję.

- W przyszłym miesiącu sprowadzam tu mojego syna. Kamil wyjeżdża za trzy tygodnie, bo kończy mu się kontrakt i zwalnia się jego pokój. Wówczas mogłabyś się przeprowadzić do mojego pokoiku. Jest mały, ale przynajmniej suchy i słoneczny. Syn od września pójdzie tu do szkoły. Mam tylko problem, co zrobić z mężem.

- A co z twoim kochaniem? - Gabrysia była nieco zmieszana własnym pytaniem.

- To już skończone, wrócił do swojej byłej partnerki. Nie za bardzo podoba mi się sprowadzenie tu męża. Do Polski nie mogę wrócić, bo nie dostanę żadnej pracy, a przecież jestem zadłużona. Zamierzam sprzedać tamten dom i ułożyć sobie życie na Wyspach.

- Zrobisz jak uważasz, ja nie śmiem ci nic doradzać - mitygowała się Gabrysia. - Tylko co będzie ze mną? Jeśli sprowadzisz tu syna i męża, ja muszę się wyprowadzić.

- Właśnie to jest mój problem. Ponieważ sprawiaasz na mnie wrażenie kobiety poszukującej czegoś trudnego do zdefiniowania, czegoś ulotnego, chciałabym opowiedzieć ci mój sen sprzed dwóch dni. Myślę, że symboliczny. Pomóż mi, Gabi, w podjęciu decyzji, proszę. Masz bujną wyobraźnię i jesteś uczciwa. Nie myśl, że traktuję cię jak wróżkę albo osobę lekko zwariowaną, ale wiem, że ci, co śnią za dnia, wiedzą o wielu rzeczach niedostępnych dla tych, co śnią tylko w nocy. Właśnie takie osoby jak ty miewają przebłyski przyszłości. Ciągle mam w pamięci twój sen na jawie - jak to sama określiłaś - w którym miałaś spotkanie trzeciego stopnia z własną matką.

- Nie mogę ci pomóc. To są przecież decyzje życiowe, w których nie chcę brać udziału, jedynie mogę spróbować odszyfrować sensne symbole tak, jak robię to dla siebie. Ale musisz wiedzieć, że w snach dysponujemy własnymi symbolami.

Gabrysia nie zdradziła swoich następnych snów na jawie, bała się, że będzie uznana za osobę szaloną, niezrównoważoną Julka odgarnęła swoje bujne włosy tym specyficznym dla niej gestem. Jej ciało zdradzało objawy lęku i niepokoju. Nerwowym ruchem przyłożyła prawą dłoń do ust i zaczęła głaskać swoje wargi. Chwila ciszy spowodowała jakieś dziwne napięcie, które Gabrysia odebrała mrowieniem własnego ciała.

- Śniłam o kobiecie w dziewiczo białej sukni - rozpoczęła nieśmiało - i w czerwonym płaszczu. Zrzucała ten czerwony płaszcz i zamieniła go na niebieski. Obok niej wyrósł nagle królewski błazen. Oglądał się za siebie. Za nimi rozciągało się morze i białe klify.

Zapanowała cisza. Obie słyszały własne oddechy, a Gabrysia przygryzała wargi, by po chwili z całą powagą tłumaczyć Julce:

- Wydaje mi się, że ten sen wyraźnie mówi, co dzieje się z tobą w sferze emocjonalnej, mówi o twoich wahaniach. Kobieta w dziewiczo białej sukni i czerwonym płaszczu symbolizuje

prymitywne wibracje, a płaszcz niebieski - to wibracje wyższego rzędu: walka między seksualnym pociąganiem a cnotą. Zresztą nie musiałaś opowiadać snu, bo ta walka jest wypisana na twojej twarzy. Błazen zaś - to okoliczności, które ci teraz towarzyszą. Radzę ci poddać się prawdziwym uczuciom, a nie przelotnym. Oszukiwanie męża nie wydaje mi się właściwym rozwiązaniem. Musisz być uczciwa wobec siebie, musisz zatęsknić za życiem, które prowadziłaś w Polsce. Twój mąż czeka na decyzję i pragnie być z tobą. W ten sposób ratujesz też swojego syna i jego emocjonalny rozwój. Przecież twój syn ma dopiero piętnaście lat i jest bardzo z ojcem związany. Myślę, że taka decyzja odmieni twoje życie. Ale to ty musisz dokonać wyboru, a to niełatwe. W twoim śnie morze stanowi pożegnanie z przeszłością, bo ona nie dawała ci poczucia bezpieczeństwa. Powinnaś zaufać instynktowi, on nigdy nie kłamie. Wszyscy dokonujemy trudnych wyborów i na tym polega urok życia.

- A ty, Gabi, zawsze dokonujesz dobrych wyborów?

- To zależy, ale większość moich wyborów jest nieprzemyślana. Cała jestem na opak, choć staram się, jak umiem, wsłuchiwać się we własny umysł i ciało, jednak często jakaś nieznana mi siła powoduje całkiem odmienne decyzje niż zaplanowałam. Dzieje się tak, jakby ktoś zaplanował pogmatwanie mojego życia.

- Bardzo ci dziękuję - z powagą powiedziała Julka. - Myślę, że mi pomogłaś. Przyjazdem mojego męża nie martw się na zapas. To nie będzie wcześniej jak we wrześniu. W tym czasie wyjedzie również Marek.

- Jeśli trzeba będzie, to się przeprowadzę. Na razie nie chcę o tym myśleć - stwierdziła Gabi.

xxx

Gabrysia dochodziła już do głównej bramy Care Home. Towarzyszyły jej pogodne myśli, a uśmiech gościł na opalonej od

wiatru twarzy. Środek lata. Zapowiadał się piękny, słoneczny dzień. Jeszcze kwitły magnolie, jej ulubione kwiaty. Przystawała kilkakrotnie przy domowych ogródkach i je głaskała, rozmawiała z nimi, jakby miały rozum i duszę. Jak w jej pięknych snach. Każdy płatek miał własną minę i charakter. Całowała te płatki, dotykała delikatnie palcami, muskała wargami - sprawiało jej to wielką przyjemność. Oglądała się wtedy za siebie, nie chciała świadków. Przyglądała się również rozbijałym od wiatru jukom. Dziś krótki dzień - pracuje tylko do czternastej.

Cieszyła się tą myślą. Była wyspana, czuła się wypoczętą. Miała powody do zadowolenia. Zuzia podejmie naukę na uniwersytecie w Paryżu, spełnią się marzenia córki i mamy. Tylko dwa tygodnie dzieli ją od spotkania z córką. Wszystko już załatwione, również akademik. Myślała sobie, jakby było fajnie zajrzeć w przyszłość i przez chwilę widzieć zdarzenia czekające na spełnienie. Chciałaby spojrzeć, jak spogląda się przez dziurkę od klucza w drzwi CZASU i zobaczyć, czy Zuzia skończy studia, czy ona sama da radę przetrwać na obcej ziemi jeszcze kilka lat. Decyzję już podjęła, zaufała intuicji. Była przekonana, że to właściwa decyzja, że to część jej przeznaczenia.

Na skwerku przed wejściem do Domu Opieki rozstawiono ławeczki dla mieszkańców. Z samochodów wysiadają pracownicy, pozdrawiają się nawzajem. Obejrzała się. Za nią w odległości kilkunastu metrów podąża grupa Filipinek, za nimi samotnie, powoli jak żółw, ciągnie Danton. Pewnie z powodu wagi jest taki ociężały. Gabrysia lubiła go i jednocześnie się go bała, bo był bardzo wymagający i dokładny. Jego oczom nie umknęła najmniejsza fucha. Perfekcja obcokrajowców wynikała nie tyle z osobowości, co z bojaźni o utratę pracy. Ich długoletnie kontrakty zobowiązywały. W chwili otwierania wejściowych drzwi Gabrysia obejrzała się jeszcze raz. Tuż za nią wyrosła Agnes, pani dyrektor Domu Opieki.

- Gabi - powiedziała - będziesz musiała poświęcić swoją przerwę i zgłosić się do mojego gabinetu. Mam dla ciebie pewne wiadomości - tymi słowami nieco uspokoiła już rozdygotaną Gabrysię.

Gdy już przebrana wchodziła na swój oddział, była pewna, że rozmowa dotyczyć będzie Steve'a - prawdopodobnie jej stryja. Ciekawość nie pozwalała jej skupić się tego ranka. Kilkakrotnie zbierała uwagi od Dantona, z którym tego dnia pracowała. Jego uwagi wpuszczała jednym uchem, a drugim wypuszczała. Wyklócała się o swoje racje. To zawsze były drobnostki, na przykład kwestia poduszek: czy zostawić je na pościelonym łóżku przykrytym kapą, czy rozłożyć je na fotelach.

- Ostatnio kiedy z tobą pracowałam, dałeś mi wybitnie do zrozumienia, bym poduszki odkładała na fotele, a dzisiaj zmieniasz zasadę i poduszki mam zostawić na łóżku. Tobie wcale nie chodzi o perfekcję, tylko o władzę. Po prostu ma być tak, jak ty rozporządzisz. Nie rozumiem twojego zachowania. Ja też chcę mieć coś do powiedzenia. A zresztą jaka to różnica, czy poduszki odłożę na fotele, czy rozłożę je na pościelonym i zasłanym kapą łóżku? - Gabi starała się mówić poprawnym angielskim, bo często ją poprawiał.

Nie dawał za wygraną.

- Na fotelach zazwyczaj siadają goście, więc muszą być wolne.

- No tak, ale Leona często przebywa w pokoju i odpoczywa na łóżku, więc i tak musi je odłożyć.

- Nie dyskutuj ze mną. Rób, jak ci każę.

- *No problem* - Gabi z nutą ironii w głosie wycofywała się z dyskusji.

Parę godzin już miała zepsutych, bo czuła się gorsza od reszty świata. Nie mogła zrozumieć, jak to się dzieje, że taki Filipińczyk może nią rządzić. Też jest na zarobkowej emigracji, więc powinni być sobie równi, ale Danton wykorzystywał swoje stanowisko

pielęgniarka i przełożonego. Mimo wszystko Gabryś darzyła go nieokreśloną formą sympatii. Danton umiał się przymilać, umiał w odpowiednim momencie przeprosić, ba, nawet filuternie objąć, przytulić, zażartować.

Jego otwartość powodowała, że szybko zmieniała nastrój i zapominała o wszystkich przykrościach. Któregoś dnia zapraszał na swoje urodziny. Wśród wybranych znalazła się Gabryś. Kończył trzydzieści sześć lat. Czowała się dumna, bo była jedyną Polką, którą zaprosił. Nie mogła doczekać się tego dnia, tak bardzo chciała na własne oczy poznać filipińskie tradycje, poczuć smak azjatyckich potraw. To był egzotyczny powiew, który wzmógł jej apetyt na zwiedzenie Filipin, wszak dostała zaproszenie od Desri, z którą bardzo się zaprzyjaźniła. Ale ich przyjaźń kończyła się, kiedy kończyły pracę.

Rozkład zajęć nie pozwalał na prywatne spotkanie. Nigdy nie doszło do skutku. Zawsze któraś z nich dobierała godziny i nie miały wolnego w tym samym czasie. Czasem spotykały się w ASDZIE na zakupach. Wówczas przysiadają na ławeczce przed marketem i rozmawiały długo o wszystkim i o niczym. To właśnie Desri umiała podtrzymać ją na duchu w ciężkich chwilach, kiedy Gabryśi wydawało się, że dłużej tu nie wytrzyma, kiedy tęsknota za domem i starymi przyjaciółmi sięgała zenitu. Mówiła wówczas:

- Jesteś szczęściarą, na wiosnę byłaś w domu, pojedziesz też jesienią, a ja...

Milkła, płakała. Gabryś przytulała ją do siebie i płakały obie.

- Gabi, ja nie polecę na Filipiny wcześniej niż za dwa lata. Zostawiłam tam trójkę małych dzieci, z którymi łączy mnie tylko telefon.

Wtedy Gabryśia uzmysławiała sobie, że naprawdę jest szczęściarą. Zuzia przyjedzie na studia trochę bliżej, a Rok-

sana ma ułożone życie we Francji. Tam jest jej dom, tam jej rodzina. Gabrysia nie musi się o nią martwić. Co najwyżej tęskni za córkami i z niekłamaną radością matki czeka na spotkania z nimi. Teraz, kiedy Gabrysia jest w Anglii, muszą się wspólnie umawiać w Polsce. Zjeżdżają do domu w G. w tym samym czasie.

Tego dnia po śniadaniu Gabrysia z niecierpliwością czekała na przerwę. W powietrzu unosił się zapach emocji, który czuła jak czuje się zapach perfum. Nie była jeszcze u Steve'a, który śniadanie jadł samotnie w pokoju. Jego toaletę zostawiła do powrotu z przerwy.

Czuła dreszcze. Jej umysł, przepełniony jakimś nieuzasadnionym lękiem, nie pozwalał na koncentrację. Z udawanym spokojem pukała do drzwi gabinetu Agnes. Miała wrażenie, że zawali się za chwilę podłoga pod jej stopami. Czuła się jak odurzona winem. Sama nie wiedziała w tym momencie czego oczekiwać. Czy lepiej będzie, jeśli Steve okaże się obcą osobą, czy też jej stryjem, który w czasie drugiej wojny zaginął podczas walk w Anglii? Wszak odnalazł się po wojnie, ale już nigdy do kraju nie powrócił, nawet na pogrzeb swojego brata, a ojca Gabrysi nie przyjechał. Uchyliła drzwi. Usłyszała ciche:

- Zapraszam.

Agnes nie podniosła nawet wzroku znad stery papierów, które porozkładane na biurku tworzyły chaos. Gabrysia stanęła przed biurkiem, ręce złożyła jedną na drugą. Pani dyrektor wstała, wskazała dłonią miejsce w wygodnym fotelu, przetarła chusteczką szkła okularów i włożyła je z powrotem. Gabrysia usiadła, założyła nogę na nogę.

Była w fartuchu, który choć sięgał połowy jej łydek, kiedy siedziała, podnosił się znacznie i ukazywał kolana. Materiał

był sztywny jak stal. A tak *zależało* jej na poprawnym zachowaniu.

Agnes podeszła do biurka, usiadła, uśmiechnęła się, by za moment koniuszkami palców dotknąć czubka nosa, to znowu wzięła chusteczkę z prostokątnego tekturowego pudełka. W Gabrysi narastał niezrozumiały niepokój, dało się bowiem odczuć, że Agnes odwleka rozmowę.

W końcu rozpoczęła:

- Gabi, nie wiem, czy to dobre wieści dla ciebie, czy też niepożądane - cedziła słowa, mówiła powoli, ale za to bardzo zrozumiale. - Kilka dni temu dostałam odpowiedź z Departamentu Ewidencji Ludności. Dopiero dzisiaj mam czas, by się z tobą podzielić tymi wiadomościami. Posłuchaj mnie. - Na twarzy pani dyrektor malowała się niesamowita powaga.

Gabrysię przeszedł dreszcz od stóp po głowę. Czowała się w tym momencie jak nadpalona zapalka. W głowie miała popiół i wrażenie, że za chwilę wyparuje jej cały rozum. Dyrektorka ciągnęła dalej, ujmując w dłoń dokument:

- Stefan Mazur, urodzony 19 sierpnia 191 roku w Ostrowie Wielkopolskim - nazwę miejscowości powtarzała kilkakrotnie, aż do momentu, kiedy Gabrysia jej przerwała i powiedziała poprawnie po polsku.

Agnes uśmiechnęła się:

- Przepraszam, język polski jest taki trudny.
- Tam urodzili się moi rodzice, a również bracia mojego ojca. już kiedyś to mówiłam - Gabrysia weszła w słowo.

Za moment dyrektorka kontynuowała rozpoczęty monolog:

- Otóż Steve, zatrudniony na stanowisku technicznym jako konserwator w Dywizjonie 229, ranny po wybuchu bomby na lotnisku 5 listopada 1944 roku, trafił do londyńskiego szpitala. Wyszedł 12 grudnia tegoż roku. Tu następuje przerwa w dokumentach. W 1945 roku, po skończeniu działań wojennych,

stara się o stały pobyt w LL. i wchodzi w związek małżeński z Walijką, Susan Ree. Zamieszkali razem przy Hope Street w LL. Jego żona umarła w 1984 roku. Zatrudniony był jako technik konserwator w miejskiej elektrociepłowni w S. Nie mieli dzieci. Od 1961 roku dyrektor oddziału aż do emerytury w roku 1985. Do nas trafił dwa lata temu jako stary, samotny człowiek. Ostatnio wykryto u niego guza mózgu, który zoperowano. Uważam, że jego kondycja fizyczna i psychiczna znacznie się poprawiła po powrocie ze szpitala. To są potwierdzone fakty, więc możesz z nich wyciągnąć wnioski. Na ile mogłam, na tyle się postarałam.

Do Gabi docierało tylko echo ostatnich słów. Teraz zrozumiała prawdziwą wymowę swoich snów. Tych powtarzających się jeszcze przed wyjazdem do Anglii, jak również snów na jawie z udziałem matki. To wszystko łączyło się w logiczną całość. Nie trafiła tu przypadkiem.

Tylko kto jej w to uwierzy? - pytała samą siebie. Przypadkiem mogło być spotkanie Steve'a w Domu, w którym podjęła pracę, ale jej sny nie są przypadkiem. Spełniły się w realnym świecie. Siedziała nieruchomo w fotelu i nie odzywała się ani słowem, a Agnes nie była w stanie przerwać milczenia. Włączyła komputer.

Gabrysię obezwładniło poczucie nieznośnego lęku. Lodowaty dreszcz ponownie przebiegł jej ciało i spowodował, że siedziała nieruchomo z zapartym oddechem. Zasluchana w samą siebie powtarzała: to twoje PRZEZNACZENIE. Wzdragała się wewnętrznie na dźwięk tych słów. Kiedy już upewniła się na sto procent, że Steve to jej stryj znany z opowiadań matki, ogarniało ją przerażenie, że może kierują nią jakieś piekielne moce. Z odrętwienia wyrwał ją doniosły głos pani dyrektor:

- Rozumiem ciebie. Taka wiadomość to szok. Może weźmiesz dzień urlopu i wypoczniesz? Nabierzesz dystansu do tej

całej niesamowitej historii i pogodna wrócisz do swoich obowiązków. Gabrysia poruszyła się nerwowo, przebudziła swoje myśli.

- Nie, nie, dziś mam krótki dzień, poradzę sobie. Myślę, że toaletę Steve'a już ktoś się zajął i nie mam powodu, żeby dzisiaj zaglądać do jego pokoju.

- Czy ten człowiek zrobił ci jakąś krzywdę, że tak bardzo to przeżywasz?

- Mnie osobiście nie, ale mojej rodzinie, a zwłaszcza mojemu nieżyjącemu ojcu, któremu ciężko było umrzeć bez pożegnania się z bratem. Mój ojciec go odszukał już po wojnie, ale Steve nie dawał znaku życia, nie odpowiadał na listy ojca.

Dyrektorka rzuciła krótkie:

- Rozumiem.

Gabrysia powoli wstała. Znowu poczuła ciężar swojego ciała, jakby była sztabą złota. Dzień, choć słoneczny, zasłonił jej duszę smutkiem.

Wróciła na oddział, gdzie Desri wraz z Dantonem szykowali herbatkę. Dołączyła do nich. Za chwilę ujrzała resztę pielęgniarskiej załogi, ciekawej wizyty u Agnes.

- Po co cię wołała? - pierwsza zaczęła Judy, jedna z najciekawszych Afrykanek.

- No i co? Powiedz wreszcie, czy Steve to twój stryj? - odezwał się Danton.

Z tym samym pytaniem przybiegła z dyżurki Dorothy. Pytanie roznosiło się po całym korytarzu.

- Tak! To mój stryj - stwierdziła.

Chciała zaspokoić ciekawość wszystkich, a jednocześnie pragnęła, żeby dali jej święty spokój. Zaczęła nalewać do filiżanek herbatkę i roznosić ją. Spojrzała na zegarek. Była dokładnie jedenasta. Tylko trzy godziny do końca zmiany - pomyślała. - Wytrzymam.

Tego dnia nie mogła spokojnie wracać do domu. Bez przerwy ktoś podbiegał z innych oddziałów, by potwierdzić nowinę.

- Dajcie mi święty spokój! - mówiła w złości po polsku. Do domu niemal biegła, nie cieszyły ją magnolie ani śmiejące się w twarz słońce. Kiedy pozostało jakieś sto metrów, dogonił ją Kamil.

- Cześć! Ale pędzisz jak wiatr! Cały Dom Opieki huczy od plotek, że na oddziale leży twój stryj. Ten jegomość jeszcze przed twoim przyjazdem chciał mnie oskalpować. Wredny typek.

Gabrysia nawet nie spojrzała na niego.

- Słuchaj - odezwał się niskim basem - dzisiaj zaliczyłem ostatni dzień pracy. Zaoszczędziłem swoje pięćdziesiąt tysięcy złotych i pojutrze szczęśliwy wracam do Polski. Chciałbym was dzisiaj wszystkich pożegnać. Julka z Markiem są w domu. Prosiłem ją, żeby przygotowała jakiś wspólny posiłek, więc nie szukaj sobie nic. Zjemy razem.

- Szkoda, że to dzisiaj, bo nie mam na nic ochoty.

- Rozumiem. Odnaleźć swojego stryja w Domu Opieki i akurat tu, w Walii... Taka wiadomość niesie sporo emocji, ale przynajmniej się rozładujesz. Zobacysz, będzie fajnie.

- Dziękuję. Myślę, że dojdę do siebie.

Kiedy wieczorem kładła się spać odurzona alkoholem, czuła się, jakby jej nie było. Nie potrafiła myśleć. Spojrzała jeszcze na fotel, na którym leżała wciąż nie rozpakowana paczka od Betty, a przecież minęły prawie dwa tygodnie. Dzisiaj na pewno jej nie rozpakuje, a jutro ma długi dzień. Boi się tej paczki. Co mogła biedna Betty do niej włożyć? - takie pytanie zadawała sobie codziennie. Odwróciła się na materacu.

Przed zaśnięciem słyszała jeszcze odgłosy nadchodzącej burzy i uderzenia kropel deszczu na szybie.

xxx

Leżała na materacu. Jeszcze piętnaście minut - mówiła do siebie głośno. Ręce założyła pod głowę i w uniesionej pozycji trzymała ją jak nad krawędzią świata. Wszystko, co wydarzyło się wczoraj, odsuwała od siebie, chciała zapomnieć, zagłuszyć, unicestwić. Za chwilę musi wstać, zjeść śniadanie, szybki prysznic i znowu do pracy na dwanaście godzin. Na myśl o spotkaniu ze Steve'em przeszywał ją zimny dreszcz.

Przez szpary w zasłonach promyki słońca jak wstążki biegały od sufitu do podłogi. Ptaki też rozpoczęły swój koncert, słysząc je przez zamknięte okno. Najbardziej obawia się, by nie postrzegano jej jako idiotki. Tajemnicę swoich snów, choć nie wszystkich, powierzyła Julce, ale do niej Gabrysia już nie miała zaufania. Była pewna, że temat Steve'a i jej paranormalnych snów będzie krążył w Domu Opieki podawany z ust do ust jako pożywka do plotek.

- Już szósta trzydzieści!

Zerwała się jak oparzona. W kuchni krzątał się Marek, szykował sobie kanapki.

- Cześć, co tak wcześnie wstałeś?

- Nie mogłem spać. Napilem się za dużo i śniła mi się twoja Betty.

Spojrzała mu w oczy, ale nie znalazła w nich kpiny, lecz strach.

- Gabi, ja nie kłamię. Przeważnie nie mam snów, no, może czasami. A dzisiejszy sen był bardzo wyraźny, jakbym oglądał film. Dlatego od razu wstałem i chyba - zaczął przeczesywać włosy - czekałem na ciebie.

- Co dokładnie zapamiętałeś?

Gabrysia przysiadła na jedynym w kuchni taboreciku, położyła na kolanach przygotowany ręcznik, w nim zawinięty szampon i balsam do mycia. Frotowy szlafrok otulał ją ciepło.

poprawiła kołnierzyk, zakrywając szczelnie szyję. Drzwi do ogrodu były otwarte, dopiero teraz to zauważyła. Po nocnej burzy zapowiadał się znowu upalny dzień. A on oparł się o jedną z szafek, ręce założył do tyłu i z całkiem poważną miną rozpoczął:

- Betty w fioletowej sukience, młoda i zdrowa, wchodziła do windy. Nie wiem, na jakiej podstawie, ale wiedziałem, że to nasza Betty. Szybko wybiegłem, ale drzwi już za nią się zamknęły. Piorunem więc skierowałem się do awaryjnego wyjścia i chciałem zbiec po schodach, ale jak to w snach, im szybciej chciałem ją gonić, tym bardziej stałem w miejscu. Następny obrazek, jaki zapamiętałem, to Betty wraz ze Steveem siedzą na ławeczce, przed Domem i dyskutują. Podeszedłem do nich, miałem w głowie wiele pytań. Zdawałem sobie w tym momencie sprawę, że Betty nie żyje i chciałem z niej coś wyciągnąć. No i obudziłem się. Obraz młodej Betty jeszcze w tej chwili widzę jak żywy. Ten sen daje mi dużo do myślenia. Teraz rozumiem wszystkich, którzy śnią i pamiętają te sny jak filmy.

Przez moment było słycać tylko ich oddechy, kiedy z góry głośno krzyknęła Julka:

- Gabi! Jeśli chcesz się kąpać, to łazienka wolna.

- Tak, już idę - odpowiedziała. Podniosła się. Spojrzała na Marka, który nie zmieniał pozycji, i powiedziała: - Znałeś Betty i też przeżyłeś jej śmierć. Twoje emocje objawiły się takim snem.

Ale jej głowę wypełniała myśl: „Skąd u licha w jego snach fioletowa sukienka Betty?”.

- Spójrz, mamuś! Tu będę się kształcić. W tym siedmiopiętrowym gmachu jest mój Departament Fizyki. Tu będę miała wykłady.

Uniwersyteckie miasteczko, choć nie w Paryżu, jak marzyła Zuzia, ale na północy Francji, ukryte było wśród drzew. Gabrysia

wzięła dwa wolne dni i postanowiła pojechać tam z córką, by ją zainstalować.

Dużą bramę otwierał portier. Zuzia przez okno podała swoją książeczkę. Wjechali na parking, który znajdował się naprzeciw sklepu akademickiego, z którego wychodziła grupa roześmianych arabskich studentów.

- Zobacz mammo, moi koledzy.

- Nie żartuj sobie. Nie mam życzenia, abyś zadawała się z Arabami.

- Mamuś, przestań - syknęła Zuzia. - Zaczekaj tu, proszę. Muszę odebrać dokumenty w biurze oraz klucze od mojego pokoju.

Po dłuższej chwili przybiegła, machając kluczami.

- Mam, mam: blok C, pokój 5,1 piętro. Będę mieszkała sama w dwojce, co mi bardzo odpowiada - uśmiechnęła się filuternie.

Nawet nie pomyślała, że jej matka ten uśmiech przechwyci. Gabrysi stanęły włosy na głowie, jej obawy o kontakty towarzyskie ze studentami innych religii, choć wyimaginowane, nie były nieuzasadnione.

- Zuziu, nie próbuj się zaprzyjaźniać z Arabami. To inna kultura. Boję się o ciebie.

Zuzia robiła niezadowoloną minę. Nie rozumiała matczynego rasizmu, dla niej wszyscy byli równi.

- Wydziwiasz mamusiu! Obdarz mnie zaufaniem, jestem już dorosła.

- Uśmiechnęła się, chcąc rozładować smutek matki. - Ładujesz mi ten temat do głowy już od kilku lat: religia, narkotyki.

Jej uśmiech, ukazujący rząd dużych, równych białych zębów i dołek w lewym policzku, rozbroił matczyne serce, które jeszcze przed chwilą było jak tykająca bomba. Zuzia otwierała drzwi. Ukazał się pokój o około dwudziestu metrach kwadratowych. Tuż za drzwiami, po prawej stronie, stała duża, podwójna szafa.

Naprzeciwko drzwi - okna z żaluzjami. Zuzia odsłoniła żaluzje i pootwierała szeroko okna. Do środka wpadł żar upalnego dnia, zrobiło się jasno. Tuż przy oknach stały dwie komody z głębokimi szufladami. Po obu stronach ścian, tapczaniki z pościelą. Na prostopadłej ścianie dwa duże biurka, a nad nimi mapa Francji. Pokój sprawiał wrażenie przytulnego. Zuzia rozpakowywała walizkę.

- Cóрко! - Gabrysia odezwała się bardzo poważnie. - Zanim cię opuszczę, chciałabym dać ci kilka przykazań na nową drogę. Rozpoczynasz nowe życie, niełatwe, pełne stresów i czyhających zasadzek. Ale ufam tobie, jesteś już dorosła i niewiele mam do powiedzenia, jednak moja troska będzie ci towarzyszyć aż do ukończenia studiów. Zapamiętaj, Zuziu! Przy lwie bądź lwem, przy baranku barankiem, ale przy osle nie bądź osłem.

Minęły dwa tygodnie, od kiedy Gabrysia przeprowadziła się do pokoju Marka. Duży pokój na górze, po Kamilu, zajęła Julka z mężem Robertem, a w malutkim pokoiku zamieszkał ich piętnastoletni syn. Gabrysia nie była zadowolona z przeprowadzki. Choć pokój był duży i słoneczny, panował w nim gorszy zaduch niż na dole. Pomimo codziennego wietrzenia i dokładnego uprzątnięcia, pozostał zapach starego dymu papierosowego zmieszany z wilgocią i starym potem. Ze ścian wyzierała wilgoć, a obdarte tapety przypominały o konieczności ich wymiany. Gruba wykładzina podłogowa miała zielonkawy, wypłowiwały kolor i wydzieliała zapach uryny zmieszanej z alkoholem i Bóg wie z czym jeszcze. Nie było widoku na cudowny ogród, który koił jej nerwy. Ciężko było Gabrysi wracać z pracy do tej rudery. Cieszyła się na samą myśl, że już niedługo się wyprowadzi.

Tego dnia szykowała sobie śniadanie do pracy na drugą zmianę. Zajęta własnymi myślami nie usłyszała, kiedy po ci-

chu, jak złodziej, do kuchni wkradł się Robert. Stał tuż za nią. Odwróciła się, kiedy poczuła ciężki oddech za swoimi plecami. Spłoszyła się jak dzika klacz. W prawej ręce trzymała nóż do smarowania. Upuściła go. Robert miał na sobie niedbale zarzucony szlafrok, gołe nogi w odkrytych kapciach.

Dopiero teraz zwróciła uwagę, że jest niski. Miał szpakowate, bardzo gęste włosy, które układały się w fale. Ciemne, piwne oczy jak u Cygana wbił niemal w jej twarz, a wąskie i długie usta nadawały mu charakter lisa przechery. Od momentu poznania miała złe skojarzenia z nim związane. Uważała się za osobę obdarzoną darem szybkiego charakteryzowania ludzi, których spotykała na swej drodze. Wyczuwała złe i dobre vibracje. Nikt nie mógł jej okłamać.

- Chciałem się zapytać, kiedy się wyprowadzisz? - cedził słowa.

Podniosła nóż z podłogi, zyskując dzięki temu kilka sekund na odpowiedź.

- Umówiliśmy się na kilka tygodni i dotrzymam słowa. Myślę, że jeszcze dwa tygodnie i zostawię was samych...

- Musisz zrozumieć, że jesteśmy rodziną, a syn czeka na twój pokój, który musimy doprowadzić do porządku.

- Tak, oczywiście, proszę pana - zaakcentowała dwa ostatnie słowa.

Spojrzała na jego palce u nóg. Nieobcięte paznokcie wydały się jej tak obrzydliwe, że aż się skrzywiła.

- Teraz szykuję się na drugą zmianę. Gdy tylko będę miała wolne, zabieram się za szukanie mieszkania.

- No, tak myślę - jego obcesowy ton zabrzmiał jak zardzewiały dzwon.

Odwrócił się i zostawił ją samą z nowym problemem. Znowu poczuła się jak motyl bez jednego skrzydła w przeddzień jesieni, jakby chciała teraz mieć kogoś bliskiego przy swoim

boku, komu mogłaby się zwierzyć, zaufać i liczyć na pomoc. Kogoś takiego, z kim zatańczy przy pełni księżyca na mrozie i o wschodzie słońca w upalne lato.

Chciała być kochaną, a została sama.

Droga do pracy wydłużała się, siąpił kapuśniaczek. Miasto wydało się jej obce: parki, drzewa, nawet ludzie, których mijala, a którzy uśmiechali się do niej i tradycyjnie pozdrawiali. Sama sobie wydawała się obca. Nieobecność bliskiej osoby dawała się we znaki. Znowu musi trafić tam, gdzie śmierć sypie piaskiem w oczy, do miejsca, gdzie pokoje nie są ani niebem, ani piekłem, gdzie mrówcza praca opiekunek i pielęgniarek podpowiada ciągle, że tam też toczy się życie. Znowu przyjdzie klęczeć u stóp staruszek i opatrywać spuchnięte nogi, nawykłe do bólu, i znów będzie zadawać Bogu pytania.

Od rozmowy z Robertem minęły dwa tygodnie. Z Julką nie mogła się dogadać, bo ona zawsze stawiała po stronie męża. Gabrysia doskonale to rozumiała. Przyniosła nową gazetę, może dziś coś znajdzie.

Miała trudności w rozmowie po angielsku przez telefon, to całkiem coś innego niż bezpośrednia rozmowa twarzą w twarz, julka nie zamierzała jej pomóc.

- Musisz w końcu zacząć sama - mówiła, kiedy Gabrysia zwracała się do niej o wsparcie.

Coś w niej zaczęło pękać. Coraz częściej płakała w poduszkę. Sytuacja na Brynmelin stawała się z dnia na dzień coraz bardziej nieznośna. Od paru dni nie odstępował jej przygnębiający nastrój, który spotęgował się, kiedy zamykając za sobą frontowe drzwi, usłyszała głos Roberta dobiegający z kuchni: „Wróciła ta, co ma słomę w butach”. Starala się puścić te słowa mimo uszu, ale miały kopyta i sypały piaskiem w oczy.

Zajrzała do kuchni, grzecznie powiedziała „Dobry wieczór”. Robert smażył kotlety, a jego syn siedział na taborecie i zajadał kolację. Wzięła szklankę, nalała do niej wody z kranu. Spojrzenia i uśmieški wprawiły jej duszę w nastrój trwogi. Czuła się jak kopnięty pies. Powoli, ociężale, schodek po schodku kierowała się do swojej budy. Zdjęła buty i rzuciła się na łóżko.

Długo nie mogła zasnąć. Opuścił ją nawet Bóg. Na niskiej toalecie, tuż pod oknem, wciąż leżała nie rozpakowana paczka od Betty. Za oknem świstał wiatr i z oddali dochodził głos nadchodzącej burzy.

Zerwała się na równe nogi. Obudził ją trzask otwieranych okien, a podmuch silnego wiatru wpadł nieproszony do pokoju. W rogu przy ścianie, na której znajdowało się okno, na jedynym w tym pomieszczeniu krześle siedziała jej matka w fioletowej sukience.

- Mamuś, dobrze, że przyszedłeś do mnie - stwierdziła ze spokojem. W jej duszy nie było ani odrobiny lęku. Otulił ją kosmiczny spokój. Już wiedziała, że śni.

Matka nie odzywała się, a tylko uśmiechała ciepło. Gabrysia po raz pierwszy uzmysłowiła sobie, że urojenia ze snów stały się dla niej treścią codziennego życia. Czekwała na te sny, czekała na swoją matkę, ciągle mając nadzieję na odkrycie Tajemnicy. Wierzyła, że będzie tą pierwszą, która przekroczy barierę czasu.

- Gabrysiu! To nie tak - usłyszała głos matki. Był zupełnie taki sam, jak wtedy, kiedy żyła. Ale matka nie otwierała ust. Rozumiały się telepatycznie. Jak w każdym śnie. - Nie odtrącaj Boga, nie przywołuj złych energii. Ich siła jest równa Boskiej. Oczyść umysł, który jest jak czara: dopiero, gdy będzie pusta, możesz na nowo ją wypełnić. Nie jesteś odpowiedzialna za sensowność czy bezsensowność tego, co wokół ciebie się dzieje,

ale za to, jak wypełnisz daną ci misję. Nie jesteś tylko dla samej siebie, ale jesteś niepowtarzalnym, ważnym punktem, w którym krzyżują się zjawiska tego świata. Twoje życie ma wartość pośród całego chaosu.

- Czym mam wypełnić mój umysł? jak to zrobić? - zapytała niemal szyderczo.

Obraz matki znikł tak szybko, jak się pojawił. Gabrysia poczuła przejmujące zimno. Wróciła do prawdziwego świata. Zerwała się, zauważyła, że leży w ubraniu, a skrzydła ciężkich, drewnianych okien są szeroko otwarte. Po pokoju hulał wiatr. Ogarnęła wzrokiem pokój.

Uliczna lampa wpuszczała wiązkę światła. Nie zauważyła nic podejrzanego. Wstała i na bosaka podeszła do okna. Ramy okien nie były posłuszne. Trzaskała kilkakrotnie, zanim je domknęła. Nie dbała o to, że obudzi lokatorów. Na zewnątrz szalała burza, ale w niej pozostał spokój, który we śnie przyniosła matka. Ponownie powoli wsuwała się pod kołdrę, ale zerknęła na toaletkę i zauważyła brak paczki. Na pewno spadła, a ja tego nie zauważyłam - uspokoiła siebie samą. Zasnęła z myślą, że jutro do południa rozpakuje pakunek od Betty.

Zimny prysznic ostudził jej senne obrazy. Zeszła do kuchni, w której krzątała się Julka. Zapach kawy mile nastrajał.

- Cześć, piękna - Gabrysia powitała Julkę.
- Cześć - odpowiedziała.
- Muszę ci powiedzieć, że twój stary wczoraj ugodził mnie harpunem zatrutych słów.
- Co się znowu stało? - odwróciła się.
- Powiedział wczoraj, że wraca ta, co ma słomę w butach.
- Mówiłam ci, że nie jest słodki. Chwilami żałuję, że go tu sprowadziłam.

- Nie żałuj, bo nie wiesz, co by było, gdyby został w Polsce. Czują się bardzo wolna bez niego i nie wiadomo, do czego ta wolność by doprowadziła. Może byś się rozpiła, może byś skakała z łóżka do łóżka, szukając szczęścia tam, gdzie go nie ma.

- Napijesz się ze mną kawy? Zaraz będzie gotowa. Ekspres syczał, sygnalizując, że skończyła się woda i kawa gotowa.

- Naszykuję sobie tosty i przejdziemy do jadalni. Siedziały już wygodnie jak kiedyś, kiedy miały sobie wiele

do powiedzenia. Dzisiaj Julka miała piękną cerę, a subtelnych, rzeźbionych rysów można j ej było pozazdrościć. Włosy splecione do tyłu otaczały twarz na kształt nimbu. Dobrze prezentowała się w swoich domowych ciuchach - dresie i golfie, Gabrysia czuła się przy niej jak brzydkie kaczątko.

- Przepraszam cię za mojego starego. Nie mam z nim lekkiego życia, jest obcesowy, nieobliczalny w słowach. Również dla mnie. Nie przejmuj się. - Podniosła filiżankę do ust i głośno siorbnęła. - Od dzisiaj pracuje jako pokojowy w Hotelu Diplomatic.

- Ależ ci się udało. - Gabrysia pokiwała z niedowierzaniem głową.

- Mieliśmy trochę szczęścia. Znalazł się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu. Jak idą twoje poszukiwania kwatery? - zapytała, prostując fałdki obrusu.

- Chciałabym prosić cię o małą przysługę. Pomóż mi. Mam wczorajszą gazetę, jest w niej kilka ogłoszeń o pokojach do wynajęcia, ale bardzo boję się rozmawiać przez telefon.

- Nie ma sprawy, ale to ty będziesz ustalać konkrety. Musisz spróbować swoich sił. Twój angielski jest już całkiem, całkiem. Jeśli okaże się, że sobie nie radzisz, wtedy przejmę słuchawkę.

Gabrysia kończyła dojadać tosty.

- Będę podawała ci numer i zaczynamy. - Głos Julki był stanowczy.

Oczekiwanie na sygnał w słuchawce mroziło umysł Gabrysi. Weź się w garść - mówiła sama do siebie.

- *Hallo! Good morning...*

A po chwili radośnie donosiła lulce:

- Hurra! Pierwsze ogłoszenie i od razu sukces! Mam pokój, mam pokój! Na Swansea Road, niedaleko naszego byłego mieszkania.

- No widzisz! Poszło ci całkiem gładko. Powinnaś być zadowolona, że zamieszkas z Polakami, bo nie będziesz się czuła samotnie.

- jeśli tam mieszkają Polacy, którzy pracują w zakładach mięsnych, to nie masz mi czego zazdrościć.

Wstając od stołu, Gabrysia zaproponowała:

- Chodź ze mną do mojego pokoju. Chcę rozpakować paczkę, którą dała mi Agnes od Betty. Nie mam pojęcia, co mogła mi ofiarować ta stara, obca kobieta.

- Jeszcze tego nie zrobiłaś?

Weszły do pokoju. Gabrysia pierwsza podeszła do toaletki. Mały pakunek leżał na podłodze. Podniosła. Julka przysiadła na skraju łóżka, a Gabrysia niosła paczuszkę jak hostię. W jej ruchach i minie była kościelna powaga.

- Jestem pełna obaw i jakiegoś dziwnego lęku - powiedziała.

- To może ja otworzę. - Julka wyciągnęła prawą dłoń.

- Nie! To jest dla mnie i sama rozpakuję.

Usiadła obok Julki, rzucając spojrzenie pełne jednocześnie ciekawości i lęku. Powoli rozwiązywała cienką niebieską wstążeczkę, później zaszeleścił kolorowy papier. Były na nim wzory drobnych kwiatków. Zwykły papier do pakowania prezentów. Oczom ich ukazał się goły szary kartonik. Powoli, z majestatem otwierała jego połówki.

- *Oh, my God* - słowa zabrzmiały nienaturalnie. - Ale numer! Włożyła ci dziecienną torebkę. - Julka zachichotała, wy-

rwiała kartonik z torebką. Gabryisia szarpnęła i odebrała swoją własność.

- Zostaw mnie samą, tak będzie najlepiej. Ta torebka to symbol związany z prawdziwą historią. To nie tylko zwykła dziewczęca torebka.

Gabryisia zaczęła głośno szlochać, ciężko oddychać, przytulając do piersi torebkę, która była identyczna jak ta, którą zgubiła gdzieś na dworcu, podróżując z matką jako sześciolatka dziewczynka. Skąd ta torebka? Przecież nie może być ta sama, którą kiedyś zgubiła. Tego była pewna.

Przypomniała sobie, jak Betty opowiadała o pięcioletniej dziewczynce, która na polskim dworcu podała jej kosz z jedzeniem. W zamian ona ofiarowała dziecku torebkę, którą właśnie teraz trzymała przytuloną do piersi. Gabryisia całe życie była pewna, że torebkę dostała od ojca. Nie pamiętała sytuacji na dworcu.

- Gabi, Gabi, ocknij się!

Gabryisia spojrzała na Julkę, która opierała się dłońmi o brzeg łóżka. Wróciła do teraźniejszości.

- Byłaś jak odrętwiła. Myślałam, że coś ci się stało, jesteś bardzo blada. Wyrzuć z siebie wszystko i pozwól mi zrozumieć sytuację. Przepraszam cię, że się śmiałam.

Gabryisia poczuła nagle chęć wytłumaczenia Julce całej historii, by ta nie uznała jej za idiotkę, a tym samym pomóc sobie zrozumieć sens tego podarunku. Na tyle, ile pamiętała, odtworzyła rozmowę z Betty, przytaczając nawet rosyjskie zdania.

- Ale historia! Może Betty była medium i ściągnęła ciebie do tego Domu? Myślę, że chciała ci podziękować za kosz jedzenia, który jej ofiarował twój ojciec? Może miała więcej takich torebeczek, które wiozła dla dzieci, a ta jedna zachowała się do dziś? Kiedy trafiłaś do Domu Opieki, byłaś pierwszą osobą, do której się Betty odezwała. Przedtem traktowano ją jako niemowę. To musi coś znaczyć. Ona ciebie w nieznanym nam sposób odszukała, by ci podziękować.

- Telepatia - Gabrysia nieśmiało przerwała Julce.

- Nie wiem, Gabi. Może telepatia, może przeznaczenie, ale w tym wszystkim jest głęboki sens

Gabrysia odłożyła torebkę, wsunęła się pod kołdrę tak, że tylko stopy wisiały na zewnątrz.

- Betty powiedziała mi tuż przed wyjazdem do szpitala, że śmierć nie istnieje. Że istnieje tylko strach przed śmiercią, z którego nie można się wyleczyć. Zapamiętałam te słowa, jak również wiele jej innych zdań. Była moim duchowym przewodnikiem. To ona mi uświadamiała sens cierpienia, w który trudno mi było uwierzyć. Po roku pracy ze starymi i chorymi ludźmi spoglądam na życie inaczej. Do tej pory bałam się starości jak ognia. Dopiero teraz zaczynam powoli ogarniać sens istnienia i sens starzenia się. Odczuwam potrzebę ofiarowania siebie samej, bo SENS zaczyna się wraz z życiem dla innych. Kiedyś nie zauważałam, że życie jest cudem, nie rozmawiałam z kwiatami. Dziś potrafię zauważyć poezję w zwykłej gazecie, nawet pomiędzy ogłoszeniami.

- jeśli wierzysz w sens życia i przeznaczenie, to uważam cię za niezwykłą osobę, ja nie wierzę w nic. Dla mnie ważne jest życie, seks i kasa.

- Twoje życie i przeżywasz je, jak chcesz. - Obie były bardzo poważne.

- Pobyt w Anglii zaczyna być dla mnie udręką - wyznała Gabi. - Pewną formą cierpienia, samotności. Ale coraz bardziej upewniam się, że muszę przez to wszystko przejść, że taki dostałam bagaż i takie moje przeznaczenie.

- Ty masz cel, musisz wykształcić córkę.

- O! Ten cel jest niezmiernie ważny, ale nie jest jedyny. Ugryzła się w język, bo chciała mówić o Steve'ie, ale ciągle niebyła pewna, jaką rolę ma spełnić. Mogła się jedynie domyślić. Wstała, wzięła torebkę w dłonie.

- Pokażę ci, jak dumnie chodziłam, kiedy byłam dzieckiem. - Ściskając w dłoniach lakierkową torebkę, przeszła się po pokoju w jedną i drugą stronę.

Smutne emocje ustąpiły miejsca żartom, Julka śmiała się wniebogłosy, co automatycznie wywołało śmiech u Gabrysi. Śmiały się do łez.

XX X

Pokój na Swansea Road okazał się bardzo mały, nie miał więcej jak dziesięć metrów kwadratowych. Połowę ściany naprzeciwko drzwi zajmowało okno. Nowe, plastikowe z dość szerokim parapetem, z czego Gabrysia była bardzo zadowolona. Mogła tam poustawiać ramki ze zdjęciami. Zaraz przy oknie stało łóżko z metalowych prętów z nowym materacem. Przy łóżku mały biały stolik nocny z jedną dużą szufladą. Na ścianie, tuż za drzwiami, nowa, dwudrzwiowa szafa.

Od łóżka do drzwi raptem półtora metra. Pokoik świeżo wymalowany czekał na lokatora. Żółciutki kolor dodawał blasku. Gabrysia wtoczyła wielką walizkę i worek z kołdrą i poduszką. Drugi worek z garnkami i naczyniami zostawiła na dole w kuchni. Najpierw pragnęła rozpakować się w pokoiku. Otworzyła walizkę i zaczęła rzucać ciuchy na łóżko.

Zamkniętą walizkę postawiła na szafie. Zrobiło się trochę miejsca. Zrzuciła z siebie sweterek, było bardzo ciepło, kaloryfery grzały jak zwariowane. Sucho i nowa wykładzina. Dotykając rękoma ciepłych policzków, obracała się dookoła własnej osi niezmiernie uradowana.

Pierwsza segregacja - ciuchy do szafy na górną półkę, druga segregacja: ciuchy ładują obok. Zostały rzeczy, które przydałoby się powiesić. W szafie było mało wieszaków. Przybory toaletowe zaniósł do łazienki. Była wyjątkowo duża, z wanną. We wnę-

ce stała stara komoda, pamiętająca lata sprzed drugiej wojny, przynajmniej tak ją sama oceniła.

Zachwycała ją panująca wszędzie czystość, aż nie chciała wierzyć, że mieszkają tu Polacy. Gabrysia była szóstą lokatorką. Oprócz jednego gościa, który zajmował pokój na dole i pracował przy generalnych remontach, cała reszta była załogą zakładów mięsnych. Cieszyła się z takiego obrotu sprawy, nawet przemknęło jej przez myśl, że może w końcu tu znajdzie przyjaciół. Na pewno nie będzie samotna.

Zamknęła pokoi. Z radością, lekka jak sarenka, zbiegała po schodach. Na dole po prawej stronie gościnny pokój, do którego nie było drzwi. Wchodziło się do niego wprost z korytarza, a tam ława, kanapa i fotel. Tuż przy oknie mały stolik, na którym stał stary telewizor.

Za gościnnym pokojem ciągnęła się długa i wąska jak kicha jadalnia z dużym stołem umieszczonym tuż przy ścianie.

- Dzień dobry. - Gabrysia tachała duży czarny worek do kuchni i przyglądała się z wrodzoną jej ciekawością mężczyźnie, który siedział przy stole i kroił wielkim nożem sznyty chleba. Mógł mieć około pięćdziesiąt lat.

- Dzień dobry - odpowiedział, prostując zgarbione plecy. Odczuła, jak przebija ją jego wzrok. Zlustrował jej sylwetkę.

- No to macie nową lokatorkę - wyprzedziła go. Postawiła worek w rogu kuchni. - Czy mogę się przysiąść? - Odsuwała krzesło od stołu.

Mężczyzna wstał, pochwycił krzesło i odsunął je jeszcze bardziej.

- Proszę, będzie mi bardzo przyjemnie.

Usiadł z powrotem, a Gabrysia przysunęła się do stołu. Urzekł ją barytonowy tembr jego głosu.

- Zaparzyć pani herbatkę? - zapytał z troską w głosie.

- Nie, dziękuję. Chciałam tylko dowiedzieć się, jak się tu mieszka. Dom zrobił na mnie dobre wrażenie. Jest czysto i ciepło.

- Dobrze, że nie zamieszkała pani tutaj rok temu, kiedy dom był w remoncie. Pokój, który pani zajęła, jest ostatnim wyremontowanym. Cała chata była w opłakanym stanie. Wynieśliśmy stąd tonę śmieci i gruzu. Było tak brudno, że nie da się opisać. Walijczycy mają kasę, ale w ogóle nie dbają o porządek, a warunki mieszkania jakby ich nie obchodziły. Mieszkaliśmy tu na kupie gnoju prawie przez rok. Ale za to była ulga w czynszu, więc każdemu się opłacało. Teraz, po remoncie, stawki poszły w górę. Ja mieszkam na dole. Pokażę pani później mój pokój.

- Proszę do mnie mówić po imieniu. Nazywam się Gabrysia, ale tu w skrócie mówią na mnie Gabi.

Mężczyzna wstał i podał jej rękę, którą wcześniej wytarł w ręczniczek:

- jestem Grzegorz.

- Skąd pochodzisz? Z jakiego rejonu w Polsce?

- Małe miasteczko na południowy wschód od Warszawy. A ty skąd? - Przyglądał się jej bacznie, zajmując z powrotem swoje miejsce.

Gabrysia zdążyła zauważyć, że nie był wysoki, jego muskularne dłonie i ramiona robiły wrażenie. Zdradzały rodzaj pracy, jaką wykonuje.

Gęste, czarne włosy opadały na kark. Twarz zmęczona. Był w niej jakiś ból, który zaznaczał się w nierównych zmarszczkach, jakby odgadł jej skryte myśli. Nie czekał na odpowiedź, lecz sam ciągnął:

- Mamy ciężkie życie, musimy tułać się po świecie za zarobkiem, a nasz rząd nic z nas sobie nie robi. Na Wyspach żyje ponad milion Polaków, a większość to młodzi, wykształceni, którzy pracują tu fizyczne. Przynajmniej za godziwe pieniądze. Nie chcę dotykać polityki, bo zaraz się denerwuję. Gdzie ochrona ludzi po pięćdziesiątce? Nie z własnej winy stracili oni pracę, a dostają zasiłek tylko przez jeden rok. Potem żryj kamienie.

- Dużą masz rodzinę? - Gabi ośmieliła się zadać osobiste pytanie.
- Moja żona nigdy nie pracowała, wychowywała piątkę dzieci. Radziliśmy sobie nieźle. Zawsze dorabiałem. W tej chwili została w domu jeszcze szesnastoletnia córka, chodzi do liceum. A ty, Gabrysiu, jak się tu znalazłaś, gdzie pracujesz?
- Jako opiekunka w Domu Opieki. Stąd do pracy mam dwadzieścia minut pieszo.
- Masz ładną biżuterię. - Przyglądał się jej bursztynom.
- Dziękuję.
- A może zaparzę herbatkę? Może dama się skusi?
- Naprawdę dziękuję. Muszę się rozpakować, w kuchni poukładać naczynia i gary, a później idę na zakupy. Po obiedzie muszę przygotować kilka obiadów, bo pojutrze zacznym cztery długie dni pracy.
- Też będę dzisiaj gotował, więc spędzamy razem dzień w kuchni. - Sprawiał wrażenie zadowolonego. - Mogę cię podwieźć na zakupy.

Samochód stał tuż przed domem. Gabrysia nie знаła się na samochodach, ale przeczytała „volvo”. Grzegorz otworzył drzwi i dżentelmeńskim gestem zaprosił, by usiadła. Dotknął przy tym delikatnie jej ramienia i choć miała na sobie kurtkę, poczuła przyjemne ciepło. Aż zakręciło się jej w głowie. Nie pamiętała, kto ostatnio obchodził się z nią tak delikatnie. Poczowała sympatię do tego człowieka.

Zajechali pod duże TESCO, które mieściło się na obrzeżach miasta. Gabrysia była tam tylko raz, kiedy zabrała ją Sylwia. Po drodze rozmawiali o wszystkim i o niczym. Grzegorz bacznie się jej przyglądał i uważnie słuchał.

Zakupy robili razem. Kiedy w supermarkecie szła przed nim, czuła na sobie jego wzrok. Poczowała się kobietą, choć nie był to

mężczyzna jej marzeń. Zafascynowana jego umiejętnością wyboru najtańszych produktów i liczenia pieniędzy - dodała mu następne punkty. Wszystko co złe, zostało daleko za nią. Czuła się wyjątkowo dobrze.

Jeszcze tego dnia wieczorem poznała resztę lokatorów. Agnieszka - młoda dziewczyna, najwyżej dwudziestotrzyletnia, z Ł. - nie sprawiała na niej dobrego wrażenia. Przy kolacji zwróciła Gabrysi uwagę, że powinna pod talerz włożyć podkładkę, żeby nie brudzić obrusu.

Po kolacji usiadła zaproszona przez jednego z mężczyzn na sofie w pokoju jadalnym. Stefan był szczupły i niski. Jego pchle ruchy i rozwichrzone kręcone rude włosy dodawały mu groteskowego charakteru.

Z twarzy patrzyły małe, świńskie oczka, które wierciły jak świder. Za chwilę dołączył do niego smarkacz, który jak się dowiedziała, zajmował poddasze wspólnie ze Stefanem. Zdawało się jej, że nie ma nawet osiemnastu lat. Wszyscy rozsiedli się wygodnie. Brakowało tylko Grzegorza, który zamknął się w pokoju i podziękował za zaproszenie. Na niedużym ekranie pojawiły się polskie napisy. Gabrysia przyjęła to jako coś nadzwyczajnego. Ponad rok nie oglądała telewizji.

Później dołączyła do nich młodzianka dzierlatka, Ola. Sprawiała wrażenie małomównej, wylęknionej i mimo młodego wieku bardzo zmęczonej. Ubrana w dżinsy i biały sweterek wyglądała niewinnie jak aniołek. Długie blond włosy opadały jej na ramiona. Zaznaczone czerwoną pomadką usta dodawały jej twarzy anemicznej bladości. Usiadła na dużym fotelu obok Agnieszki, obejmując ją z tyłu lewą ręką.

Dzisiejszy dzień mogła zaliczyć do najbardziej udanych. Tęsknota za domem ustąpiła miejsca psychicznemu odprężeniu.

Nabrała wewnętrznych sił, czuła się silniejsza, zrozumiała wagę sympatii i akceptacji w nowym otoczeniu. Nie spodobała się jej tylko oschła w słowach Agnieszka. Ta młoda osóbka o gęstych, krótko obciętych, ciemnych jak heban włosach i dużych piwnych oczach przypominała charakterem jej teściową. Niemal uderzała emocjonalnym chłodem, a jej uśmiech był lodowaty. Przynajmniej tak odczuwała. Coś było w niej toksycznego, coś, czego nie umiała jeszcze nazwać. Już przeczuwała, że ich życie pod wspólnym dachem nie będzie miało wspólnego mianownika. Jeszcze bardziej to zróżnicowanie znalazło wyraz podczas uzgodnień na temat sprzątanania mieszkania, które odbyły się zaraz po filmie. Ponieważ dołączyła jako ostatnia lokatorka, Gabrysi przypadło sprzątanie wspólnej części mieszkania: odkurzanie, mycie podłóg i podlewanie kwiatów. Również utrzymanie łazienki w idealnym porządku, i to już od poniedziałku.

Zaprobowwała tę decyzję bez oporu. Była zadowolona, bo teraz dom pachniał czystością. Na Brynmelin musiały to robić same z Julką, bo chłopcy wcale nie garnęli się do pracy.

Tego wieczoru zmęczona, ale pogodnie usposobiona do świata, zasnęła w suchym, czystym pokoiku, który pachniał jeszcze świeżą farbą zmieszaną z zapachem nowej wykładziny. Na sen, jak zwykle, nie musiała długo czekać.

Obudziła się, kiedy na ustach zastygły słowa: „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą”. Usiadła przerażona. Kątem oka zauważyła, że przez uchyloną żaluzję wpadało światło ulicznych latarni, poszatowane jak makaron i odbijające się na ścianach. Próbowła ogarnąć sen, jeszcze drżała. Poddając się urokowi niezwykłego oświetlenia oddała się analizowaniu snu. Szukała w umyśle twarzy, które jej migają, ale były zamazane.

Zapamiętała tylko starca, który jawił się jej jak duch. Powoli, powoli obrazy ze snu stawały się coraz bardziej zamazane, jakie to dziwne, co dzieje się w mojej duszy, kto zapisuje moją

taśmę snu? - myślała. W tym momencie ogarnęła ją przemożna chęć zatrzymania twarzy tego starca. Chciała się czegoś o nim dowiedzieć, ale obraz ulatniał się z każdą sekundą. Wrażenie tego snu oddziało silnie na jej wyobraźnię, jednak rozwiało się zbyt szybko. Zanurzyła się w chorobliwej zadumie, jakże dawno nie śniłam starych twarzy - myślała. - Teraz znowu powracają, uporczywie trzymają się mego umysłu.

Próbowała wyjaśnić pewne symbole, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Strach, z jakim się obudziła, jeszcze jej towarzyszył, ciągle czuła w swoim ciele prąd, który przebiegł ją od nóg po czubek głowy.

Położyła się. Swym zwyczajem wsunęła kołdrę pomiędzy nogi, odsłaniając tym samym pośladki, i przytuliła rozek kołdry do twarzy. Jak małe dziecko. Było bardzo ciepło, może za ciepło jak na jej menopauzę.

Zasnęła z powrotem.

xxx

Mijały dni i tygodnie. Nie pamiętała, kiedy miała dwa dni wolne. Znowu zmęczenie pracą dawało się we znaki: spuchnięte nogi, trudności w zasypianiu. Oddawała się wówczas marzeniom. Wyobrażała sobie, że pracuje w biurze, że przychodzi do domu i czeka na nią Grzegorz, który podaje jej obiad przygotowany wczorajszego dnia. Coraz częściej osaczały ją zuchwałe myśli o romansie, ale gdzieś w podświadomości bała się tych grzesznych pomysłów.

Od dłuższego czasu spotykali się z Grzegorzem bardzo rzadko, czasami tylko przy kolacji wymieniali parę słów na temat rodziny, dzieci, pracy lub polityki. Te krótkie rozmowy z czasem stawały się częścią jej życia, były cukrem do gorzkiej herbaty. Czasem mijali się rano przed pracą, pozdrawiając się nawzajem i życząc sobie miłego dnia.

W tym tygodniu przypadła Gabrysi wolna niedziela. Cieszyła się. Grzegorz nigdy nie pracował w niedzielę. Byli umówieni, że jak tylko złączy się ich wspólny wolny czas, spędzą go razem. Obiecał jej wycieczkę po okolicach. Żyła tą niedzielą. W końcu coś nowego, odskocznia od ciężkiej fizycznie i psychicznie pracy.

Bardzo przeżywała codzienny pobyt w pokoju Steve'a. Do tej pory nie ujawniła mu tajemnicy Agnes, która przecież potwierdziła pokrewieństwo, ale Steve był dobrze poinformowany przez inne opiekunki.

Żadne z nich nie podjęło rozmowy na ten temat. Wykonywała swoją pracę sumiennie, jakby Steve był obcym człowiekiem, może z trochę większą troską i większym zamięłowaniem, ponieważ tylko ona miała wstęp do pokoju i tylko ona miała prawo się nim zajmować. Od jakiegoś czasu Steve milczał jak grób. jakby stracił mowę. Dla innych zaś był nie do zniesienia. Wobec tego, kiedy Gabrysia miała wolne, podawano mu tylko jedzenie i zostawiano samego. Wówczas leżał w łóżku nieubrany przez dzień lub dwa. Ożywał się, kiedy wracała do pracy. Tylko jej poddawał się całkowicie, a ona wyczuwała wszystkie jego potrzeby. Pracowała przy nim bez żalu za przeszłość.

X-X-X-

Jedli razem śniadanie. Gabrysia narzekała na Agnieszkę:

- Ciągle się czegoś czepia. Widzisz, że zmieniłam obrus, straciłam całe pięć funtów. - Zaczęła ręką głaskać ceratę.

- Zauważyłem, ale myślałem, że to Agniecha kupiła, bo ona przynosi zawsze coś nowego, wiesza na ścianach jakieś bibeloty, stawia kwiaty w doniczkach. W ogóle czuje się tak, jakby sama wydzierżawiała nam mieszkanie.

- Otóż Agniecha, jak ją nazwałeś, oskarża mnie, że nie umiem jeść jak człowiek, więc miejsce, które zajmuję przy je-

dzeniu, jest najbardziej brudne. A dobrze wiesz, że to nieprawda. Przecież wszyscy domownicy zasiadają po tej stronie stołu, a obrusy w naturalny sposób się brudzą i trzeba je wymieniać.

- Nie będę się na nic składał. Dosyć już tu zainwestowałem z własnej kasy. - Uśmiechnął się i pokazał rząd trochę nierównych, ale wyjątkowo białych zębów.

Gabrysia popijała z niesmakiem kawę z mlekiem bez cukru.

- Co się tak krzywisz? - zapytał, patrząc jej w oczy, a potem przeniósł wzrok, który przez chwilę zdawało się, że ugrzął na jej wystających lekko spod bluzki piersiach.

Speszyła się nieco. Zauważył jej zmieszanie.

- Masz ładne korale, robią wrażenie prawdziwych.

- Bo są prawdziwe. Dostałam je na ostatnie urodziny od męża i starszej córki.

- Mąż dba o ciebie.

- Tak, za moje pieniądze. Gdybym pracowała w Polsce za marne tysiąc złotych, nie stać by go było.

- Wysyłasz mu wszystkie pieniądze? - zapytał, ale za moment się wycofał. - Przepraszam za niedyskrecję, nie musisz odpowiadać.

- Zostawiam sobie, ale niewiele. Część kasy zabiera Zuzia, a resztę wysyłam do domu.

- To tak jak ja. Ty na pewno kupujesz ciuchy, ja zaś kupuję narzędzia. Kiedy wrócę do Polski, chciałbym uruchomić z synem własną firmę. Ta idea trzyma mnie przy życiu, więc nie przejmuję się sprawami lokatorów i ich uwagami, zwłaszcza tamtej mądralińskiej.

- Ale boli, jak taka smarkula zwraca ci niesłusznie uwagę.

- Nie przejmuj się. - Przykrył jej dłoń swoją. Poczowała miłe ciepło i szybko, jak oparzona, wyrwała rękę.

- Wypiłaś już kawę? - zapytał.

- Nie, bez cukru mi nie smakuje.

- Trzeba było powiedzieć, dałbym ci.

- Dałbyś mi? - zagadnęła kokieteryjnie.

- Dałbym wszystko - odpowiedział z dziwnym spojrzeniem. Gabrysia dobrze go zrozumiała i poczuła się bardzo kobieco.

- Jesteś już gotowa? - Wstał i odsunął Gabrysi krzesło, ponaglając tym samym. - Jeśli mamy jechać, to idź po kurtkę i ruszamy na wycieczkę po Walii.

Kiedy samochód ruszył, Grzegorz położył lewą dłoń na jej prawej ręce. Przykrył ją całą. Nie cofnęła dłoni. Poczowała się bezpiecznie.

- Uważaj, nie możesz kierować jedną dłonią.

- A właśnie mogę. Trzydzieści dwa lata prowadzę samochód. Obiecuję ci, że cała wrócisz do domu.

- Ufam tobie. - Uśmiechnęła się. Spojrzeli na siebie.

- Wiem, że nawet się nie domyślasz, ale Stefan i jego współ-lokator, ten smarkacz Paweł, to są pederasci.

- Trochę się domyślałam. W jego ruchach jest coś damskiego, coś, czego nie umiałam do końca sprecyzować.

- Uważaj na niego. To mały, wredny człowiek. Miałem już z nim na pieńku, a poza tym on trzyma z Agniechą.

- Tak, zauważyłam i staram się im nie wchodzić w drogę.

- Zobacz, zobacz - niemal krzyknął, wskazując palcem gospodarstwo, obok którego przejeżdżali. - Widzisz ten bajzel na podwórku, te maszyny sprawiające wrażenie nieużywanych, a już zniszczone? Zobacz, jakie brudne obejście. Takich zaniedbanych gospodarstw jest w tych okolicach mnóstwo. Sam nie wierzyłem, aż zobaczyłem.

- Właściwie dokąd zmierzamy? - Zrobiła duże oczy.

- Pragnę pokazać ci zamek w Kidwelly, a właściwie ruiny z dwunastego wieku.

Ponownie położył rękę na jej dłoni. Nawet nie drgnęła. Milczeli. Ciepło otulało ją do snu, poczuła się znużona i leniwa. Oparła głowę o fotel i niemal zasnęła.

- Je-ste-śmy - przeciągał mocno zgłoski. Gabrysia drgnęła.

- Przepraszam, na chwilę odleciałam.

- Niezupełnie na chwilę. Na całe pół godziny. Nie chciałem cię budzić, bo tak smacznie spałaś.

- Niemożliwe! Przecież słyszałam szum samochodu! Nie, nie spałam, miałam tylko przymknięte oczy - kłamała.

Grzegorz wysiadł pierwszy, obszedł samochód i otworzył jej drzwi, podając swoją rękę.

- Dziękuję, dżentelmenie - odpowiedziała mu uśmiechem. Na wzgórzu, jakieś sto metrów od nich, jawiły się ich oczom ruiny zamku. Podeszli bliżej. Gabrysia wzięła go pod rękę.

- Tu nie ma nikogo - zauważyła. - Tablica informuje, że prowadzone są jakieś prace, dokładnie nie rozumiem jakie - poinformowała dumnie zadowolona z faktu, że oto może coś przetłumaczyć człowiekowi, który po angielsku nie mówi.

- Nie martw się, jeszcze tu wrócimy. Przejedziemy się w takim razie do jednego z najładniejszych miejsc w Walii, nad zatokę, która łączy się z Oceanem Atlantyckim, do Pembrokeshire. Byłem tam dwukrotnie i jestem zafascynowany widokami. Musisz to zobaczyć. To jest twój dzień. Odpoczniesz, nabierzesz sił. Pogoda nam służy, jak na tę porę roku jest całkiem ciepło i, o dziwo, nie pada. Spójrz na niebo, jest niebieskie jak... - Przez kilka sekund szukał określenia.

- Jak twoje oczy. - Wyrwała go z zamyślenia.

Wsiedli ponownie do samochodu. Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, nacisnął pedał i ruszył, znowu ujął jej dłoń. Nie oponowała. Czowała się jak smarkula na pierwszej randce. Spojrzała tylko na niego tym głębokim, badawczym wzrokiem - oddając grzeczny uśmiech. Dopiero teraz zaniepokoiła się na widok jego poszarzałej, ściągniętej smutkiem twarzy. Zapytała z nieukrywaną czułością:

- Co się stało? Dlaczego jesteś taki smutny?

- Nie chcę, żeby ten dzień się skończył. Wydaje mi się, że poznałem cię na wylot. Wiem, co myślisz i co czujesz. Znam twoje marzenia, wierzę w twoją uczciwość, lojalność. Chciałbym mieć taką kobietę u swego boku.

Tymi słowami ją zaskoczył. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc milczała. Po chwili przerwał ciszę urywanymi słowami, jakby się jąkał:

- Powiedziałaś kiedyś, że nie wykluczasz romansu.

- A ty się uczepliłeś tych słów jak rzep psiego ogona. -Zmarszczyła czoło. - Powiedzieć mogłam, ale nie lubię, kiedy ktoś twierdzi, że mnie poznał, bo ja sama siebie nie znam.

Wysunęła rękę na znak złości.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

- Zrozum, że ja nie jestem od spełniania twoich marzeń.

- jeszcze raz przepraszam. Może jestem szalony.

- Uważaj - krzyknęła głośno. - Chcesz nas zabić? Obrócił natychmiast kierownicą i samochód znowu znalazł się po właściwej stronie jezdni.

- Chcę cała i zdrowa wrócić do domu.

- Tak jest! - zameldował głośno. - Do czego to te kobitki doprowadzają? - zapytał sam siebie z sarkazmem. A po chwili: - Dojeżdżamy, Gabrysiu.

Uchyliła nieco szybę i wciągnęła świeże powietrze do płuc.

- Ależ tu pachnie.

- Ty pachniesz ładniej - spojrzał na nią zauroczonym wzrokiem.

- Nie osładzaj, nie podlizuj się. - Była bardzo szorstka. -W twojej głowie kłębią się same szelmostwa. - Szorstkość słów zastąpiła uśmiechem.

- Tu zaparkujemy - zmienił temat, jakby chciał odwrócić uwagę.

Na parkingu stało kilkanaście samochodów. Wyszli na zewnątrz. Gabrysia zdjęła kurteczkę, bo było naprawdę ciepło jak

na koniec listopada. Przywiązała ją sobie rękawami w pasie. Grzegorz podszedł do niej i podał rękę. Skorzystała. Weszli na szeroką asfaltową drogę. Przed nimi spacerowało już kilkanaście osób. Po obu stronach drewniany płot. Pionowe, okrągłe bele w odległości dwóch metrów podtrzymywały poziome, grube dechy. Po lewej stronie niski, stary budynek pobielony wapnem tętnił życiem. Przez szyby można było zauważyć gości siedzących przy stole.

Minęli tawernę i już znajdowali się u wejścia do szerokiej doliny otoczonej z jednej strony niedostępnymi ścianami wysokich, groźnie wyglądających skał. Szpiczaste ich jęzory sterczały pionowo nad morzem. Sprawiały wrażenie smoka, który z pragnienia za chwilę wypije całą wodę. Szum fal odbijających się od skał dodawał mocy, która unosiła się niewidzialnie w powietrzu. W oddali trawiasta dolina, na końcu której, hen, daleko, majaczył biały piętrowy dom. Dla oczu turystów był wielkości pudełka zapalek. Mroczne polodowcowe skały, częściowo porośnięte trawą, odkrywały białoszare, gołe wnętrza. Gabrysia wtopiła wzrok w niebieską otchłań, którą chroniły skały. Morze zawsze robiło na niej wrażenie, porażało swą mocą.

Ściągnęła z bioder kurtkę i zarzuciła na ramiona. Przytuliła się mocniej do Grzegorza, który milczał. Grzegorz pieszczotliwym ruchem zaczął przesuwając kciukiem po przegubie jej ręki.

- Nie rób tego. - Zamrugnęła rozpaczliwie i szarpnęła swoją dłoń.

Wsadziła ją do kieszeni, jego oczy nadal błyszczały. Podniosła wysoko głowę i głęboko oddychała, chłonęła ozon jak wino. Oddychała i milczała. Poczuli się małą kroplą, która jednoczyła się z wielkością morza. Stała tak, patrząc na horyzont i niebo. Z rdzenia jej duszy emanował smutek i żal za polskim niebem. W myślach plotła skrzydła, by tam ulecieć.

Następne dni rozpoczynały się awanturą. A to że Gabrysia zajmuje za długo łazienkę, że nieumyta wanna, że ktoś zostawił brudną mikrofałę, że niepodlane kwiaty. Oczywiście wszystkiemu winna Gabrysia, która czuła, że nie pasuje do tego towarzystwa. Wydawała się sama sobie śmieszna z tą swoją grzecznością, kiedy cała reszta używała bezkarnie niecenzuralnych słów.

Rodzaj ciuchów też ich różnił. Gabrysia uwielbiała spódnice i buty na obcasach, nikt nigdy nie widział jej w dżinsach, co najwyżej w eleganckich spodniach. Te ciągle uśmieški co do jej zachowania i ubioru, porozumiewawcze gesty, puszczane oczka. Wyjątkiem był Grzegorz, który zamykał się w swoim pokoju, a kiedy już musiał być świadkiem plotek lub uwag, nigdy nie wypowiadał własnego zdania. Milczał i to był jego prywatny sposób na życie w grupie.

Tej paskudnej środy Gabrysia nigdy nie zapomni. Akurat przygotowywała sobie kanapki do pracy. Była szósta trzydzieści. Na parterze z hukiem trzasnęły drzwi. Chyba młode dzierlatki przylatują do domu - pomyślała. Ktoś zbiegał głośno ze schodów. Podniosła głowę znad drewnianej deski, na której smarowała chleb. W saloniku ukazała się Agniecha.

- Kurwa! W końcu cię dorwałam, brudasie. Umyjesz mi tę mikrofałę własnym jęzorem.

- Przede wszystkim mówi się „dzień dobry” - spokojnie powiedziała Gabrysia. - Proszę usiąść i normalnie powiedzieć mi, o co chodzi, bo ja nic nie rozumiem.

- ja pierdołę twoją... - Stała nad Gabrysią i zaczęła wymachiwać rękoma. Podbiegła do mikrofały, otworzyła drzwiczki. - A to, kurwa, co? - Kiwała głową na lewo i prawo, wciąż wymachiwała rękoma.

Oczom Gabrysi ukazała się brudna mikrofałówka.

- Tak, widzę - potwierdziła - ale nie ja to zostawiłam w takim stanie. Nie używałam mikrofalówki przez ostatnie dwa tygodnie.

- Każdy tak mówi - stwierdziła Agniecha.

Gabrysia odwróciła głowę i zaczęła smarować chleb. Udała, że nic się nie stało, choć w środku bulgotała. Czuła najpierw drżenie rąk, a później powolne przesuwanie się owego drżenia do wewnątrz ciała.

Drżenie zaczęło wypełniać każdą jej komórkę. Nie słyszała nawet skrzeczenia Agniechy. Coś ją naszło. Zebrała się w sobie i natarła z impetem, zdziwiona swoją reakcją. Podniosła dłoń, kromka wylądowała na twarzy Agnieszki. Teraz poszły obie na całość. Powstało wielkie zamieszanie.

Leżały na wykładzinie, okładały się pięściami i targały za włosy, wyzywając się nawzajem, nie szczędząc zwrotów takich jak „ty brudna suko!”, „a ty wstrętna dziwko!” W pewnym momencie Gabrysia w drzwiach ujrzała Grzegorza. Podniosła się z podłogi i zostawiając niezjedzone śniadanie, wybiegła, zatraskując za sobą drzwi.

Było chłodno i mżyło, poranna mgła ograniczała widoczność. Gabrysia w sweterku i klapkach biegła na posterunek policji zgłosić przemoc.

Choć pierwsza rzuciła się na Agniechę, nie czuła się winna. Przebrała się miarka. To ciągle oskarżanie, to ciągle wskazywanie palcem, że to ona, ta stara spowodowało wybuch agresji. Dosyć tego, nauczę ich szacunku - z tymi myślami wpadła do komisariatu.

Mały przedsionek z ławką jak w parku. Na jednej ze ścian małe okienka jak na starej poczcie w Polsce. Za jednym z okienek siedział tłusty policjant i rozmawiał przez telefon.

- Czy czekasz na rozmowę? - zapytała jegomościa, który siedział na ławce.

- Tak, oczywiście.

Gabrysia przysiadła więc, lecz jej niespokojny duch nie pozwalał na bezruch. Znowu wstała i kręciła się po tym małym pomieszczeniu.

Wreszcie zapytała oczekującego gościa:

- Palisz papierosy?

- Tak, palę.

- Czy możesz mnie poczęstować? - zapytała nieśmiało. Facet wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro. Gabrysia nerwowym ruchem niemal szarpnęła papierosa.

- Dziękuję. - I wyleciała jak oparzona na zewnątrz.

Przez kilka sekund przyglądała się zwitkowi tytoniu, któremu była wierna dwadzieścia pięć lat, a który porzuciła dwa i pół roku temu.

Boże! Co ja robię? - pytała samą siebie, a jednocześnie nie mogła oprzeć się przemożnej sile, która nakazywała jej zapalić. Zaciągnęła się głęboko, by po kilku sekundach zachwiać się na nogach jak pijana. Przykucnęła. Drugi mach, trzeci, i tak do końca. Wstała. Peta rzuciła pod nogi. Zgasiła go klapkiem i szurnęła jak najdalej od siebie.

Zrażona widokiem samej siebie palącej papierosy, rzucającej pety gdzie się da, wpadła z impetem do komisariatu, gdzie nie było ani śladu po mężczyźnie, który poczęstował ją papierosem, Podeszła do okienka.

- Co się dzieje? - zapytał tłusty gość w mundurze, obracający nerwowo długopis w mięsistych jak parówki palcach.

- Chciałam zgłosić przemoc.

Mówiła szybko, z polskim akcentem, nie zważając uwagi, czy policjant ją dokładnie rozumie.

- Powoli, powoli. Jeszcze raz. Przede wszystkim proszę podać swoje dane: nazwisko, adres.

Zaczęła ponownie, już wolniej, za to szybko połykała własne łzy. Policjant spisał protokół i oświadczył:

- Proszę wrócić do domu. Wyślę tam ludzi, by sprawdzili całą sytuację.

Następnego dnia po porannej zmianie niezmacony spokój Ga-brysi przerwało głośne pukanie do drzwi. Przez chwilę zastanawiała się, czy w ogóle odezwać się, czy też milczeć i udawać, że jej nie ma.

- Kto tam? - zwróciła się twarzą do drzwi.

- Eddy. Gabi, otwórz, proszę. Muszę z tobą porozmawiać.

Wstała, założyła klapki i powoli, bez pośpiechu, otwierała drzwi. Eddy to właściciel mieszkania. Tęgi, niski jegomość, którego czupryna nigdy nie widziała grzebienia. Rozwichrzone włosy zasłaniały w połowie twarz, przez co wyglądał niechlujnie. Bez przerwy ślinił palce i przyglądał kręcone włosy.

- Zejdźmy na dół, do saloniku. Porozmawiajmy. Gabrysia dobrze wiedziała, czego dotyczyć będzie rozmowa.

Pełna lęku szła za nim jak baranek. Przy lwie bądź lwem, przy baranku barankiem, ale przy osle nigdy nie bądź osłem - mówiła sama do siebie.

Usiedli przy stole.

- Otóż, Gabi, musisz opuścić moje mieszkanie, bo narażasz mnie na wstyd, ściągając tu policję. Pozostali lokatorzy narzekają na ciebie, że nie sprzątasz mieszkania i za sobą zostawiasz brud.

- Dobrze wiesz, że to nieprawda, tylko ja nie pasuję do tego towarzystwa. Nie mamy wspólnych tematów, bo nie pracujemy razem. Poza tym to towarzystwo lesbijek i pedałów.

- Czy wiesz, że mogą cię oskarżyć o dyskryminację seksualną? Zapamiętaj, że jesteś na Wyspach Brytyjskich i tu dopuszcza się śluby homoseksualistów. Ja zapomnę, że to słyszałem. Daję ci czas do przyszłego poniedziałku na wyprowadzenie się.

Wstał, zasunął za sobą krzesło, odwrócił się. Gabrysia nie miała wcale ochoty na jego zatrzymanie. Może to i dobrze, może

tak miało być? - zawsze tak sobie tłumaczyła, kiedy coś się nie układało. Lewą dłonią podparła policzek i tak siedziała samotnie przy stole. Chciała zagłuszyć samą siebie, wpaść w pustkę, ale myśli, jak wzbierająca rzeka na wiosnę, zalewały jej umysł.

Myślenie przerwały odgłosy dobiegające z korytarza. Najpierw dochodziły do jej uszu dziwne szepty, które przeradzały się w głośną rozmowę. Poznała głosy Agnieszki i rudzielca, którego już nazwała pedałem i inaczej o nim nie myślała, choć tak naprawdę niewiele ją obchodziły orientacje seksualne współlokatorów. Była na niego wściekła, nie lubiła go, ponieważ trzymał z Agniechą.

- No i co, stara kurwo? W końcu cię przegoniliśmy - odezwał się prawie damskim głosem pan pedał.

Agnieszka zawtórowała mu gromkim śmiechem. Gabrysia wstała, rzuciła pogardliwe spojrzenie w ich kierunku.

- Tak, udało się wam. Gratulacje.

- Ale idiotka! Sama sobie gratuluje własnej porażki.

W tym samym momencie z torbą zakupów wszedł Grzegorz.

- Panie Grzegorzu, ta stara ma tydzień na przeprowadzkę. Eddy był wściekły, kiedy dowiedział się, że sprowadziła tu policję i oskarżyła nas o przemoc psychiczną. Śmieszna - dodała Agniecha.

Zawsze małomówny, nie wtrącający się do niczego, nie wypowiadający własnego zdania, Grzegorz rzucił nieśmiało:

- Zostawcie kobietę w spokoju.

- Co ty? - krzyknął rudzielec. - Stajesz za nią? Gabrysia była już na górze i potok słów, który wylewał się z ust nikczemników, nie docierał do niej. Rzuciła się na łóżko. W leżącej pozycji zaczęła na swoim telefonie wystukiwać numer do domu w Polsce.

Chciała się wyzalić i wypłakać. Nie usłyszała jednak słów, na które czekała. Rozważała możliwość powrotu do domu. Wszyst-

kiego miała dość: dzielenia mieszkania z młodymi, ciężkiej pracy, przyglądania się cierpieniu i przedłużaniu życia w celach marketingowych, spania na cudzych łóżkach. Chciała zniknąć z powierzchni ziemi, wyparować.

Znowu poczuła się samotna jak na Brynmelin Road. jej płacz zamienił się w szloch, którego nie mogła powstrzymać. Zasnęła.

Znalazła się na ruchliwej ulicy, gdzie poddała się urokowi niezwyklego oświetlenia. Zaczęła spoglądać na ludzkie twarze, które ją mijały. Dzięki jakiemuś osobliwemu skupieniu miała wrażenie, że umie odczytywać ze spojrzeń przechodniów ich myśli i ogarnąć ich całe życie. Kiedy badała istotę tych wrażeń, ujrzała nagle człowieka podobnego do Steve'a, który mignął w drzwiach prowadzących do jubilerskiego sklepu. Gabrysia podążyła za nim. Miała teraz okazję przyjrzenia się jemu. Pod płaszczem, który otulał go niemal całkowicie, ujrzała białą perłę oprawioną w siatkę utkaną z srebrnego metalu lub z samego srebra.

Obcy - bo tak go nazwała - jakby zauważył, że jest obserwowany, naciągnął na głowę kaptur, odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł. Na plecach ciążył mu nieduży plecak. Gabrysia podążyła za nim. Na zewnątrz zaczął padać deszcz i zrobiło się szaro. Zależało jej tylko na tym, by nie stracić tego człowieka z oczu. Biegła wśród tłumu, torując sobie drogę. Omal go nie zgubiła. O każdym przechodniu mogła wiedzieć wszystko, tylko ten starzec podobny z twarzy do Steve'a był zagadką. I jego perła. Staruszek, mimo poważnego wieku, niemal biegł w kierunku zabudowań. Gabrysia cały czas podążała za nim.

Wreszcie nieznajomy zatrzymał się. Zniknął w drzwiach jak duch. Gabrysia podbiegła. Drzwi były otwarte. Na jej oczach staruszek umieszczał perłę w ramie obrazu.

- Wiem, gdzie chowasz swój...

Obudziła się. Na ustach dźwięczały słodko słowa skarb, skarb. Nie chciała otworzyć oczu, dobrze jej było we własnym śnie. Wszystko takie realne. Czuła nawet zapach deszczu i wilgoci w powietrzu.

W końcu otworzyła oczy. W pokoju panował mrok oświetlany uliczną lampą. Po szybie płynęły strugi deszczu. Ach, to tak - uśmiechnęła się sama do siebie. Jakby dobrze było znaleźć taką perłę. Skończyłyby się moje finansowe problemy, mogłabym wyjechać do domu. Rozmyślała, a uśmiech nie gasł z powodu jej nieokiełzanej wyobraźni. Jakże istotne zmiany w charakterze ducha mogą powstać po śnie z perłą?

Przez te trzy godziny od stanu przygnębienia, który to doprowadzał ją do zmiany decyzji życiowych, do stanu przebudzenia zmieniło się tak wiele. Poczwała w sobie nowe, witalne siły. Nie zagłębiała się w istotę tych zjawisk: ważne było, że sen przyniósł ukojenie.

X X X

Zaprosił ją do modnie urządzonej kuchni, posadził za dużym stołem. Gabrysia przyglądała się uważnie temu przystojnemu mężczyźnie, zwróciła uwagę na każdy szczegół jego ubioru: na wypielegnowane dłonie, na eleganckie buty, których wartość starała się określić w funtach. Ten cały elegancki dom pasował do niego. Drgnęła, powracając z marzeń do rzeczywistości. Miała wyjątkowy talent do zanurzania się w otchłani wyobraźni i natychmiastowego wynurzania się na powierzchnię świata realnego.

- Może kawę?

Rozglądała się po luksusowym pomieszczeniu, które było jednocześnie kuchnią i jadalnią.

- Nie musisz teraz podejmować decyzji. Po prostu jutro możesz do mnie zadzwonić i jeśli wyrazisz zgodę, możesz się wprowadzić.

- Już zdecydowałam. Pokój bardzo mi się podoba. To najlepszy pokój, jaki dotychczas miałam. Chciałabym zapłacić i przeprowadzić się jeszcze dzisiaj.

- Nie ma problemu, jeśli podpiszesz umowę, dostaniesz klucze od głównego wejścia, jak również od pokoju. Obok mieszka młody mężczyzna. Jest informatykiem, pracuje tu dla pewnej firmy. Drzwi na wprost korytarza zajmuje również samotny mężczyzna. Obaj panowie nie stwarzają żadnych problemów. Całe dni spędzają poza domem, tutaj tylko nocują. Prawie nie korzystają z kuchni, więc możesz gotować obiady i nikt nie będzie ci przeszkadzał.

W ładnej filiżance parowała kawa. Nawet pachniała inaczej, przynajmniej tak się Gabrysi wydawało. Upiła łyk i sięgnęła dłonią do torebki, wyciągnęła portfel. Wyłożyła dwieście osiemdziesiąt funtów.

- Chcę zapłacić za cały miesiąc. To trochę drogo, dotychczas nie płaciłam tak dużo, ale też nie było takich dobrych warunków jak tutaj. Pachnie nową wykładziną, nowymi meblami, no i to wielkie łóżko w dużym pokoju. Wiem, że za takie warunki trzeba płacić.

Podpisała.

XXX

Tego lata dni były upalne, zbyt upalne jak na walijski klimat. Od dwóch miesięcy Gabrysia robiła sześć dwunastek w tygodniu nie tylko w celach finansowych, ale także dla zabicia czasu. Samotność, jakiej doznawała od kilku miesięcy, przekładała się na wisielczy humor, który nawet zwrócił uwagę kolegów i koleżanek z pracy.

W czerwcu do zespołu dołączyła nowa koleżanka z Polski, Beata. Wysoka, dobrze zbudowana. Jej twarz w kształcie serca okalały puszyste, ciemnoblond, kręcone włosy, które przewię-

zała gumką, by nie przeszkadzały w pracy. Dobrze patrzyło jej z niebieskich oczu. Miała w spojrzeniu ten rodzaj sympatii, który błyszczy w oczach ludzi nadzwyczaj dobrodusznym. Po porannym raporcie, podczas którego Beata przedstawiła się wszystkim, rozpoczął się normalny dzień pracy. Gabrysia dostała nową koleżankę do pomocy. Nie była zadowolona, bowiem wdrożenie jej w rytm pracy wymagało więcej wysiłku.

- jesteś przestraszona? - Ujęła Beatę pod ramię. - Wszystko ci wytłumaczę.

- Dlaczego mówisz po cichu? - zapytała.

- Nie możemy mówić po polsku, nawet na przerwie. Możemy być za to solidnie ukarani.

- O cholera.

- Dopóki nie zaznajomisz się z rodzajem pracy, będziemy razem porządkować pokoje.

- Boję się trochę.

- Czułam się tak samo dwa lata temu, a w dodatku mój angielski nie był na takim poziomie jak twój. No i zobacz, poradziłam sobie. A ty jesteś młoda, znasz dobrze język i chcesz pracować. To wystarczy.

Gabrysia czuła się dumna, że doczekała się zmiany ról.

- Zobacz! Tu zawsze stoją przygotowane wózki. Najpierw zakładamy plastikowe fartuchy. Musisz rygorystycznie przestrzegać wszystkich zasad higieny. Na wózku masz wszystko: od rękawic po ręczniki, pampersy, pościel. Wózki przygotowuje nocna zmiana.

- Dobrze, że dostałam ciebie, Gabrysiu.

- Możesz mówić mi Gabi, bo tu wszyscy skracają imiona. Ja też się cieszę. Nie pamiętam, kiedy rozmawiałam po polsku. Teraz uważaj - idzie Dorothy.

- Gabi, od którego pokoju zaczynamy? - Beata zapytała po angielsku głośno, żeby Dorothy słyszała.

- Sprytna jesteś i pojętna, będzie się nam dobrze pracowało.
- Zaczynamy od Matta. Zobaczysz, jak robi się toaletę leżącemu staruszkowi.

Gabrysia zgarnęła z wózka potrzebne akcesoria, wsunęła pod pachę.

- Zabierz komplet pościeli - zwróciła się do Beaty, obdarzając ją uśmiechem zachęcającym do pracy.

Weszła pierwsza. Zanim Beata zamknęła za sobą drzwi Gabrysia zauważyła jej odruch wymiotny.

- Nie wiem, czy dam radę tu pracować. Niedobrze mi. - Beata zrobiła tak kwaśną minę, jakby wypła szklanek octu.

- Też tak się czułam. Uwierz mi, do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Gabrysia podeszła do łóżka, na którym leżały ruchliwe kości.

- Boże! Co to jest? - wyrwało się Beacie.

- Człowiek, którego trzeba umyć, ubrać i zmienić mu pościel.

Dobrze wiedziała, jaki szok dla Beaty stanowi spotkanie ze starością. Emocje Beaty nie były dla niej przeszkodą w podejmowaniu kolejnych czynności. Gabrysi zależało tylko na tym, by Beata jak najszybciej pojęła istotę rzeczy. Staruszek leżał bezwładnie na brudnej pościeli, która wydawała się zmęczona jak jej właściciel. Gabrysia, mimo nieprzyjemnego zapachu, nachyliła się nad twarzą staruszka, by pocałować go w czoło. Pachniał wilgotnym życiem.

- Hej, Mart! Słyszysz mnie, kochanie? - niemal krzyczała mu do ucha.

- Matt jest w tej chwili najstarszym mieszkańcem tego Domu, ma dziewięćdziesiąt siedem lat. jest bardzo chory, ale rozumie, co do niego się mówi - informując koleżankę, zdejmowała mu odzienie, powoli, powoli, jakby przed sobą miała kruchego niemowlaka. - Proszę, naszykuj mi miskę z ciepłą wodą i mydłem - zwróciła się do Beaty.

- O Boże! - Beata, stojąc wciąż za plecami Gabrysi, jęczała, jakby to, co ukazało się jej oczom, nie było realne. Obserwowała,

jak odpadały pojedyncze płatki skóry Matta, a rany wydawały *zapach*, który przyciągał śmierć.

- Zobacz jego buzię. - Gabrysia odwróciła się do nowej koleżanki w chwili, kiedy Matt był już umyty i przebrany. - Zobacz, Beata, ten uśmiech jest dla mnie jak perła, jest wszystkim.

Beata stała w zadumie, nie odzywając się słowem. Gabrysi przypomniały się wówczas emocje pierwszego dnia. Klepnęła w ramię koleżankę i szepnęła:

- Będzie dobrze. To jeden z najgorszych przypadków, dlatego zaczęłam od tego pokoju. Nie patrz tak na niego, śmierci nie dosięgniesz - dokończyła też szeptem.

Podeszła do okna, odsłoniła na chwilę ciężkie zasłony i wpuściłaienne światło, które od razu rozlało się po pokoju i napełniło nieznaną słodyczą. Zasłoniła okno z powrotem, ponieważ Matt nie lubił dziennego światła. Pozbierała z podłogi brudną pościel, wręczyła Beacie, zdjęła rękawice, rzuciła do woreczka z brudami. Wyszły. Już na korytarzu Beata stwierdziła:

- Po tym, co widziałam, przestanę wierzyć w Boga.

- Nie mów tak. Ja też go cały czas szukam. To kwestia wiary, a wiara nie jest czymś gotowym, nie jest rzodkiewką rosnącą na rabatce, którą można zerwać i schrupać. Jeśli będziesz chciała tej prawdy szukać, to właśnie znajdziesz ją tutaj, jeśli zaś zażądasz prawdy gotowej, to rozbijesz sobie głowę o mur.

Gabrysi szkoda było tej zagubionej istoty. Sama nie była twardą i odporną, nie jeden raz wyklócała się z Bogiem, targowała się, jakby życie to był supermarket, gdzie wszystko ma swoją cenę. Wiedziała jedno: na tym świecie pewna jest tylko śmierć, ale za tę śmierć czuła do Boga żal.

Tego ranka jeszcze przed śniadaniem zrobili trzy toalety. Gabrysia w twarzy Beaty wyczytała coraz większe zniechęcenie.

- Nie miałam zielonego pojęcia o starości i czekaniu na śmierć. Moja babcia zmarła nagle na zawał, a to była jedyna

bliska mi osoba, która odeszła - Beata mówiła głośno, kiedy drzwi windy zamknęły się za nimi.

- Dam ci pewną radę - poważnie pouczała ją Gabi. - Kiedy wchodzić będziesz na oddział, ciebie tam nie ma, jest tylko twój cel. Twój los nikogo tu nie obchodzi, istnieją tylko ci starszycy i musisz im pomoc odejść na drugą stronę. Swoje życie będziesz musiała podzielić na pół. Jeśli tego nie zrobisz, szukaj sobie nowej pracy.

Gabrysia dobrze wiedziała, co mówi. Jej dobitne słowa miały pomóc koleżance, aby nabrała dystansu do starości i by mogła rzetelnie wykonywać swoją pracę. W jadalni usiadły razem. Gabrysia pokazała, gdzie są naczynia, tostery, mikrofalówka, nawet otworzyła lodówkę, w której może przechować jedzenie. Po chwili na przerwę przyszła Sylwia. Gabrysia przedstawiła nową koleżankę. Powoli, z czystej ciekawości, zaczęły podchodzić opiekunki z innych oddziałów chętne poznać nową Polkę. Cały ten rwetes ośmielił nieco Beatę. Kiedy usiadły do konsumpcji, rozpromieniona odezwała się:

- Jeśli te wszystkie młode dziewczyny mogą tu pracować, to i ja będę mogła.

- Pewnie, że możesz. Piekło to też miejsce. - Gabrysia nawet nie zastanowiła się nad tymi słowami.

Przez następne dwa tygodnie Beata pracowała z Gabrysią. Była bardzo pojętna, wręcz bystra, i zorganizowana bardziej niż jej nauczycielka. Zbierała same pochwały. Już po tygodniu mogła radzić sobie sama. Któregoś dnia, zmęczone podczas pracy, przysiadły w pokoiku Ediego, każda na wygodnym fotelu, oparły bolące ramiona i wyciągnęły nogi na podnóżkach. Gabrysia przetarła chusteczką spocony kark, spojrzała na uśmiechniętego podopiecznego.

- Jestem już tak zmęczona, że powinnam iść do domu, a dopiero rozpoczynam drugą zmianę - powiedziała Gabi.

- Podziwiam cię, że w twoim wieku tak zapieprzasz. Skąd bierzesz siły? Jesteś taką fajną kobietą. Czy nie możesz znaleźć sobie czegoś innego? - W tonie głosu Beaty była autentyczna troska.

- Nie mam wyboru. Na nic mi moja wolna wola. Jestem w jakimś stopniu ubezwłasnowolniona, bo mój angielski nie jest na odpowiednim poziomie. Żeby zmienić pracę, musiałabym ukończyć specjalistyczny, przynajmniej roczny kurs w jakiejś dziedzinie, która mnie interesuje. Nasze polskie wykształcenie tu się nie liczy, chyba żebyś była lekarzem.

- Co ty opowiadasz? - Beata aż się podniosła. - To znaczy, że nie mam szans na awans lub zmianę pracy?

- Absolutnie nie - Gabi wypowiedziała te słowa tak dobitnie, że Beatę aż zmroziło.

- Odebrałaś mi marzenia.

- Nie, nie odebrałam ci niczego, tylko cię uświadomiłam, że to dziwny kraj - odparła, chowając ręce za siebie.

- W takim razie nie będę tu dłużej niż rok. Ochłonę po rozstaniu z moim chłopakiem i zaoszczędzę trochę kasy na własne mieszkanie.

- Wszyscy tak mówią, a tylko niewielu udaje się zrealizować plany. Grzęzną tu na długie lata i udają szczęśliwych. Po kryjomu płaczą w poduszki za bliskimi w Polsce, łączą się w pary i ci wolni, i te zamężne. Tak wygląda życie na Wyspach.

- A ty jesteś sama? - Spojrzenie Beaty było przenikliwe. Zapadło chwilowe milczenie. Gabrysia odruchowo zakryła dłońią usta, jakby zabolął ją ząb.

- Jestem sama, ale myślę o pewnej zmianie, jednak nic na siłę. Uważam, że co ma być, to będzie, przy niewielkiej pomocy człowieka. Ale widzę, Beatko, że się bardzo starasz i podrywasz

Gregory ego. Zresztą też wpadłaś mu w oko. Nieraz zauważyłam jak do siebie mrugacie. Powiem ci wprost: uważam cię za mądrą dziewczynę, niebrzydką, wykształconą, a ty lecisz na takiego półgłówka? Przecież on nie ma żadnego fachu, żadnej szkoły. Myślę, że jego język też jest ubogi. Owszem, przyznaję, jest dobrze zbudowany, ryjek też ma fajny, ale dla mnie to głupek. A poza tym on ma dziewczynę.

- Właśnie z nią zerwał. Tak mi powiedział.

- Ona ci nie daruje i będzie o niego walczyć, bo mają dziecko. Teraz ty stanęłaś jej na drodze. Cały Dom huczy od plotek i co niektórzy chcą ci wpierdolić. Przepraszam za wyrażenie, ale z kim się zadajesz, takim się stajesz. Ktoś zauważył, jak się całowaliście. - Gabrysia zacisnęła szczęki, wciągając powietrze do płuc, jakby zaciągała się papierosem, żeby po chwili wypowiedzieć własne zdanie: - Mnie to nic nie obchodzi. Twoja dupa, twoja chałupa. Zrobisz, jak uważasz, ale chcę ci poradzić: zostaw tego chłopaka. On nie jest dla ciebie.

Beata milczała. W pokoju zrobiło się cicho. Gdyby nie ich miarowe oddechy, byłoby jak w grobie. Pokój tonął w półmroku, bowiem na życzenie Eddyego nie rozsuwano zasłon i nie zapalano światła.

Tak jak Gabrysia przewidziała, w Domu wybuchł oficjalny skandal. O niczym się nie mówiło, tylko o romansie Gregoryego z Beatą. Na przerwach Polacy musieli wysłuchiwać cierpkich słów o kurestwie Beaty. Sami nie lepsi, uwikłani w zdrady, ostro krytykowali innych.

Wczoraj Gabrysia dowiedziała się, że Gregory zamieszkał u Beaty. Dopiero teraz skojarzyła fakty. Szarpanina, której była świadkiem za drzwiami kuchennymi, okazała się kłótnią partnerów, a nie próbą tłumaczenia, że nie są dla siebie przeznaczeni

- jak to Beata wyjaśniła Gabrysi. Świadoma kłamstw Gabi straciła zaufanie do koleżanki.

Pewnego razu Gabi zauważyła Beatę zmierzającą w kierunku windy, najprawdopodobniej na przerwę. Podbiegła do niej, położyła rękę na jej ramieniu.

- O Boże! - Beata obejrzała się, drgnęła lekko. - Przestraszyłaś mnie. Co chcesz ode mnie?

- Chciałabym z tobą porozmawiać - poprosiła grzecznie.

- Nie wtrącaj się do moich intymnych spraw, proszę.

- Nie o to chodzi. Mam problemy i myślę, że mogłabyś mi pomóc.

- A to co innego. - Obie uśmiechnęły się do siebie w porozumieniu.

- Zamień się z kimś na przerwę, na przykład z Desri. Spróbuj, właśnie się szykuje.

Gabrysia podbiegła do szafy, z której właśnie wyciągała torbę jej filipińska koleżanka. Lubily z sobą pracować. Rozmawiały dużo o Bogu, a w chwilach zwątpienia były sobie podporą. Niczym nie zmaczona wiara Desri zawsze dodawała Gabi otuchy i nowych sił. Jakby czerpała z jej zapasów.

- Desri - poprosiła. - Zamień się ze mną na przerwę, chciałam porozmawiać z Beatą.

- *No probierni*

Gabrysia aż cmoknęła koleżankę i w podskokach biegła do windy.

Beata czekała.

- Dzięki, że czekałaś na mnie - słowa wypowiedziały się jej po polsku ze zwykłej, czystej radości. Nie zauważyła, że tuż obok przechodziła Judy.

- Znowuż gadacie po polsku? Chcecie na dywanik? - Była niemila, chociaż uśmiechała się tym zdradliwym, walijskim uśmiechem.

Kobiety zdążyły wsiąść do windy, chichocząc głośno.

- No to mamy dywanik! - Gabi powiedziała takim tonem, jakby sprawa była podpisana i nieodwołalna, chichocząc przy tym jeszcze bardziej.

- Co ty, głupia, boisz się? Przestań! Na żaden dywanik nie pójdziesz. To ja mogłabym się bać, bo jestem na próbnym i przeze mnie wybuchła w tym Domu afera seksualna.

W tym czasie otworzyły się drzwi windy i dziewczyny niemal wyskoczyły, podążając do jadalni. Sala była pełna. Przy oknie zwalniał się akurat stolik, który opróżniali Filipińczycy. Dziewczyny rozsiadły się wygodnie i zaczęły rozpakowywać swoje śniadania. W pewnej chwili Beata wstała, wzięła oba kubki i podeszła do głównego stołu nalać herbatę. Gabrysia zauważyła, jak kilku Anglików świdruje wzrokiem postać Beaty. Nie zastanawiając się wiele, położyła paczkę marlboro na stole, wyciągnęła jednego papierosa i zapaliła. W jadalni i tak było biało od dymu papierosowego. Wróciła Beata z kubkami.

- Gabi, ty palisz? - odezwała się Maria z najgorszego oddziału w Domu, która zajmowała stolik obok.

- A co cię to, kurwa, obchodzi? - syknęła jadem Beata, nie wiedząc, że Gabrysię i Marię łączyły dobre koleżeńskie układy.

- Przestań, Beato! Maria jest fajną kobie... - Nie zdążyła dokończyć, kiedy od jednego ze stołów wstał wielki jak dąb kucharz o imieniu Henry. Na sali zapanowała cisza. Fruwały tylko polskie słowa wypowiedane basem.

- Kurwa! kurwa! kurwa!

Gabrysia ze strachu aż się skuliła i bezwarunkowym odruchem przygasiała papierosa. Łysy wielkolud podążał do stolika polskich kobiet, trzymając ręce głęboko w kieszeniach białych spodni. Te wypowiedziane tak nieoczekiwanie brutalne słowa złamały ciszę. Po chwili cisza stała się jeszcze bardziej intensywna i nienaturalna. Gabrysia nie widziała nic, tylko to wielkie walco-

wate cielsko, które napierało na stolik. W tej ciszy niezmaconej nawet brzęczeniem muchy usłyszała klaps, dźwięk, jaki wydaje dłoń uderzając z siłą w pulchne policzek.

Uniosła wówczas oczy do góry i jakby zbudzona z letargu ujrzała czerwoną, nalaną twarz kucharza, trzymającego obie ręce Beaty w swoich wielkich dłoniach.

- Ty polska suko!

- Ty walijski kutasie! Puść moje ręce!

- Prędeż ci je połamię. Zostaw go, to chłopak Lizy. Nie będziesz tu nic mieszała. Spierdalaj do swojego kraju - krzyczał na cały głos.

- Wiesz co, kutasie? Widać, że Polki są piękne i mają powodzenie na całym świecie, a wasze kobiety nadają się do odchudzania.

Cały czas stali w miejscu, patrząc sobie w oczy. Wyglądali jak para wilków walcząca o terytorium.

- Zostaw mnie! - zaczęła szarpać, próbując uwolnić swoje dłonie.

W tej chwili w drzwiach jadalni ukazała się Agnes, która gromkim tonem, jakiego Gabryśia jeszcze nie słyszała, zawołała:

- Beata i Henry do mojego biura! Natychmiast!

Henry puścił dłonie Beaty i skierowali się w kierunku drzwi. Kiedy znikli z pola widzenia, szmer w kilku językach ogarnął jadalnię.

Gabryśia dopiła jednym haustem herbatę, zwinęła niezjedzony chleb, wstała z impetem, głośno szurając krzesłem, jakby chciała dać wszystkim do zrozumienia: patrzcie, wychodzę i nie chcę mieć z nikim do czynienia. Idąc długim korytarzem, natknęła się na Sylwię, która akurat wybierała się na przerwę.

- Powiedz, co się dzieje? - zapytała.

- Beata z kucharzem na dywaniku. Niemal doszło do bicia. Oczywiście Angole bronią Lizy i jej partnera, którego poderwała Beata.

Sylwia miała inną nowinę:

- Przyjechał z powrotem Marek i ma jakiś problem. Właśnie Agnes przyjęła go ponownie do pracy. Chce z tobą porozmawiać. Będzie czekał na ciebie o czternastej.

- Dzięki za informację. Idź na śniadanie. Jeszcze pogadamy, zadzwonię do ciebie. Też mam krótką zmianę, może pójdziemy gdzieś na kawę? - mówiła jednym tchem.

- OK - usłyszała od odchodzącej Sylwii.

Dopiero teraz prawda o dyskryminacji obcych uderzyła ją jak piorun. Zawładnęły jej myślami poczucie winy i świadomość, że nie należy do społeczności, która broni swoich praw. Jakiś nieopisany strach krępował jej ciało, ale ból w klatce piersiowej przywołał jej myśli do porządku. Boże! Tylko nie teraz - skurczyła się z bólu.

Drzwi windy otwierały się powoli. Tuż za nimi czekało już kilka osób. Gabrysia uśmiechem zaznaczyła swój powrót, a wesoła gromadka opiekunek znikła za zamykającymi się drzwiami windy. Stała sama na korytarzu, przez który żołnierskim krokiem maszerował Peter, jak zwykle w opuszczonych spodniach Tym razem nie miała ochoty podchodzić do niego. Ból w mostku nasilał się. Oparła się o ścianę. Do jej świadomości dochodził tylko gwar z korytarza. Ból nie ustępował.

Doszła powoli do szyby, która dzieliła ją od pokoju dziennego, za którą krzątały się opiekunki wydające południową herbatkę. Były to Rebeka, jedna z najpiękniejszych młodych Walijek, i Judy. Rebeka wybiegła na korytarz.

- Co się dzieje? - Była zaskoczona.

Gabi otworzyła szeroko usta i prawą ręką zaczęła stukać się w piersi. Ból nie pozwalał nabrać powietrza, dusiła się. Piękna Walijka przyniosła krzesło, posadziła ją i podała szklanek wody.

Gabrysia chciała krzyknąć, ale ból, który od jakiś pięciu minut utrzymywał się w jej piersiach, nie pozwalał na wydobyć

dźwięku. Idiotko, ja nie wody potrzebuję tylko fachowej pomocy - myślała. Niestety koleżanka zostawiła ją samą.

Boże! Tylko nie teraz, jeszcze wszystkiego nie skończyłam. Nie napisałam swojej książki i chcę jeszcze zatańczyć na prawdziwym balu w sylwestrową noc.

Ból zaczął powoli ustępować, a ona dziękowała Bogu za wysłuchanie. Zaczęła się uśmiechać sama do siebie.

Wychodząc główną bramą, już z daleka ujrzała Marka, machającego wesoło rękoma jak pies ogonem. Jak zwykle na jego plecach wisiał duży plecak, z którym nigdy się nie rozstawał. Gabrysia podeszła bliżej i prawą dłonią objęła chłopaka, przytulając się do niego.

- Pachniesz cały czas tak samo - powiedział.

- Gównami? - zapytała.

- Przestań! Wiesz, co mam na myśli. A poza tym od kiedy używasz niecenzuralnych słów?

- Życie też bywa niecenzuralne.

Na dworze było ciepło. Typowa walijska jesień, jakieś piętnaście stopni. Plac rozbrzmiewał dźwiękami zapalanych silników samochodów. Pierwsza zmiana odjeżdżała do domu. W nozdrzach wierciły kuszące zapachy dochodzące z kuchni. Dopiero teraz poczuła się głodna, przecież nie jadła śniadania. W czasie półgodzinnej drogi do domu dowiedziała się o Marka problemach z noclegiem. Prosił o pomoc, dopóki czegoś nie znajdzie.

- Tylko kilka nocy, a potem sobie poradzę. Mam kasę, tobie też. Zapłacę, jeśli mnie przenocujesz.

Dróżka była bardzo wąska, a pod nogami grząska ziemia po ulewnej nocy. Co chwilę wpadała w jakąś dziurę. Marek miał okazję ją podtrzymywać. Rozciągające się bagna obok ich stóp

napawały nieco strachem. Gabrysia nie lubiła tędy chodzić, choć była to droga o połowę krótsza.

- Gdybyśmy się tutaj utopili, żaden pies by nas nie znalazł. Tędy chodzą tylko sami wariaci.

- jak ja - odpowiedział, uśmiechając się szeroko i ukazując szereg białych, choć nieco krzywych zębów.

Opowiadała mu o pracy, o zmianach, jakie zaszły przez te kilka miesięcy, o pensjonariuszach, którzy odeszli. Dotarli już do pierwszych zabudowań zostawiając za sobą drogę na bagnach.

- Naprawdę nie wiem, co z tobą zrobić. Przecież mam tylko jedno łóżko.

- Cudownie. - Uśmiechnął się filuternie tym uśmiechem beztroskiego smarkacza, wiecznego studenta, tułacza, który jak sam opowiadał, całe studia przemieszczał na waleta u różnych dziewcząt w akademikach.

- Słuchaj, Marek. Czas dorosnąć i nie prosić nikogo o pomoc.

- Mówisz jak moja matka. Tylko kilka dni. Kupię sobie materac i jakoś to będzie.

- Na razie nie odpowiem ci nic, ale zapraszam na pomidorową z ryżem.

- Jesteś cudowna.

- Nie podlizuj się.

- Miałem zamiar zaprosić cię na *fish and chips*, ale skoro masz gorącą zupę, wolę ją niż *chips*.

Jeszcze tego samego dnia oboje kupowali materac, a Gabrysia za zgodę przenocowania Marka dostała bukiet świeżych kwiatów.

Po trzech dniach w Domu Opieki wybuchła nowa afera. Polacy bez przerwy dostarczali nowinek i pożywki do świeżych plotek. Niektórzy już zrobili z nich parę, nie znając prawdy.

W oczach Gabrysi pracująca społeczność, oprócz plotek, telewizji, uprawiania seksu i czasami tańców, nie korzystała z innej formy rozrywki. Tłumaczyła sobie, że akurat znalazła się w takim prymitywnym towarzystwie. Teraz mogła sobie uświadomić wartość własnej nacji: wśród Polaków są dżentelmeni, których brakuje na Wyspach Brytyjskich.

Marek ponownie został przydzielony na oddział psychiatryczny. Przebywała tam największa ilość osób z demencją, chorobą Alzheimera, osoby po wylewach. Prawie same najcięższe przypadki. Gabrysia z jednej strony cieszyła się, że będzie pracowała z Markiem, z drugiej zaś na jej sumieniu ciążyła jego wulgarność i totalny brak szacunku do osób starych i chorych. Sądziła, że pracując razem, być może będzie miała wpływ na jego zachowanie i poglądy.

Tego dnia wychodzili do pracy razem i oboje mieli „długi dzień”. Podczas porannego raportu przydzielono im też ten sam korytarz. Zaraz po raporcie przyłączyła się Beata szepcząc na ucho po polsku.

- Załatw sobie pierwszą przerwę. Chciałaś ze mną kilka dni temu porozmawiać.

- Tak. Szukam nowego lokum, bo tu, gdzie mieszkam, jest cholernie drogo i chciałabym zostawić Marka.

Beata nachyliła twarz, aż jej całe ciało wykręciło się w bok. Jej uśmiech zawierał odrobinę żalu, kpiny, szyderstwa i jadu.

- Odwal się. - Gabi pchnęła Beatę pięścią w brzuch. - O, *sorry, sorry!* Spotykamy się na przerwie - dopowiedziała już po angielsku.

Gdy odeszła, Gabrysię dogonił Marek.

- Od kogo zaczynamy? Mamy do kąpania wredną Anitę.

- Chyba zrobimy to teraz, bo to ciężki przypadek, a potem się rozdzielimy i popracujemy osobno. Naszykuję wszystkie akcesoria i kąpiel, a ty przygotuj ją psychicznie. Ona ciebie lubi - Gabi zwróciła się ciepło do kolegi.

Po kilku minutach Anita na podnośniku wjeżdżała do łazienki. Oczywiście nie obeszło się bez krzyków, pisków i wyzywania Polaków. Marek zatrzasnął drzwi i przekręcił zamek.

- Ty stara suko bez nogi! Będiesz mnie wyzywać za to, że ci pomagam żyć! Ja cię, kurwo, mogę utopić - słowa leciały po polsku.

Gabrysia znieruchomiała.

- Marek! - odezwała się, patrząc mu prosto w oczy. - Przecież to stara i chora osoba.

- Ale wie, co mówi. Umysł ma sprawny.

Był wściekły, drgała mu grdyka i jego długi nos jakby w tej złości się jeszcze wydłużył.

- Przestań! Rozbieraj ją! Nie mamy czasu na sentymenty. Anita cały czas się darła. Jak większość pensjonariuszy nie znosiła kąpieli.

- Najpierw przeniesiemy ją na kąpielowe krzesło, a potem rozbierzemy - zakomenderowała.

- Tak jest - odpowiedział żołnierskim gestem.

Siedząca głęboko w plastikowym foteliku, zawieszona wysoko nad wanną, Anita nieco się uspokoiła. Trochę przestraszona, trochę zdziwiona głupimi minami Marka, oczekiwała na wjazd do wody.

- Gabi, nie spuszcza jej jeszcze. Jest cała brudna. Gabrysia spojrzała ostrym, zdziwionym wzrokiem.

- To ją umyjemy. Jaki problem?

Trzymał w rękach prysznic. Nachylił się nad tyłkiem Anity i mocnym strumieniem przejechał po ciele, aż nieczystości zaczęły bryzgać na wszystkie strony.

- Myjnia samochodowa! Zupełnie jak myjnia samochodowa - powtórzył z szyderczym uśmiechem.

Gabrysia miała nieczystości na twarzy. Przeszła na drugą stronę wanny, gdzie stał Marek i wyrwała mu prysznic z rąk.

Przystawiła sobie do buzi, splukała się dokładnie. Następnie z całym impetem skierowała strumień na niego. Nie żałowała wody. Zrobił się cały mokry.

Anita, wciąż wysoko zawieszona na krześle, ciągle wrzeszczała i machała rękoma.

- Cholera jasna! Spuszczaj ją do wanny! - teraz Gabi krzyczała.

Marek otrzepał się jak pies i zaczął kręcić korbą. Staruszka uspokoiła się, a Gabrysia zabrała się do mycia jej ciała. Robiła to tak delikatnie, jak umiała.

- Ale ty się pieścisz! - Marek stał ze skrzyżowanymi rękoma i przyglądał się. Wyglądał jak zmoknięty kurczak. Resztki wody kapały jeszcze z jego czoła, ale był całkiem wesoły.

- Dobra! Myj ją, a ja pobiegnę do szatni. Przecież muszę się przebrać, daj mi dziesięć minut.

- jak wrócisz, to pogadamy. - Gabi podniosła na niego wściekły wzrok.

- Chcesz prostować moją osobowość, czy zakapować, jak Walijki?

Zobaczyła tylko znikającą głowę chłopaka z wysuniętym językiem.

- Mam to wszystko w dupie - powiedział i znikł za drzwiami. Odwróciła się z powrotem do Anity, narzucając duży ręcznik na jej plecy.

- Przepraszam cię za Marka. Przecież to wariat. Zaczęła delikatnie wycierać jej ciało.

- Ale sympatyczny - odpowiedziała Anita swoim okaleczonym głosem, przypominającym skrzeczenie alk.

Gabrysia nie dowierzała słowom tej staruszki. Wyprostowała kark i zamyśliła się głęboko: czyżby to wszystko działało na zasadzie przeciwności płci?

- Anito, powiedz, dlaczego mnie nie lubisz?

Staruszka spojrzała mądrymi oczyma, trzymając wysoko uniesioną głowę.

- Bo nie jesteś oryginalna.

- Co to znaczy?

- Nie jesteś sobą, przybierasz inną skórę, starasz się być lepsza niż jesteś. A ten młodzieniec, choć nie anioł, przynajmniej jest sobą - jękając się, przebrnęła z trudnością przez te wszystkie zdania.

- jestem przebrana za samą siebie. Bez makijażu, w białym, roboczym kitlu i ochronnym fartuchu. Nie mam peruki ani sztucznych paznokci.

- Tylko faarboowaanee włosy - Anita jąkała się coraz bardziej.

- Myślę, że Bóg da mi nagrodę za pracę, jaką wykonuję.

- O...! Taaak. Sama kiedyś pogasisz gwiazdy, tylko najpierw musisz przejść przez takie piekło jak ja.

- To zabrzmiało jak wyrocznia, nie strasz mnie.

- Jak to wszystko przejdiesz i doczekasz starości, też będziesz taka złośliwa, bo na niczym nie będzie ci zależało. Dopiero będziesz sobą, taką, jaką chciałybyś być od zawsze. Ale te twoje hamulce! Zapamiętaj, że w każdym człowieku tkwi więcej złości niż dobroci.

Gabrysia nie chciała się tłumaczyć. Nie zależało jej wcale na przekonywaniu staruszki. Powiedziała tylko: to moje PRZEZNACZENIE.

- Kończymy wycieranie i podnoszę cię do góry - zadysponowała.

Gabi powoli zakładała koszulkę na wilgotne, choć dobrze wytarte ciało. Zapanowało milczenie. Słysząc tylko było szum wody uciekającej z wanny. Patrzyła na stare ciało, od którego odpadały płatki skóry jak rybie łuski, aż wydawało się, że prześwieca przez nią światło. Anita była przeraźliwie chuda, zdawało się,

że pękały szwy jej ciała. Ale jej oczy ciągle były żywe. Gabrysia takie oczy pamiętała ze swoich snów.

Patrzyła Anicie prosto w oczy i myślała: „Starzeję się razem z nią, a nie staję się przez to mądrzejsza”. W tym momencie otworzyły się drzwi i wszedł wesolutki, beztroski, już przebrany Marek.

- Widzę, że sobie poradziłaś! - I do Anity: - No to jazda! Przeprowadzka na podnośnik i do pokoju!

Kiedy razem pchali ciężki wózek, na którym bezpiecznie jechała Anita, Marek odezwał się tym swoim filuternym tonem:

- Podziwiam ciebie, tę twoją cierpliwość, dokładność. Wydaje mi się, że kochasz to, co robisz, bo swoją pracę wykonujesz z tak wielkim poświęceniem i oddaniem.

- Wiem, co chcesz o mnie powiedzieć, ale przecież ty jesteś tu dla kasy. Nic poza tym.

- Chciałbym być taki jak ty, ale nie potrafię. Popracuję jeszcze rok, może dwa i ściągnę moją Agnieszkę. Mamy plany, na które potrzebne są pieniądze.

- Przytrzymuj Anitę delikatnie, bo ja już ją opuszczam w dół. - Gabrysia zdawała się nie słuchać kolegi, a raczej skupiać na swojej pracy.

Kiedy staruszka siedziała wygodnie na fotelu przygotowana do śniadania, Gabrysia po raz pierwszy usłyszała ciche „Dziękuję”. To krótkie słowo zapadło głęboko w jej sercu, jakby chciało się schować i zostać tu na zawsze. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wybawił ją Marek.

- O! Anita! - Przykucnął przy staruszce. - Przecież nie zносиłaś do tej pory Gabryśki, a to bardzo wartościowa osoba.

- Dlatego jej podziękowałam. Powiedziała mi o swoim przeznaczeniu.

Marek wstał, wyprostował się i dłonie przeniósł na plecy. Spojrzał poważnie, bez krzty ironii, na Gabrysię, potem znowu na Anitę.

- Przeznaczenie?

- Tak! Tak powiedziała.

Jeszcze raz spojrział na Gabi, która poprawiała pościel. Podszedł do niej, objął ją jedną ręką w pasie, jakby chciał ją wyprostować, a drugą położył na ramieniu.

- Opowiesz mi o swoim przeznaczeniu? - zapytał. W jego głosie nie było ironii.

- Jeśli będziesz chciał słuchać. - Odwróciła się. Ich twarze się spotkały, a on ciągle trzymał rękę na jej ramieniu.

- Chcę być twoim uczniem. Jestem młody i bardzo nieszczęśliwy, a przy tobie czuję się dobrze. Do cholery, co w tobie jest takiego, że przyciągasz jak magnes. Nie, nie myślę o twojej kobiecości, ale o duchu. Chciałbym spróbować zrozumieć twoją filozofię.

- No to musimy o tym rozmawiać, ale trzymaj język na smyczy, bo boli mnie twoje słownictwo - stwierdziła Gabrysia.

- Zaintrygowało mnie samo słowo PRZEZNACZENIE. Obiecuję, że w twojej obecności już nie zaklnę.

- Tylko w mojej? - Uśmiech zdradzał jej satysfakcję.

Zaraz po śniadaniu i karmieniu pensjonariuszy, zrobili sobie dalszy rozkład pracy. Umówili się, że razem pójdą do Steve'a. Gabrysia nie chciała być z nim dzisiaj sama po kolejnym upiornym śnie, który znów przyszedł do niej jak nieproszony gość. W czasie karmienia, kiedy jest czas na refleksję, obrazy ze snu przesuwały się jak w kamerze. Znowu miasto, tym razem deszcz bijący w dach, mokry deptak i ona sama, zagubiona. Z oddali przyglądał się jej człowiek w kapturze. Ten sam co w poprzednich snach, podobny do Steve'a. Wskazywał jakieś miejsce, jakby chciał, żeby podążała za nim. Był typem wędrowca, na jego plecach wisiał worek. Choć padało, niebo było błękitne i przezroczyste.

Co chwilę oglądał się i wzrokiem zapraszał, chciał ją gdzieś zaprowadzić. Gabrysia próbowała przypomnieć sobie wszystkie emocje towarzyszące tym obrazom i niewysłowioną chęć podążania za owym wędrowcem-samotnikiem. Pełna lęku, ale też obaw, wędrowała za nim w pewnej odległości. Zaprowadził ją pod ten sam dom, w którym za ukrytym obrazem chowa perłę. Te same obrazy, te same emocje, nawet deszcz ten sam. Przez chwilę zamyślona, skoncentrowana na własnym śnie, nie zauważyła, że łyżka zjedzeniem ląduje na policzku Seama, którego karmiła. Na to jakby czekała Judy, która siedziała tuż obok.

Wstała prędko. Gabrysia pomyślała: „Na pewno poszła na skargę do Dantona”. Oczywiście nie pomyliła się. Na salę wszedł Danton z pielęgniarką z drugiego oddziału.

- Gabi, co się dzieje? Judy twierdzi, że śpisz, a wiesz, że tu nie możemy być zmęczeni. - Jednocześnie mrugnął delikatnie lewym okiem.

Tylko Gabrysia mogła ten gest zauważyć.

* **

- Wejdę pierwsza i porozmawiam ze Steveem, żeby się ciebie nie przestraszył - zadysponowała Gabrysia. - Myślę, że dla mnie zrobi wszystko.

- A kim ty jesteś, że masz taką moc? - Marek omal nie wybuchnął śmiechem.

- Obiecałeś, że nie będziesz kpić.

Marek szybko dłonią zakrył usta i na siłę spróbował być poważny.

-To jest mój stryj - powiedziała Gabrysia. - Dokumenty zostały sprawdzone. Wiemy o tym oboje, ale nie ujawniamy tego. Już od dłuższego czasu jest jak baranek. Przynajmniej dla mnie, bo innym pokazuje rogi.

Marek stał jak zamurowany.

- Teraz zaczynam rozumieć twoją postawę, filozofię, religijność, wiarę i słowo PRZEZNACZENIE, o którym mówiła Anita.

Podniósł prawą otwartą dłoń jako znak poddania się i dalej stał nieruchomo. Gabrysia znikła za drzwiami, by po chwili uchylić je ponownie i gestem ręki zaprosić do środka. Wszedł niepewnie.

- *Good morning*. - Skłonił się nisko, podszedł do siedzącego w fotelu staruszka i podał mu rękę na przywitanie.

Gabrysia zauważyła, że Steve mocno ścisnął dłoń Marka i przytrzymał dłuższą chwilę.

- Dzień dobry - odpowiedział po polsku.

To dobry znak - pomyślała. Tego ranka był niezmiernie rozmowny, wypytywał o Polskę, nawet pogoda była dla niego ważna. Marek w kilkunastu zdaniach musiał opisać swoje kilkumiesięczne wakacje w kraju.

- Mów trochę wolniej, może cię nie rozumieć - przestrzegła Gabi.

- Zrozumiem, zrozumiem - powiedział z powagą Steve.

Z przejścia obaj mieli zaróżowione twarze. Gabrysia przyglądała się tym dwóm mężczyznom, którzy dwa lata temu chcieli się nawzajem oskalpować.

- Nie mamy czasu, inni mieszkańcy czekają - przerwała Gabi. - Zabieramy się za toaletę.

- Gabrysiu, zrobię to sam. Mam dosyć siły. Idźcie do następnych pokoi - głos Steve'a się łamał, bo on szukał polskich słów.

- Pościelę ci łóżko.

Nie pytając o zgodę, Marek zabrał się do pracy. Gabi, nieco zdezorientowana, podeszła do szafy, wyciągnęła świeżą bieliznę i odzież, przewiesiła na poręczu fotela.

- Gdybyś czegoś potrzebował, proszę dzwoń - zwróciła się do staruszka.

Gdy tylko zamknęli za sobą drzwi, Marek przeklął siarczyście.

- Cholera! Nigdy bym nie przypuszczał, że będę z tym dziadkiem tak rozmawiał. Życzyłem mu kiedyś rychłej śmierci.

- A widzisz? Dzień do dnia niepodobny.

- Nie przypuszczałem, że jest w tak dobrej kondycji fizycznej i psychicznej. Takiego go nie znałem. Uważałem go za totalnego psychola, a to całkiem sympatyczny staruszek.

- jak będziesz traktował tych starych ludzi z serdecznością, tą samą miarą będą traktować ciebie. Trochę miłości, trochę serdeczności i cierpliwości. - Gabi uśmiechnęła się do Marka dobrotliwie, nie zdając sobie sprawy, że oto wskazuje temu młodemu człowiekowi nową drogę.

Po dwudziestej, kiedy wychodziła główną bramą, Marek czekał na nią. Przez jakieś dziesięć minut szli w milczeniu. Odezwał się pierwszy:

- Zastanawiałem się nad twoimi słowami, nad twoją postawą wobec tych ludzi i nad tym, skąd w swoim wieku czerpiesz siłę do tak ciężkiej pracy.

- Bo odczuwam głębokie doznania wynikające z dawania siebie innym. A ty świadomie odcinasz się od tego, co wartościowe, co nas tworzy od środka. Jesteś przykładem totalnego lenia, który sprowadza swoje życie do kasy, seksu i słuchania wściekłej muzyki. Wiesz, jak nazywam takich ludzi: wykształconymi debilami z sieczką w głowie. Kiedy czytałeś coś wartościowego, na przykład poezję?

- Chyba na studiach - odpowiedział.

- Jeśli chcesz rozwijać swoją osobowość, chcesz się zmieniać, spróbuj obdarowywać innych miłością. Tu, w Domu Opieki, masz największe szanse pracując dla tych starych ludzi. Niewiele im zostało, są bezbronni jak dzieci. Odkryj więc w sobie Pokłady wrażliwości.

- Powiedz, czym jest życie dla ciebie? - przerwał jej Marek.

- Ciągłą przemianą, ciągłym szukaniem siebie i Boga, który jest ponad ciałem Nigdy nie uspokoisz się, jeśli nie odkryjesz w sobie wrażliwości, tej prawdziwej wrażliwości, którą kształci duch. Czasami myślę, że gdybym dokopała się pokładów prawdziwej wiary, samego rdzenia wiary, byłabym podobna

przerwała na moment, jakby bała się dokończyć. - ... podobna Bogu. A co jest dla ciebie najważniejsze? Krótko, w trzech słowach.

- Słowo, muzyka, ruch.

- To brzmi jak: wiara, nadzieja, miłość - skomentowała Gabi.

- Dzięki tobie dzisiaj spojrzałem na życie z drugiej strony, jakby miało wiele wymiarów - skończył rozmowę Marek.

- Może mi kiedyś za to podziękujesz. - Gabi uśmiechnęła się bardzo zadowolona.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu, słychać było tylko ich kroki i oddechy.

- Myślałam o tobie i twojej pogardzie do starości i choroby - przerwała tę ciszę.

Spojrzał na nią dużymi oczyma.

- Być może twoje wyśmiewanie się jest... - przerwała i nabrała głęboki oddech. - ... sposobem na przetrwanie. Taka myśl przyszła mi do głowy.

- To znaczy, że mam dwie twarze? - Polacy mają dwie twarze, a jak potrzeba, to nawet trzy - zdawał się wypowiadać najmądrzejsze słowa w życiu.

- To wynika z tęsknoty za domem, za bliskimi. Tutaj życie jest inne, to nie baśniowa kraina.

- Co tak spoglądasz na niebo? - przystanął, poprawił plecak.

- Pomyślałam o moim pierwszym dniu pracy, jak w Domu Opieki rozpoczynałam nowy rozdział życia, aby ratować te stare ciała, które męczyły się w cierpieniach, jak po raz pierwszy ujrzałam te twarze podobne do kukieł, siedzące potulnie

w fotelach. Pamiętam, jak zapach oddziału i niektórych pokoi prowokował do ucieczki i jak brzydziłam się powietrzem wokół mnie. Cały oddział wtedy cuchnął mi śmiercią. Marek, ja po prostu się bałam. Sam pamiętasz, jak byłam ciężko przestraszona.

- Robiły ci się żabie oczy.

- Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że mogę być zdolna do takiego przeobrażenia, do własnego nieistnienia, kiedy jestem na oddziale. To moje zwycięstwo nad sobą samą. Teraz mogę powiedzieć, że przekroczyłam próg własnej wytrzymałości. Dawno już przestałam widzieć wyniszczone ciała, a widzę po prostu ludzi, którzy zamienili się w stare dzieci. Najsilniejszy moment zwątpienia w Boga poczułam w pokoju, do którego zaprowadziła mnie Judy. Po raz pierwszy w życiu ujrzałam osobę chorą na Alzhajmery w ostatnim stadium.

- Elżę?

- Na początku chciałam uciekać, ale właśnie tobie zawdzięczam, że tutaj jestem do tej pory. Dziękuję ci. No i jeszcze te moje sny, które mnie tu przywiodły, a które stały się rzeczywistością. Ich sens jest teraz pełniejszy. Te sny dostarczyły mi wiedzy o mnie samej, jakby stworzyły obraz innego świata, ja wciąż żyję w dwóch światach. Od kilku lat towarzyszy mi w snach moja matka. Porozumiewamy się językiem spojrzeń, gestów. Czysta telepatia. Spotkania z nią przynoszą znaki szczególne. W tych snach jestem uwolniona od nieprawdy, nie gubię się w słowach, a sytuacje wyprzedzają wydarzenia. Czuję, jakby matka była moim aniołem. Szczególnym aniołem, bo widocznie ma powody, by mnie odwiedzać

- Nie spodziewałem się, że możesz mi za coś dziękować, bo ja tobie zawsze będę wiele zawdzięczał - stwierdził bardzo poważnie.

- Widzisz, jakie życie jest przewrotne.

Siedziała na łóżku, jeszcze w podkoszulku, który zasłaniał uda i pod którym miała czarne, bawełniane majteczki. Marek poszedł już do pracy. Czuła się niezręcznie, mieszkając pod jednym dachem, ba w jednym pokoju z tym młodym chłopakiem. Przecież nie wywalę go na ulicę - myślała, ale też nie mogła mu bezkarnie pozwolić mieszkać u siebie. W każdej chwili właściciel może się zorientować lub ktoś donieść. Nie zniosłaby wstydu. Złapała za telefon i wykręciła numer do Beaty, która dzisiaj również miała drugą zmianę.

- Cześć Beatko - powiedziała nieśmiało. Zdawała sobie sprawę, że mogła ją obudzić. Dopiero dochodziła dziewiąta, a deszcz stukał romantycznie w szyby i sprzyjał wszystkim śpiochom.

- Cześć - usłyszała jeszcze zaspany, chrapliwy głos. - A ty co, Gabi? Nie możesz spać i wydzwaniasz po nocy?

- Przepraszam - powiedziała nieśmiało - jakoś nie mam kiedy porozmawiać z tobą o swoim problemie

- Ty masz problem? Mieszkasz z młodym chłopakiem, cały Dom aż huczy. Dziwię się, że z twoją wrażliwością nie przeszkadza ci to.

- No właśnie, przeszkadza i o tym chciałam z tobą porozmawiać. W tym Domu Opieki z penisa zrobili Pana Boga, wszystko obraca się wokół krocza. Z ciebie przeskoczyli na mnie, jakby byli pchłami, które karmią się krwią emigrantów. Przestałam się już tym przejmować.

- Mieszkasz z Viki, a wynajmujecie trzy pokoje, więc czy mogłabym z wami zamieszkać? Mnie obniżyłoby to koszty wynajmu.

- Cudownie, ale pokój nie jest umeblowany. Stoi tam tylko zepsute biurko i cienki materac rozłożony na podłodze, jeszcze regał, który można naprawić.

- Nie przeszkadza mi to. Chcę się uwolnić od Marka. Nie wykazuje żadnej woli, żeby sobie szukać mieszkania. Jemu jest dobrze.

- Porozmawiam z Viki wieczorem, ona ma dziś długi dzień. Myślę, że jutro damy ci odpowiedź.

- Cieszę się. Będę ci wdzięczna.

Był ciepły, słoneczny grudzień. Gabrysię denerwowały szybkie zakupy w ASDZIE i dźwiganie wielkich toreb niekiedy dwa lub trzy razy w ciągu wolnego dnia. Dobrze, kiedy nie padało. Takie dni należały do rzadkości, zwłaszcza o tej porze roku. Gdy wracała z zakupami do nowego mieszkania, po przeciwnej stronie pasów ujrzała Grzegorza. Uśmiechał się do niej dobrodusznie, czekając na zielone światło. Postawiła torby obok siebie na ziemi i czekała, aż do niej dołączy. Przywitani się. Ujął jej dłoń i polskim gestem pocałował elegancko.

- Przepraszam cię, przepraszam - powtórzył. - Nie byłem dżentelmenem, nie stanąłem w twojej obronie, ale nie zrozum mnie źle: jeszcze musiałem tam mieszkać. Przysiądźmy na tej ławce. Mam tyle pytań do ciebie. Później ci pomogę, bo widzę, że dźwigasz zbyt dużo.

Gabrysia wzięła jedną torbę, a on podniósł dwie pozostałe i poszli w kierunku ławki.

- Po twojej wyprowadzce wszystko się posypało. Agniecha straciła pracę i wyjechała do domu, pedały też się wyprowadziły. Ja znalazłem sobie coś lepszego. Na razie mieszkam u kumpla, a w lutym dostaję do dyspozycji samodzielne mieszkanie w BP. Przez kilka miesięcy nie będę płacił żadnych rachunków, ale za to muszę je uporządkować. Będę mógł wtedy zaprosić cię na obiad, jeśli przyjmiesz zaproszenie. A co u ciebie? - zapytał uradowany ze spotkania.

- Przeprowadziłam się tydzień temu do koleżanek. Mieszkam na Station Road. To moje piąte mieszkanie.
- Wiem, gdzie to jest. Odprowadzę cię.
- Chciałabym osiąść gdzieś na stałe. Nie chcę się więcej przeprowadzać i na nowo meblować.
- Masz zamiar zostać tu do końca życia. - Uśmiechnął się filuternie.
- Tak wygląda, jeszcze przynajmniej trzy lata, aż moja Zuzia skończy studia, jak widzisz, podjęłam się trudnego zadania.
- Naprawdę jesteś odważna.
- A ty przyjechałeś tu na wczasy?
- No nie, ale jestem mężczyzną zaprogramowanym na różne niewygody.
- Na niewygody to teraz programuje się kobiety, a mężczyźni siedzą sobie w ciepłych mieszkankach we własnym kraju, jak na przykład mój mąż. Dobrze się składa, że cię spotkałam, bo będziesz mi potrzebny.
- Służę. - Tembr jego głosu i uśmiezek zdradzał pewien rodzaj podniecenia.
- No, no! Wszystkim mężczyznom to tylko jedno w głowie - syknęła.
- To już ty powiedziałaś! - Śmiesznie przekręcił głowę, aż wydał się Gabrysi nieco groteskowy.
- Będziesz mi potrzebny do naprawienia półek i biurka, mam też zepsutą lodówkę, a wiem, że jesteś polską złotą rączką.
- Nie ma sprawy. Umówimy się na któryś dzień. Mogę to zrobić jeszcze dzisiaj, jeśli mnie zaprosisz.
- Dzisiaj po obiedzie mam gotowanie i sprzątanie.

Zmęczenie fizyczne i psychiczne po dwóch latach pracy dawało się Gabrysi we znaki. Coraz częściej płakała. Wieczorem

wspinała się po wąskich schodach do małego pokoiku i tam szturmowała niebo błaganiami o wytrwałość, a radośnie witała sen, do którego zmiatała gołymi rękoma tęsknotę za domem, za mężem, by rano świeża powrócić do Care Home, gdzie mrówcza praca opiekunek i pielęgniarek udowadniała, że tam też toczy się życie. Tam zapominała o sobie.

Minął już tydzień, jak wprowadziła się do Beaty i Viki, a nie było jeszcze czasu na pogaduszki przy wspólnym stole w jadalni. Spotykały się rano i razem wychodziły do pracy. Te czterdzieści minut wspólnej drogi wykorzystywały na rozmowy i lepsze poznanie się nawzajem.

Pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia. Miała tak zwany „długi dzień”, więc nie było nawet czasu na refleksje. W Domu Opieki ruch jak w ulu. Coraz to nowi goście przybywali z wizytą do pensjonariuszy. Kiedy wieczorem, w strugach deszczu, wracała do domu, płakała. Czowała się ukarana przez los. Myślała o najbliższych, którzy spędzali Święta w domu, w Polsce. Dobrze, że córki są razem - myślała. Do męża czuła gdzieś w środku serca żal, że to jemu przypadł lepszy kąsek z życia, a ona musi się tułać po świecie. Ten rodzaj żalu nie pozwalał dobrze spać. Próbowwała pojąć, ogarnąć tę zmienność życiowych wątków, odmienność rozwiązań. Przywoływała pewne wątki ze swojego pobytu w LL. i uznała, że jednak miały SENS. Wysypywała wówczas piasek żalu gdzieś za siebie, podnosiła się jak słupek rtęci i myślała: nie spadł mi żaden włos z głowy, a jestem jeszcze silniejsza. Analizowała swoje myśli, żeby nie pozwoliły jej upaść, żeby się nie poddać. Przecież jutro znów będzie nowy dzień. Kiedy wkładała klucz do zamka, z jej ręki kapłała woda, była przemoczona. Parasolkę wyrzuciła w połowie drogi, bo znowu się połamała od silnego wiatru.

Przywitało ją puste mieszkanie. Czekala na nią tylko pomidorowa z ryżem, którą trzeba było przygrzać. Nie miała ochoty ani pieniędzy, żeby przygotować coś specjalnego na te wielkie

Święta. Wstawiła garnek ze zupą na gaz, a sama wskoczyła pod prysznic. Później w szlafroku i z głową zawiniętą ręcznikiem w turban siorbała zupę, połykała własne łzy i zadawała sobie te same pytania: „Dlaczego muszę być sama? To już piąte Święta, jakie spędzam samotnie, jeśli liczyć Boże Narodzenie i Wielkanoc. Beata spędza Święta ze swoim chłopakiem, Viki udało się wyjechać do jej kraju, do Rumunii. Szczęściara". Ostatnie słowo powiedziała głośno, aż odbiło się echem w tym skromnie umeblowanym salonie.

Kiedy wstała, nie sprząając po sobie, przesiadła się na kanapę i włączyła mały telewizor, chciała zobaczyć coś wesołego. Przestała płakać, kiedy pokój wypełnił się muzyką. Nawet nie wiedziała, kiedy zasnęła.

* **

Ktoś zadzwonił. Zerwała się na równe nogi. Podbiegła do drzwi gubiąc po drodze ręcznik, który spadł jej z głowy. Otwierała z nadzieją, że wróciła Beata. W drzwiach stała jej matka.

- Mamusiu! - aż krzyknęła. - jak mnie tu znalazłaś?

- W końcu są Święta - stwierdziła.

Spoglądając na fioletową sukienkę, Gabryśia zorientowała się, że śni.

- ja naprawdę tu jestem. - Matka bez zaproszenia wchodziła do środka. - Zaproś mnie do kuchni - powiedziała, uśmiechając się ciepło.

Zdezorientowana Gabryśia myślała tylko o tym, żeby się nie obudzić.

- Ależ oczywiście, mamo. - Podążyła za nią. Matka przysiadła, a Gabryśia wciąż stała.

- Usiądź proszę - zwróciła się do stojącej córki. - Usiądź i odpocznij, a ja przygotuję ci coś specjalnego.

Gabryśia cały czas trzymała sen, bała się, że oto zaraz może

się obudzić. Pragnęła ze snu czerpać wiedzę, jaką może jej przekazać matka i przenieść ją do realnego świata.

Nagle przebudziła się, choć słyszała jeszcze ciepłe słowa matki: „przygotuję ci coś specjalnego, przygotuję ci coś specjalnego, coś specjalnego, specjalnego...”. Leżała, nie otwierając oczu. Czuła, jakby ktoś wypompował z niej powietrze. Świadoma przebudzenia nie zmieniała pozycji. Trwała tak w bezruchu przez kilkanaście sekund, aż zaczęły ją dochodzić płynące z telewizora dźwięki muzyki bożonarodzeniowej. Dzwoniło jej dziwnie w uszach, a w głowie miała chyba tykającą bombę. Otworzyła oczy, ogarnęła wzrokiem salonik. Na podłodze obok drzwi leżał ręcznik.

- Boże! Czyżbym lunatykowałam? - zapytała samą siebie.

Jeszcze raz zaczęła rozpamiętywać sen: każdy ruch, gest, słowa matki, jej wzrok błędził od stołu przez kominek do otwartych drzwi kuchni, do krzesła, na którym jeszcze przed chwilą siedziała jej matka.

Boże! Jakie to było realne! Zaczęła oddzielać senne obrazy od realiów. Muszę wstać - pomyślała. Nie była pewna, czy to poranek, czy zmierzch. Która to godzina? - pytała samą siebie. Kiedy spojrzała na duży zegar wiszący nad kominkiem, dochodziła dwudziesta trzecia trzydzieści.

Wracała do Anglii po miło spędzonym urlopie. Mąż odprowadzał ją na dworzec autobusowy. Jechała do Londynu, a tam czekał na nią drugi autobus, który miał ją zawieźć do LL. Podróż będzie trwała dwadzieścia cztery godziny. Nie chciała wracać. Przytulała się do swojego wielkiego mężczyzny, wkładała ręce do jego kieszeni. Wymawiała słowa pożegnania, które wsiąkały razem ze łzami w jego kurtkę. Autobus czekał.

- Będzie dobrze - powiedział mąż.
- Bo musi być. - Podniosła głowę i spojrzała mu głęboko w oczy. - Nie jesteś mnie w stanie chronić. Moim pocieszeniem jest tylko Zuzia, która mnie odwiedza częściej.
- No widzisz, a ja zostaję zupełnie sam. To nie jest wesołe. - Z jego ust wydobywała się smuga pary
- Nie przesadzaj, mój domatorku. Wiem, że dopiero będziesz szczęśliwy, kiedy zamkną się drzwi autobusu. I moje usta.
Przytulił ją mocno i szepnął cicho do ucha:
- Wiesz, że to nieprawda. To tylko twoje babskie gadanie z żalu, że musisz wyjeżdżać.
- To wyjedź ze mną. Znajdę ci pracę, bylibyśmy razem.
- Niemożliwe. Przecież nie znam angielskiego. Tu mam pracę i choć zarabiam niewiele, ale tylko kilka lat zostało mi do emerytury.
- Tyle samo co mnie, a to ja śpię na materacach, włóczę się po obcych pokojach, znoszę niewygody i pracę, która czasem odbiera rozum. Te powitania i pożegnania. Nie wiem już, kim jestem i gdzie jest mój dom. Przyjaciół mam tu i tam, czuję się rozdwojona.
- Proszę wsiadać - usłyszeli mocny głos kierowcy.
Gabrysia wyciągnęła dłonie z kurtki męża i spojrzała na niego tym rodzajem spojrzenia, którego się nie zapomina. Odeszła kilka kroków, jeszcze raz odwróciła się i pomachała ręką. Jej oczy się szklily, nic nie widziała. Wsiadła do autobusu.

Od przystanku do domu było około trzysta metrów, podjęła więc decyzję, że dojdzie na Station Road sama. Na szczęście walizka miała kółka. Nie spodziewała się żadnych niespodzianek. Wysiadając z autobusu, ujrzała Grzegorza w jasnym, ładnym sweterku. Rozglądał się nerwowo.

- Grzegorz! - krzyknęła z radością.

Odwrócił się w jej kierunku i pomachał przyjaźnie ręką. Przywitani się jak starzy znajomi, nawet pozwoliła cmoknąć się w policzek.

- Gdzie twoja waliza? - zagadnął.

- Zaraz kierowca ją wyciągnie z bagażnika.

- Kto poinformował cię o moim przyjeździe? - z przyjemnością wypowiadała te słowa.

- Beata i Viki, które dopiero poznałem. Poszedłem któregoś dnia i zapukałem do drzwi, bo nie mogłem się do ciebie dodzwonić.

- Przecież mówiłam ci, że wyjeżdżam do Polski. - Uśmiechała się dobrotliwie

- No tak, ale stęskniłem się za tobą. Nie pamiętałem, kiedy dokładnie wracasz, więc zaszedłem do ciebie. Drzwi otworzyła mi pulchna blondyna z wystającym kuperkiem, cholernie sympatyczna i zaczęła po angielsku. Uwierz mi, nic nie rozumiałem, robiłem tylko dziwne miny. Wtedy na pomoc przyszła druga, wysoka blondyna, dobrze zbudowana, o figlarnym uśmiechu i zaczęła mnie pytać po polsku. Odetchnąłem wówczas z ulgą. Obie zaprosiły mnie do środka, ba, nawet ugościły. Ta Viki świetnie gotuje, a Beata ładnie podaje. Dosyć długo u was siedziałem.

W tym momencie kierowca wyciągnął Gabrysi walizę. Grzegorz niemal podskoczył, ujął rączkę, postawił ją pionowo, szarpnął i waliza potoczyła się na własnych kółkach. Szli obok siebie. Był ciepły poranek. Na niebie ani jednej chmurki. Walia przywitała Gabrysię pogodnie.

Chwilę milczeli. Grzegorz przyglądał się jej ustom. Speszyła się. Chcąc zażegnać niemile uczucie, odezwała się:

- Tęskniłeś za mną.

- jak cholera, przecież jesteś moją jedyną koleżanką.

W tym momencie nad ich głowami przeleciał dosyć nisko

samolot, robiąc wiele hałasu i zostawiając na bezchmurnym niebieskim niebie ciemnoszarą smugę.

Rozmowa nie kleiła się. Gabrysia nie wiedziała, co mu odpowiedzieć, a tym bardziej nie chciała mu robić żadnej nadziei na bliskość.

- Wiem, że jesteś zmęczona po dwudziestu czterech godzinach jazdy, ale w domu czeka na ciebie następna niespodzianka.

- O! To brzmi interesująco. Czy mogę się dowiedzieć, co to takiego? - zapytała, spoglądając mu głęboko w oczy.

Uśmiechnął się tajemniczo i przełożył rączkę walizki w drugą dłoń. Gabrysia przeszła na drugą stronę. Miasto, jeszcze senne, budziło się do życia. Ulice były puste, tylko gdzieś tam mignęła jakaś osoba. Dochodzili już do mieszkania.

- Postaw walizę, bo w kieszonce mam klucze. Gabrysia wyciągnęła pośpiesznie klucz i zaczęła nim szukać dziurki.

- Zostaw. To ja jestem mechanik, specjalista od dziurek. - jego mina zdradzała zadowolenie, jakby wypowiadał motto życia.

- Wcale nie śmieszne - zbesztła go.

Oboje poczuli, że ktoś z drugiej strony wychodzi im naprzeciw. Drzwi otwarły się szeroko. Beata i Viki przywitały ich okrzykami.

- *Welcome, welcome.*

- Gdzie mam postawić walizę? - zapytał i stanął nieśmiało na środku saloniku. Gabrysia przewiesiła palto na poręcz krzesła i usiadła zmęczona podróżą.

- W Polsce tak zimno, a tu piękna wiosna - odezwała się jakby sama do siebie.

Viki zaczęła znosić do pokoju półmiski pełne jedzenia. Stawiała je na stole. Beata jej pomagała. Zapachniało domem, prawdziwym domem.

Gabrysi się już myliło, który jest rzeczywisty.

- Wiecie, jak za wami tęskniłam - stwierdziła i zaczęła ręką poprawiać włosy.

W tym czasie Grzegorz utopił wzrok w jej twarzy i rozmarzył się. Beata uchwyciła ten moment i szybko go wykorzystała.

- Ale masz, Gabi, faceta! Patrzy na ciebie jak w obrazek. - Beata ze śmiechem zwróciła się do Gabrysi.

Ta położyła ręce na powierzchni stołu. Z drugiej zaś strony Grzegorz delikatnie i niepostrzeżenie przesuwiał swoje dłonie w kierunku rąk Gabrysi, jakby za chwilę chciał ich dotknąć, lawirując pomiędzy naczyniami. Wszyscy zasiedli do stołu.

- Zapraszam, czym chata bogata... - Beata uśmiechała się tajemniczym uśmiechem zdradzającym niespodziankę. Przez moment zrobiło się cicho, słychać było tylko odgłosy spożywania posiłku.

- Powiedz mi, Gabi - Viki podniosła twarz znad talerza - gdzie znalazłaś tego oto gościa, który z nami zajada śniadanie?

- Ludzi się nie znajduje. Oni po prostu są.

- Mamy dla ciebie niespodziankę, a właściwie mają Grzegorz. Zajrzyj teraz do swojego pokoju.

Beata wstała od stołu i zasunęła za sobą krzesło. Gabrysi również podniosła się i szła w kierunku schodów. Wchodziła powoli, jakby liczyła kroki spoglądając w kierunku stołu, gdzie Viki wraz z Grzegorzem kończyli śniadanie. Za nią podążała Beata. Stała przed swoimi drzwiami, ale sprawiała wrażenie, że nie chce ich otworzyć.

- No! Otwieraj, Gabi - Beata ponaglała. Powolutku otworzyła drzwi, najpierw wsunęła głowę.

- O Boże!

Teraz pchnęła je z impetem i weszła do środka. Stała zamurowana. Pokój lśnił czystością, a słońce odbijało się w żółto-kanarkowym kolorze ścian. Smugi wesoło tańczyły. Z sufitu

zwisał żyrandol, którego wcześniej nie było. Materac nie leżał już na podłodze, tylko na drewnianym łóżku. Regał był naprawiony, na nim stały poukładane równiutko książki, które dotychczas walały się po podłodze. Na biurku, w słoiku po ogórkach, stały żywe kwiaty. Gabrysia podeszła, dotknęła blatu i sprawdzała jego równowagę.

- Nie chwieje się! - Odwróciła się do Beaty z wyrazem zadowolenia.

Beata wciąż stała w jednym miejscu, trzymając ręce w kieszeni i przyglądała się z radością tym wszystkim zmianom, jakie zaszły w pokoiku koleżanki.

- Dziękuję, dziękuję, *thankyou, thankyou, spasiba, spasiba*. Nie wiem, jak mam ci podziękować.

Grzegorz odwrócił się w kierunku Gabrysi i cały płonął z zadowolenia.

Usiadła naprzeciw niego i położyła swoje dłonie na jego rękach, które rozpostarte na kolanach, jakby czekały na jej dotyk. Spojrzała mu w oczy. Przyciskając nieco wargi chwilę milczała, a on ze skupieniem patrzył na nią. Jego pozbawiona emocji twarz zaniepokoiła Gabrysię. Nagle poczuła drżenie jego dłoni jak u sztubaka, który pierwszy raz dotyka kobiecych rąk. Na to czekała, na takie pragnienie, które niemal wywołuje konwulsje. Starła się zamrozić, by Grzegorz nie mógł z niej nic wyczytać. Na taki obrazek czekały koleżanki, a Beata odezwała się pierwsza:

- Zdaje się, że płatność musi być w naturze - jakby odniosła się do dziękczynnych słów Gabrysi.

- Nie musisz być moim adwokatem. - Gabi odwróciła się i pokazała jej język.

- Wiesz, że lodówka także naprawiona? - odezwała się po angielsku Viki, która dotychczas milczała. - Naprawione też krany w łazience, już nie przeciekają.

Siedzieli jeszcze z godzinę. Potem Grzegorz pożegnał dziewczyny, a Gabrysia poszła do siebie i zasnęła szczęśliwa.

- Dziewczyny, ale akcja!

Beata weszła do mieszkania z kartonem pełnym zakupów. Viki wraz z Gabrysią usłyszały jej podniecony głos, który echem odbijał się w mieszkaniu. Obie siedziały na sofie i oglądały telewizję. Beata już od dziesięciu dni pracowała w S. Dojeżdżała własnym samochodem, który niedawno kupiła za dwa tysiące funtów. Dostała stanowisko kierowniczkę w Lidlu, ale na razie musiała pracować jako zwykła sprzedawczyni, żeby poznać charakter pracy.

- Dzisiaj siedziałam na kasie - duży karton taszczyła prosto do kuchni - i miałam dziwnego klienta, Walijczyka, oczywiście, młodego, który nie ma pojęcia jak obchodzić się z kobietami. Wracam do Polski, bo tutaj nigdy nie znajdę normalnego faceta. Wszyscy to ciule. Już Afrykańczycy są lepsi. Chyba znajdę sobie Murzyna. Pracuje taki superman u nas jako ochroniarz - buzia się jej nie zamykała.

Viki nachyliła się nad uchem Gabrysi, szepcząc:

- Już ją przeleciał, pamiętasz, jak przedwczoraj nie wróciła na noc i kłamała, aż się sama wplątała i nie umiała nic logicznie wytłumaczyć?

- Mnie to nie obchodzi. - Gabrysia wzruszyła obojętnie ramionami, równie obojętny był ton jej głosu.

- Nie widzisz, że jeszcze nie ma roku, a ona zalicza już któregoś z rzędu faceta? Po miesiącu znowu jest sama.

- Viki, co ty opowiadasz? Przecież jesteście przyjaciółkami, zwierzacie się nawzajem. Wiem, że ona powierza ci wszystkie tajemnice serca, a ty na nią teraz nadajesz?

- O czym plotkujecie? - Beata wyszła z kuchni, gdzie zosta-

wiała karton i przysiadła na krześle przy stole. - Jestem zjebana. - Opuściła ręce, które zwisały jak bezwładne.

- Mówisz dosłownie? - odezwała się zgryźliwie Viki.

W tym momencie Gabryś zorientowała się, że te dwie papużki nierozłączki pokłóciły się na dobre.

- Odwal się - Beata odburknęła ze złością. - Myślałam, że mi przebaczyłeś - Beata syczała jak jadowity wąż.

- Co się stało, Beatko? Opowiadaj, proszę, nie zwracaj na nią uwagi - Gabryś mówiła po polsku.

- Gabi! - krzyknęła Viki. - Nie rozmawiajcie po polsku, przecież ja nic nie rozumiem.

- OK! OK! - Gabryś podniosła ręce do góry w poddańczym geście.

Viki ponownie zwróciła się do Gabrysi twarzą, łamiąc w rękę chipsa i kładąc go na końcu języka jak hostię. Po kilkunastu sekundach, gdy rozpuściła go w ustach, zaczęła wylewać słowa potokiem, aż jej angielski zaczął się plątać.

- Beata przedwczoraj gościła w naszym mieszkaniu Murzyna wielkoluda. Jak myślisz, co z nim robiła cały dzień? Ty byłeś w pracy, więc nic nie wiesz - oznajmiła Viki, nabierając powietrza, bo brakło jej tchu.

Wstała nerwowo i szybkim marszowym krokiem skierowała się do swego pokoju, po drodze wymachując rękoma jak skrzydłami wiatraka. W drzwiach nieprzyjemnym tonem głosu oznajmiła:

- Nic mnie to nie obchodzi. Nic a nic.

Szybko znikła dziewczynom z pola widzenia. Zostały same. Gabryś było szkoda Beaty, którą uważała za niezwykle utalentowaną, mądrą kobietę, ale nieco zagubioną w relacjach damsko--męskich. Poznała ją na tyle, że wiedziała, iż nie szuka na siłę seksualnych przygód, ale miłości.

- Beatko, czy to prawda?

-Tak.

- Nic się nie stało. W końcu nikomu krzywdy nie robisz.

-I ty to mówisz? Przecież jesteś rasistką. - Zdziwienie Beaty aż speszyło Gabrysię.

- Tak, ale tylko w przypadku mojej córki. Reszta świata mnie nie obchodzi... - urwała, jakby przełamała to krótkie słowo na pół. - Bardzo cię lubię, nie bez powodu zresztą, ale myślę, że się nie szanujesz. Szukając na siłę, nigdy nie znajdziesz miłości.

- Mam dwadzieścia osiem lat, za sobą nieudany, długoletni związek. Właśnie po rozstaniu przyjechałam do Anglii.

- Tak, wiem. Słuchaj, Beatko: nigdy nie poluj na facetów. To oni muszą polować na ciebie. Mężczyźni to urodzeni łowcy i w tej materii nic od wieków się nie zmieniło. Wyobraź sobie, że jakiś mężczyzna znajduje poroże na wycieracze przed wejściem do domu. Nawet nie spojrzy, jeszcze kopnie nogą. A kiedy sam upoluje, wieszta rogi na ścianie i wszystkim się chwali.

- Powiedz mi, powiedz, co mam robić? Nie wiem, co robię źle, że nie umiem zatrzymać nikogo przy sobie. Prędzej czy później odchodzą do innych.

- Bo jesteś uległa i za dobra. Wiesz... - tu Gabrysia zrobiła celowo dłuższą przerwę i spojrzała Beacie w jej zielone oczy
że kota można zagłaskać na śmierć?

- Wiem. Głupia nie jestem, popełniam ciągle te same błędy. Kiedy poznałam Grzegorza, zazdrościłam ci, że przychodził tu przez kilka dni po pracy, malował twój pokój, reperował wszystko co wymagało naprawy i na końcu do słoika włożył ten piękny bukiet kwiatów. Myślałam wówczas, że wy śpicie ze sobą, że łączy was coś więcej, ale wiem, że również nie masz powodów żeby kłamać.

- Wcale się nie wypieram, że tego nie zrobię, ale niech powalczy do utraty sił. Będzie mu lepiej smakowało. - Gabi zrobiła dłuższą przerwę, jakby się zastanawiała, czy dokończyć myśl. -

A poza tym muszę mieć komfortowe warunki. Nie wyobrażam sobie, aby tu przyprowadzić mężczyznę, żeby się z nim bawić. Mieszkamy trzy razem i uszanuj to. Beata patrzyła na nią jak na matkę.

- Co chciałaś nam powiedzieć, kiedy wróciłaś z kuchni taka zadowolona?

- Ach, drobnostka. Miałam dzisiaj specjalnego klienta, młodego chłopaka. Zwierzał mi się ze swoich damsko-męskich problemów. Po prostu pokłócił się ze swoją dziewczyną i chciał ją przeprosić, więc spytał się mnie, jak ma to zrobić. Nie pomogło zaproszenie na *fish and chips*, nawet nie odpowiedziała na maila, a telefon wyłączyła. Zaczęłam się głośno śmiać. Kiedy zapytał, co tak mnie rozbawiło, zwyczajnie odpowiedziałam, że nawet Walijki na ryby nie złapiesz. Poradziłam zaproszenie na obiad w dobrej restauracji, a potem kino, no i oczywiście kwiaty. Wiesz, jaki był zadowolony! On nie miał pojęcia, co lubią kobiety.

xxx

Tego wieczoru znowu zadzwonił telefon. Biorąc go do ręki Gabi, wiedziała, że to Grzegorz, bo córki i mąż mieli zabronione telefonowanie o tej porze. Tylko jemu otworzyła tę furtkę.

- Cześć! - usłyszała.

Choć była cholernie zmęczona po długim dniu, sama sobie sprawiała przyjemność tą rozmową.

- Pewnie już kotek leży w łóżeczku.

- Kotek trzyma kołdrę między nóżkami...

- Zdaje się, że powinnaś mieć coś innego? - Czuła jego uśmiech, choć go nie widziała.

- Co powinnam, a co nie powinnam, to moje wybory.

- Ależ ty jesteś oschła! Zahartowałaś mnie na dobranoc, ja i tak się nie poddam. Żyję myślą, że kiedyś zmienisz decyzję.

- Już o tym rozmawialiśmy, a raczej nie zmieniam zdania - kłamała jak z nut, a w duszy robiło się ciepło. Na dźwięk jego głosu waliło jej serce. Czowała puls i rytm, a sen odlatywał jak ptaki na zimę. Ale tonu swego głosu nie zmieniała.

- Zapomniałem, jak jutro pracujesz - mówił powoli i wyraźnie. - Mam dla ciebie propozycję. Chciałbym zaprosić cię po pracy, około godziny szesnastej, na specjalną wycieczkę pod tytułem „Jak żyją Walińczycy”.

- Nabrał powietrza i zrobił pauzę, aż krótkie milczenie w słuchawce przeraziło Gabrysię. - Później chciałbym zabrać cię do Gower. Jest już przecież dosyć długi dzień. Dawno zaplanowałem dla nas Gower wieczorem, kiedy zachodzi słońce i widoki mogą spowodować palpację serca.

- Chcesz mnie wykończyć?

- Nie! Tylko uduchowić i uwrażliwić.

- Przygotować?

Rzucała to krótkie słowo jak oszczepem. Sprawiało jej to przyjemność. Wiedziała, że Grzegorz rozumie podtekst. Niech się cieszy - myślała. Nie odbierała mu nadziei, bo sama nie była pewna. Wciąż wahała się pomiędzy marzeniami, a ich spełnieniem.

- Cóż bym dał, by móc przytulić się do twego boku lub przyłożyć się do twoich piersi jak pieczęć?

- Tylko przytulić?

- Zrobiłbym tylko to, czego pragniesz.

- A jeśli pragnę zbyt wiele?

- Zrobię wszystko.

- Tylko ty zagrzewasz mnie do tej cholernie ciężkiej pracy i tylko ty trzymasz mnie tu na nogach, inaczej już bym wyjechała. Trzy lata samotności to bardzo długi okres. Ale zrozumiem: ja nie mogę ci nic obiecać, przecież mam męża.

- A ja żonę.

- Ale, do cholery, jesteśmy tak daleko od kraju, że chyba coś się nam należy.

- Tobie się należy. Mów o sobie.
- Ja przywykłam, choć mnie też jest ciężko.
- Powinno tu, na emigrację zarobkową, przyjechać kilka osób z naszego rządu. Choćby tylko na jeden rok. Z dyplomami, ale na robocze stanowiska. Tu Afrykanie pokazaliby, kto rządzi.
- Nie wytrzymaliby jednego tygodnia.
- Ciekawe, kto będzie na nich robił, jak wszyscy powyjeżdżamy. Coraz więcej Polaków przyjeżdża na Wyspy i zostaje tu z całymi rodzinami, bo nie mają ochoty na powrót. Zapoznam cię kiedyś z Grażyną, moją sąsiadką w Polsce, która przebywa tu już od roku i z jednej pensji utrzymuje pięcioro dzieci. Wszystkie chodzą do szkoły. Państwo opłaca większość rachunków, w domu niczego nie brakuje, dzieci dobrze odkarmione. Ona pracuje w zakładach mięsnych w LL. Grzesiu, kochanie - zmieniła głos na dziecinny i słowa wymawiała powoli. - Jestem już śpiąca, pragnę powiedzieć ci dobranoc.
- Dobranoc - powiedział. Usłyszała jeszcze jego westchnienie.

XXX

Kiedy zadzwonił telefon, Gabrysia powoli się szykowała. Podjechał swoim volvo wypucowanym, jakby miał wieść księżniczkę. Stała już w progu, za zamkniętymi drzwiami. Wyszedł z samochodu, otworzył jej drzwiczki i jak polski dżentelmen, a nie angielski czy kreolski, posadził w fotelu.

- Zapnij się, proszę. - Uśmiechnięty patrzył na nią chciwie. Gabrysia zauważyła, że ubrał się dla niej w najlepsze ciuchy, dopasowane kolorystycznie. Ho, ho, jak to samce umieją zadbać o własny wizerunek, jeśli tylko czegoś pragną - przemknęło jej przez myśl, ale zaraz sama się skarciła. Ruszyli na obiecaną tajemniczą wycieczkę.

- Czy mogę dotknąć pani dłoni? - Spojrzał na nią filuternie, a słowa wypowiedział powoli.

Nie cofnęła ręki. Jechali dłuższą chwilę w milczeniu. Grzegorz co rusz to spoglądał na nią, to znów na jezdnię. Wyczuwała w nim jakąś nieokiełzaną siłę, przyglądała się muskularnym rękom, które pokryte siecią grubych, jakby nadmiernie nadwyręzonych żył, dodawały mu męskości. Zdawałoby się, że żyły zaraz wyskoczą ze skóry. Ta muskularność odpowiadała jej jak mało co. Imponowała jego siła fizyczna i siła ducha. We własnym wnętrzu robiła rachunek sumienia: jednocześnie odpowiadała na jego kuszące, gorące spojrzenia i jak kotka błyszczała swoimi zielonymi oczyma. Marzyła. Ta niepełna cisza, którą przerywała sącząca się z głośników muzyka, koła tęsknoty i budowała marzenia.

- Boże! - Otworzyła usta, puściła rękę Grzegorza, jakby zobaczyła ósmy cud świata.

Wjeżdżali w wąską, najwyżej trzymetrową alejkę. Droga wiła się pod górę. Po lewej stronie rozciągała się baśniowa kraina: pastwisko, na którym pasły się dziesiątki owiec, poprzecinane niewielkimi skałkami. Opadało ono stromo, a za nim rozciągało się nieskończone morze, poruszające się leniwie w tej kosmicznej przestrzeni. W miejscu, gdzie morze łączyło się z niebem jakby nitką, sunęła karawana białych chmur. Na prawo zaś sterczała skalista wyniosłość. Potężne ramię granitu unosiło się wyżej i wyżej. Na dole pokrywały rzędy sosen, jodeł, świerków, wyżej zaś zieleń paproci. Wyglądało to jak morze liści, w których odbijało się światło. To wszystko pulsowało, drgało, jakby sam Bóg mówił: „Oto cieszcie się i napawajcie swe oczy widokiem, który dla was stworzyłem”.

Grzegorz słodko się uśmiechał, zadowolony z jej radości.

- Dojeżdżamy - usłyszała jakby wyrwana ze snu. - Jesteśmy w BP.

Puścił delikatnie jej dłoń, by zaparkować samochód. Wysiedli. Podszedł do niej i objął ją w pasie. Nie oponowała. Za

chwilkę puścił, przepaszając. Stali na wąskim chodniku długiej ulicy, gdzie wszystkie domy zlewały się ze sobą. Takich ulic w LL. jest kilkanaście i niczym od siebie się nie różnią. Stał przy drzwiach, które aż kleiły się od brudu. Powoli je otwierał, jak sezam, jednocześnie spoglądając na Gabrysię, ciekawy jej reakcji.

- Teraz ujrysz coś, co powinno cię zamurować - odezwał się delikatnym tonem.

Oczom obojgu ukazał się na początku malutki korytarzyk zawalony papierami, butami, szmatami. Wysoko podnosili nogi, by go sforsować w nadziei ujrzenia jakiejś zmiany. Grzegorz otwierał następne drzwi.

- Zobacz, jak mieszkają Walińczycy.

- Przecież tu nie można mieszkać! - stwierdziła osłupiała.

- Można, można. Trzy dni temu wyprowadził się stąd lokator, który ponoć zajmował to mieszkanie przez ostatnie trzy lata. Teraz ja mogę zająć jego miejsce. Jak ci powiedziałem, mogę tu zamieszkać, jeśli tylko sobie uprzątnę. A jeśli pomaluję, nie będę płacił czynszu przez całe pół roku. Wszystko to jest do pokonania i myślę, że się opłaca. Proszę dalej - powiedział do zamyślanej Gabrysi.

Kopał nogą papiery, walające się książki, gazety, szmaty, jakieś brudne ręczniki, świeczki, zabawki i Bóg wie co jeszcze, robiąc miejsce do przejścia.

- Dla mnie nie nowość - kontynuował. - Tak mieszkają Walińczycy, a przynajmniej jakaś ich część. Nie chcę im uwłaczać, ale na około sto mieszkań, jakie remontowałem, siedemdziesiąt było podobnych. Może nie wyglądały aż tak tragicznie jak to, ale coś w tym rodzaju. Ten naród to straszne brudasy. Proszę, tu jest kuchnia. - Wskazał na kuchenne meble, które nie widziały ścierki. - Ten segment kuchenny ponoć ma tylko dwa lata. Zobacz, Gabrysiu, jaki jest zatłuszczony. Nawet nie wiadomo,

jakiego jest koloru. Do toalety cię nie wpuszczę, bo zwymiotujesz. Na górze jest duża sypialnia i niewielki pokój. Mam dla ciebie propozycję: czy mogłabyś tu ze mną zamieszkać za jakiś czas, kiedy doprowadzę to mieszkanie do porządku?

- A jakbym dojeżdżała do pracy? - odpowiedziała szybko, nie zastanawiając się, że tym samym wyraża zgodę.

- Woziłbym cię moim służbowym i przywoził również. Na to miałabyś moje słowo.

- Wierzę ci, ale to decyzja nie na dzisiaj, wychodźmy stąd na powietrze, bo mnie mdli.

- Teraz zmiana - zdecydował. - jedziemy do najpiękniejszego zakątka kraju, chociaż takich uroczych miejsc tutaj nie brakuje. Gower - brzmi ładnie.

Samochód ruszył.

- Kiedy tam dojedziemy? - zapytała nieśmiało.

- W niecałą godzinę.

Chwilę panowała cisza. Gabrysia przysnęła nieco zmęczona świeżym powietrzem wpadającym z uchylonego okna, kojącą muzyką i ciepłą dłonią Grzegorza, która spoczywała na jej ręce.

- Gabrysiu, Gabrysiu! - Otworzyła oczy i ujrzała jego twarz niemal dotykającą jej twarzy. Zrobiła natychmiastowy unik. Odsunął się. - Wsiadamy, jesteśmy na miejscu.

Znów ogarnęła przestrzeń zachwycona tym, co zobaczyła.

- Tu powinni kręcić najpiękniejsze filmy - stwierdziła.

- I kręcą.

Zeszli po skałach nad sam brzeg morza. Skały, które wyłaniały się z dna, miały potężne, gładkie grzbiety, przesłonięte kożuchem zieleni. Daleko, nad taflą wody, przeglądało się czerwone słońce, jak namalowana kula. Wiatr lekko smagał ich twarze.

- Czuję się w tej kosmicznej przestrzeni jak ziarnko piasku - powiedziała.

- Spójrz na tę kulę szczęścia! - Grzegorz cmoknął ją zniechęca.

Oddała mu takie samo krótkie cmoknięcie. Stali tak nieruchomo przez chwilę, jak na peronie Świata, a kula miała ich zabrać w przestworza. Milczeli otumanieni widokiem. Grzegorz wyciągnął rękę. Ich chłodne dłonie spotkały się. Wtedy przycisnął usta do jej warg, a jego ręce zaczęły przesuwając się po jej włosach i ramionach. Objął ją prawą dłonią w pasie i przycisnął, Znowu się poddała, poczuła rozkoszny dreszcz. Przytulił ją mocniej i pocałował. Uległa mu całkowicie. Oboje czuli się, jakby ich płuca zamieniały się w skrzela, ramiona pocieniały w płetwy i mogli zaraz wpłynąć w tą otchłań, która ich otulała i wchłaniała.

Rozbudzał w niej coraz większe pożądanie, czuła, jak puchł monstrualnie, odepchnęła go więc delikatnie. Musiał zadowolić się jej obecnością i zapachem perfum. Myślał jak rasowy mężczyzna: sama któregoś dnia wpadnie w zastawione sidła, jej pełne usta i delikatne drżenie ciała podniecały go do granic...

Oczy chłoneły widoki, płuca świeże powietrze, a tylko buty lekko grzęzły w piasku mokrym od nocnego deszczu, którego wiatr nie zdążył wysuszyć. Za nimi jakaś następna romantyczna para wybrała się na wycieczkę. Spacer sprzyjał marzeniom.

- O czym myślisz? - zwróciła się do niego, przyciągając mocniej jego rękę. Spojrzeli sobie głęboko w oczy, poczuła jego miłość aż do szpiku kości.

- Chciałbym teraz złapać złotą rybkę.

Spojrzała porozumiewawczo i uśmiechnęła się słodko.

- O co byś poprosił?

- O wszystko.

Aż nadto zrozumiała życzenie.

- Ta rybka nie spełni twego życzenia, bo ma męża. Zostańmy przyjaciółmi - dokończyła.

- A jakie jest twoje marzenie?
- Żeby spacer nigdy się nie skończył. Działasz na mnie kojąco jak balsam.

- jak balsam na reumatyzm? - popatrzył przekornie.
- jak balsam na tęsknotę za miłością. - Przycisnęła się do niego bardziej, a na jej usta cisnęły się słowa: - Tylko się nie zakochaj!
- Chyba za późno

Udawała, że nie słyszy. Po chwili milczenia dopowiedziała:

- Nie wiem, jakbym się czuła, gdybym poszła na całość.
- Nic nie miałem na myśli - kłamał. - Czy wiesz, że znajdujemy się nad Morzem Celtyckim, które łączy się z Morzem Irlandzkim, a razem wpadają do Oceanu Atlantyckiego?

- Musimy wracać, bo odejdziemy za daleko.

Nie chciała kłamać, że nie wiedziała nic o Morzu Celtyckim. Niebo chyliło się powoli ku zachodowi, zmieniało barwę, a krajobraz oblicze. Cisza przerywana skrzeczeniem alk koła wszystkie rany.

Wracali. Kiedy wsiadali do samochodu, niebo czerwieniało, jakby ktoś przykrył je połacią materii. Zostawiali za sobą malowniczy brzeg oceanu, najpiękniejszy brzeg Walii, gdzie klify wrzynające się w morze stanowią o potędze tych brzegów.

Minęły dwa miesiące, od kiedy Grzegorz zaprosił Gabrysię na wycieczkę pod tytułem „jak mieszkają Walijszczyki”, a ona sama podjęła już decyzję o przeprowadzce do BP. Nie poznawała tego mieszkania, które widziała w beznadziejnym stanie. Już od samego wejścia lśniło polską czystością. Grzegorz wymalował drewniane okna i drzwi.

Uprzątnięte mieszkanie zrobiło na Gabrysi bardzo dobre wrażenie. Meble w kuchni wyglądały jakby firma je wczoraj

przywiozła. Kafelki w łazience również jak nowe. Wyprane dywaniki świadczyły o kobiecym pierwiastku w duszy Grzegorza. Również sypialnia, w której okna były przyozdobione filuternie firanką, a łóżko nakryte beżową kapą, wiele mówiła o osobowości właściciela mieszkania. Zapach emalii wiercił nozdrza jak narkotyk

- Zobacz podwórko! - Grzegorz gestem zaprosił ją na zewnątrz, gdzie stały własnoręcznie przez niego zrobione skrzynki na kwiaty. Posadził w nich bratki. Stół w małym saloniku lśnił czystością, a zdobił go flakonik z polnymi kwiatkami.

- Teraz pokażę ci twój pokój. - Otworzył drzwi powoli, jakby rozpakowywał paczkę z niespodzianką.

- O! O! O! - Ze zdumienia powiększyły się jej źrenice.

To było najładniejsze pomieszczenie. Pokój miał około piętnastu metrów kwadratowych. Poprzednio był tak zawałony, że nie można było otworzyć drzwi. Teraz pokazał swoją urodę. Gabrysia zwróciła uwagę na wnękową szafę, która zajmowała całą ścianę.

- Chyba nie powiesz, że nie będziesz miała gdzie pomieścić swoich ciuszków.

Nowe, pojedyncze łóżko zakryte było kolorowym kocem. Na jednej ze ścian stała nowa komoda z głębokimi szufladami, a na niej puste ramki do zdjęć. Pośrodku mała ława z dwoma pufami. Promienie słońca, które wpadały przez przezroczyste szyby, tańczyły wesoło po świeżo wymalowanych ścianach. Pokój się do niej uśmiechał.

- Boże! jeszcze tak nie mieszkałam. - Łzy zakręciły się w jej oczach. - Dziękuję.

- Wszystko robiłem z myślą o tobie. Sam nie wiem, jak tego dokonałem w tak krótkim czasie. To ty dodawałaś mi energii, ty byłaś moją mocą, bo przecież wszystko robiłem wieczorami, a kończyłem po nocach. Chciałbym mieć ciebie obok siebie i wspólnie zjadać kolację, kiedy wrócisz z pracy.

- Dziękuję - tylko to krótkie słowo mogła wypowiedzieć, bo wzruszenie dusiło jej krtań. Tylko ktoś zakochany robi takie cuda - pomyślała.

Wrócili do saloniku, gdzie zajęła miejsce przy stole. Została zaproszona na uroczysty obiad.

- Może cokolwiek ci pomóc? - zagadnęła.

- Absolutnie nie. Dzisiaj jesteś moim gościem, a ja twoim sługą.

- Przestań! - nic innego nie przyszło jej na myśl, kiedy odpowiadała na jego usługane słowa.

Po uroczystym obiedzie, podczas którego blask świec dodawał im odwagi, rozmarzeni, romantycznie nastawieni, doszli do wniosku, że czas pomaszerować na górę. Gabrysia w ciągu ostatnich dwóch godzin zmieniła swoje przekonania o wierności. Oboje długo czekali na ten uroczysty wieczór, już wcześniej zdjęła buciki, by jej nogi odpoczywały. Szumiało jej przyjemnie w głowie od trzech lampek wina.

- Ciekawe, czy w linii prostej dotrę do schodów? Poszła, a Grzegorz - idąc za nią po stromych schodach -

przesunął dłoń wzdłuż jej nogi, zahaczając palcem o brzeg jej majteczek. W pokoju paliły się świece, unosił się zapach indyjskich kadzidełek. Gabrysia dostrzegła w jego oczach błysk satysfakcji, kiedy rozpiął powoli koszulę jedną ręką, a drugą włączał jej ulubioną płytę Enyi. Położyła się na łóżko w ubraniu.

- Jestem twoim prezentem, więc możesz mnie rozpakować. Chcę być twoim smacznym kąskiem, ale nie wiem, czy będę ci smakowała.

- Będzie dobrze - powiedział szeptem, jakby bał się własnego głosu.

- Boję się - powiedziała głośno i odważnie. - Boję się twojej miłości.

Zasznurowana tym swoim wstydem, czuła się jak przed egzaminem dojrzałości.

- Chcę usłyszeć twoje serce - wymknęły się jej słowa.

- A ja pragnę pokazać ci moje.

Ściągnął koszulę, spodnie i położył się obok niej. Na łóżko padało światło księżyca, które dodatkowo oświetlało pokój. Gabrysia otoczyła ramionami jego tors, przyciągając głowę Grzegorza do swoich piersi.

Zaczął ją powoli rozbierać Aż do majteczek.

- Cudownie pachniesz. Jak nikt dotąd w moim życiu. Wtopił swoje usta w jej piersi. Jego ręce błądziły po całym

ciele, a ona zanurzyła dłonie w jego gęstej czuprynie. Wciągała w płuca zapach świec, które pachniały cytryną z nutką spalenizny.

- Już cię rozpakowałem, ty mój prezencie - szepnął do ucha. Przytuliła się mocniej do niego, przewróciła go na siebie,

przykryła się nim jak kołdrą. Chciała się schować przed całym światem w jego ramionach. Tysiące myśli zaprzętnęły jej umysł. Tyle lat była sama...

Nie przypuszczała, że taki scenariusz będzie jej udziałem. Blask świec obrysowywał jego sylwetkę srebrzystym konturem, a usta miał rozchylone niczym u śpiącego chłopca. Przyciągnęła go jeszcze bardziej do siebie, znalazła jego usta. Całowali się namiętnie. Czuła się, jakby po raz pierwszy weszła do ciepłej rzeki i drgnęła pod uderzeniem prądu.

Stopniowo zapłon ogarniał wszystkie części jej ciała. Głęboko, aż do dna genów. A więc to już? - chwilę przed tym nim się cała poddała, błysnęła jej myśl, że może źle robi, jednak dziki, indyjski zapach dodawał mocy tej miłości. W głębi ich ciał kulminacja - jak błyskawica - jak krzyk, a oni jak półksiężycy pęcznieli rozkoszą do pełni.

Mieli tę swoją emigrancką miłość.

Dni mijały szybko. Grzegorz odwoził i przywoził Gabry-się z pracy. Kiedy miała krótki dzień, wracała autobusem. To on gotował obiady, bo wcześniej wracał, również on szykował śniadania. Rozpieszczał ją, w wolne dni zabierał na wycieczki po Walii. To jemu zawdzięcza radość i pogodę ducha, jaką odzyskała. Całe Care Home w LL. miało pożywkę. Gabrysia ma romans, Gabrysia ma romans - powtarzali z ust do ust. Niekiedy słyszała uwagi kolegów i koleżanek z pracy typu: „Gabi, jak ty odmłodziłaś, ubyło ci kilkanaście lat”. Odpowiadała wówczas z dumą w głosie: „Ktoś na to zasłużył, bym odmłodziła”.

Niektórzy zaglądali za szybę samochodu, kiedy po nią przyjeżdżał, by ujrzeć tego kogoś, kto zasłużył na jej miłość. Czasami machali mu ręką na przywitanie, kiedy oczekiwał na nią, siedząc za kierownicą. Opowiadał później z wielkim przejęciem, jakie wywołuje zainteresowanie.

Któregoś wieczoru, kiedy wsiadała po pracy do samochodu, kiedy przywitał ją rytualnym cmoknięciem w policzek, powiedział:

- Czy pamiętasz, jak opowiadałem ci o moim kuzynie? Rok temu przyjechał tu do pracy w zakładach mięsnych. Spotykaliśmy się czasami na pogawędkach. To dobry człowiek, mąż i ojciec dwojga dzieci. Był szczęśliwy, że dostał tę pracę. Miał plany i marzenia. Aż do momentu, kiedy zaczęli zwalniać. Jego też objęło zwolnienie. Najpierw koczował u kumpli, którzy go przygarniali z litości, ale na krótko. Ponieważ nie zna języka i nie miał pieniędzy, pojechał do S. z nadzieją, że w dużym mieście się mu powiedzie. Tam zaczął koczować w lesie, w własnoręcznie zrobionym szałasie. Dzisiaj spotkałem go w ASDZIE. Przyznał się, że właśnie ukradł dzinsy, koszulę i buty. Był głodny. Dałem mu dwadzieścia funtów i zaprosiłem jutro do naszego domu. Ponieważ masz krótki dzień, to chyba zrobisz jakiś lepszy obiad.

- Mam nadzieję, że nie zaproponujesz mu zamieszkania w naszym pałacyku. - jej rysy zaostriły się gniewnie. - Powinien szybko wracać do domu.

- O, tak, ale jest bez kasy.

- Boże! Jacy nieodpowiedzialni są ludzie! Przecież kiedy go zwalniali, miał jeszcze pieniądze. Ryzykował. Nie znał języka i nie mógł wykonywać swojego zawodu, więc czym prędzej trzeba było wracać do Polski.

Gabrysia w tej materii nie miała litości dla tego obcego człowieka, którego jeszcze nie zdążyła poznać.

- Ależ ty jesteś ostra. Proszę cię, Gabi. To jest mój kuzyn, chcę mu pomóc. - Jego twarz nabrała wyrazu, jakby sam był bezdomny.

- Nie mówię nic, uszanuję to, może rzeczywiście potrzebuje pomocy.

Czekała z gotowym obiadem. Grzegorz pojechał na parking przy ASDZIE, gdzie się umówili. Środek lata. Piękny słoneczny dzień, jakich w Walii niewiele. Błękitne niebo nie zapowiadało ani kropli deszczu. Wychodzące na ogród drzwi z kuchni były otwarte, wpuszczały morski zapach, który zmieszany z zapachem obiadu wzmagął apetyt. Mieszkanie tonęło w blasku słońca. Gabrysia włożyła nową sukienkę, którą kupiła kilka dni temu. Czekała z mieszanymi uczuciami. Spodziewała się ujrzeć bezdomnego menela, jakich znała z telewizji i czasami z ulicy.

Wyszła do ogrodu i podziwiała bratki w skrzynkach stojących na parapetach, a które pamiętała z dzieciństwa. Przed oczyma zobaczyła jak żywy rodzinny balkon. Łaskotała swoją duszę tymi wspomnieniami. Była obecna tam i wtedy, kiedy była małą dziewczynką. Przed jej oczyma przesuwały się obrazy: twarz ojca, matki, starszych sióstr. Nagle uzmysłowiła sobie, że

nadal w środku jest tą małą dziewczynką. Nic się nie zmieniło. Te same odczucia, obrazy, jakby slajdy z przeszłości były na stałe obecne na twardym dysku jej umysłu. Wystarczyło tylko kliknąć, by powróciły.

Wtem te przyjemne wspomnienia rozproszył odgłos otwieranego zamka w wejściowych drzwiach. Lekko drgnęła, powracając do rzeczywistości.

- Jesteśmy! - usłyszała radosny głos Grzegorza. Obejrzała się w kierunku głosu, wyszła naprzeciw i jakie było

jej zdziwienie, kiedy za plecami przyjaciela ujrzała przystojnego, zadbanego, wysokiego mężczyznę o delikatnych, niemal kobiecych rysach twarzy. Ujrawszy Gabrysię przywitał ją po polsku, pocałował w rękę.

Przedstawił się. Rozkojarzona widokiem, bo nie takiego człowieka się spodziewała, nerwowo drgnęła i samą siebie skarciła za głupie myśli.

- Proszę siadać do stołu, obiad czeka. - Zrobiła delikatny zapraszający ruch ręką, wskazując miejsce dla gościa.

Henio usiadł, rozglądał się po mieszkaniu, nie chcąc zdradzić zażenowania, jakie mu towarzyszyło, ale Gabrysia wyczytywała z jego twarzy wszystkie emocje.

- Ładnie mieszkanie - zagadnął.

Wtedy, oczywiście, rozgadał się Grzegorz, opowiadając, jak to mieszkanie wyglądało kilka miesięcy temu. Ona w tym czasie podawała obiad: była pieczona karkówka, ziemniaki z wody, sałata w śmietanie i lody na deser. Henio jadł powoli, nie zdradzając objawów głodu. Kiedy Grzegorz skończył, odważyła się zapytać:

- Gdzie pan teraz mieszka? - Mężczyźni wymienili spojrzenia, a cisza, która zapadła, speszyla ją, więc zadała szybko drugie pytanie: - Pan jest kuzynem Grzegorza, prawda?

- O, tak! W Polsce mieszkamy blisko siebie. Jemu to się poszczęściło, nie tak jak mnie. - Spojrzał na kuzyna.

- A co się stało? - zmieniła tembr głosu na ciepły, żeby nie urazić tego biednego człowieka.

- Straciłem pracę i miałem nadzieję dostać nową w S., gdzie się przenieśli. Duże miasto to większe szanse. - Nabrał powietrza w płuca, zastanowił się, odsunął talerz, podniósł się lekko, jakby zamierzał wstać. - No, ale wylądowałem w lesie. I jakoś muszę sobie radzić. Nie mam pieniędzy na powrót do domu. Czasami trafi się jakaś fucha, czasami pomogą koledzy.

Gabrysia zauważyła, że zaczął się rozkręcać, więc nie przerywali mu, a on ciągnął smutną opowieść o losie na obczyźnie.

- Wie pani, jak potrafią wykorzystać takich ludzi jak ja? Nie znam języka, no, rozumiem piąte przez dziesiąte, więc płacą dwa funty na godzinę, a zdarzało się, że pracowałem na czarno dwa lub trzy dni i nie zapłacili mi wcale. Wredni Angole - dopowiedział z nutą goryczy w głosie. - Lecz ciągle mam nadzieję, że trafi się ktoś uczciwy, bym mógł odłożyć na podróż do domu.

- To co pan je, panie Heniu? - przerwała ze zdumieniem w oczach.

- Różnie. Chodzę wieczorami do ASDY, gdzie wyrzucają przecenione towary, które nadają się jeszcze do spożycia. Nie jestem sam. Tam przychodzą również inni Polacy, którzy nie mają pracy. A nawet bezrobotni Walińczycy. Ale te spodnie musiałem ukraść. Również buty.

- Straszne! - Pokiwała głową.

- Proszę mi powiedzieć, jak pan mieszka? Co to znaczy mieszkać w lesie?

- Na zalesionych wzgórzach w S. z gałęzi i desek zrobiłem sobie szałas, który, pokryłem skradzioną z budowy blachą. W środku mam niezłe warunki do spania, koce, poduchy.

- Nie jest panu zimno? - pytała jak reporterka robiąca wywiad.

- Nie! Mamy lato.

- Ale co pan robi, jak przyjdzie jesień?

- Nie wiem, nie wiem - powtórzył, a w jego oczach zakręciły się łzy i jak nieproszone dwie duże bezbarwne kule potoczyły się po policzkach.

- No! już dobrze - odezwał się Grzegorz, który przysłuchiwał się dialogowi i po męsku klepnął go w ramię. - Nie jesteś sam, pomogę ci.

Gabrysia zobaczyła, że słowa kuzyna przyniosły Heniowi ulgę.

Tego wieczoru Grzegorz odwiózł Henia do S. i dobrze wyprowiantował. Gabrysia dołożyła sery i wędliny. Oboje złożyli się na pewną kwotę pieniędzy, która pomoże mu przetrwać najbliższy tydzień.

Grzegorz wrócił z S. Od samych wejściowych drzwi nie mógł zatrzymać potoku zgorzkniałych słów.

- Przecież nie może tak być, żeby porządny człowiek chodził w XXI wieku głodny. Kurewski rząd, który swoim obywatelom nie zapewnia najgorszej pracy i wysyła ich na emigrację. Rząd, który dyskryminuje ludzi po pięćdziesiątce. A w ogóle - tu przerwał na moment, jakby się zastanawiał - kto nami się interesuje? Dlaczego się tu znalazłem? Pozbawiony rodziny, bo z zasiłku nie da rady przeżyć - odpowiadał sam sobie, przeciągając zgłoski ze złośliwym akcentem.

Ciepła woda z solą koła rany i spuchnięte stopy. Na stole w kuchni rozłożona ceratka, na której Gabrysia piłowała paznokcie. Grzegorz w saloniku czytał książkę i słuchał muzyki z płyt na starym adapterze, który pamiętał lata sześćdziesiąte. Zadzwoił telefon Gabrysi. Podskoczyła.

- Słucham! - W pierwszej chwili myślała, że to Zuzia.

- Tu Agnes, Gabi... - jej głos się załamał.

- Boże! Co się stało? - zapytała niepewnie.

Przez umysł przeleciały setki myśli, niedobrych myśli, włącznie z jej zwolnieniem za ostatnią niesubordynację.

- Gdzie teraz jesteś? - pani dyrektor spytała już spokojniej.

- W domu.

- Czy mogłabyś natychmiast przyjechać do Care Home? Od dwóch godzin szukamy Steve'a. Tylko ty nam możesz pomoc. On już wie, że jesteś jego bratanicą. Może miał jakieś plany. Ostatnio był w dobrej formie fizycznej i psychicznej. Zgłosiliśmy już na policję, a teraz czekamy na ciebie.

- Będę za pół godziny.

Spojrzała na zegarek, była dwudziesta pierwsza trzydzieści.

- Kto dzwonił? - Grzegorz stał w drzwiach i z ciekawością przyglądał się przyjaciółce, jak w pośpiechu wyciera nogi. Gwizdnął przeciągle, aż Gabrysia wstydliwie opuściła spódnicę, zakrywając kolana.

Wsunęła stopy w letnie sandałki i powiedziała:

- Proszę, zawieź mnie do pracy. Steve zaginął. Miałam telefon od dyrektorki, prosiła o natychmiastowy kontakt.

- A już myślałem, że ten wieczór jest tylko nasz - zachmurzył się.

- Też jestem niezadowolona, przecież jutro mam długi dzień. Podjeżdżali już na parking, na którym stał wóz policyjny. Na placu zamieszanie. Agnes rozmawiała z jednym z policjantów, drugi trzymał na smyczy policyjnego wilczura. W szeroko otwartych drzwiach stała grupa pielęgniarek i opiekunek. Grzegorz zaparkował z piskiem opon. Wysiadła. Zaczęła biec w kierunku Agnes. Pani menager odwróciła się.

- O, jesteś! Czekamy na ciebie.

- Przepraszam bardzo.

Agnes zwróciła się do przystojnego policjanta:

- Muszę zadać Gabi kilka pytań, może w jakiś sposób nam pomoże. To jest właśnie siostrzenica naszego mieszkańca, która miała z nim najlepsze relacje.

Przystojniak pokiwał głową, trzymając ręce założone do tyłu.

- Gabi, powiedz, kochanie, czy ostatnio nie zachowywał się dziwnie? Może w jakiś podtekstach dawał do zrozumienia, że pragnie opuścić nasz Dom? Może mówił cokolwiek innego, co mogłoby świadczyć o jego zamiarach. Jego zniknięcie to wielki problem dla naszego Domu. Pies zgubił ślad, jakby Steve wyjechał stąd samochodem. W pierwszej chwili pomyśleliśmy, że może go po kryjomu zabrałaś, ale wywiad, jaki przeprowadziliśmy, wykluczył tę ewentualność.

- Nie, nic takiego nie miało miejsca. Nasze rozmowy ograniczały się do toalety, czasami pogody. W zasadzie nie był rozmowny, zawsze bardzo smutny i jakiś zamyślony. Nieraz pytałam, ale odpowiadał, że wszystko w porządku. Choć pokój opuszczałam zawsze z żalem, to nie analizowałam jego przygnębienia. Był to samotny, stary człowiek.

- Tak, tak. Wiem - ucieła krótko. - Robimy wszystko, żeby nasi podopieczni czuli się u nas szczęśliwi, ale nie zastąpimy najbliższych.

Nagle Gabrysia zakryła ręką usta i zdławionym, zalęknionym głosem krzyknęła:

- Boże! Moje sny! On na pewno jest w mieście. - Odwróciła się i już biegła do samochodu, oddalając się z każdą sekundą od dyrektorki, która wołała ją po imieniu. Nie zwracała na słowa uwagi, biegła jak oszalała. Z impetem otworzyła drzwi samochodu i zapięła pasy. - Jedź do centrum. On tam jest. Wiem, że będzie próbował mnie gdzieś zaprowadzić - mówiła szybko, a jeszcze szybciej myślała.

- Kto ci powiedział? - zapytał, spoglądając na nią i oburącz trzymając kierownicę.

- Sny, moje sny! Tych nie opowiadałam tobie, więc mnie nie pytaj. Muszę go znaleźć, on na mnie czeka.

- Czy ty, aby nie zwariowałaś? - Zatrzymał wzrok na jej oczach.

- Zaufaj mi, proszę - niemal błagała.

Wzdragą się na samą myśl, że sny zaprowadzą ją na miejsce, gdzie spotka Steve'a. Nie mogła o tym myśleć bez drżenia. Wyrzwała przez okno i spojrzała na niebo, po którym snuł się księżyc. Tym widokiem nieco oddaliła swoje przerażające myśli o snach.

- Gdzie mam cię wysadzić?

- Stań tu. - Niemal tupąła nogami, rozпинаła pasy. Spieszyła się, jakby miała ratować własne dziecko. Zdażyła

spojrzeć jeszcze na Grzegorza, który kręcił z niedowierzaniem głową, trzasnęła drzwiczkami i jak oparzona biegła w kierunku deptaka. Potykała się o przechodniów, młodych ludzi, którzy grupami szli na dyskotekę.

- *Sorry, sorry!* - Lawirowała pomiędzy nimi. Ktoś z całej siły pchnął ją w ramię. Omal się nie przewróciła. Zatoczyła się przez moment, ale nie straciła równowagi. Przystanąła. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że goni własny sen. Zauważyła, że nie tylko młodzi szykują się na imprezę.

Ludzi przybywało. Otworzył się strumień składający się ze skąpo poubieranych ciał, który wirował, wrzeszczał i ciągle parł naprzód. Zrobię z siebie pośmiewisko - pomyślała. - Dobrze, że nie powiedziałam Agnes, gdzie jadę - mówiła sama do siebie i rozglądała się we wszystkich kierunkach, szturchana to z boku, to z tyłu. Wyciągała szyję jak żuraw, a jej oczy jak kamery próbowały dojrzeć obraz ze snu.

Yes! Yes! Yes! To prawda, prawda, prawda! Ruszyła jak koń z kopyta za sylwetką człowieka w kapturze, który wmieszany w tłum wyróżniał się wyglądem. Nagle zauważyła, że prawie się ściemniło i zaczął padać deszcz rzadkimi kroplami, jakby

załował wody. Gonila starca, który obracał się dookoła własnej osi, jakby kogoś również szukał. Gabrysię już dzieliło od niego niespełna trzydzieści metrów, kiedy pod kapturem ujrzała jego twarz. Ich oczy się spotkały i tak jak już zdarzało się w jej śnie, odwrócił się i zaczął szybkim krokiem podążać w kierunku szeregu budynków w wąskiej uliczce.

Gabrysia znowu biegła, potrącając ludzi. Minęła już deptak, ale ciągle, jak we śnie, nie mogła dogonić Steve'a. Przystanęła na moment i przeczytała nazwę ulicy, wyciągnęła telefon z kieszeni zakietu i nerwowo wystukiwała numer do Care Home. Odebrała Agnes.

- Mam go. Zmierz w górę Hope Street. Szybko przyślijcie samochód, ja biegnę za nim, ale on po prostu mi ucieka.

Nie czekała na odpowiedź. Schowała telefon i znowu biegiem puściła się w pogoń za zwałym staruszkiem. Nie minęło nawet pięć minut, kiedy na sygnale podjechał radiowóz. Zatrzymał się przy Gabrysi. Agnes otworzyła drzwi.

- Siadaj, gdzie go masz? - zapytała.

- Skręcił w pierwszą po lewej stronie.

Radiowóz ruszył z piskiem opon. Skręcił w lewo. jakieś dwadzieścia metrów za zakrętem szedł dziarskim krokiem mężczyzna w kapturze na głowie.

- Czy to Steve? - zapytała z niedowierzaniem dyrektor.

- Tak, to on!

W tym momencie człowiek w kapturze odwrócił się i Agnes poznała swojego podopiecznego.

- On tu mieszkał. Na końcu tej ulicy. Że też nikt nie wpadł na ten pomysł tylko ty? - zastanawiała się głośno.

Gabrysia w duchu cieszyła się, że dyrektorka nie zwróciła uwagi, że ona, wybiegając spod Domu Opieki, wspominała swoje sny.

Znowu dni mijały szybko. Ciężkie poranne wstawania i wieczorne powroty. W jesiennym miesiącach Gabrysia brała wiele nadgodzin, bo potrzebna jej była kasa. Życie w Care Home toczyło się swoim rytmem. Niektórzy podopieczni umierali, na ich miejsce przychodzili nowi.

Zajrzała do pokoju Steve'a, który od czasu wycieczki po LL. zasłabł i przestał się odzywać nawet do Gabrysi. Był spokojny, nie wykazywał agresji w stosunku do nikogo, lecz jego kondycja fizyczna pogarszała się z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień, niemal z dnia na dzień. Gabrysia była zaniepokojona. Mimo wszystko pokochała tego bezbronnego staruszka i bardzo się do niego przywiązała.

Nie czuła już żalu do brata jej ojca, który tak haniebnie go zdradził, nie odwiedził rodziny z powodów finansowych, bo dużo dzieci, bo bieda. Gdzieś w głębi serca wiedziała, że stryj niewiele dni ma przed sobą. Opiekowała się nim najlepiej jak potrafiła. Tego dnia, jak zwykle od pewnego czasu, jeszcze przed porannym raportem zajrzała do jego pokoju. Kiedy odsłaniała zasłony, szarość świtu ustąpiła miejsca bladym promieniom słońca. Nie wiedziała, dlaczego wszystko wydawało się jej obce, choć znajome. Jak miejsce ze snu.

Powitała Steve'a pocałunkiem w czoło i zwilżała mu usta, przykryła, poprawiła pościel, a na koniec włączała *Chór niewolników* Verdiego, tak jak o to zawsze prosił. Pożegnała obietnicą szybkiego powrotu po raporcie. Nie odzywał się, tylko wpatrywał w jej twarz mądrymi oczyma, jakby chciał jej nauczyć się na pamięć i zabrać ten obraz na drugi świat.

Kiedy po raporcie razem z Dorothy otwierała pokój, jego ręka wisiała poza krawędzią łóżka rzucona jak ręka kukły, a sam Steve nie dawał oznak życia. Dorothy natychmiast ujęła rękę, by zmierzyć puls.

- Jest puls, słaby, ale jest! Wołaj Dantona i biegnij po aparat z tlenem. Ja tu czekam.

Gabrysia biegła, ale wydawało się jej, że stoi w miejscu. Jakby się czas zatrzymał. Miała wrażenie, że im szybciej biegła, tym bardziej oddala się od kantorka, w którym dyżuruje pielęgniarz. Krzyczała na całe gardło: „Danton! Danton!” ale nikt nie wychodził naprzeciw. Korytarz był coraz dłuższy. Jak nitka makaronu. Boże, może to nieprawda. W jej głowie szumiało tysiące drzew. Nie rozpoznawała granicy między rzeczywistością a fikcją, między jawą a snem. Czuła się, jakby nie należała do siebie, a tylko jej cząstka brała udział w tym biegu.

Wtedy ujrzała Dantona wychodzącego z kantorka, a siebie stojącą i bezradnie krzyczącą. Strach paraliżował jej ruchy. Ten obraz i stan miała zakodowany jeszcze przed wyjazdem do Anglii.

- Szybko do Steve'a!

Na nic więcej nie było ją stać. Jej głos zamierał, tak jak i ruchy. Danton rzucił się biegiem, a ona wciąż stała. Całkiem nagle nerwy ustąpiły i mogła już podbiec do pomieszczenia, w którym znajdował się aparat tlenowy. Zniosła go do pokoju, gdzie Danton w najprostszy sposób reanimował jej stryjka.

- Szybko, szybko!

Nawet nie zauważyła, kiedy przywrócono staruszkowi oddech. Usłyszała miarowe syczenie aparatu tłoczącego tlen do ust. Steve łykał powietrze jak ryba, coraz głębszymi łykami.

- Mamy go! Mamy go! - powtórzył Danton.

- Już dobrze, kochanie. - Dorothy nachylała się nad jego twarzą i głaskała pomarszczony policzek. - Wszystko będzie dobrze - uspakajała.

Danton podszedł do Gabrysi, przytulił ją, pocałował w policzek.

- To już koniec - szepnął. - Może parę godzin.

Gabrysia wciąż stała i patrzyła na bladą twarz stryja. Czowała, że oto razem ze Steve'em stoi na pomoście łączącym brzeg CZASU z WIECZNOŚCIĄ. A śmierć, jak posłanka z innego wymiaru, czekała tylko na stosowną chwilę, by zabrać mu ostatni oddech.

- Gabrysiu - Dorothy odezwała się czule jak nigdy dotąd. - Zostaniesz tu, w pokoju, i będziesz go monitorowała, jeśli się coś zmieni, to nas zwołasz. Teraz jest bezpieczny.

Danton i Dorothy wyszli z pokoju. Gabrysia przysiadła na fotelu obok łóżka. Stryj miał wzrok wbity w sufit i miarowo oddychał. Głęboki stres przymknął jej powieki. Zdawało się, że przysnęła, kiedy poczuła lekkie dotknięcie. Ocknęła się, spojrzała na Steve'a, który trzymał w ręce maskę.

- Gabrysiu, ja umieram.

- To nieprawda - odrzekła. - Może kiedyś, ale jeszcze nie teraz.

Wstała, wyciągnęła wacik, który włożyła do szklanki z wodą i zwilżyła mu usta.

- Wyjdiesz z tego, zobaczysz!

Wysilił się na uśmiech. Oddała mu swoim.

- Wybacz mi, Gabrysiu. Moja droga była długa, ale za późno zauważyłem, że to nie jest właściwa droga. Przywiodła cię tu twoja matka. Ona też była obecna w moich snach.

Gabrysia drgnęła. Nie miała już żadnych wątpliwości co do prawdziwości słów: **TO TWOJE PRZEZNACZENIE.**

- W najgłębszych pokładach mojej duszy wiedziałem - cedził polskie słowa - że się z tobą spotkam. Dawno, dawno temu chciałem zabrać cię do Anglii, bo z żoną nie mogliśmy mieć dzieci. Byłaś małą dziewczynką. Franek, twój ojciec, już chorował, wiedział, że niewiele mu zostało, ale nie wyraził zgody. Dlatego się śmiertelnie obraziłem. Wybacz mi, przepraszam.

- Wybaczam - mówiła przez łzy, które jak grochy płynęły po jej policzkach.

Kiedy następnego dnia Gabrysia wchodziła na oddział, dyżurująca pielęgniarka przywołała ją do siebie.

- Agnes czeka na ciebie - powiedziała.

- Boże! Co się stało? - zapytała.

- Nie wiem - rzuciła sucho.

Ale Gabrysia już wiedziała. Steve odszedł. Nabrała powietrza w płuca i odważnie otwierała drzwi.

- już wiem - powiedziała po cichu.

- To dobrze - Agnes potwierdziła jej przypuszczenia. - Steve zostawił coś dla ciebie i prosił, byś otworzyła ten pakuneczek przy mnie.

- Usiądź, proszę.

Gabrysia zajęła miejsce w fotelu, a Agnes podała jej niewielki pakunek.

Zaczęła powoli rozpakowywać. Nie odczuwała żadnych emocji, jakby dzisiaj była z kamienia, jej oczom ukazał się mały obrazek ze świętym Franciszkiem, ale za to w okazałej ramce, nieproporcjonalnej do obrazka. Wtedy poczuła, jak krew napływa jej do głowy, robi się jej gorąco. Przed oczyma miała obraz ze snu, w którym za dużą ramą obrazu Steve chowa perłę.

Na kolanie przełamała ramkę. Okazało się to bardzo proste.

- Co ty robisz? - zdziwiła się Agnes.

Gabrysia z ramki powoli wyciągnęła długi, bardzo długi sznur białych pereł.

Starość, przemijanie to nieodzowne elementy naszego życia. Starość potrafi zaskoczyć, zmienić nasze role życiowe, a nawet unieruchomić nas. Wiele osób będących w jesieni swojego życia staje się zależnymi od innych.

Taka sytuacja nie jest łatwa również dla opiekunów osób starszych, jednak dzięki empatii, tolerancji, zrozumieniu i przede wszystkim poprzez czynną obecność w życiu osób potrzebujących opieki, potrafią oni zmienić jesień życia podopiecznych w okres barwny i ciekawy, pozbawiony samotności i marginalizacji. Bohaterka „Przeznaczenia” to wszystko potrafi.

Powieść Pani Łucji Fice nie mogłaby się ukazać bez wsparcia firmy Promedica24.

Oferta firmy skierowana jest do rodzin, które nie mogą same zapewnić bliskim opieki i jest alternatywą dla domów opieki. Opiekunowie Promedica24 pomagają nie tylko w gospodarstwie domowym, utrzymaniu higieny osobistej czy w przygotowaniu i spożywaniu posiłków, ale przede wszystkim towarzyszą podopiecznym w życiu codziennym, ułatwiając im aktywne uczestnictwo w rodzinie i społeczności.

Opiekunom osób starszych Promedica24 oferuje legalną i bezpieczną formę zatrudnienia. Zapewnia świadczenia wynikające z ubezpieczenia społecznego i zdrowotnego, pokrywa całkowicie koszty wyjazdu do Niemiec, zapewnia zakwaterowanie i wyżywienie. Obecnie Promedica24 współpracuje z blisko 5000 wykwalifikowanych opiekunów.

Więcej informacji o firmie na: www.promedica24.pl